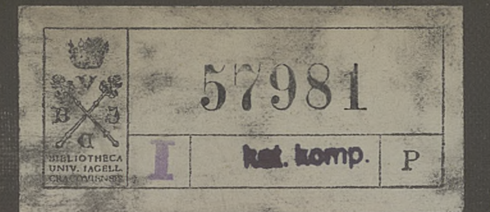
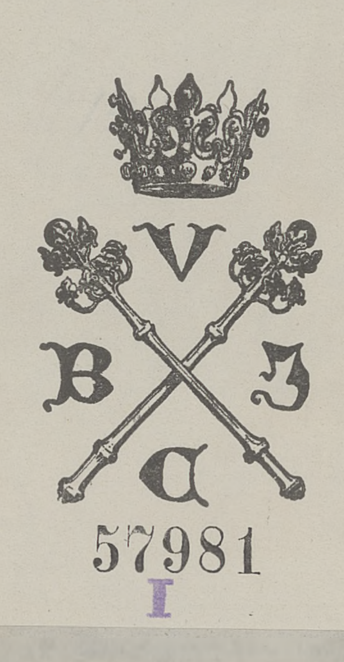

V
B
J
C.
BIBLIOTHECA
UNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS







WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE

PRZEZ

WIKTORA TISSOT

AUTORA
„PODRÓŻY DO KRAINY MILIARDÓW."

przełożył z francuzkiego na język polski
Zygmunt Rouppert.

WARSZAWA.
Nakład i druk **A. Pajewskiego**, Wydawcy „Kolców."
Ulica Niecała Nr. 12 nowy.

1878.

jący z jakiejś dzwonnicy srebrny głos dzwonka i trzepotanie gołębi. Wszystko dokoła przybiera kształty efemeryczne,—duchów mgły; możnaby uwierzyć że się jest w krainie snów: miasto buja po nad falami, nieme i samotne jako duch.

Ta ranna godzina o tęczowych barwach i świeżem podmuchu wiatru, jest najszczęśliwszą porą wjazdu do Wenecyi. Przybywałem już tam nie raz wieczorem, ale wrażenie bywało już inne, było smutne, grobowe, pomimo że na niebie łamały się w łagodnych promieniach miliardy ogni, gwiazd.

Ranek ma zawsze w sobie cóś sympatycznego, jasnego, jest wesoły. Powietrze ranne pachnie, ogrzewa go słońce; to też oczy się niem cieszą a pierś delektuje. Świt to roztwierającc się podwoje z białego marmuru, podwoje nadziei, zmrok to zgrzyt zapadających wrzeciądzów, czarnych jak wnętrze grobu.

Ojczyźnie Tyciana i Woroneza trzeba ciepłych tonów wschodzącego słońca; wody kanałów i lagunów dopiero są piękne gdy migocą blaskami szafiru i stali; młodzieńcza siła zarania odmładza stare fronty pałaców zgrzybiałych których marmury nie posiadają już w swoich żyłach ani jednej kropli krwi; pałace chylące się ku ziemi, pod pierwszemi promieniami tego słońca o purpurowo-złotych blaskach, zrzucają z siebie zgrzybiałość a most Rialto ze swemi zielonemi zaluzyami, przypomina swoim łukiem, na tle porannych obłoków, jaskrawą tęczę. Kto z pie-

śni poetów pokochał Wenecyę, ten w jej barwiste mury niech wchodzi jedynie przy blasku dnia, Wenecya jest córą słońca a nie nocy.

Moja gondola płynęła zwolna, poważnie, jakby łabędź czarny który się zaduma; przybyliśmy do łaguny, nie byłem jeszcze zdecydowany do jakiego się udać hotelu. Czekał ich cały szereg, rzuciłem okiem na te kiedyś pańskie przybytki, dziś zamienione na pospolite hotele i począłem przeglądać ich szyldy i ekspozycyę. Oczy moje padły na hotel di Monako stojący naprzeciwko komory i kościoła S-tej Maryi Zbawicielki i od razu pociągnęły mnie kokieterya i finezya jego architektury, jego taras, okna maurytańskie, ganki rzeźbione a dżiorno, portyk wspaniały, marmurowe kolumny; wyobraźnia otwierała mi już tam podwoje do pięknej izby o ścianach wyłożonych dębową sztukateryą, stąpałem po mozaice którą muskał kiedyś atłas pantofelka jakiej jasnej patrycyuszki. Opierając się na oknie mógłbym patrzeć jak płyną gondole, widzieć jak od statków na kotwicy odbijają się co chwila szalupy, pieścić wzrok błękitem morza, po za Lido. Smutne rozczarowanie! Zaprowadzono mnie do jakiejś stancyi mającej pozory gołębnika, nagiej, brudnej, bez mebli i nie mającej żadnej komunikacyi z hotelową służbą; można tam było do worka kogo zaszyć bez najmniejszej obawy o jakąkolwiek dywersyę.

Widok parowca Lloyda który miał odpłynąć o pół

nocy i zabrać mnie do Tryestu, pocieszał mnie nieco. Na sąsiednim zegarze wybiła ósma, miałem dzień cały do odwiedzenia tej Wenecyi, którą kocham tak jak Montaigne kochał Paryż, z jego nawet ranami, ale bądźcie czytelnicy spokojni, nie będę wam dawał żadnego opisu, nic zresztą by on was nowego nie nauczył. Co ja w Wenecyi robiłem, wszyscy robili to samo, com tam widział, wszyscy również widzieli. Jest to miasto spacerowe jak żadne; nigdzie niema tyle pokus do próżnowania, tak rozkosznie nie spędza się czasu na *dolce far niente* co tam. Patrzyć na piękne niebo, a pod tem pięknem niebem widzieć piękne morze, a na brzegu tego pięknego morza, piękne kobiety, czegóż więcej pragnąć? Wenecya z hukiem młotów i czarnemi kłębami dymu węglanego, Wenecya kramarska i wrzaskliwa, nie byłaby Wenecyą ukochaną od artystów mażycieli; negliż arystokratki przypada jedynie do jej fizyognomii: Tycian odmalował ją w postaci Wenery, Weronez spowił ją w złotogłów kurtyzanek. Wszystko zdaje się w niej żyć i być dla miłości, począwszy od turkawek które tam wiecznie gruchają a kończąc na gondolach których widok prowadzi koniecznie wyobraźnię na szlaki pełne przygód i tajemnic. Jest to miasto uciech dla ciała i rozkoszy dla oka, miasto szału, pieszczot i bicia serca; niebo tam błękitne, powietrze drga miliardem blasków; pałacom jego posągi nadają życie, nęcą w nich oko wesołe freski, lustra okolone kwiatem

i stoły inkrustowane porfirem zapraszają do pogańskiej uczty Kananeńskiej! Istne miasto czarodziejskiej sztuki: ramy stanowi dlań świat mitologiczny, tło — shakespearowska tragedya, scenę — duet miłosny.

Na tych ulicach i uliczkach gdzie życie obnaża się swobodnie pod otwartem niebem, pełno jest rodzajowych obrazków; biegałem tu i owdzie, bez ułożonego planu, bez celu, to się zatrzymując przed eleganckim bazarem, to wchodząc do starego antykwaryusza, to wreszcie odchylając na chwilę kotarę purpurową jakiego kościoła o ołtarzach błyszczących jak słońca, a o ścianach pokrytych czerwonemi draperyami obszywanemi złotem, o kaplicach wspartych na gruppach marmurowych kolumnad i jarzących się od ognia. Kościoły włoskie mają coś w sobie gorącego, namiętnego, są one pełne pokus i sensacyj; w tej atmosferze kadzidła i przeciągłych harmonii, kamienne kwiaty pachną mirtem i liściem cytryny; szepcze się pieśń nad pieśniami, pojmuje ekstazy Świętej Teresy, podlega się jakby hallucynacyi raju wiecznego. Mężczyźni wpadają w kontemplacyę bezwiedną, kobietom chylą się ku ziemi kolana, jako się chyliły Maryi-Magdalenie.

Na jednej z takich ciasnych uliczek, po nad któremi lazur nieba wydaje się być wyciągniętą od dachu do dachu, niebieską wstęgą, byłem świadkiem małej sceny która dla rodzajowego malarza byłaby nieoszacowanem *znaleźnem*: Młoda, uśmiechnięta

kobieta, w białym peniuarze, pochylona na balkonie, w kokieteryjnej postawie turkawki z bajki słuchającej umizgów misia, spuszczała na sznurku mały koszyczek z jałmużną, na którą z wzniesionemi do góry oczami i rękoma, oczekiwał na dole biedny mnich—żebrak. Zdaje mi się nawet że mnich więcej się wpatrywał w piękną panię niźli w koszyk; zasługiwała ona zresztą w zupełności na tę atencyę: była prześliczną; piękna jej jasna główka o delikatnych konturach wychylała się z kryzy koronkowej jak błyszczący czarnemi ślepkami łepek wiewiórki wyglądającej ciekawie z po za splotu zielonych liści.

Nie miałem dosyć czasu ani na obejrzenie 164 kościołów ani na przejście po 450 mostach Wenecyi, to jednak co widziałem, wystarcza aby obraz tego miasta ścigał mnie wciąż jako widzenie i jako żal. Gdzież życie mogłoby słodszą falą płynąć jeśli nie w tych gondolach, tak rozkosznie bujających się na spokojnej wodzie lagunów? Gdzie żachwyt myśli byłby w stanie cudowniejsze wywołać obrazy, jeśli nie w tych cyzelowanych pałacach, których mozaikowe ściany przeglądają się w przezroczu weneckich luster, a których złocone sufity służą za ramy do fresków i płócien mistrzów Renessansu?.....

W owej świetnej epoce, surowa respublika zwracała się już z lekkiem sercem ku ateńskiemu poganizmowi. Weronez nadaje swoim madonnom wyraz więcej ziemski; Tycian, wystawia na błyszczących

draperyach boginie, którym by sama Grecya cześć oddała. Kościoły zamieniły się na sanktuarya sensualistycznej religii; całe miasto zmienia swoją postać, zsuwa się w miękkie objęcia uczuciowości. Już snujące się w nocnej ciszy po powierzchni wód gondole, przypominają jedynie czas miniony: są one podobne do duchów owych dawnych rybaków, tak wielkich w boju, tak mężnych w obec morskiego huraganu. W czasie tego jedynego peryodu swojej historyi, jakiż cudowny obraz przedstawiała Wenecya! Zdałoby się że to niewolnica — wybranka co legła na drogocennych dywanach u nóg swego sułtana! Przybrała sobie imię „Królowej Adryatyku“ i królowała zaprawdę majestatem swojej respubliki, splendorem swoich świąt, geniuszem swoich artystów, pięknością swoich kobiet.

Potęgę i bogactwo, sztuki, naukę, sławę—wszystko trzymała w swej dłoni, jako królewskie berło i czarodziejki rózgę.

Czy wystawiacie sobie plac Ś-go Marka, podczas wiosennego wieczoru? Stara bazylika iskrzy się jak pagoda; jej z bronzu wykute rumaki zdają się potrząsać ognistemi grzywami; tuż obok książęcy pałac pyszni się swoim przecudnym frontem, roztacza rżnięte w koronkę łuki swoich okien, a dominujący nad Kampanillem anioł zdaje niechcieć się już zabierać do lotu.

W tłumie cisnącym się pod portykami i na samym

placu, jakiż przepych, jakaż fantazya, co za rozmaitość! Kobiety stroi jedwab i aksamit, ubrane są w spódnice z sukna haftowanego złotem i srebrem, z szyj i rąk biją promienie całych konstellacyj drogich kamieni; piersi zdobi róża lub zwitek fijołków, dla kochanka dar takiego kwiatka który spoczywał na łonie damy, jest najwyższem szczęściem i zarazem największą oznaką faworu. Po odkrytych ramionach spływają rozpuszczone sploty włosów: pewien kronikarz opowiada że jedna z weneckich patrycyuszek miała tak długie włosy że musiała kazać je za sobą paziowi nieść, jak ogon od sukni, a to aby się nie wlokły po ziemi. Po wyrazie szczęścia i wesołości tych kobiet, po kwitnącem na twarzy zdrowiu, poznaje się te płoche i żądne swawoli biesiadnice Pawła Weroneza, co to kosztują ze złotych mis najwyszukańsze przysmaki i z głośnym śmiechem na karminowych ustach, wychylają do dna czarę ziemskich miłości.

Piękni panowie z gustem postrojeni, przechadzają się: hełm i kirys ustąpiły miejsca kapeluszom o długich pióropuszach; sprawy państwa odłożone ad acta, — wieczór to chwila schadzek.

Obyczaje były po wsze czasy bardzo rozluźnione w tej byzantyjskiej respublice; nie raz to bywało że „spacerującemu“ mężowi przychodzono ofiarowywać jego włoską żonę; im więcej młodzież się bawiła, tem Rada Dziesięciu była spokojniejszą: niemoralność prote-

gowaną była jako pożyteczna zabawka która nie dozwalała głowie myśleć; to też życie młodej szlachty tonęło całkiem w morzu rozpusty i uciech. „Poczytują oni sobie za zasługę być libertynami i graczami— mówi ówczesny pisarz, bezstronny świadek, Saint-Disdier;—nie zadawalniają się posiadaniem jednej kurtyzanki, mają ich po kilka, a rodzice na to wszystko dają pieniądze.“ Saint-Disdier opowiada dalej że syn jednego prokuratora tak mocno się zakochał w „najpiękniejszej i najporządniejszej kurtyzance weneckiej“ że wcale już od niej nie wychodził. Ojciec zmartwiony tą nieobecnością w domu syna, odszukał go i powiedział czułym głosem: „To już ją przyprowadź do domu.“ Saint-Disdier podaje również pewną historyjkę, dosyć oryginalną i charakteryzującą ówczesne obyczaje, by ją tu przytoczyć: Trzech młodych paniczów, którzy już od roku nie wiedzieli jak się zabawić, uradzili między sobą że trzeba im koniecznie coś takiego zrobić co by było głośnem i rozeszło się po całem mieście. Jeden zaproponował aby podpalić żydowską dzielnicę miasta; drugi chciał pójść do domu jednej z najpiękniejszych patrycyuszek Wenecyi, tam drzwi powybijać i samą panię porwać; ale propozycja trzeciego przypadła najwięcej wszystkim do gustu. Oświadczył on że reparowano mury klasztoru Ś-go Franciszka, zakonu mniszek, położonego o dwie mile od Wenecyi, na wyspie; otóż wtargnąć tam należało w nocy, przez porobione w murach wyłomy.

Projekt przyjęto z entuzjazmem i tego samego wieczoru, wszyscy trzej awanturnicy ubrani cało w bieli, wsiedli do gondoli, wylądowali na wyspie około północy i w kilka chwil znaleźli się już w zakonnej sypialni. Ale na nieszczęście zbudziła się natychmiast jedna z mniszek, a ujrzawszy trzy białe postacie, pewna że to duchy z tamtego świata, pobiegła przerażona do dzwonka alarmowego, i krzycząc w niebogłosy, rozbudziła w jednej chwili cały klasztor. Niebawem stał się zamęt niesłychany, na głos dzwonka z sypialni poruszył się wielki dzwon wieżowy; po paru chwilach, biegli już z pomocą klasztorowi, całe zastępy zbrojnych mieszkańców wyspy. Położenie było krytyczne. Naszym paniczom nie pozostało nic innego jak tylko salwować się ucieczką. Udało się im to bez szwanku; dopadli do swojej gondoli i niezadługo już byli w Wenecyi.

Nazajutrz w całem mieście o niczem innem nie mówiono jak o owej eskapadzie: trzej młodzi ludzie stali się bohaterami dnia, ale i skazani zostali na banicyę; w pół roku jednak po tem, powrócili do Wenecyi tak jakby się nic nie stało i dano im pokój.

Ówczesne żeńskie klasztory w niczem podobne nie były do tym podobnych zakładów w innych krajach; nie było tam żadnych reguł, a na nowicyat przyjmowano same tylko patrycyuszki. Nie prowadziło je tam przecież żadne powołanie, ale wola rodziców dla których był to bardzo dogodny sposób pozbycia się

córek z domu. Parloary w tych klasztorach były miejscami najwięcej uczęszczanemi z całego miasta: były otwarte dla wszystkich. Podczas karnawału były to miejsca schadzek dla masek, a młodzi patrycjusze, poprzebierani w komiczne kostjumy, biegali od klasztoru do klasztoru, bawiąc zakonnice pociesznemi dykteryjkami. Były nawet pewne zakony w których widziano po za kratą, ukostiumowane same mniszki. Saint-Disier zapewnia nawet że raz widział zakonnice przebrane za mężczyzn, w kapeluszach z piórami.

Żadna szlachta, nawet francuzka, nie służyła tak pilnie damom, jak szlachta wenecka: żonaci również jak i kawalerowie wybierali sobie za „panię“ którą ze znajomych patrycyuszek i korzystali z najmniejszej sposobnosci by jej swoje usługi nieść w hołdzie. I w dzisiejszych czasach nawet nie znikł jeszce zupełnie w Wenecyi czycisbeizm.

Przed ustalenicm się wszechwładnej respubliki, był zwyczaj w Wenecyi wystawiać przeznaczone do zamążpójścia panny, na licytację; kto dał więcej, kupił sobie żonę. Co do brzydkich, to aby te nie były skazane na wieczne panieństwo, dawano im posagi z części pieniędzy, zebranych na sprzedaży pięknych.

Późniejsze prawa respubliki pozwalały patrycyuszom pojmować w związki małżeńskie córki „szklarzów“ z Murano i tkaczów wyrabiających materje złote i srebrne. Jeżeli szlachcic żenił się z inną jaką nie szlacheckiego pochodzenia kobietą, dzieci jego

traciły szlachectwo. W rodzinach szlacheckich gdzie było kilku synów, jeden się tylko żenił, żeby się tym sposobem ojcowizna nie rozdrabniała; to też istniało przysłowie, że w Wenecyi „jeden brat brał żonę dla braci wszystkich.“ Najmłodszy nawet miał przywilej noszenia tytułu „męża.“

Dziwaczna architektura kościoła Ś go Marka stanowi pewnego rodzaju historyę weneckiego narodu. Święty Marek zbudował tę świątynię z łupów i trofei wojennych. Brązowe rumaki z po nad wielkigo portalu, wzięte były Rzymowi. Konstantynopol dał porfirowe kolumny. Symetryi tam żadnej, stawiano jedno na drugiem w miarę jak przybywała zdobycz; ztąd owo zamięszanie, nieład i zbytek bogactwa; dla oka jest tam pełno zagadek.

Gdym wszedł do kościoła, odprawiano właśnie nabożeństwo. Na ołtarzu wylegiwał się niepomiernych rozmiarów kot i drzemał; ani ksiądz ani publiczność nie zwracali na to uwagi. Każdy kościół ma tu swoich kotów domowników tak jak ich miały świątynie starego Egiptu. Stare dewotki otaczają te koty niesłychaną pieczołowitością: kto chce być dobrze z księdzem musi nasamprzód zaskarbić sobie łaski kota.

Pałac Dożów ze swojemi wschodniemi galerjami, swoim różnobarwnym marmurem, rzeźbionemi fryzami, symbolicznemi lwami, kolumnadą, łukami, z szeregiem ciemnych słupów, miedzianym dachem, z całą swoją architekturą tak fantastyczną, jak arabska bajka, nie może się porównać z żadnym innym gmachem czy to w Wenecyi czy gdzieindziej; jest to jedyny pałac w swoim rodzaju; do stworzenia tego cudu architektury, mającego w wnętrzu swojem pomieścić boginie Tyciana i nimfy Woroneza, trzeba było całych skarbów i imaginacyi wenecyan: nieświadomy rzeczy powiedziałby, że to przybytek chrześciańskiego sułtana. A na tych wszystkich kamieniach cyzelowanych jak kamea, ilez to wspomnień zaznaczonych krwawym rylcem! Oto schody olbrzymów, u szczytu których stracony został Marino Faliero; tam „lwie paszczęki" które służyły do otrzymywania „sekretnych denuncyacyj, przeciwko wszystkim, z beneficyum 42 od sta, którem prawo wynagradzało gorliwych delatorów". Pod tą galeryą wyczytać można cały szereg zniesławiających napisów, podających do wiecznej pamięci imiona ministrów i dygnitarzy niewiernych.

W tej rozkosznej i srogiej respublice opierającej swoje panowanie na strachu i ciszy, kara wraz z śmiercią jeszcze nie ustawała.

Wielkim ludziom nie stawiano tam pomników; łotrów lub „skazanych" tylko imiona ryto na mar-

murowych płytach ścian pałacu, aby pamięć ich przez wieczne czasy wystawioną była na hańbę.[1])

Skierowałem się ku Ghetto, ale jak ulica żydowska w Frankfurcie straciła już charakter swej oryginalności, tak samo też i Ghetto Wenecyi nie jest już ową smutną i odrapaną uliczką starych landszaftów; na progu sklepów stoi kilka młodych żydówek: wszystkie mają oczy czarne jak węgiel a włosy ich są wspaniałe. Pod łukiem jednej arkady spostrzegłem starą, może stuletnią kobietę, całą pomarszczoną, trzęsącą się, o biblijnym profilu, z czołem przepasanem szlakiem białego płótna, kościste i żółte swe ręce grzała nad garnkiem z węglami. To zjawisko z innej epoki przypomniało mi przepyszną głowę starca, Rembrandta, umieszczoną w szybce jednego z gotyckich okien.

Niedaleko od Ghetto, na Fondamente delle Penitente, stoi dom w którym mieszkał Rouseau podczas swojego pobytu w Wenecyi, nosi on numer 967 i należy dzisiaj do pp. Zuliani, kupców drzewa. Kilka pokoi drugiego piętra wraz z pokojem „genewskiego obywatela“ jest jeszcze dzisiaj nie tkniętych; noszą

---

[1]) Jedna z takich sentencyj brzmi jak następuje: „1718 r. 28 listopad.—Antoni Bernardi, b. kontroler rady administracyjnej wodnej, skazany na wygnanie przez wysoką radę Dziesięziu d. 28 listopada 1718 r. jako minister niewierny i winny silnego nadwyrężenia kassy.

one ornamenta z pierwszej połowy ośmnastego stulecia. Tam to jak sam powiada, oddany sobie, bez przyjaciół, bez poparcia i doświadczenia, w kraju obcym, służąc obcemu narodowi, pośród całego tłumu oszustów, którzy we własnym interesie zachęcali go do pójścia ich torem, Rousseau, głuchy na wszelkie namowy, służył dobrze Francyi której nie był nic winien, a lepiej jeszcze ambasadorowi. „Bezemnie,—mówi Rousseau,—mieszkający w Wenecyi francuzi ani by wiedzieli że mają swojego ambasadora.“

Rousseau przybył do Wenecyi w końcu miesiąca kwietnia 1743 roku, a opuścił ją d. 22 kwietnia 1744 r. Bawił więc tam wszystkiego rok jeden a nie ośmnaście miesięcy jak to powiada w swoich *Confessions*.

Raporta *konfidentów* (szpiegów) specyalnie przeznaczonych do śledzenia zagranicznych ambasadorów co do ich stosunków i życia prywatnego, potwierdzają w zupełności to co Rousseau opowiada o dziwacznem usposobieniu, i uporze pana de Montaigu.

Powróciłem przez Rialto i la Merceria. W tej ludnej dzielnicy, co za ruch, hałas, jakie krzyki! Na Rialto gdzie się znajduje targ, sterczą całe góry pomarańcz i cytryn; w la Merceria, obok frytur których przeraźliwy zapach ściska przechodnia za gardło, stoją niezliczone szeregi koszyków z dymiącemi się kartoflami: dwa takie kartofle stanowią dla paupra weneckiego obiad. Wstrzemięźliwość tego ludu porównać jedy-

nie można z jego próżniactwem: w wielu dzielnicach oddalonych znaleźć można stare kobiety które nigdy nie widziały placu Ś-go Marka—było dla nich zadaleko, nie chciały się trudzić.

Cudzoziemiec przebiegający Wenecyę nie mało się dziwi spotykając co krok prawie ulice i uliczki noszące nazwę *ridotto*. *Ridotti* były to knajpy do których biegli młodzi panowie Wenecyi by tam noce całe i dnie spędzać namiętnie nad grą.

I damy uczęszczały do tych domów; za przebranie służyły im tylko maski; zapijały tam likiery i chłodniki, brały udział w kolacyjkach. Podczas karnawału każdy pan miał prawo trzymać na swoją rękę takie *ridotto*.

Pod względem architektonicznym, Wenecya stanowi jedno muzeum; różnorodność jej pałaców jest nieskończoną: tu oko biegnie za kapryśną linią sztuki byzantyjskiej, tam gubi się w labiryncie ornamentacyi wschodniej i maurytańskiej; ponad słupem rzymskim zaokrągla się łuk gotycki; często jest to mięszanina wszystkich stylów,—to zamięszanie, ten zbytek, nadmiar dekoracyj, tworzą razem coś niezwykłego co zarazem jest i wspaniałem.

Odbyłem klasyczną ekskursyę od Piazetty do Lido; w Lido niemiłe na mnie zrobiła wrażenie opłata jaką pobierają za prawo przypatrzenia się morzu z tarasu kąpieli. Szwajcarya nałożyła już taryfę na

swoje kaskady, oto i Wenecya morze pod taryfę podciąga!

Za moim powrotem, około czwartej godziny, esplanada Esclavonów pełna była słońca i jaskrawego tłumu który leniwie jako znudzone dziecko, tłoczył się naokoło wioślarzy, przekupniów, kolporterów i t. p.; dawniej spotkać tam było można nie jednego mnicha prawiącego kazanie pod otwartem niebem.

Zbiorowiska włoskiego ludu są bardzo hałaśliwe i wesołe; wszyscy jednocześnie rozprawiają, towarzyszą sobie gestykulacyą, śmiech brzmi w powietrzu dowcip kwitnie.

Na Piazeccie również jest ludno. Podczas zimy jest to miejsce spacerów, od czwartej do szóstej. Widziałem tam kilka kobiet bardzo pięknych, blondynki o czarnych oczach, nosie prawie greckim, zębach jak perły, różanych ustach; od czasu do czasu przesuwała się pomiędzy temi elegantkami jaka dziewczyna z ludu; szła szybko, nie patrząc na nikogo, z głową dumnie wzniesioną.

W ludzie nawet weneckim, uderza oko odrazu wielka czystość linij i regularność rysów; u kobiet np. po delikatności spojeń i wzniesionej piersi, której kontury wyraźnie się rysują pod koszulą i skrzyżowanym na niej czarnym szalem, poznaje się odrazu poprawną rasę—prawdziwe wzory weneckiej szkoły.

Ale idźmy do Kampanilu, bo dzień się już ma ku końcowi: na horyzoncie skupiają się już małe obłoki

blado-różowe. Słońce niezadługo zajdzie. Z platformy wieży, z której kiedyś głoszono wielkie czyny Wenecyi, oko może sięgnąć bez przeszkód i granic, do przeciwległych sobie wszystkich czterech punktów horyzontu. U nóg, miasto przedstawia widzowi nieopisany chaos: widzisz tysiące kominów, nieskończoną ilość linij, kątów, zagięć; dodawszy do tego gondole wyglądające na salamandry i ludzi podobnych do pełzających robaków, będziemy mieli obraz skończony.

Wenecya stoi na trzech wielkich wyspach i stu czterdziestu wysepkach, które rozdziela sto czterdzieści siedm kanałów; od stałego lądu miasto oddalone jest o trzy mile [1]. Po środku, dzieląc całą Wenecyę na dwie odrębne części, idzie wielki kanał wyrżnięty w kształcie S. Po za Lido, widzi się las masztów, ze strony przeciwnej wznoszą się opalowe szczyty Alpów. Na zachód, ponad bagniskami Brenty, słońce z wielką pompą i splendorem dokonywa swego odwrotu: dokoła roztacza promienie czerwonego światła jakby strumienie krwi. Jaskrawe to światło odbijając się w kanałach i lagunach, nadaje całemu pejzażowi afrykański charakter. Mewy wyglądają jak ibisy, drzewa pokrywają się złotą łuską, korona jodły zda się być dziką palmą. Można by uwierzyć, że się jest przeniesionym na inną zupełnie ziemię, na brzegi jakiego drugiego Nilu lub Gangesu; pomimo

---

[1]) Francuzkie.

woli szuka się oczyma czarnej sylwetki nosorożca i słoni przybyłych się poić, a ucho nasłuchuje, czy nie odezwie się gdzie głuchy ryk lwa.

Ale niedługo wszystko się zmieni: widoczna wibracja barw słabnie, gorąca jasność słońca stygnie, niebo zaczyna się już pokrywać cieniem. Ostatni błysk rozżarzył jeszcze laguny, i słońce znikło jako zatapiający się płomienisty okręt; a na przeciwległym krańcu, w tej samej chwili zjawił się księżyc i zapalił światłem srebrnej lampy.

* * *

Zeszedłszy na plac Ś-go Marka, grzmiącego od muzyki, spotkałem się z panem Céresole, który mnie przedstawił synowi Daniela Manin.

Giorgio Manin, generał narodowej gwardyi weneckiej, zajmuje się obecnie daleko więcej mechaniką i naukami ścisłemi niż sztuką militarną. Miasto, które ojcu jego wzniosło pomnik, jemu ofiarowało w darze dom, na pamiątkę roli jaką odegrał w roku 1848. A był on wtenczas prawie dzieckiem; ale rewolucya wenecka, ta wielka jakby ze świata starożytnego wyjęta epopea, maluczkich zamieniała na olbrzymów!

Daniel Manin w mowie jaką miał publicznie, zapłakał nad losem swej ojczyzny i ośmielił się wnieść petycję do cieszącego się już tylko pozorami życia

„Zgromadzenia Delibrującego“ zostawionego Wenecyi przez Austryę. Tego samego dnia aresztowano go i zamknięto w więzieniu. Było to hasłem do powstania. Lud zażądał by więźnia wypuszczono, gubernator odmówił: wówczas tłum, z dziećmi na czele, a pomiędzy temi znajdował się Giorgio Manin jako przywódzca, rzucił się na gmach więzienny, kraty połamał, drzwi powybijał; ale Manin nie chciał tej wolności przyniesionej mu przez rewolucyę. „Nie — rzekł do syna, — nie wyjdę ztąd; ja chcę aby sam rząd uznał nielegalność mojego uwięzienia.“

Nazajutrz, bardzo rano, zjawił się w celi Manina klucznik.

— Ubieraj się pan prędko,—rzekł;—jesteś pan wolny.

— Ale ja ztąd nie wyjdę inaczej jak tylko na mocy prawa, powiedziałem to już raz.

— Wyjdziesz pan właśnie na mocy rozkazu trybunału.

— A to co innego, — odpowiedział Manin; i ubrał się i wyszedł.

Wenecyę znalazł już całą wzburzoną; na ulicach między ludem i żołnierzami przychodziło co chwila do starć; w powietrzu czuć było zapach prochu.

Manin uorganizował gwardyę narodową, ale ta, gdy chwila stanowcza przyszła, nie chciała iść naprzód: „A więc ja,—zawołał Manin pociągając za

sobą syna,—sam pójdę! Ze stu robotników rzuciło się za nim; garstka ta zdobyła arsenał. Manin uzbroił lud i ogłosił niepodlcgłość Wenecyi.

Działo się to 22-go marca.

Austryacy wyszli z miasta a nazajutrz, na placu Ś-go Marka gwardya i naród okrzyknęli. Manina, prezydentem Rzeczypospolitej.

Na nieszczęście, Medyolan po rozbiciu Karola Al berta, wpadł napowrót w ręce austryackie; cesarskie wojska mogły lada chwila pomaszerować na Wenecyę. Potrzeba było uorganizować obronę: na miejsce dyktatury utworzono tryumvirat, w którym dano do pomocy Maningowi jednego wojskowego i jednego marynarza. Ale brakło najpotrzebniejszej rzeczy: nervus rerum — pieniędzy; austryacy co tylko było w kasach, pozabierali. Wówczas to patryotyzm ludzi bogatych okazał się w całej swojej pełni; patrycyusze wszyscy, jeden po drugim ponieśli swoje srebra do mennicy, a Manin chociaż był biedny, zrzekł się swojej pensyi.

Po abdykacyi Karola-Alberta, w przeddzień oblężenia, Manin zawezwał zgromadzenie do pałacu Dożów i stawił mu zapytanie:

— Czy chcecie się bronić?

— Chcemy! odpowiedziało Zgromadzenie jednym głosem.

— Do ostatka?

— Do ostatka.

I zgromadzenie zawotowało mu nieograniczoną władzę.

W kilka dni potem Radecki bombardował już Malgherę; „robota“ szła za wolno: 60 armat nie starczyło, postawili ich austryacy 150. Generał Ulloa dopiero wtenczas odstąpił od Malghery gdy ostatni jej dom runął. Wenecya nie miała już komunikacji z ziemią: zabrakło chleba; wenecyanie znosili głód mężnie, z rezygnacyą.

Jednego dnia bomba padła na prochownię, budynek wyleciał w powietrze, a dziesięciu ludzi śmiertelnie zostało pokaleczonych. Gdy tych co jeszcze żyli niesiono do szpitala, jeden z nich odezwał się: „To Maninowi zawdzięczam że za chwilę może umrę, kazał mi być żołnierzem... Ale to nic nie szkodzi, niech żyje Manin, niech żyją Włochy!“

Towarzysze nieszczęśliwego podnieśli głowy i powtórzyli chórem: Niech żyje Manin! Niech żyją Włochy!“ W okrzyku tym był entuzyazm nie do opisania.

W trakcie tego rosyanie przebyli Karpaty i wtargnęli do Węgier; Francya zamilkła: nie było już znikąd nadziei pomocy. Manin zawezwał ponownie Zgromadzenie i zapytał się: „Czy kapitulować?“ Zgromadzenie zawotowało porządek dzienny.

Nazajutrz o zmroku, grad bomb i rozpalonych kul spadł na Wenecyę; pomimo niebezpieczeństwa na jakie się nażał każdy kto na ulicę wychodził, co chwila miały miejsce wzruszające sceny poświęcenia i bezinteresowności. Dwie np. dzielnice ludowe, Castellani i Nicolotti rywalizowały z sobą wiecznie a nawet od wieków średnich żywiły dla siebie wzajem śmiertelną nienawiść.

Otóż, castellanowie dowiedziawszy się że nicolottowie więcej niż oni narażeni są na nieprzyjacielskie pociski, poszli ich zabrać do swoich domostw by ich swoim dachem zabezpieczyć od bombardowania.

Jedno złe nigdy nie przychodzi samo. Był już głód; przybyła i cholera. Manin z rozpaczą w duszy zawezwał potajemnie Zgromadzenie i ponowił zadane mu już raz pytanie; po długich debatach dano Maninowi pełnomocnictwo do działania. Tego samego wieczoru zamieścił on w „Gazecie Weneckiej“ artykuł, w który wlał całą swą duszę, i który się kończył temi słowami będącemi wieczną prawdą: „Pociechą naszą jest przekonanie, że tylko w sprawiedliwości może się począć trwały pokój, i wiara, że dla narodów męczeństwo jest takie odkupieniem!“

Dnia 11-go sierpnia, Manin rozpoczął negocyacye z ministrem austryjackim, 13-go pożegnał się z gwardyą narodową, a 27 wsiadł na statek francuzki wraz z rodziną i przyjaciółmi. Manin umarł w Paryżu 22 września 1857 r., na dwa lata przed spełnieniem

się jego proroctwa. Syn jego, Giorgio zamknął mu oczy. Wenecya zniszczyła Austryę; tak samo kiedyś Alzacya-Lotaryngya, owa Wenecya Zachodu, zniszczy Niemcy.

II.

Wyjazd z Wenecyi. — *Bora*. — Tryest. — Język i typy. — Rynek.— Tergesteo. — Katedra. — Teatr. — Niedziela w Tryeście.

Nieco przed północą gondola wysadziła mnie na pokład *Massimiliana*, który już gotów był do odpłynięcia i wyrzucał ze swej maszyny ogniste smugi światła. Dziwnego się zawsze doznaje uczucia, wsiadając w nocy na statek: ma się przed sobą tajemniczą ciszę, dokoła ciemność; imaginacya ma tu szerokie pole do gry. W całem tem otoczeniu cieniów i szmerów nocnych zda się widnieć duch zdrady.

Niebo zasiane miliardem gwiazd, jaśniało blaskiem migających w dali ogników. Przed sobą mieliśmy pałac Dożów, którego kamienne kwiaty zdawały się roztwierać swoje kielichy do księżyca; kopuły Ś-go Marka miały srebrne błyski, a żółty lew z wieży zegarowej odbijał się w groźnej postawie na oświeconej tarczy zegaru, jak by się szykował do walki.

Dzwon parowca odezwał się poraz ostatni; usłyszeliśmy natychmiast zgrzyt łańcuchów i kotwica była podniesioną, — statek ruszył.

Przepłynęliśmy koło zatopionego w śnie Murano, minęliśmy puste wybrzeże Lida; powietrze oziębiało się, morze zaczynało być niespokojne.

— *Un pocco di bora*,—rzekł do mnie sternik obok którego właśnie stałem.

Bora—dawniej Boreasz — i sirocco, są to dwie plagi Adryatyku. Bora jest to lodowy wiatr jak śnieżne szczyty gór z których zlatuje; sirocco jest za to ciepły jak oddech Wezuwiusza. Gdy sirocco wieje, żołądek nie jest w stanie przyjąć najmniejszego pożywienia, a restauracye w Tryeście puste są jak katakumby; gdy bora spadnie z gór, policya musi powyciągać wzdłuż ulic linki aby przechodnie mogli się na nogach utrzymać. W roku 1875, podobny wicher wyrzucił z szyn i powalił na ziemię cały pociąg kolei żelaznej w okolicy Fiume. Bora rodzi się na górze Nanos [1]) i na przebiegu 30 mil włoskich jest nawałnicą. Tryest leży właśnie w owym regionie, który się dopiero kończy na przylądku Salvatore. Dawniej bora wiał peryodycznie i nigdy nie trwał mniej jak dni siedm; poprzedzał go zawsze rodzaj wycia w górach, czerwonawa barwa morza i niezwykła jasność nieba. Dzisiaj straszny wicher ten trwa wszystkiego trzy dni, ale jest zato o wiele groźniejszym. Horacy

---

[1]) Nanos czyli Góra-Królewska (1,295 metrów) otrzymała tę nazwę od Alboina, króla lombardów, który na niej zatknął swój miecz na znak podboju. Góra Nanos wznosi się ponad platformą Corso gdzie się krzyżują z sobą drogi wiodące do Niemiec i Włoch.

nie bez przyczyny nazwał Adryatyk „niespokojnem morzem.“ Gdyśmy dopłynęli do samej już kończyny Lido, od małego domku zbudowanego nieopodal brzegu na polach, odbiła łódka; parowiec przystanął, a majtek do podpływającego czółna rzucił koniec linki. W tej chwili wyszli z dolnej kabiny gdzie grali dotąd w karty, towarzyszący nam od samego wyjazdu z Wenecyi strażnicy pograniczni i jeden po drugim spuścili się po sznurowej drabince do łódki. Wszyscy ci ludzie uzbrojeni byli w dubeltówki. Widziałem ich jak okręciwszy się płaszczami, pokładli się na dno swego małego statku, który niebawem zniknął pośród ciemności.

Pełne morze rozlewało się przed nami, — dzikie nieskończone; poruszało się w swojem łożysku z niesłychanym łoskotem. Na pieniące się fale, księżyc zsyłał blade swe światło; mogło się zdawać, że morze śniegiem jest pokryte.

Nie znam większej rozkoszy nad noc przepędzoną pod otwartem niebem, na pokładzie statku. Bora zaczął szaleć: otuliłem się w płaszcz i przyczepiłem do masztu; nie chciałem ustąpić.

Głos kapitana stanął moim zamiarom na przeszkodzie; kazano mi zejść na dół. Zły, zeszedłem po schodkach i położyłem się na dywanie jednej z kajut pierwszej klasy; wkrótce przecież przyznałem, że kapitan miał racyę: statek nasz zaczął wykonywać jakieś szalone skoki, jakby koń któryby się spinał i chciał

jeźdzca swego zrzucić; słychać było jak słupy wody rozbijały się z trzaskiem o ściany statku, a ryk szalejącego wichru zdawał się być wyciem całego stada wilków.

W końcu oswoiłem się z tą piekielną muzyką i zasnąłem tak jak bym się znajdował w loży Opery Wagnera w Beyreuth. Gdym się obudził, do mojej kajuty przedzierało się już siwawe światło dnia; wybiegłem na pomost: bora prawie już zupełnie opadł, słońce miało wschodzić, mogła być 6-ta godzina.

Na lewo zarysowywał się w niebieskawej mgle przylądek d'Istria, i widać już było choć nie wyraźnie dalmackie i styryjskie brzegi. W miarę posuwania się naprzód, brzegi przybierały coraz to wyraźniejsze kształty; powoli dostrzegaliśmy stopniowo to wierzchołek drzewa, to szczyt skały, ganek jakiej wieży, flagę wielkiego masztu, komin domu; w naszych oczach rodziła się ziemia, byliśmy świadkami tworzenia się obrazu, tak jak on powstaje w myśli i imaginacyi artysty.

Ale jakiemiż słowy opisać wspaniały widok miasta Tryestu wynurzającego się nagle pośród niebieskiego morza? Słońce rzuciło na jego ramiona purpurowy płaszcz, fala była mu lustrem do toalety rannej. Powietrze było ciche jakby burzy nie znało, a w morzu niebo tak wierne miało odbicie, że nam się zdawać mogło, że płyniemy pomiędzy dwoma firmamentami; zdala na lewo, świeżo spadły śnieg na szczyty gór wziąść było można za trzepoczące się stado gołębi.

Ze swemi ulicami w kształcie tarasów, obok grupp drzew oliwnych i cyprysów, ze starym poszczerbionym zamkiem, Tryest wygląda na oryentalny gród. Oświecony promieniami wschodzącego słońca, marmur jego pałaców przybiera żywe barwy, zda się żyć.

Na pomoście spotkałem się z młodym człowiekiem, któremu również jak i mnie dopiero się wąs puszczał; w chwili gdyśmy już mieli przybić do brzegu, zbliżyłem się i zapytałem go po niemiecku czy zna Tryest i czy może mi wskazać jaki hotel.

Odpowiedział mi niewyraźnie, jąkając się, że przebywa Adryatyk po raz pierwszy.

— Jesteś pan francuzem! — zawołałem z radością, której ukryć nie byłem w stanie. Akcent pański zdradził cię!

— Jestem z Paryża.

— A ja mieszkam na ulicy Vaugirard.

— To prawie sąsiadujemy z sobą.

— Wybornie! W takim razie pozwól pan, że mu zaproponuję przymierze zaczepno-odporne w celu zdobycia jakiego hotelu w Tryescie.

— Przyjmuję.

Statek przybił do brzegu; pasażerowie uszykowali się w jeden szereg, by być gotowymi do zejścia na ląd. Stanąłem i ja do szeregu z moim nowym towarzyszem, w rękach mieliśmy nasze laski i walizy. Przyszła nareszcie i na nas kolej; zaledwie znaleźliśmy

się na brzegu, gdy otoczyła nas odrazu cała zgraja gestykulujących jak wiatraki a wrzeszczących jak przy zaćmieniu słońca irokiezy, niesfornych *facchini'ch*, dopominających się gwałtem o nasze mantelzaki.

Szturm ten odparliśmy zwyciężko i zostaliśmy sami na wybrzeżu. Cóż kiedy niewiedzieliśmy gdzie się obrócić.

Gdyśmy tak stali, podszedł do nas jakiś człowiek w czapce z galonem i zaproponował nam zaprowadzić nas do „chambres garnies", domu bardzo przyzwoitego, położonego na głównym placu naprzeciw portu.

Poszliśmy za nim i nie pożałowaliśmy tego.

W dziesięć minut byliśmy już przebrani i wybiegliśmy na miasto, bez planu, bez celu.

Gdy się przybywa do Tryestu z Wenecyi można śmiało twierdzić że się jeszcze jest we Włoszech. Ulice wesołe i chałaśliwe pełne są życia. Typy są przeważnie włoskie. W kobietach łączy się gracya i wdzięk południowy z plastyczną pięknością Wschodu. Chodzą one z odkrytemi głowami i bogate również jak i ubogie, młode jak stare, wszystkie noszą włosy pudrowane jak dawne markizy.

Mowa jest ta sama co w Medyolanie, Padwie i Rzymie. Napróżno przemawialiśmy po niemiecku, nawet policyanci odpowiadali nam po włosku.

Na poczcie gdyśmy się nieco ździwili słysząc mowę Danta, stary jakiś oficer austryacki mruknął

pod nosem. „Oni doskonale umieją po niemiecku, udają tylko że nie umieją,—niechcą mówić!“

Tutejsze stronnictwo włoskie jest silne, ruchliwe żywotne; składają go lud i średnie mieszczaństwo. Wszystkie dzienniki z wyjątkiem „Gazety Tryesteńskiej“ która jest organem rządowym i nie posiada wcale prenumeratorów, prowadzą politykę włoską.

Najgroźniejszym tu jednak rywalem dla Austryi są Prusy które także chciwie patrzą na Tryest; posiadanie bowiem tego morskiego miasta oddałoby im morze Śródziemne i otworzyło drogę na Wschód.

Wyjdzie ztąd na przyszłość ważna bardzo kwestya do roztrzygnięcia; ciekawa też rzecz jak wtenczas ministrowie włoscy zapatrywać się będą na sympatye niemieckie. Może wówczas przypomną sobie na półwyspie że kiedyś Barbarussa zrównał z ziemią zbuntowany Medyolan, a Niemcy średniowieczne gniotły kolanem pierś Italii.

Co by się też stało z Austryą gdyby jej Tryest odebrano?

Odosobniona od reszty świata byłaby prawie uwięzioną pomiędzy Styryjskiemi Alpami a Karpatami.

Tryest jest oczywiście wielkim portem Dunaju.

Tryest podzielony jest na trzy dzielnice: na brzegu morskim jest miasto bogaczy, nagromadzone są tam pałace, pomniki, hotele, marmurowe fontanny, ogrody publiczne wiecznie zielone; jest tam Muzeum, teatr, Tergesteo. Część druga zwie się Corso, i przedstawia przemysł i handel; mieszczą się tam prawie same kantory, banki, wielkie domy handlowe; jest to także siedziba konsulatów.

Po za tą siecią magazynów, biur, sklepów i t. d. ciągną się dopiero cyrkuły zamieszkałe przez drobne mieszczaństwo i lud. Jest to prawdziwy labirynt drobnych uliczek i przesmyków, pośród których chodzić trzeba, również jak i w Wenecyi, *gęsiego*, to jest jeden za drugim. Możnaby pomyśleć że się jest w jakiem mieście arabskiem.

Od czasu do czasu otworzy się jakie okienko w górze, biała rączka odchyli różową firankę, a para czarnych ognistych oczu zatopi się w twej źrenicy:— Młody człowieku, nie lękaj się sztyletu enucha i śmiało idź szczęście zdobywać.

Była to sobota, dzień targowy: lepszej sposobności nie można było znaleźć do zrobienia przeglądu z kostiumów przybywających ze wszech stron wieśniaków.

Puściliśmy się więc w ślad za kilku chłopkami które objuczone koszykami jechały na małych osiełkach, pewni, że one nas dobrze poprowadzą.

Rzeczywiście, przybyliśmy na targ, odbywał się

on zaraz po za murami naszego hotelu. Widok jaki się tam przedstawił, był bardzo malowniczy.

Wystawcie sobie paryzki plac Chateau-d'Eau, pokryty cały różnokolorowemi barakami, zaimprowizowanemi stołami, niezliczonym szeregiem przenośnych wystawek ocienionych parasolami w których barwy niebieska, biała, zielona i żółta kłóciły się z sobą, i t. d. Tu sterczą całe góry marchwi, tam w kształcie piramidy ułożoną jest kapusta, dalej zielony szpinak tworzy najpiękniejsze gazony; rzodkiew sałata i szparagi rywalizują z sobą. A pomiędzy tem wszystkiem dopiero uwijały się wieśniaczki, tak różnorodnie postrojone że możnaby sądzić że to jest karnawałowa maskarada. Chłopki słowiańskie łatwo można rozróżnić: noszą one wysokie białe czepce, tak jak zakonnice, a rodzaj polonezy podbitej barankami z wierzchem czarnym w białe kwiaty, spada im poniżej kolana. Cera ich twarzy jest nieco oliwkowa, oczy słodkie jak u jagniąt, a włosy krucze. Na piersiach silnie wystających noszą w miejsce medalików, pieniążki z profilem Maryi-Teresy, a palce ich pokryte są srebrnemi pierścionkami.

Przy samem wyjściu do portu stoją rybacy z wysp Veglia, Cherso, Lussin i Sansego. Na wyspie Cherso jest jezioro Varna w którem poławiają się nadzwyczaj tu poszukiwane ryby wód słodkich. Fauna morska w zatoce tryesteńskiej jest nadzwyczaj bogata.

Powróciwszy do portu, spotkaliśmy gruppę lu-

dzi o kolosalnym wzroście i gęstą czupryną której sploty spadające aż poniżej ramion okalały im jak zawój czarną zupełnie od węgla twarz. Kapelusz o szerokim rondzie zakrywał im oczy, ubrani byli w obcisłe spodnie wełniane, kiedyś białe, w miejsce butów mieli rodzaj podeszew przytwierdzonych do nogi powrózkami. Ludzie ci pochodzą z istryjskich gór i co tydzień przychodzą do Tryestu bandami jak cyganie z żonami i dziećmi, z ładunkiem węgla który wyrabiają w swoich lasach. Jest to ich specyalność. Jest to rodzaj dzikich ludzi, znani są tu pod nazwą „Zichi“.

Lasy na górach które się stykają z Tryestem były kiedyś tak gęste, że jak mówiła tradycya można się było dostać z Duino do Bisovizza „idąc po wierzchołkach drzew“. Pośród resztek tych dziewiczych zastępów „zichowie“ żyją w stanie pierwotnych ludów. Ich żony za całe ubranie noszą grube zgrzebłe koszule, a gdy nastają zimna wkładają jeszcze na siebie rodzaj opończy z ciemnego sukna, które przepasują rzemieniem. Zichowie, jak powiada pan Mommsen który ich studyował, są ostatnimi potomkami rzymskiej kolonii. Mowę ich stanowi mięszanina zepsutej łaciny i włoskiego języka.

Po drodze natrafiliśmy na Tergesteo, i weszliśmy doń. Jest to przepyszny gmach upiększony amblematami Handlu, Przemysłu i Nawigacyi; znajdują się w nim biura wszystkich trzech sekcyj austryackiego

Lloyda: sekcya ubezpieczeń, nawigacyi i sekcya artystyczno literacka która obejmuje zarazem typografię, kartografię i fotografię. W drukarni Lloyda drukują się trzy gazety codzienne i jeden tygodnik grecki HMEPA (Dzień).

Parter gmachu przedstawiający olbrzymią galeryę oszkloną w kształcie krzyża, jest miejscem zebrania kupców i przemysłowców którzy odbywają tam zacięte walki o bawełnę i cukier.

Na prawo mieszczą się czytelnie; znalazłem w nich ze dwadzieścia francuzkich dzienników; obok zaraz znajduje się elegancka kawiarnia w której co dzień widzieć można fanoriotów ubranych w krótkie spencerki i szerokie białe spodnie, armeńczyków z futrzanemi czapkami na głowie, albańczyków uzbrojonych w noże, turków w turbanach i owiniętych szerokiemi pasami. Kawiarnia ta przedstawia widok nadzwyczaj oryginalny.

Port tryesteński do którego podążyliśmy następnie dla wypalenia papierosa skręconego z pewnego rodzaju jasnego mchu wonnego, który nazywają tu tytoniem wschodnim, nie ma w sobie nic z tego gorączkowego ruchu jaki panuje w portach dajmy na to Marsylii lub Hamburga.

Pięć czy sześć okrętów spoczywało na kotwicy, a na kamiennych płytach wybrzeża, leżąc plecami do góry, grało w karty kilku greckich majtków, podczas gdy opodal, gruby turek o nieskończenie szero-

kich spodniach i sandałach, przesuwając na sznurku paciorki, znaczył ilość koszyków z figami jakie służba jego statku wyładowywała na brzeg i pakowała zaraz gniotąc je bosemi nogami, do beczułek przeznaczonych dla restauracyi wiedeńskich.

Ja zupełnie inaczej przedstawiałem sobie Tryest: w dzielnicach portu spodziewałem się widzieć ulice ożywione, pełne ruchu i wrzasku; w wyobraźni mojej widziałem tam stare okopcone piwnice i tunele, oberże pełne rybaków i marynarzy, słyszałem grzmiące pieśni morskie i szczęk noży, umizgi „wilków morskich" do grubych i „ciętych w gębie" bogiń; powietrze powinno tam być przesycone wonią „ginu" i dziegciu.

Tymczasem z tego wszystkiego nie słyszałem i nie widziałem nic.

Poszliśmy dalej. Po jakiej półgodzinie poszukiwań, natrafiliśmy nareszcie na widok przerywający ogólną portu monotonyę: był to mały kanał, wpływający do miasta; po obu jego brzegach stały uszykowane w dwa rzędy statki, nad kanałem wznosił się żelazny na czerwono pomalowany most, w głębi w dalekiej perspektywie widać było kościół św. Antoniego z kopułą o dwóch krzyżach. Jest to jedna z najpiękniejszych świątyń Tryestu; jej fronton zdobny posągami i portyk opierający się kolumnadzie w stylu doryckim, są zachwycające.

Gdyśmy tak stali lubując się tym widokiem, na-

gle rozległ się wystrzał armatni, a tysiączne echa poniosły go aż w wąwozy Karzu.

Na to hasło, od razu wszyscy robotnicy pracujący do koła nas, zatrzymali się i co kto miał w ręku, oskard czy łopadkę, każdy na ziemię rzucił.

— Co znaczy ten strzał? — zapytałem majtka który obok mnie przechodził.

— A to z latarni morskiej, proszę pana.

— Z latarni morskiej? — powtórzyłem prawie przestraszony.

— O niech się pan uspokoi; żaden statek w niebezpieczeństwie się nie znajduje; to tylko dają nam znać że południe, godzina obiadu i syesty.

— Armata z Palais-Royal, na skałach Istryi! — mruknął mój towarzysz głosem rozczarowania.

Ponieważ znajdowaliśmy się niedaleko pewnej restauracyi którą poleca przewodnik Baedeckera, poszliśmy za przykładem tryesteńczyków i udaliśmy się na obiad.

Osteria a'l' Adriatico składa się cała z jednej nizkiej, dużej sali która służy odrazu za kuchnię, piwnicę, spiżarnię i salę jadalną. Zaraz obok drzwi, na długim bufecie porozkładane są salaterki z zimnemi mięsami, kotletami, surowym befsztykiem, rybami, homarami, sałatą i innemi jarzynami, a po nad tem wszystkiem królują na wysokich podstawach koszyki w których nagromadzone są pomarańcze, figi i różnego rodzaju deserowe bakalie.

Kazaliśmy sobie podać garsonowi *scampi*, owe przewyborne raki które nie będąc tak duże jak homary są o wiele od nich lepsze i które poławiają się na wodach wysp Balearskich; potem zjedliśmy porcyę ryb morskich zwanych *bronzini*, parę kotletów i talerz różowej sałaty. Przed tym obiadem a raczej śniadaniem jeszcze, skonsumowaliśmy kilka dużych czarnych śliwek, o przepysznym smaku, popijając je winem *istriano*, gęstym jak atrament a lepkim jak miód. Kto chce jednak lepszego pokosztować wina, owego sławnego wina opiewanego już przez rzymskich poetów za czasów Augusta, niech zażąda butelkę *refosco*. Horacy, jak powiadają, raczył niem Lydyę.

Gdyby winnice Istryi i Dalmacyi uprawniane były z większą starannością a mniejszem próżniactwem, wydawałyby wina ktoreby mogły rywalizować z wielkiemi winami Francyi. W prowincyach tych znajdują się jeszcze całe obszary gruntu zupełnie nie uprawiane; zresztą w całem państwie austro-węgierskiem obliczają na pięć procent grunta ugurowe.

W traktyerni obok naszego stołu siedziało kilku oficerów austryackich, o długich żółtych faworytach i zajadali cielęcą pieczeń z przysmażonemi kartoflami, a w rogu jakiś syn wielkiego Proroka, z podartemi na nogach sandałami, ograniczał swój apetyt na plastrze wołowiny z konfiturami.

Pomiędzy stołami uwijała się cała zgraja uliczników z koszami olbrzymich jak kopyta końskie ostryg

a kilku żydków ubranych w długie zatłuszczone surduty, częstowało gości szelkami, zapałkami, „pachnącem" mydłem i biletami na loteryę.

Wyszedłszy z austeryi, poszliśmy do katedry stojącej na pagórku u stóp którego roztacza się stare miasto; kiedyś na tem samem miejscu wznosiła się świątynia bożka Kapitolu.

Tryest egzystował już nim rzymianie zdobyli istryjskie brzegi. Z pochodzenia trakowie, mieszkańcy tych brzegów byli z powołania piratami, i plądrowali Adryatyk, tak jak dzisiaj prusacy plądrują kraje niemieckie.

Rzymianie zredukowali Tryest do stanu jedynie fortecy której przeznaczeniem było zasłaniać Aquileum, nowe miasto które sami wznieśli. Ale nadszedł Atylla, nowe miasto zburzył a Tryest oszczędził.

Przeszedłszy panowanie franków, potem rządy patryarchów, Istrya zapragnęła być respubliką. Po roku Tryest podzielony już był na dwa obozy, mordowano się na ulicach, zwalano domy, nóż i pochodnie królowały; aby koniec położyć temu wszystkiemu, zrzeczono się rzeczypospolitej i musiano powrócić do starego porządku rzeczy. W sto lat później, Tryest sam oddawał się dobrowolnie w ręce Austryi. W owej to epoce tryesteńczycy, aby zmusić, wszystkich kupców Istryj i sąsiednich krajów do kierowania się na Tryest, zakupili Castelnuov. Ale Wenecya oswiadczyła że nie może tolerować by przeszka-

dzano jej handlowi, i wypowiedziała wojnę. Nie przyszło jednak do krwawych starć, bo Pius II, niegdyś biskup tryesteński, stanął jako rozjemca i wyjednał pokój za cenę odstępstwa Castelnuov i uznanie wolnego przejścia przez przesmyki. To wszystko jednak Wenecyę jeszcze nie zadowolniło; szybki wzrost Tryestu, był jej solą w oku: po wojnie Uskoków, w roku 1617, flota wenecka zapanowała nad całem morzem i sparaliżowała zupełnie życie Tryestu którego ludność w krótkim bardzo czasie spadła do 3,000 dusz.

Za Maryi-Teresy port znajdował się już w stanie prawie zupełnego zniszczenia. Tam gdzie niegdyś stały domy, świeciły puste place. Przez obdarzenie Tryestu zupełną swobodą handlu, zrzeczenie się trzymania w jego porcie kosztownej wojennej floty i mianowanie jako władzę jednego tylko gubernatora dla rządzenia interesami gminy, wielka cesarzowa podniosła to miasto z upadku. Dzisiaj Tryest z przedmieściami liczy 120,000 mieszkańców, których składają włosi, niemcy, grecy, anglicy, armeńczycy i amerykanie; w ciągu roku przeszło 15,000 statków wartości mniej więcej miliona tonn gości w jego przystani.

Katedra tryesteńska jest najstarszą świątynią z całej monarchii austryackiej. Datuje z szóstego wieku. Minister policyi Napoleona I, Fonché, zwic-

dział ją w towarzystwie dwóch ciotek Ludwika XVI, księżniczek Adelaidy i Wiktoryi.

Z katedry udaliśmy się do zamku, w którym francuzi w roku 1813 tak dzielnie oparli się bombardowaniu z dwóch stron anglików i austryaków. Zamek ten wznieśli wenecyanie, otoczony on jest czterema bastionami i panuje nad całem miastem i morzem.

Na prawo, Miramar samotny i smutny jak mozoleum, rysował swoje gotyckie wierzyczki na fioletowym tle horyzontu. Na lewo, brzegi Istryi ginęły gdzieś daleko w jaskrawej mgle, Na tej gościnnej ziemi żyje 375,000 słowian i 187,000 włochów.

Nie można było lepiej zakończyć dnia, jak pójść do wielkiego teatru, nie tyle aby tam słuchać Afrykanki którą właśnie przedstawiano, ile dla przyjrzenia się publiczności. Spóźniliśmy się nieco, ale ciekawość nasza w zupełności zaspokojoną została. Z początku myśleliśmy że to jakie galowe przedstawienie. W obszernych i zbytkownie przybranych łożach, pod jarzącem światłem kryształowego pająka, damy jaśniały jak księżniczki z zaczarowanych bajek. Paryż podczas najpompatyczniejszych wieczorów nigdy nic podobnego nie widział. Na śnieżnej białości ramiona spadały zwoje przesianych brylantami włosów, pierś alabastrowa falowała pod przezroczystą koronką, na obnażonych rękach arystykratycznej

piękności, zwijały się jakby węże, sploty rubinów i topazów.

Blask karnacyj byłby doprowadził do rozpaczy samego Tycyana.

Naprzeciwko ujrzeliśmy młodą dziewicę mającą może lat dziewietnaście, ubraną w srebrną gazę, z perłami na szyi i czerwoną kamelią we włosach; przyszły nam zaraz na myśl głowy starożytnych kamei, o przedwcześnie lubieżnej szyi. Była bladą tą bladością kości słoniowej którą gorące słońce Wschodu zda się ogrzało swemi pocałunkami, jej duże czarne omdlewające oczy przedłużało jeszcze lekkie dotknięcie ołówka, jej nos prosty, nieco może zaduży, ale bardzo delikatnych linij, zwiastował wolę, zapał, ciekawość Pandory w obce puszki i ciekawość Ewy na widok jabłka; z jej ust pełnych, rozkwitłych jak czerwone róże, spadały niewidzialne pocałunki. Widocznie światło luster i gorąca atmosfera duetów Romea i Julii, przyśpieszyły rozkwit tego młodego kwiatu. Siedząc, miała opieszałą pozę anioła którego dziewicza zorza raju już zaczyna nudzić.

Obok tych świetnie postrojonych kobiet, nowoczesnych Dyan i Kleopatr, mężczyźni wydali mi się niezgrabni, pospolici, podobni do worków nabitych talarami, z czarnym frakiem na wierzchu. Dla tryesteńczyka kobieta nie jest niczem innem jak tylko zaspokojeniem uczucia próżności, jest to przed

miot pychy i zbytku, tak samo jak willa, koń, lub obraz z galeryi mistrza. Jest to żyjący szyld kantoru bankierskiego, publiczna gwarancya wypłacalności.

Nazajutrz,— w niedzielę,— znalazłem wszystkie te elegantki z lóż, na Piazza, gdzie od godziny jedenastej gra wojskowa muzyka. Przybyły wszystkie w powozach i wysiadły w pośród tłoczącego się tłumu który ciekawie się przypatrywał długim trenom ich sukien, zamiatającym jak pawie, kamienną posadzkę placu.

Kilka z pomiędzy nich ubrane były w rodzaj kurtek wyszywanych złotem a miały na głowie huzarskie kołpaki z kitą. Żydówki których kibicie przypominały raczej wierzę Babel niźli cedry Libanu, przechadzały się pompatycznie z miną zapożyczoną od królowej Saby: wszystkie klejnoty pozastawiane u ich mężów wisiały im na wystającym torsie, bez ładu, szyku, poplątane z sobą.

Pośród wszystkich tych sukien zielonych, niebieskich, żółtych, pąsowych, czarnych, białych i t. d., wesołe i śmiejące się jak słońce, gryzetki Adryatyku, zgrabne *sartorelle* przesuwały się na paluszkach, po dwie, pod rękę, z upudrowanemi główkami jak małe królewne z opery komicznej; gdy myzyka przestała grać słychać było ich radosne szczebiotanie.

Te tak różnorodne mody, te szepty, szelest jedwabiu ocierającego się o perkalik, trzepotanie wach-

larzy nad odkrytą piersią, wszystko to nadawało Piazzie pozór balu maskowego pod otwartem niebem.

Aby dobrze poznać charakter i zwyczaje Tryestu, trzeba go zwiedzać koniecznie w niedzielę; ale jeden tylko ołówek Grevina lub Dorego jest w stanie wiernie odtworzyć ten ruch, wesołość, życie tych grupp które biegną po Corso, spacerują w porcie, uwijają się jak motyle około kawiarni. Wszyscy ubrani są starannie: u najbiedniejszego trzewik świeci się w niedzielę, jak lustro. Każda kobieta musi mieć we włosach kamelię, młody człowiek, ma zatkięty w surducie bukiecik fiołków.

Sklepy wszystkie są hermetycznie pozamykane, a dziewczęta wychodzące z kościołów są świeże i piękne jak Małgorzata Ghoetego. Na rogach ulic sadowią się co niedziela przekupnie świec woskowych i wołają w niebogłosy, bijąc po stoliku pałeczką. „La Madonna! la Madonna! nie zapominajcie o Madonnie!“ Dobre kobieciny i dewotki, wchodząc do kościoła muszą koniecznie trzymać w ręku zapaloną świecę. Ten zbytek światła tworzy we wnętrzu każdego kościoła jedną olbrzymią masę ognia. Po skończonej mszy, znający się na rzeczy zakrystyan zbiera na olbrzymią tacę pozostałe niedopalone kawałki tych świec.

O godzinie czwartej znajduje się znów cały Tryest na San-Carlo. W tych krainach ukochanych od słońca, życie domowe jest prawie nieznane. Mało jest

domów w których się znajduje komfort, mieszkania są niewygodne, bogaci nawet nie robią zbytków w meblowaniu swych apartamentów; każdy posiada tylko niezbędne do użytku codziennego sprzęty.

I rzeczywiście, cóż po dywanach i miękkich wezgłowiach, tam gdy się ma tak pachnące gazony, ławki darniowe po ogrodach? Po co kotary u okien i drzwi, tam gdzie słońce, jako nowy Jowisz, rozrzuca pełną garścią złoto swych promieni?...

III.

Miramar.— Maksymilian i Karolina. — Gabinet Maksymiliana. — Podróż do Meksyku. — Bazaine i Maksymilian.— Dramat.

Miramar znajduje się o jedną milę od Tryestu. Droga która doń prowadzi jest zachwycająca: idzie się wzdłuż morza, po brzegu spadzistym i nierównym, wchodzącym to dalego w morze, to nagle urwanym w spienionej małej zatoce.

Gdy Adryatyk nie grzmi gniewem piekła, potulny jest jak dziewczę, wodę ma przezroczą, niebieską, oddech świeży, i prowadzi jakieś czułe szepty. Nad nami wisiały girlandy latających mew, a na szerokiem morzu przesuwały się zdala jakby cienie, statki o rozpiętych żaglach. Nieco bliżej brzegu lawirowały czółna z których kilka miało czerwone żagle; spra-

wiało to dziwny efekt pośród ogólnej harmonii tonów białych i szarych.

Wzdłuż brzegu stoi mnóstwo prześlicznych willi. Ich eleganckie fasady i ganki pokryte roślinnością zdają się być wiszącemi ogrodami pośród których wznoszą się roje jaskrawych motyli, przywabionych tam blaskiem i wonią kwiatów.

Przy skręcie drogi, na bardzo malowniczym pagórku, spostrzega się zamek Miramar; jego żłobione wieżyce o ciężkiej masyw architekturze, wznoszą się nad morzem dumnie i jakby z pozorem melancholii.

Nikt nigdy nie opowiadał historyi tego zamku, przecież zasługuje on na uwagę; ponieważ ja niektóre szczegóły o nim posiadam od przyjaciela z lat dziecinnych, Maksymiliana, przeto zdaje mi się że nie od rzeczy będzie gdy je tu powtórzę.

W r. 1856 młody arcyksiążę był głównodowodzącym marynarki austryackiej, którą przygotowywał do zwycięztw; nie myślał wówczas wcale o Miramorze, a tem mniej się spodziewał być kiedyś gubernatorem prowincyj lombardzkich; podróżował już po Grecyi i Azyi Mniejszej, zwiedził Hiszpanię, Portugalię, i Sycylię; widział Wschód i Ziemię-Świętą. Kochał on morze miłością marynarza i rezydencyę swoją obrał w Tryeście; często pośród najgwałtowniejszej burzy wsiadał sam jeden do czółna i szedł w zapasy z rozchukaną falą.

Pewnego dnia, gdy *bora* był silniejszy niż zwykle, czółno Maksymiliana zostało porwane i wiatr go uniósł aż po za przylądek Grignano. Tam, żadnego wiatru; woda była czysta i spokojna jak na jeziorze. Arcyksiążę przybił do brzegu i znalazł pozycyę tak przyjazną, widok tak piękny, że postanowił tam wybudować rybacki domek. Z powrotem do domu zakupił ów grunt i z razu zaczął tam próbować kultury roślin egzotycznych, nie przewidując wcale jaką w tej ziemi wystawionej na pełne południe, znajdzie płodność i bogactwo.

Roku następnego, ożenił się Maksymilian z córką króla belgijskiego; puzderko jakie ta księżniczka, przyniosła mu w posagu, zamieniło domek rybacki w przepyszny pałac, godny króla.

W owej epoce Maksymilian oddawał się z zapałem architekturze; jemu to zawdzięcza Wiedeń posiadanie ślicznego kościoła Wotywy, owego klejnotu sztuki budownictwa. Plany Miramaru on również sam kreślił. Roboty postępowały szybko, ale gdy w roku 1858, musiał opuścić Lombardyę, był wykończony dopiero domek wiejski który stoi na samym szczycie wzgórza. Zamieszkał tam wraz z żoną i tak się rozkochał w swojej „chałupce" że gdy już zamek był skończony, nie chciał się wcale wyprowadzać.

Bo też rzeczywiście można było ową chałupkę pokochać. Wystawcie sobie duży szalet otapetowany powojem i winnym liściem, otoczony do koła klom-

mi kamelij i róż. Jakże życie płynąć musiało słodko w tem zachwycającem ustroniu, pośród kwiatów i śpiewu ptasząt, w tem gniazdku żywej zieloności, z pięknym błękitem nieba po nad głową! Wszystko tam szeptało słowa miłości: słowik, co pod oknem słał sobie gniazdko, kwiat przesyłający słońcu swe uśmiechy, morze, falujące pod spojrzeniem gwiazd, i ten ciepły wietrzyk co szemrze pośród liści i podczas pięknych nocy każe wierzyć że i drzewa mają swoją mowę, że ich konary i gałęzie splatają się w tajemniczym uścisku.

Wszystko, co tylko wystarcza do szczęścia, znalazł Maksymilian w tem schronieniu. Książe był wspaniałomyślny i lubiał się otaczać artystami, literatami i uczonymi, którzy byli dla niego przedmiotem wielkich atencyj; nie zapominał on również i o małych podarunkach, które nie mało przyczyniają się do podtrzymania przyjaźni.

Ah! gdyby te szpalery mogły mówić, gdyby te drzewa były w stanie powtórzyć to co słyszały, — wniknęlibyśmy aż do najskrytszych tajników tej duszy i widzielibyśmy jak piękne i wielkie były projekta i ideje, które tam się rodziły.

Maksymilian był przedewszystkiem człowiekiem serca; w całych prowincyach lombardzkich, któremi administrował jako prawdziwy ojciec i przyjaciel, pamięć jego jest przedmiotem wielkiej czci; a w owym Meksyku, dla którego nie chciał być królem-zdobyw-

cą, każdy indyanin z okolic Queratero nie postawi inaczej chaty, jak kładąc w podwaliny jeden kamień — jako talizman — z pagórka, na którym nieszczęśliwy książe został rozstrzelany. Kiedy zwłoki jego przywieziono do Tryestu, nie do opisania działy się w mieście sceny wzruszenia: wszystkie sklepy zostały pozamykane, roboty przerwano; ulice pełne były ludzi w żałobie i płaczących kobiet. Przez długie lata, w niższych klasach ludności słowiańskiej nie chciano wierzyć w jego śmierć. „Powróci jeszcze! — mówili — powróci.“

Gdy się pomyśli, jakie to szczęśliwe życie mogli oni tu pędzić, gdy się cofnie w przeszłość, i powie: jego już nie ma i ona umarła, chociaż żywa, — nieopisany smutek ściśnie ci serce i drżącą ręką otwierasz kratę wchodząc do zamku.

Nie podobna jest przechadzać się po tych ogrodach, żeby ci nie stawały przed oczy sceny szczęścia; w tych aleach o tajemniczych zielonych blaskach, imaginacya zda się jeszcze widzieć znikającą na zakręcie ścieżki, parę zakochanych małżonków.

Jest to raj utracony; i w nim to Ewa pierwsza zgrzeszyła: wąż pychy zwrócił się najprzód do kobiety która jabłko wzięła, ugryzła i dała następnie mężowi. W główce młodej arcyksiężniczki roiły się oddawna sny i marzenia „koronowane.“

W strasznym dramacie meksykańskim, przyszli historycy szukać będą kobiety.

Ale wejdźmy już do tego zamku, na który w Wiedniu tak zazdrosnem patrzano okiem, tembardziej że Maksymilian najpopularniejszym był człowiekiem z całej monarchii.

Drzwi są otwarte; nikt się ciebie nie zapyta o nazwisko, coś za jeden; ludzie tu chodzą jak do miejsca świętego.

W sieni, opartych o ścianę, stoi dwanaście halabard, jest to znak że się jest w domu księcia krwi; już z samej natury mało wojowniczy pozór tej broni paradowej, łagodzi jeszcze sąsiedztwo marmurowego basenu w którym piją wodę dwie turkawki o rozpostartych skrzydełkach. Z okna w głębi widzi się całą zatokę Tryestu. Przepyszny to widok.

Drzwi gabinetu i sypialni otwierają się wprost do przedsionka; dwa te pokoje są wierną reprodukcyą kajut, które Maksymilian zajmował na fregacie „Nawarze“ podczas swojej podróży naokoło świata. Na biurku w gabinecie stoi portret miniaturowy cesarzowej Karoliny. W bibliotece przeważają głównie książki naukowe, historyczne i dzieła traktujące o podróżach i wynalazkach; mając lat ośmnaście Maksymilian mówił już po francuzku, angielsku, włosku, hiszpańsku, węgiersku, słowiańsku, grecku i po łacinie. Popiersia Danta, Geothego, Schakespeara i Homera stoją wzdłuż ścian tego pokoju o surowym lecz zarazem i eleganckim stylu. W tym gabinecie, patrząc na morze, którego lubiał nieskończoność, Ma-

ksymilian napisał swoje cztery tomy „pamiętników, szkiców z podróży, aforyzmów i poezyj.“ Nie wiem czy by można lepsze obrać miejsce nad ten pokój, dla pracy i marzeń, myśli i zapomnienia.

To też inspiracya była tam zawsze szczęśliwą, i Niemcy przyznały jednogłośnie arcyksięciu koronę poety-króla, daleko trwalszą i lżejszą od korony króla-poety.

Maksymilian posiadał wielki talent opisowy; umiał obserwować i pisał pięknie. Dam wam zaraz tego przykład: oto rada jaką daje turystom którzy podobnie jak on szukają w podróżach wrażeń: „Ludzie co podróżujecie, nim waz zawiozą do jakiego miasta, czy chcecie wiedzieć co ono za jedno? Jeżeli ujrzycie zdala wysokie wieżyce, błyszczące kopuły, to dobrze, jedźcie śmiało naprzód; znajdziecie tam piękne pomniki, wielkie pamiątki. Ale jeżeli oko wasze nie zobaczy nic co by się wznosiło po nad geometrycznie przeprowadzoną linię dachów, wstrzymajcie się, bo tam są tylko ulice i kamienice, tam panują bawełna i cukier, sztuczne konserwy i solone mięso. Jeżeli zdaleka uderzy was widok gruppy olbrzymich kominów, uciekajcie jakby przed wiatrakami, bo ze wszystkich miast, fabryczne są najnudniejsze; zabijają umysł i serce, zamieniają człowieka w maszynę.“

Maksymilian uwielbiał Włochy, Neapol był dla niego „kawałkiem raju spadłego z nieba“; opisał to

miasto piórem serafina, umaczanem w złocie jakiej gwiazdy.

W sali zamkowej imponują portrety cesarza i cesarzowej Austryi. W sypialni wiszą portrety Napoleona III i Eugenii. Kaplica zbudowaną jest na wzór świętej kaplicy jerozolimskiej.

Pierwsze piętro zajmuje całą kollekcyę starych obrazów i portretów. W pokoju zwanym cesarskim, Pius IX ustawiony jest naprzeciwko królowej Izabelli. Znajduje się tam także jeden obraz Rafaela i biurko Maryi-Antoniny, z różanego drzewa.

Sala audyencyonalna zawiera malowidła skreślające historyę Miramaru: Przybycie rzymian, przyjęcie Leopolda I-go w Tryeście, przybycie przed Maksymiliana meksykańskiej deputacyi — i odjazd jego do Meksyku. Na wzór cesarskiego pałacu w Wiedniu, zamek Miramar ma swoją salę tronową.

Schody w guście niemieckiego gotyku, są z rzeźbionego drzewa, z dwoma szeregami figur przedstawiających rycerzy, z kandelabrami w dłoniach. Ściany pokryte są trofeami indyjskiemi, przywiezionemi z Archipelagu.

Maksymilian kochał naturę z namiętnością Jana Jakóba Rousseau; w roślinach i trawkach widział nieco więcej nad rumianek, rozkoszował się ich barwą, kształtem, zapachem; uprawiał je jako człowiek gustu i artysta; opisywał jak poeta. Miramar otoczony jest roślinnością do zbytku; na skałach nawet jaśnieje

blaskami zwrotnikowego słońca, zaaklimatyzowana wegetacya Południa i Wschodu. Z wyżyn tarasów oko błądzi po gajach dzikich daktylów, kokosów, afrykańskich sosen, kaktusów i fig, tu i owdzie wysoka palma przypomina Pawła i Wirginię; klomby kwiatowe mieszczą w sobie takie bogactwo tonów, że zdawałoby się że tam są rozsiane drogie kamienie; pośród tarasów błyszczą jak zwierciadła, sadzawki, nad morzem są altanki i groty, pod szpalerami, tu i owdzie świeci białością swego marmuru, świat mitologiczny.

Maksymilian tak kochał swój Miramar że nazywał go zaczarowanem schronieniem księcia z Tysiąca i jednej Nocy. To też na tamtym świecie, jeżeli tych co niesprawiedliwie cierpieli czeka jaka nagroda, to musi mu być pozwolonem odwiedzić od czasu do czasu te ścieżki i szpalery, te gaje i kwiaty które wyhodował, i szukać pośród nich śladu biednej Ofelii.

W meksyku, jedyne dlań chwile rekreacyi, były te które poświęcał Miramarowi: dyrygował dawną swoją rezydencyą tak, jakby co chwila miał do niej powrócić; nie było kuryera jadącego do Europy, by nie wiózł z sobą rozkazów i instrukcyj aby w tym lub owym klombie tak a tak zasadzono lub zmieniono kwiaty, tu zmieniono meble, tam coś dodano, naprawiono. Miramar był dla Maksymiliana fujarką i kapeluszem pastuszka z bajki, którego królem zrobiono.

Dnia 10 kwietnia 1864 r. przybyła do Miramaru deputacya meksykańska by ofiarować Maksymilianowi koronę Meksyku.

„Przychodzimy, rzekł don Gutierrez de Estada, prosić Was byście wstąpili na tron Meksyku, na który powołują Was życzenia całego kraju od tak dawna niszczonego wojną: Posiadacie własność zdobywania serc i trudną naukę rządzenia...“

Maksymilian odpowiedział że przystaje na wezwanie meksykańczyków, i że rządy jego będą liberalne i konstytucyjne. „Pokażę, – rzekł,—że wolność może iść w parze z porządkiem; szanować będę wolność i uszanować każę porządek.“

Don Gutierres podziękował arcyksięciu w imieniu narodu meksykańskiego, poczem nowy cesarz poprzysiągł na Ewangelię że pracować będzie dla szczęścia i pomyślności swego ludu, i bronić będzie niepodległości narodowej.

Z kolei, i Don Gutierres złożył w imieniu Meksyku, przysięgę wierności cesarzowi; po odbyciu dwóch tych aktów, Maksymilian pocałował ambasadora i zawiesił na jego szyi order Gwadalupy, który z powodu tej okazyi ufundował.

W trzy dni potem, cesarska para opuszczała austryacką ziemię. Od samego już rana, w porcie Tryestu i na drodze do Miramaru panowało niezwykłe ożywienie. Ze wszystkich stron królestwa

przybiegły tłumy by się pożegnać z najulubieńszym z arcyksiążąt.

Novara i francuzka fregata *Themis*, czekały w przystani, obok tych statków bujało się na kotwicy pięć parowców Lloyda austryackiego, przepełnionych widzami.

O godzinie pierwszej po południu, cesarz prowadząc swoje żonę pod rękę, i ubrany już po podróżnemu, wszedł do salonów gdzie nań czekało ze dwadzieścia deputacyj z adresami pożegnalnemi; Maksymilian widocznie był wzruszony; kiedy burmistrz Tryestu wyraził mu żal jaki z powodu jego odjazdu odczuwa cała ludność, książe nie mógł się powstrzymać od łez, ucałował burmistrza, uścisnął za ręce wszystkich obecnych, i szepnął pół-głosem: „Ach! ja przeczuwam że tego kraju juz więcej nie ujrzę!“

Ta poetycka i rycerska natura przystępną była do najdziwniejszych przeczuć. Złowrogie myśli owładnęły nagle jego duszą i oblekły ją w nieskończony smutek. W jego „dzienniku podróży“ pełno jest melancholicznych uwag: „—Ziemia jest małą— pisze on w jednem miejscu, — a jednak, jakże losy wstrząsają na niej człowiekiem i popychają go z jednego krańca na drugi! Szczęśliwi ci którzy się odnajdą!“

Gdy ich Cesarskie Moście wsiadły do przepysznej szalupy obwieszonej chorągwiami, którą na ten

cel wystawiło miasto, zabrzmiała w powietrzu salwa stu strzałów armatnich, a przeszło trzydzieści tysięcy rąk wzniosło do góry kapelusze i wstrząsało chustkami.

Maksymilian i Karolina wsiedli na pokład *Novary* ubranej w meksykańskie kolory; około godziny czwartej, oba statki zniknęły na pełnem morzu; wówczas to dopiero, zaczął tłum schodzić z brzegu do którego zdawał się być przykutym. Ci co mieli lunety, widzieli jak do ostatniej chwili stał na tyle okrętu człowiek zwrócony w stronę Miramuru: był to Maksymiljan.

Cesarz i cesarzowa zatrzymali się w Rzymie. Podczas krótkiego ich pobytu w tem mieście, znaleziono jednego razu przybite do słupa pod ich adresem, następujące wiersze:

Maximiliano non ti fidare
Torna solecite a Miramare!
Il trono fradicio di Montexuma
E nappo gallico, colmo di spuma.
Il »timeo Danaos« qui non ricorda
Sotto la clamide trova la corda.

(„Strzeż się Maksymilianie i wracaj co prędzej do Miramaru;—Słaby tron Montexuma jest gallijską zasadzką,—czarą pełną trucizny! Ten co zapomni o „*Timeo Danaos,*“ w miejsce złotogłowia znajdzie powróz!)“

Novara popłynęła dalej na Gibraltar i Maderę. Maksymiljan powitał z radością tę wyspę, którą już raz widział w roku 1852 i opisał ją: „Przedemną,— czytamy w tomie IV jego *Pamiętników i Podróży*,— przedemną, w moich oczach olśnionych, wynurzyła się z fal zaczarowana wyspa, cała drgająca od promieni zwrotnikowego słońca. Morze było przezroczyste, ażurowe, powietrze pełne upajających zapachów. Pośród gai drzew których liść ciemno-zielony miał całą siłę wiosny, wznosiły się po nad ich wierzchołki, bazaltowe pagórki. Dusza moja wzbierała się od radości. Był to obraz czysty jak niebo. Zdawało mi się, że oczami duszy przenikam całe to przezrocze złotego światła; pierś moja podnosiła się z rozkoszą; przewidywałem świat nowy, raj...“

Wychodząc z cmentarza Madery, opowiada że zerwał z jakiegoś opuszczonego grobu różę i zachował ją na pamiątkę.

Nowara przepłynęła wzdłuż brzegów Jamajki, weszła na wody meksykańskie i 28 maja przybiła do Vera-Cruz.

Cesarz i cesarzowa spodziewali się przyjęcia królewskiego; tymczasem nic nie było przygotowanego, nie było nawet oficyalnej recepcyi; a przecież francuzka fregata *Themis* popłynęła naprzód by donieść o przyjeździe ich Cesarskich Mości. Miasto miało swój pozór dnia powszedniego. Rozczarowanie było wielkie; kontradmirał Bosse popróbował

rzeczy naprawić: wydał rozkazy by uorganizowano na prędce małą uroczystość, ale doradzono mu aby dał pokój, bo ludność miejscowa nie chciała brać udziału w manifestacyi. Więc to tacy byli owi ogniści meksykanie, co na podobieństwo żab z bajki, z takim zapałem dopominali się o monarchę!

Maksymilian zapytał się w duchu czy go czasem nie oszukano, czy wszystkie opowiadania jakich mu nie szczędzono, nie były obrzydliwem kłamstwem; ale w tydzień potem, gdy wyruszył ku stolicy, w miarę jak postępował w głąb kraju, przyjmowano go już z większą sympatyą,—nabrał odwagi. W Loma-Alta, ostatniej stacyi kolei żelaznej, powitano go prawie z zapałem.

Nigdzie jednak administracya francuzka nie poczyniła najmniejszych przygotowań; świta cesarza zmuszoną była spać na ulicy na kołdrach. Od Loma-Alta, dano Maksymilianowi do dalszej podróży, starą angielską karetę, tak że pochód ten wyglądał więcej na wyprawę awanturnika, niźli na wjazd cesarski.

Przejechawszy przez Orizaba i Pueblę, cesarz przybył 12 czerwca do Meksyku — stolicy, gdzie czekała nań teatralna recepcya, co mu się bardzo nie podobało. Wieczorem zaś, na galowem przedstawieniu, gdy cesarska para weszła do teatru, prawie wszystkie loże były puste.

Rezydencya wice-królów asteków, pałac Chapultepek, który był dla Maksymiliana przeznaczony, był ze wszystkiego niemal ogołocony i raczej wyglądał na drugorzędny hotel, nie na książęce mieszkanie.

Pierwszą myślą Maksymiliana było kraj uspokoić, i aby dopiąć tego celu, nie widział lepszego i skuteczniejszego środka, jak pozyskać dla swojej sprawy Juareza.

Miał zamiar oddać mu prezydenturę rady stanu i w tym celu zaproponowano Juarezowi audyencyę, gwarantując mu swobodę i bezpieczeństwo jego osoby; ale były prezydent rzeczypospolitej meksykańskiej odrzucił z dumą te propozyce. Nie zrażając się tem, Maksymilian ogłosił pełną amnestyę dla wszystkich przestępców politycznych, spodziewając się więcej otrzymać łagodnością niż siłą. Bazaine był innego zdania, i odtąd stosunki między cesarzem i generałem stały się bardzo trudnemi. Bazaine nie przestawał rozstrzelać, Maksymilian ciągle ułaskawiał.

Poradzono cesarzowi odbyć wycieczkę wewnątrz swego nowego państwa, aby tem lepiej poznać jego życzenia i potrzeby; i cóż zobaczył?... zobaczył kraj zrujnowany przez wojnę, bez żadnych środków komunikacyi, bez szkół, ziemię na wpół dziką na której panował wszechwładnie rozbój i mord. „U nas, — odpowiedział jeden meksykanin, którego Maksymilian zagadnął, — jedna tylko rzecz jest uorganizowaną — złodziejstwo.“ Rzeczywiście kradziono

wszędzie, nawet w pałacu cesarza i jego prywatnych apartamentach. Jednego dnia było w pałacu przyjęcie generałów; po skończonej ceremonii, Maksymilian nie znalazł już na stoliku na którym był go położył, rewolweru damaskinowanego złotem, o rękojeści z kości słoniowej, a cesarzowa straciła dwa zegarki, które przylgnęły do zbyt lepkich palców jej dam dworu. Lopez, który był wówczas komendantem pałacu Chapultepek, chcąc dać cesarzowi dowód zręczności meksykańskiej, podjął się ukraść z biurka, w przeciągu dwóch godzin, tak że go nikt nie złapie, przedmiot, jakiby mu wskazano. Lopez ręczył nawet, że samo biurko ukradnie.

Po powrocie swoim do stolicy, przebywszy tysiące niebezpieczeństw, Maksymilian zadekretował budowę kilku dróg, porozdawał koncesye na koleje żelazne, potworzył liczne szkoły i ufundował meksykańską Akademię nauk i sztuk pięknych. Jego popęd do nauk był tak żywym, że posądzano go iż zamykał się po całych dniach w swoim gabinecie dla wypychania ptaków. Zajął się również podniesieniem rolnictwa i skreślił własnoręcznie plan wielkiego miasta przemysłowo-handlowego, które chciał wybudować w zatoce meksykańskiej, i które już naprzód nazwał Miramarem.

W żonie swojej posiadał zręczną i wierną współpracowniczkę; Karolina pracowała razem z mężem i bez niego także. Ona to redagowała raporta do

Europy, i często jedno jej słowo energiczne zaważyło na szali w chwilach ważnych. Była wzniosłą i miała dużo rozumu i dowcipu. Kiedy Maksymilian ustanowił order zasługi, Bazaine zabronił Jej Cesarskiej Mości, w imieniu rządu francuzkiego, zawiązywać medal meksykański na wstążce tego samego koloru co wstęga legii honorowej.

Cesarzowa wzięła na siebie odpowiedź na list marszałka i oto jak się z tego wywiązała: na ćwiartce papieru przylepiła maczek polny i napisała pod spodem: „Zastosowałem do mojego orderu barwę tego kwiatu, który sądzę istniał już zanim się zjawiła legja honorowa.“

Podczas gdy cesarz i cesarzowa oddani byli całkiem swoim pracom pacyfikacyjnym, szeregi juaristów wzmagały się, gerilasowie stawali się coraz to zuchwalsi, a rozbójnicy napadali na podróżnych u samych bram nawet stolicy. Poczta przechodziła co rano i wieczór przez ich ręce, tak że strażnicy komorni nic już nie mieli do roboty, co ich bardzo gniewało. Margrabia de Radepont który podróżował, nie domyślając się sam tego, dla przyjemności rozbójników, zdołał ujść przed nimi dzięki jedynie swoim rewolwerom którymi trupem położył kilkunastu z tych panów. Mniej był szczęśliwy a raczej mniej odważny ambasador belgijski wysłany do Meksyku dla oznajmienia Ich Cesarskim Mościom o wstąpieniu na tron Leopolda II; opryszki zabrali mu

wszystko złoto, pakunki a nawet i papiery. Personel ambasady zmuszony był wytrzymać w dyliżansie formalny szturm.

W skutek tych różnych napadów, Bazaine wymógł na Maksymilianie wydanie rozporządzenia nakazującego władzom cywilnym i wojskowym uważać jako rozbójników wszelkie oddziały ludzi zbrojnych, napotkane w kraju, i stosować do nich prawo w najsurowszem znaczeniu tego wyrazu.

Cesarz nie przewidywał że to właśnie na siebie samego wyrok śmierci podpisał.

Dnia 1-go września 1875 r. odkryto spisek na życie casarza. Na czele spiskowców stał generał Urana, adjutant Maksymiliana i syn jednego z jego ministrów. Przeszło pięćset osób aresztowano, trzeba było rozpuścić dragonów cesarzowej i prosić Bazaina aby zajął ze swoim wojskiem zamek.

Ale okupacya franzuzka zbliżała się już ku końcowi Napoleon czekał tylko na stosowną chwilę aby się wycować z niebezpiecznej gry; Stany-Zjednoczone nastręczyły mu do tego sposobność, i odwołanie wojska zostało zdecydowane.

Maksymilian który znał już wtenczas prawdziwy stan Meksyku i widział co go czeka po odjeździe francuzów, wysłał do Europy cesarzowę aby ta przypomniała Napoleonowi jego zobowiązania i obietnice. Wiadomo w jaki sposób księżna Karolina przyjętą została w Tujlerjach; wszystkie jej prośby i zaklęcia zostały

odepchnięte. Z Paryża udała się do Rzymu; tam okazały się w niej pierwsze symptomata pomięszania zmysłów. Nieszczęśliwą Karolinę ścigała myśl że ją chcą otruć. Niechciała ani jeść ani pić i żywiła się tylko owocami. Wprowadzona do Piusa IX w chwili gdy ten jadł śniadanie, wyrwała mu z rąk filiżankę czekolady i wypiła ją wołając: „O ta, jestem pewna, nie jest zatruta.“ Oświadczyła dalej, że chce jeść obiad razem z papieżem i że pozostanie na noc w Watykanie, bo w hotelu mają z pewnością ją otruć. Musiano jej pozwolić przespać się w pokoju sąsiednim z sypialnią Piusa IX który drzwi swoje również jak i cesarzowa, zamknął na klucz.

W reszcie zdołano ją namówić do odwiedzenia Miramaru, gdzie stan jej pozornie się polepszył; wzięła się do muzyki, malarstwa i czytania.

Ludność słowiańska z natury już skłonna do przesądów i zabobonów, ogłosiła żonę Maksymiliana za świętą: spotykając się z nią, kobiety z ludu istryjskie i dalmackie na jej widok klękały.

Tymczasem położenie w Meksyku znacznie się pogorszyło.

Bazaine pozostawił Maksymiliana własnemu jego losowi; między innemi, zamiast mu pozostawić swoje armaty i amunicyę wolał je zatopić w Segnia i w Texcoco.

Powiadają nawet że Bazaine proponował juaristom wydać im cesarza za summę 50,000 dolarów. Ale

to dopiero Lopez, powiernik Bazaina i *przyjaciel* Maksymiliana, miał czynu tego dokonać. W owej epoce rząd francuzki usiłował po kilka razy skłonić cesarza do abdykacyi. „Nie łudzę się co do trudności jakie mnie otaczają — odpowiedział, — ale pozostanę na miejscu niewzruszenie; w chwili niebezpieczeństwa Habsburgowie nie zchodzą ze stanowiska.“

Jednak gdy się dowiedział o okropnej chorobie swojej żony, Maksymilian zdecydował się na wyjazd z Meksyku, ale nie jako wygnaniec; chciał przedewszystkiem ocalić swoją godność, byłby wrócił do Europy jako cesarz i sam dobrowolnie złożył koronę. W tym celu wyruszył ku Vera-Cruz gdzie nań czekała Korweta Dandolo; ale generałowie z jego świty zmusili go do odwrotu obiecując mu dostarczyć pieniędzy i wojska. Maksymilian powrócił do stolicy oświadczając że pozostanie jedynie dla dobra ludu meksykańskiego, i że go do tego kroku nie skłaniają ani względy osobiste ani polityczne. Odjazd wojsk francuzkich pozostawił wolne pole juarystom. Zajęli oni natychmiast wszystkie pozycye i zabrali się do oblegania stolicy.

„Nie chcę narażać miasta“ — rzekł cesarz któremu wszystkie nieszczęścia nie odebrały przecież dobroci duszy, i cofnął się do Queretaro gdzie generałowie Miramon, Mendez, Castillo, Mejia, Avellano

i książe Salm-Salm, zdołali zebrać małą armię z ośmiu tysięcy ludzi.

Przez siedmdziesiąt dni jak trwało oblężenie tej fortecy, Maksymilian pokazał się jako wielki i cichy zarazem bohater; dzielił trudy i pracę prostych żołnierzy, jadał jak oni po kawałku mięsa z muła, podczas gdy jego oficerowie oddawali się lukullusowym ucztom. Narażał swoje życie więcej niż ktokolwiek: przechadzał się po bastyonach jakby po tarasie swojego pałacu.

Raz tylko jeden był wzruszony: było to na widok pięciu trupów bujających się na gałęziach drzew; to byli jego kuryerzy których juariści pochwycili i powiesili pod samemi murami miasta.

Nic nie było łatwiejszego jak przebić się przez linie nieprzyjaciół, na czele kawaleryi, ale Maksymilian nie chciał opuszczać swoich żołnierzy. Na każdą propozycyę abdykacyi odpowiedział: „Wolę zginać z bronią w ręku.“

Co dzień brano jeńców do niewoli. Gdy nalegano na niego aby chwytać podejrzanych o szpiegostwo, odpowiadał: „Nie, żadnych egzekucyj, jeżeli wszystko nam pójdzie szczęśliwie, tem lepiej; jeżeli zaś mamy upaść, to już lepiej niech mi nie ciąży na sumieniu krew.“

Brakło żywności: trzeba było albo się poddać albo zrobić wycieczkę. Zdecydowano się na przebicie. Dnia 14 maja, w nocy, mała armia Ma-

ksymilliana, licząca już tylko siedm tysięcy ludzi, miała sią rzucić na nieprzyjaciela w kierunku Vera-Cruz. Przez dziwny zbieg okoliczności, generał-juarista Escobedo, postanowił znów przypuścić szturm do fortecy tego samego rana.

Ale ani wycieczka ani szturm nie przyszły do skutku; zdrada Lopeza udaremniła i jedno i drugie. Lopez którego Maksymilian obdarzył tysiącem dobrodziejstw, Lopez który głosił wszędzie że jest najwierniejszym przyjacielem cesarza, sprzedał swojego pana za 2,000 uncyj złota!

Rok przedtem, tego samego dnia, znajdując się z cesarzową w Puebla, Lopez sprowadził tam swoją żonę, która zaledwie przyjechawszy, wcale niespodziewanie powiła mu syna. „Nie mogę na to pozwolić, — napisał mu Maksymilian dowiedziawszy się o fakcie,—aby syn twój generale przychodził na świat w domu obcym; posyłam ci potrzebne pieniądze na kupno owego pamiątkowego domu.“

Doskonale wiedząc co się dzieje w obozie juaristów, Lopez posłał 14 maja kartkę do Escobeda propunując mu wydać klasztor La Cruz, gdzie się właśnie znajdował cesarz ze swoim sztabem.

Escobedo propozycyę przyjął, i około północy Lopez zeszedł ze swoim oddziałem do foss. Tam nadeszli niebawem żołnierze juariści; Lopez kazał swoim ludziom broń złożyć i nieprzyjaciela prze-

puścić. W pięć minut potem, juariści zajmowali już klasztor, tak że o tem nikt nie wiedział.

Maksymilian wstał o świcie podług swojego zwyczaju; poszedł obudzić księcia Salm-Salm i obaj wyszli, bez broni.

Przybywszy do drzwi, cesarz się zatrzymał i zwracając się do swego towarzyrza, rzekł: „Juariści! Jesteśmy zdradzeni!“ W tej samej chwili, generał Lopez spostrzegłszy ich, wskazał palcem na cesarza i rzekł do pułkownika Rincon Gallardo który drzwi zajmował z juaristami: „To on.“

Rincon był dzielnym żołnierzem i człowiekiem honoru. Odrzekł dość głośno by go Maksymilian i właśni usłyszeli żołnierze: „To cywilni, to nie wojskowi. Niech sobie idą z Bogiem!“

Cesarz i książe Salm-Salm przeszli nie będąc wcale niepokojeni, i udali się czemprędzej na przeciwległą stronę miasta. Na pustych ulicach panowało grobowe milczenie, jakby przepowiednia wielkiego wypadku; w kilka minut potem strzały rozlegały się już na całej linii: za zbliżeniem się wojska Juareza, imperyaliści podnieśli karabiny kolbami do góry i zawołali *niech żyje wolność!* Ale Miramon nie ustąpił; uszykowawszy swój oddział w linię bojową, zabarykadował się na ulicy Kapucyńskiej, jednej z najszerszych z Queretaro i czekał; juaryści przypuścili szturm do tej bohaterskiej garstki, grad

kul zasypał ulicę, Miramon padł ugodzony w twarz; gdy się podniósł był już jeńcem.

Cesarz i generałowie Mejia, Avellano, Castillo i książe Salm-Salm, schronili się na Cero de las Campanas, małym pagórku oszańcowanym, tuż pod miastem. Pozbawieni artyleryi byli oni jak rozbitki na skale, czekający rychło ich morze zatopi.

Generał Escobedo, ów dawny rozbestwiony mulnik, o krwiożerczych popędach, biegł już na pagórek, z czterema batalionami piechoty i całą swoją kawaleryą. W powietrzu rozległy się okrzyki śmierci i dzikie przekleństwa; pagórek ze wschech stron został otoczony.

— Nie strzelajcie, poco krew napróżno przelewać,—rzekł cesarz do otaczających go jakby żywym murem przyjaciół. I głosem cichym stłumionym rozkazał jednemu ze swoich adjutantów zawiesić na bagnecie karabinu białą chustkę.

Juariści szykujący się już do dania ognia, stanęli.

Po wrzawie i krzykach nastąpiło uroczyste milczenie.

Ujrzano wówczas nad rowem pierwszego szańca mężczyznę słusznego wzrostu, w mundurze generała meksykańskiego: w czarnych spodniach spuszczonych w palone buty, i czarnym tużurku o złotych szlifach; spojrzał spokojnie dokoła, potem zeszedł na dół pewnym krokiem. Za nim podążyli inni generałowie.

Na jego widok, juariści krzyknęli: Niech żyje wolność!

Poznali cesarza; Maksymilian podszedł wprost do generała Corona który dowodził korpusem ochotników amerykańskich, znanym pod nazwą „Legii honorowej“ i składającym się z kilkudziesięciu jeźdzców, mających wszyscy stopień oficerski.

— Generale — rzekł do niego, — zdradzili mnie ludzie, zdradziło i szczęście; dosyć już jest wdów i sierot; oto moja szpada.

— Najjaśniejszy Panie, — zawował Corona, zapominając że to już nie z cesarzem ma do czynienia, — Najjaśniejszy Panie, zachowaj twą szpadę!

I zaprosił Maksymiliana aby wsiadł na konia, poczem eskortował go z drugimi jeńcami aż do klasztoru Santa-Teresita.

Cesarza i jego generałów zamknięto w piwnicach klasztornych gdzie nietylko noc całą musieli spędzić na gołej wilgotnej ziemi, ale nie dano im ani jeść ani pić! Trwało to tak dni kilka. Przybycie księżniczki Salm-Salm przyniosło nareszcie jeńcom nieco ulgi; przetransportowano ich do klasztoru Kapucynów i pozwolono przynosić im wino, jedzenie i ubranie. Księżniczka Salm-Salm, w ostatnim akci tego dramatu, okazała się prawdziwą bohaterk: Uchodząc z Meksyku, wytrzymała po dwa razy ogień żołnierzy Porfirio Diaza.

Oskarżoną o rozdawanie pieniędzy austryakom

internowanym w Chapultepek, uwięziono ją w Gwadalupie. Nareszcie otrzymawszy parzport do Europy, zamiast uciec z tego kraju mordów i okrucieństw, podążyła do swojego męża, w Queretaro, z kąd znów, ukrywając się i podróżując nocą, dostała się do San Luis de Potosi, rezydencyi Juareza.

Gdy się Maksymilian dowiedział o tak szlachetnem postępowaniu księżnej, nie mógł się powstrzymać od łez.

Jeńcy trzy tygodnie całe pozostawali w klasztorze Kapucynów, nie wiedząc co się z nimi stanie. Juariści zdawali się być zaambarasowani swoją zdobyczą.

Ale 10-go oznajmiono im że Juarez rozkazał ich poprowadzić przed sąd wojenny i że 12-go zapadnie wyrok.

— Gdzie mnie pan prowadzisz?—zapytał Maksymilian oficera który po niego przyszedł.

— Przed sąd wojenny.

— A gdzie ten sąd zasiada?

— W tearze.

— W teatrze?

— Tak.

— Nie pójdę. Oświadczam panu że ztąd nie wyjdę aby z siebie dawać widowisko w teatrze, i być tam sądzonym jako komedyant. Wychodź pan.

Oficer zrozumiał że jedną tylko siłą mógł by ten opór przezwyciężyć, wyszedł.

Generałów Miramon i Mejia zawleczono na scenę na której zasiadał trybunał. Teatr pełny był po same brzegi, jak podczas wielkiego przedstawienia; spektakl nic nie kosztował. Debaty trwały trzy dni. Cesarz oskarżony był o uzurpacyę władzy, podniecanie do wojny domowej i morderstwo 40,000 liberałów, powieszonych lub rozstrzelanych na mocy rozporządzenia z dnia 3-go października 1865 r. jakie jak wiadomo Bazaine na cesarzu wymógł.

15-go z rana, generał Escobedo wszedł do więzienia Maksymiliana, trzymając w ręku wyrok.

Cesarz który się nie łudził co do swojego losu, rzekł doń spokojnie:

— Czytaj generale, słucham.

Maksymilian również jak i dwaj jego generałowie, Miramon i Mejia, skazani byli na śmierć.

— Dobrze! — rzekł cesarz tym głosem słodkim i spokojnym jakim zwykle przemawiał. — Prawo 3-go października ustanowione było przeciwko rozbójnikom; a ten wyrok wydali zabójcy!

Escobedo chwycił za rękojeść rewolweru. — Nędzniku! — zawołał; ale powstrzymując się dodał: „skazany ma prawo przeklinać swoich sędziów.“

Maksymilian odwrócił się do niego plecami; Escobedo wyszedł.

Egzekucya naznaczoną została na dzień następny, ale na rozkaz Juareza odwołano ją na 19-go.

Natychmiast ambasadorowie pruski i angielski udali się do prezydenta, do San Luis de Potosi, w nadziei otrzymania łaski dla skazanego; Juarez był niewzruszony; oświadczył że przykład ten był koniecznym dla zapewnienia przyszłości respublice.

W nocy z 18-go na 19-ty, Maksymilian zażądał nożyczek. Odmówiono mu ich. Poprosił wówczas więziennego stróża by mu sam uciął pukiel włosów. Po odbytej operacyi, napisał do cesarzowej Karoliny list następujący:

„Ukochana Karolino, jeżeli Bóg pozwoli abyś kiedy przyszła do zdrowia i te słów kilka przeczytała, dowiesz się jak okrutny los nie przestał mnie ścigać od czasu twego odjazdu do Europy. Uwiozłaś z sobą moje szczęście i moją duszę. Pocóż ja ciebie nie posłuchałem? Tyle wypadków niestety! tyle katastrof niespodziewanych i niezasłużonych spadło na mnie, że już nie mam w sercu nadziei i czekam śmierci jako anioła wybawiciela. Umieram bez konania. Padnę z chwałą, jak żołnierz, jak król zwyciężony... Jeżeli nie będziesz miała dosyć siły by znieść tyle męczarni, jeżeli Bóg cię ze mną połączy, pobłogosławię Jego rękę ojcowską i Boską, która na nas tak okrutnie spadła. Bądź zdrowa! żegnam cię!

„Twój biedny Max.“

Pocałował ten list, włożył do niego pukiel jedwabnych jasnych swoich włosów, i dołączył tę missywę do innych, pisanych do matki, arcyksiężniczki Zofii i kilku przyjaciół. Widziałem kilka z tych listów; są one po francuzku, pismo w nich proste, spokojne, pewne; piękną dusza tego bohaterskiego księcia—marzyciela odbija się w nich cała; nie dziw że wywoływał wszędzie sympatyę. To też mogli go skazać na śmierć jedynie sędziowie którzy go nigdy nie widzieli, i generałowie którzy go nie znali.

W ostatnich swoich chwilach, był naprawdę wielkim królem: zrezygnowany, spokojny i dumny jak lew okuty w żelaza; pokazał że nie był zwyczajnym awanturnikiem, ale że czysta krew królewska krążyła w jego żyłach.

Był niewzruszony w obec śmierci co z ironią w uśmiechu zerwała mu z czoła koronę i strzaskała ją o mury więzienne.

Zamiast opłakiwać samego siebie, żałować wszystkiego o czem marzył wstępując na ziemię meksykańską,—sławy, potęgi, zajmowała go tylko chwila obecna: był gotów umrzeć jako król i chrześcianin.

Z wybiciem 6-tej godziny, drzwi więzienia otworzono.

— Jestem gotów, — rzekł Maksymilian do oficera który po niego przybył.

Gdy przekraczał próg klasztoru, zawołał wznosząc oczy ku niebu:

— Co za piękny dzień! Myślałem zawsze o śmierci przy blasku letniego słońca.

I mimowoli, na widok niebieskiego nieba, radującej się w okół natury, ptaków które wesoło szczebiotały, ujrzał on w swojej myśli Miramar przeglądający się w przezroczu Adryatyku, ów Miramar ukochany gdzie życie było mu idyllą! Oh! jakże by on chciał przelatującym ptakom powierzyć ostatnie swoje pożegnanie!

Wszedł do pierwszego wózka; generałowie Miramon i Mejia jechali za nim, każdy osobno.

Eskorta złożona z czterech tysięcy żołnierzy poprowadziła cały orszak przez miasto, aż do Cerro de Las Campanas.

Więzniowie przez cały czas drogi stali wyprostowani na wózkach, z uśmiechem na ustach; ubrani byli nadzwyczaj starannie,—jakby na jaką wielką uroczystość. Lud zapełniający ulice, którego pełno było w oknach i na dachach nawet, przypatrywał się tym męczennikom z niemym zachwytem.

Zimna krew i spokojność tego cesarza idącego na śmierć wzruszała ludzi najobojętniejszych. Kobiety odwracały się by łzy ukryć; Maksymilian nigdy jeszcze nie był tak pięknym. Na jego twarzy nie było śladu ani gniewu ani obawy; piękne jego

niebieskie oczy rzucały dobrotliwe spojrzenia na widzów.

Na ostatnim skręcie drogi generał Meija zbladł i chwycił oburącz za brzeg wózka: Spostrzegł między tłumem swoją żonę jak z rozpuszczonemi w nieładzie włosami chciała się do niego przedostać; szamotała się biedna z odpychającem ją żołdactwem, głos jej zamarł w piersiach, obłąkanym wzrokiem ścigała za poruszeniami okropnego wehikułu który uwoził wszystko co miała drogiego na ziemi. Ręce jej konwulsyjnie ściśnięte przyciskały do łona dziecinę nowonarodzone. Mejia ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

Konwój przybył do Cerro de Las Campanas; na miejsce egzekucyi wybrano to samo miejsce gdzie Maksymilian kapitulował.

Cesarz zeskoczył lekko na ziemię, otrzepał kurz z ubrania i podszedłszy do plutonu egzekucyjnego, rozdał każdemu żołnierzowi po uncyi złota.

— Mierzcie dobrze, moi przyjaciele — rzekł do nich,—tylko oszczędźcie mi twarz, strzelajcie w samo serce.

Jeden z żołnierzy płakał.

Maksymilian zbliżył się do niego, i dając mu porte-cigares srebrne absadzone brylantami rzekł:

— Weź to przyjacielu na pamiątkę odemnie; pudełko to należało kiedyś do księcia który szczęśliwszy był niż ten który ci je daje.

Oficer który miał dowodzić ogniem wysunął się naprzód i prosił cesarza o przebaczenie.

— Moje dziecko, — odpowiedział mu Maksymilian z dobrotliwą wesołością — żołnierz słuchać musi rozkazu; musi spełnić swoją powinność.

Obracając się wówczas do generałów Miramon i Mejia: „chodźcie, moi dzielni towarzysze, niech was uściskam!“ rzekł. Przycisnął ich do piersi i dodał spoglądając w niebo: „Za parę minut odnajdziemy się tam wysoko, w innym świecie.“

Potem zwrócił się jeszcze do generała Miramona: „Generale, pierwsze miejsce należy się najwaleczniejszemu! ustępuję ci miejsca honorowego.“

Gdy Mejia nie mógł jeszcze przyjść do siebie, mając ciągle przed oczami widok obłąkanej swojej żony, Maksymilian uścisnął go za ręce mówiąc: „Bóg nie opuszcza tych co cierpią i pozostają, a niesprawiedliwie karanych czeka nagroda w przyszłem życiu.“

Huk bębna oznajmił że fatalna chwila już nadeszła.

Maksymilian postąpił parę kroków naprzód, wszedł na kamień, i głosem dźwięcznym wystosował do żołnierzy i ludu te kilka słów:

„Meksykanie! Ludzie mojego stanu i rasy, ożywieni mojemi uczuciami, przeznaczeni są na zbawców lub też męczenników narodowych. Mnie tu wezwało nie żadne bezprawie, ale własny wasz głos.

Nim umrę chcę abyście wierzyli że tylko wasze dobro miałem na celu. Meksykanie! oby krew moja była ostatnią jaką przelewacie, niech Meksyk, nieszczęśliwa moja przybrana ojczyzna, będzie szczęśliwy! Niech żyje Meksyk!“

Gdy zajął swoje miejsce, sierżant kazał generałom Miramon i Mejia obrócić się: skazani jako zdrajcy, mieli być rostrzelani z tyłu.

— Do widzenia, moi drodzy,—rzekł jeszcze do nich Maksymilian, i rozdzielając swoją długą brodę by ją odrzucić na ramiona, wskazał palcem na piersi i dodał głosem pewnym: „Tu!“ — i stał niewzruszenie jak posąg.

Na rozkaz „Prezentuj broń!“ rozległ się szmer protestacyi i groźby pośród garstki indyan których przesądy i wiara pociągały ku cesarzowi. Podług ich tradycyj, człowiek biały ma kiedyś do nich przyjść, oswobodzić ich i zbawić; wierzyli że tym Mesyaszem był Maksymilian.

Oficerowie dobyli pałaszów i groźnie zakomenderowali: „Pal!“

— Niech żyje Meksyk! — zawołał Miramon.

— Karolino! Karolino! — szepnął Maksymilian.

Huk strzałów zagłuszył ich głosy.

Gdy dym się rozproszył, trzy trupy leżały na ziemi; ciało cesarza jeszcze się poruszało; żołnierz dobił go. Włożono trupy do trumien które stały

tuż przy miejscu egzekucyi, i zaniesiono je wśród tej samej eskorty nazad do klasztoru Kapucynów.

— Teraz gdy już cesarza nie ma, pochowamy zwłoki arcyksięcia austryackiego ze wszystkiemi honorami,—rzekł pułkownik Miguel Palacios któremu powierzono straż przy ciele Maksymiliana.

Ciało zabalsamowano, a trumnę wstawiono do murowanego grobu.

Ambasador rossyjski, baron Magnus, napróżno się upominał o wydanie zwłok nieszczęśliwego cesarza; potrzeba było aż przybycia wice admirała Tegetowa, który w roku 1867 w miesiącu listopadzie urzędownie zażądał od rządu meksykańskiego wydanie ciała. Tegetow otrzymał również oswobodzenie żołnierzy austryackich trzymanych jeszcze w więzienia, i wyjednał ułaskawienie dla księcia Salm-Salm który także miał być rozstrzelany.

Co do zdrajcy Lopeza, to zamiast przyobiecanych 2,000 uncyj złota, dostał tylko 7,000 piastrów. Żona jego, po tej zdradzie, nie chciała go już widzieć na oczy, a gdy się przedstawił generałowi Rincon Gallardo z prośbą o przyjęcie go do armii meksykańskiej z której go kiedyś wypędzono, otrzymał następującą odpowiedź:

— Pułkowniku Lopezie, jeżeli cię kiedy przedstawię do czego, to chyba do gałęzi i powrozu!

Maksymilian pozostawi w historyi wspomnienie człowieka o wielkiem sercu i króla męczennika. Obdarzony był on duszą szlachetną i marzycielską; był obcym i nie swój na tej ziemi.

Nikt nigdy nie mógł go skłonić do podpisania wyroku śmierci; gdy już przeczuwał że mu przyjdzie odkupić pod kulami Juareza, cudze zbrodnie, nie armaty sprowadził sobie z Europy, ale dwa tysiące słowików które zakupił w Styryi aby niemi zaludnić swoje państwo.

IV.

Pustynia Karstu. — Goritz. — Rozmowa z księdzem niemieckim któremu jest bardzo gorąco i któremu jeszcze bardziej pić się chce. — Klasztor Castanowizza. — Moja wizyta u hrabiego Chamborda.

Widziałem mieszkanie cesarza umarłego, chciałem widzieć także i rezydencyę króla żywcem pogrzebanego pod swoim sztandarem.

Nazajutrz, zamiast pojechać prosto dalej, udałem się na kilka godzin do Goritz gdzie hr. Chambord rozkwaterował się już na zimowe leże.

Od Monfalcone traci się już z widoku morze i zagłębia się w ponurą pustynię Karstu czy Carso, co znaczy „kraj kamieni“: góry są nagie jak szkielety,

ziemia bez życia, bez wnętrzności; oko błądzi tylko po roztrzaskanych skałach, po ruinie; zdawało by się że się jest pośród zagasłych wulkanów i poszarpanych na szczątki gór. Nieliczni mieszkańcy tego skalistego regionu, musieli by z głodu pomrzeć gdyby natura co o wszystkiem pamięta, nie rzuciła właśnie w te rozpadliny i szramy skał, kilka garści ziemi roślinnej na której, zakryte od wiatru rośnie i dojrzewa zboże, winne grono i trochę jarzyn.

W niektórych takich przepaściach i wąwozach znajdują się czasem gaje, a nawet małe lasy, w drugich znów potworzyły się jeziora. Pod wzgędem hidrograficznym, Carso jest najciekawszą okolicą z całej Europy do studyowania; pokład kredowy tej ziemi mieści w sobie liczne źródła ruczajów, kaskad i rzek, ginących w głębokich jarach i grotach. Smiali eksploratorowie zapuszczali się na pniach drzew, w te „podziemia“ i zdołali skonstatować i skreślić całą sieć tych podskalistych strumieni. Największa z tych rzek, Recca, zakończa swoją podziemną podróż u stóp Monfalcone i wybiega trzema ramionami z łona skał. Starożytni dali wszystkim tym wodom nazwę Timavo „matki Adryatyku.“

Nareszcie w głębi doliny, spostrzega się rzekę z ładnemi mostami, drzewa, dzwonnice; jest tu Goritz — piękna Gorizia, „austryacka Nicea“ która jako zielona wyspa wychyla się pośrod tego morza skamieniałego którem wstrząsa ryczące straszny „bora“.

Miasto jest tak ze wszystkich stron osłonięte, że prawie tam skutków zimy nie znają. Doktorzy wiedeńscy wysyłają zwykle do Goritz suchotników i rekonwalescentów. To też na ulicach spotyka się sporo młodych kobiet o bladem obliczu, młodych ludzi „interesujących“;—na przyjemnościach zupełnie tu nie zbywa: jest teatr, strzelnica, sala balowa, gimnastyka, kasino dla oficerów i klub katolicki; są kawiarnie w których znajduje się wiedeński „Kikiriki“ i portret Wiktora - Emanuela i w których po całych dniach przesiadają emancypowane damy z cygarem w ustach; są dorożkarze i garsoni restauracyjni mylący się w rachunku, co jest dowodem posuniętej cywilizacyi; są nareszcie i dwa dzienniki włoskie które stoją w opozycyi względem rządu, co znów jest dowodem pewnego życia politycznego.

Goritz był już nie jeden raz teatrem manifestacyj włoskich.

W Tryescie wszystkie szkoły pozostały włoskiemi, tutaj zaś, ku wielkiemu niezadowolnieniu ludności, w wyższych zakładach językiem wykładowym jest język niemiecki; w jednych tylko niższych szkołach uczą po włosku.

Po obiedzie, gdy łagodne słońce ogrzewa powietrze, mnóstwo ekwipaży wyjeżdża na spacer w aleje; błota i kurzu prawie tu niema. Sniegu Goritz także nie zna, deszcze nie niepokoją reumatyzmów, a barometry wiecznie wskazują pogodę.

Od czasu do czasu przeciągają po ulicach długie wozy naładowane drzewem, zaprzężone w siwe woły; przypomina to że kiedyś, w epoce w której listy cywilne nie były jeszcze wynalezione, królowie nawet znajdowali wielką przyjemność w jeżdżeniu takiemi ekwipażami.

Gdy się widziało miasto, trzeba także zwiedzić i jego okolice które co prawda są zachwycające. Udałem się pieszo do klasztoru Castanovizza, stojącego na ładnym pagórku panującym nad całą okolicą. W tym to skromnym monasterze pochowany został Karol X.

Castanovizza jest małą nędzną wioszczyną mającą wszystkie pozory, również jak i nazwę, włoskiej osady; kobiety siedzą na progu swych chat, z dziećmi między kolanami i oddają się różnym polowaniom na głowach tych ostatnich; na drodze ciągnącej się przez środek wioski napadają na każdego przechodnia tłumy żebraków, wzywając płaczliwym głosem pomocy wszystkich świętych jacy tylko są w kalendarzu.

Przedemną na kilka kroków szedł ksiądz trzymając w jednem ręku kapelusz, a w drugiem dużą kraciastą chustkę czerwoną; gdym go dogonił, ocierał sobie właśnie z wielkiem przejęciem się i sapaniem, pot z czoła.

— Czy ta droga prowadzi do klasztoru? zapytałem go.

— Prościuteńko do klasztoru, mój przyjacielu, do klasztoru. Chodźcie ze mną.

Zrównaliśmy kroku i szliśmy już razem.

— Pan nie jesteś z tych stron? — zapytał.

— Nie panie; przybywam z Paryża.

— Ach! z Baryża, — zawołał po francuzku wyginając w śpiczasty łuk swoje brwi, — Pardzo ładna dziefica.

— Rzeczywiście, ma ksiądz dobrodziej racyę, paryżanki są bardzo ładne...

— Pan mnie nie rozumieć, der Teufel!.. ja chcial mówić ladne miasto... dzielnica!.. Ten mowa francuzka wykrzywiać język...

Zatrzymał się by odetchnąc i wytarł twarz na nowo.

— Słońce pardzo piec; ah! ja fypić szklanka wina w klasztorze. Franciskaner mają dużo pańska winnica: patrz pan na pagórka.

Rzeczywiście po za wsią rozciągały się na wzgórzach niezmierzone okiem winnice.

— Ach, pan z Baryża, to mi powiedzieć jak się znajduje moja przyjaciel Spiegel i jego żona?

— Nie mam honoru ich znać, książe dobrodzieju.

— Jakto? nie ma honoru znać? Oni do mnie pisali że znać cały Baryża. Ich dom na ulica Obserfatoryum. Spiegel ma krosta na nos a pani Spiegel znak biękności na szyja.

— Bardzo żałuję, ale nie widziałem ani krosty pana Spiegla ani znaku piękności pani Spiegel. — odpowiedziałem tracąc zupełnie powagę.

Ksiądz zatrzymał się jeszcze raz by się wysapać i zetrzyć pot kroplisty jaki mu z czoła spływał s trumieniem.

— A co Mark-Mahon myśleć o sytuacya? — zapytał nagle.

— A co myśli hr. de Chambord? — odpowiedziałem, nie wiedząc co księdzu powiedzieć.

— Graf Champord, nic nie myśleć, on czekać jak mętrzec. Kiedy jablka będzie dojrzala, jablka spadnie, a on go zjeść.

— Czy ksiądz się z nim widuje?

— Nikty, nikty! mój przyjacielu. Moja fikary chodzić raz na tydzień do zamek, na tabaka; ja tabaka nie lubi i być publikan.

— Ksiądz dobrodziej jest republikaninem?

— Tak mój przyjacielu, ja jestem rebuplikan, ale rebuplikan idealista. Ja chcieć rebuplika Platona i Chrystusa. Apostołowie mieli konstytucya.

Przybyliśmy na szczyt pagórka.

— Patrz pan! to palaca grafa de Champord. — zawołał nagle ksiądz pokazując mi dach czerwony wynurzający się z pośród drzew, na samym wstępie do Goritz.

— Ta palaca, tam fysoko, — rzekł wskazując palcem na dużych rozmiarów budynek o białych ścia-

nach,—należała do fiurstin Belijoso; tam jednego koń Napoleona 1-go pogrzebać w ogrodzie; ale ja nie wiedzieć czy na ten koń jechać Napoleon na ostateczna sąd, dodał uśmiechając się.

Skierowaliśmy się ku klasztorowi. Braciszek wyszedł na nasze spotkanie.

— Pan chce fizyta do klasztor, — rzekł ksiądz; — no ta mloda brat prowadzić. Slońca za gorący, ja pójdę do piwnica, wypić szklanka fina. Atieu mój przyjacielu, szczęśliwa droga!

Po tej rozmowie poprowadzonej przez księdza z całą germańską naiwnością, nie byłem wcale w usposobieniu, rzecz prosta, do zwiedzania cmentarzy. Braciszek był na moje szczęście odźwiernym, i oświadczył mi że mu niewolno opuścić swojego stanowiska, zatem jeśli chcę poczekać jaki kwandrans, to nadejdzie starszy brat i poprowadzi mnie. Zadowolniony z tego wypadku, poszedłem pod drzewo i usiadłszy tam, otoczony ciszą i cieniem, zamyśliłem się nad smutną historyą Karola X-go i smutniejszym jeszcze jej zakończeniem.

Kiedy rząd austryacki przeznaczył Goritz na rezydencyę dla króla-wygnańca, była to wówczas nędzna osada, bez żadnych komunikacyj, wcale geografom nie znana. „Któż był tak okrutnym aby mnie tu zamykać! — zawołał Karol X-ty przybywszy na miejsce.—Ja tu nie wytrzymam, umrę!“

Opowiadają że gdy pierwszy raz wygnany monarcha udał się do kościoła w Goritz, przy wyjściu znalazł wszystkich mieszkańców postrojonych świątecznie i uszykowanych w dwa rzędy na drodze: za jego zbliżeniem się, pokłonili się bardzo nizko. Króla ten dowód szacunku nadzwyczaj wzruszył.

— Panie! — zawołał zdaleka brat-odźwierny,— proszę pana!

Podszedłem. Braciszek zaprowadził mnie do zakrystyi gdzie już na mnie czekał drugi zakonnik z latarnią w ręku.

Zeszliśmy po schodach, i przeszedłszy ogród, dostaliśmy się do wejścia podziemi. Przewodnik mój zapuścił się pod te cmentarne sklepienia, podążyłem za nim schylając się. Zrobiwszy kilka kroków, braciszek zbliżył swoją latarnę do ściany i wskazał mi na małe tabliczki metalowe na których wyczytałem nazwiska: księcia de Blacas, księżnej regentki Parmy, Maryi-Teresy francuzkiej córki Ludwika XVI, i księcia Ludwika starszego syna Karola X, zmarłego w Goritz 3-go lipca 1844 roku. Ciało samego króla umieszczone jest pod ołtarzem Matki Boskiej.

Zwiedziwszy całe podziemia, powróciłem do Castanowizza i nie tracąc z oczu czerwonego dachu

który mi ksiądz pokazał, udałem się prosto do zamku hrabiego Chamborda.

Krata od ogrodu była otwarta. Na moje spotkanie wyszedł duży pies i obszedłszy mnie do koła w sposób familiarny, dozwolił mi pójść dalej bez żadnej z jego strony protestacyi.

Przedemną stał duży, stary, kwadratowy dom, niezgrabny jak koszary, a, cisza jaka go otaczała była tak głęboka, że mimowolnie przyszły mi na myśl zaczarowane zamki śpiących królewien.

Nie ma tu jak we Froshdorfie danieli ani jeleni o majestatycznych rogach, przesuwających się pod wiekowemi konarami świerków.

Otwarte drzwi wychodziły na środkowy dziedziniec. Szukając napróżno jakiego odźwiernego, natrafiłem nareszcie na dzwonek; służący w liberyi zjawił się i poprowadził mnie do pana de Floresta, przybocznego sekretarza hrabiego Chamborda.

Za nadto po podróżnemu byłem ubrany aby prosić o książęcą audyencyę, to też znalazłszy się u pana sekretarza, byłem mocno zaambarasowany i sam nie wiedziałem jak wytłómaczyć cel mojej wizyty.

— Czy masz pan jaką rekomendacyę? jakie listy od naszych przyjaciół z Francyi? — zapytał mnie pan de Floresta.

— Nie panie, — odpowiedziałem; — nie mając zamiaru o nie prosić nie posiadam ani listów ani rekomendacyi; znam apartamenta ks. Bismarcka, wi-

działem feldmarszałka Moltkego, chciałbym widzieć i hrabiego Chamborda. Ot i wszystko.

— Dobrze, za godzinę będziesz pan zawiadomiony czy jego książęca mość będzie mógł pana przyjąć.

Pan de Floresta spytał się jeszcze w jakim hotelu stanąłem. Niestety! okazało się iż wybór mój tak był lichy że o istnieniu nawet tego hotelu pan sekretarz nic nie wiedział.

Powróciłem do Goritz z przekonaniem że to już dla mnie będzie dzień feralny w którym wszystko pójdzie mi na przekór.

Gdym kończył jeść śniadanie, wszedł do mnie mały człowieczek otulony w czarny płaszcz, ze śpiczastym kapeluszem na głowie, i zbliżywszy się na palcach podał mi dużego formatu kopertę na której wypisane było moje nazwisko i adres. W kopercie był list od pana de Floresta który mnie zawiadamiał że mogę się przedstawić o godzinie 2-giej.

Miałem wprawdzie z sobą frak, ale do dokompletowania mojej toalety, nie posiadałem odpowiednich rękawiczek; nie wiedziałem wówczas że mogłem się bez nich obejść. Całe miasto obiegłem szukając tych nieszczęśliwych rękawiczek; nareszcie gdy już byłem kompletnie uekwipowany, udałem się na audyencyę.

Na schodach do pierwszego piętra spotkałem pana de Floresta, który się zapewne nie spodziewał

ujrzeć mnie w takiej transformacyi: zaprowadził mnie do obszernej sali która służyć mogła zarazem za salon i za przedpokój.

W minutę potem otwarły się na rozcierz drzwi i ujrzałem przed sobą hrabiego Chamborda. Przeszedłem próg, a za mną drzwi się zamknęły.

— Jego książęca mość wie, — rzekłem do hr. Chamborda,—że ja jestem republikaninem od urodzenia; ale jeżeli nie mogę pokłonu składać przed królem, to składam go przed człowiekiem.

— Bardzo lubię pański kraj, Szwajcaryę, — odpowiedział mi ks. Bordeaux z wielką uprzejmością, — mam tam bardzo dobrych przyjaciół. Rodziny d'Affry, Diesbach, d'Alt, Montenach, Gottrau, Boccard, Fegely, Maillardoz i tyle innych które pan zapewne zna, służyły mojemu domowi i przelewały swoją krew za Francyę.

Poprosił mnie siedzieć, ale ja jeszcze stałem wpatrując się w niego; nie mogłem swoim oczom uwierzyć: ten człowiek o twarzy tak sympatycznej, otwartej i usmiechniętej, o spojrzeniu tak głębokiem a zarazem dobrotliwem, ten człowiek to był więc owym hrabią Chambordem którego dzienniki republikańskie przedstawiają pod komiczną postacią żywego wcielenia się legitymizmu.

Oczy szczególnie mnie uderzyły. Otwartość i piękność ich spojrzenia doprawdy nie dadzą się opisać.

Hrabia nosi całą brodę przystrzyżoną a la Henryk IV, do którego jako jego potomek jest bardzo podobny; głos ma harmonijny i posiada prawdziwy dowcip gallijski. Wzrostu jest średniego, dobrej tuszy, jest silnie zbudowany i zdrów.

Rozmawialiśmy przeszło dwadzieścia minut; obcy wśród walk stronniczych jakie Francyę dzielą, i jako obywatel kraju neutralnego, uważałem za stosowne nie poczynać kwastyj politycznych; literatura, sztuki piękne i Niemcy, owe krwawe widmo stające każdemu przed oczyma, dostarczyły nam wątku do rozmowy.

Hrabia Chambord jest o wszystkiem poinformowany, wie o wszystkiem; zna ostatnie publikacye i wie o tych jakie pojawić się mają; posiada szczegóły o sztuce granej wczoraj w Paryżu i wie jaki obraz króluje na wystawie. Ulubionymi jego autorami są Montaigne, Moliere i pani de Sévigné od której zdaje się posiadł sekret jej nieporównanego stylu, bo ten syn królów jest pisarzem w całem tego słowa znaczeniu, pisarzem „wielkiego wieku“ w tem małem naszem stuleciu. Jego „Listy“ pozostaną jako wzór myśli i formy. — Kwestye socyalne są od lat dwudziestu przedmiotem jego ciągłych medytacyj i studyów; jest on przekonany że ta ważna kwestya stanowi problemat który niedaleka przyszłość musi rozwiązać, i że kryzys będzie straszny zwłaszcza w Niemczech po których szumią już idee socyali-

styczne jak fale na wzburzonem morzu. Hrabia Chambord jest zwolennikiem asocyacyj dobrowolnych i wolnych robotników, broni ich interesów wspólnych, i jest za utworzeniem syndykatów których zadaniem byłoby godzić polubownie spory wynikające między pracownikami a pracodawcami.

Kwestye militarne również mu nie są obce; kocha on żołnierza, bo panuje w nim duch rycerski. „Co by to było za szczęście — rzekł on raz do pana de La Rochefoncauld który mu towarzyszył konno, — gdyby wojna stała się nieuniknioną, zrobić szarżę na czele francuzkiego pułku!“

Armię niemiecką zna jak jaki stary generał pruski.

Gdy się tak jak on interesuje wszelkim postępem jaki się okaże czy to w dziedzinie literatury, czy nauk, sztuk czy rękodzielnictw, to gdy się nawet jest człowiekiem „starego systemu“ pomimo woli odnawia się, odmładza i staje się człowiekiem chwili bieżącej. Już w roku 1850 hrabia Chambord pisał do księcia de Levis: „Zasady jakie Francyi leżą na sercu, — równość w obliczu prawa, wolność sumienia, wolny przystęp dla wszystkich do wszystkich urzędów, honorów i przywilejów socyalnych, wszystkie te wielkie zasady społeczeństwa chrześciańskiego i oświeconego drogie mi są i święte jak dla każdego francuza.“ W roku znów 1859 odezwał się do pana de Chenier: „Biskupi i członkowie wszyscy kleru

nigdy nie mogą zachować zanadto ostrożności w unikaniu mięszania polityki do spraw ich świętego ministeryum i podnoszenia głosu w kwestyach czysto świeckich, co może być tylko przeciwnem samej godności i interesom religii również jak i Państwu.“

Książe który myśli i pisze w podobny sposób, jest już chyba tolerancyjnym i godnym powszechnego szacunku; a hrabia Chambord jakim się okazuje w swoich listach i rozmowach, takim i jest w rzeczywistości.

Wygnanie jest ciężką szkołą: dworacy nie przekraczają jego przegów. „Lata banicyi,—mówił hrabia Chambord do jednego ze swoich domowników,— są jakby lata kampanii, liczą się podwójnie. Tak, wygnanie wyszło mi na korzyść: we Francyi byli by mnie wychowali jak księcia, to jest że zdaleka tylko mógłbym patrzyć na nędzę i cierpienia ludu, a wiadomo że perspektywa zmniejsza przedmioty. Dzięki wygnaniu, zobaczyłem z blizka i doświadczyłem sam nieszczęść, niesprawiedliwości, nadużycia siły, — rzeczy które znać trzeba samemu aby je odczuć i zaradzić im.“

Nim opuścimy zamek tego szlachcica — wieśniaka, pomówmy słów kilka o jego apartamentach i życiu jakie on w nich prowadzi.

Umeblowanie wcale nie jest królewskiem: widzi się tam stare wygodne fotele, stare kanapy wyglądające na stare sługi których wierność przywiązała do pana. Wszystko to ma ton silnie patryarchalny. Nie ma tam marmurów ani złoceń, jest tylko trochę obrazów, są trofea z broni, strzelby, rogi myśliwskie. Hrabia Chambord pomimo upadku z konia roku 1841, w Kirchbergu, w którym to wypadku złamał sobie nogę, pozostał jednak zapalonym myśliwym. Pokój jego sypialny zdobią jedynie dwa wazony które mu przysłali robotnicy paryzcy. W ramkach pod szkłem złożony jest pukiel włosów jego matki, a naprzeciwko łóżka wisi portret księcia de Berry w naturalnej wielkości.

Pracownik niezmordowany, hrabia budzi się wraz z pierwszym okrzykiem koguta, ową gallijską fanfarą. Gabinet własny, biblioteka i pracownia mieszczą się w jednej sali; książe — literat jest i bardzo przyjemnym malarzem. Zasiadłszy do dużego mahoniowego stołu, pokrytego książkami i raportami, hrabia pisze bez odpoczynku aż do śniadania. Po śniadaniu które ma miejsce w południe, oboje hrabiostwo zwykle wyjeżdzają w powozie zamkniętym, zaprzężonym w parę koni. O szóstej jedzą obiad, a o trzy kwadranse na siódmą, przechodzą do salonu na pogawędkę i muzykę.

Pewnego razu, Roger przyjmowany był przez hrabiego; po obiedzie artysta zasiadł do fortepianu

na którym rozłożona była partycya *Córki Regimentu*. Tenor i hrabia który posiada bardzo piękny głos, zaśpiewali razem, ale doszedłszy do połowy pasażu: *O Francyo, moja ojczyzno!*, Roger się spostrzegł że śpiewa już sam; obraca się i cóż widzi? — hrabiego Chamborda ze łzami w oczach, któremu wzruszenie przerwało głos.

V.

Fantastyczny nocleg. — Istrya. — Illyrya. — Groty w Adelsbergu. — Styrya. — Obecne położenie Austryi. — Rajzenderka z Berlina. — Katastrofa w Steinbrück. — Grac. — Prusacy w Austryi. — Styryjscy myśliwi. — Bismarck-szampan.

Była noc czarna gdy ostatni pociąg z Goritz dowiózł mnie do Nabressiny, małej stacyi, w środku drogi pomiędzy Miramarem a Duino, położonej prawie na samym szczycie Karstu. Musiałem tam nocować. Garson uzbrojony w pochodnię, poprowadził mnie z restauracyi banhofu do jakiegoś małego domku, którego drzwi dopiero na skutek kilkominutowych negocyacyj prowadzonych przez okno, otwarły się. Stara chuda kobieta, o żółtej skórze, nosie haczykowatym i oczach błyszczących jak dwa węgle, prawdziwa bohaterka z powieści Hoffmana,

odchyliła jedną połowę drzwi, wyciągnęła rękę po mój worek podróżny i wezwała mnie bym wszedł. Niebawem znalazłem się w małej stancyjce w której paliła się na kulawym stoliku świeca łojowa; stara zamknęła za mną drzwi na klucz, na dwa spusty, z obawy widocznie abym w nocy nie zemknął wraz z pościelą jej łóżka i ściennym zegarem. Otworzyłem okno aby się rozpatrzyć gdzie jestem: brzęk łańcucha zazgrzytał po kamieniach, i wściekłe szczekanie psa odpowiedziało na moją ciekawość. Nic nie mogłem zobaczyć, tak noc była ciemną; zdecydowałem się pójść już spać z myślą że jestem jeńcem starej czarownicy.

Przed świtem jeszcze, usłyszałem silne do moich drzwi pukanie: była to gospodyni która przyszła mi oświadczyć że czas abym wstał jeżeli nie chcę się spóźnić na pociąg przechodzący o godzinie szóstej. Naturalnie, wyskoczyłem z łóżka z tym samym pośpiechem z jakim Łazarz wyskakiwał z grobu; na dole czekał już na mnie ten sam garson restauracyjny, z tąż samą pochodnią.

Miałem jeszcze czas zjeść śniadanie, co było bardzo pożądanem; w chwili odjazdu, słońce zeszło i oświeciło po raz ostatni w moich oczach wspaniałą perspektywę Adryatyku z jego zielonemi wyspami i złoconą mgłą.

Jak tylko morze znika z oczu, cała ta dzika okolica staje się pustą, nudną, jednostajną jak kawałek

Arabii Skalistej; kamieni jest tu tyle a tak mało rozrywek dla oka, że zdawaćby się mogło że to droga do raju. Wzdłuż linii wznoszą się wielkie baryery zbite z desek, rodzaj płotu, dla zasłaniania pociągu od wiatrów i śnieżnych zawiei.

Istrya jest istnym krajem kontrastów. Tu, wznoszą się góry nagie i jakby obdarte z roślinności, tam roztaczają się przepyszne doliny pokryte winogronem, ocienione oliwkami i mirtami, dalej rozpościerają się całe ogrody drzew pomarańczowych i fig barbaryjskich; w czasie kiedy nasze drzewa pozbawione liścia drżą od zimna i mroźnego śniegu, cytryny tu dojrzewają a w pełnem polu zbierają groch. W Pola rozkwita z całą siłą podzwrotnikowa flora, fauna jest tam również najbogatsza z całej Europy: jest tam pełno żółwi, kun i lisów; w górach spotyka się niedzwiedzi a w południowej Dalmacyi polują jeszcze na szakala.

W miastach ubierają się tak jak i wszędzie, ale nic nie ma oryginalniejszego i przypominającego więcej stan pierwotny ludów jak ubiór miejscowych chłopów: ubiereją się oni w rodzaj opończy sprzędzonej przez nich samych z ordynaryjnej wełny owiec, a na nogach mają łapcie skórzane przytwierdzone do stopy za pomocą rzemyków. W portach istryjskiego wybrzeża, obok pysznych statków widzieć można łodzie wydrążone z pni drzew, na sposób indyjski.

Pola, austryacki Tulon, od pewnego czasu nadzwyczajnie się rozwinął, panuje tam obecnie ruch przynoszący zaszczyt cesarskiej admiralicyi. W roku 1866 flota austryacka znajdowała się w bardzo smutnym stanie: wojenne jej okręty były to duże drewniane statki, za ciężkie do manewrowania, bez ostróg, uzbrojone w działa starego systemu, niedołężne w obec pancerników na które potrzeba było wcale innych armat. Ale mając majtków z Dalmacyi i Istryi, Tegetthow nie stracił nadziei, noce i dnie spędzał nad ich wymustrowaniem, nauczył ich obchodzić się z działami, pokrywać splotami z lin i łańcuchów słabe ściany statku. Podniósł ich szczególnie swoim entuzjazmem, przelał w nich własny zapał i ufność. „Takie jakiemi one są, — napisał do rządu, — biorę wasze statki i spodziewam się że z nich co zrobię.“

Gdy eskadra wypłynęła z portu, konsternacya była ogólną; szeptano sobie ponuro: „oni idą na niechybną śmierć“, a stare kobiety żegnając się trwożliwie odmawiały już modlitwy za umarłych.

Admirał Persano, na swojej pancernej fregacie, przechadzał się dumnie po Adryatyku; piękna jego flota stanowiła prawdziwie królewską świtę; powiadają że kazał umieścić na szczycie wielkiego masztu swojej korwety miotłę chcąc tem pokazać jak łatwem uważa swoje zadanie; ogólne było przekonanie że wy-

starczy jednego wystrzału z jego armstrongów aby całą eskadrę austryacką rozpędzić.

Tegetthow przystanął pod Fasana, na północ od Poli; doniesiono mu że włosi mają zamiar wziąść Lissę, największą z wysp grupy dalmackiej, która liczy około pięciu tysięcy mieszkańców i stanowi dla Adryatyku Maltę.

Dnia 20 lipca, o świcie „Piemonte“ wysadził rzeczywiście na brzeg Lissy batalion piechoty marynarskiej, a statki „Terribile“ i „Varese“ rozpoczęły ogień przeciwko fortom. Była ósma godzina; po nad falującem morzem wznosiło się przepyszne słońce, wyspę całą widać było jak na dłoni.

Nagle, na pełnem morzu zarysował się cień żagla jednego, drugiego, trzeciego. Admirał Persano wydał natychmiast rozkaz aby oddział piechoty który wylądował wsiadł napowrót na okręty, i uszykował swoją flotę do odparcia nowego tego nieprzyjaciela; rzeczywiście, któżby się był tego spodziewał, eskadra austryacka przybywała na pomoc Lissie. Za pomocą lunety widziano ją jak rozpuściwszy całą parę, biegła plutonami dywizyjnemi, tak aby uderzyć na flotę włoską trójkątem. Persano uformowawszy swoią linię bojową, przeszedł z synem, swoim naczelnikiem sztabu i jednym oficerem sygnałowym na pokład pancernika „Affondatore“; Jeden tylko deputowany Boggio nie chciał opuścić „Re d'Italia“.

Eskadra austryacka posuwała się ciągle naprzód z zadziwiającą szybkością, w porządku i z szykiem jakby na paradzie; już jej maszty, wiązanie, flagi były widziane na oko; admirał Persano złożył lunetę którą w ręku trzymał, i z wyciągniętą naprzód szyją, wzrokiem utkwionym przed siebie, miną niespokojną, wydawał rozkazy głosem w którym nie brzmiała już dawna pewność siebie. Tak mało się spodziewał podobnego ataku że stał niepewny, niezdecydowany: obawiał się zasadzki.

Ale flota austryacka ciągle płynęła z jednakową szybkością i jednością ruchów; zdawało się że ją wiatr na skrzydłach niesie.

Przestrzeń dzieląca obie eskadry zmniejszała się z każdą chwilą.

Gdy flota austyacka była już na strzał armatni, admirał Persano rozkazał dać do niej ognia flankowego; nie mięszając się ani się nie zatrzymując, austryacy odpowiedzieli żwawo za tę kanonadę, ale oślepione własnym dymem, statki ich chybiły celu: zamiast wpaść i trafić w pancerniki nieprzyjaciela, przebiegły pomiędzy niemi przez luki jakie stały otworem.

Ale wnet na rozkaz Tegetthowa, który stał na tyle pierwszego okrętu, eskadra się zawróciła.

Tegetthow rozkazał doboszom uderzyć na szturm.

Austryacy gotowi byli do powtórnego ataku; jakoż ich statki nawrócone zdwojoną siłą pary, uderzyły po raz drugi i trafiły tym razem na linię nieprzyjacielską, przy okrzyku: niech żyje Austrya!

Nastąpiło zamięszanie okropne; statek uderzał o statek, marynarze stali naprzeciw siebie prawie pierś o pierś; pomiędzy jedną eskadra a drugą wszczął się pojedynek zbiorowy w którym pojedynczy przeciwnicy szturmując, goniąc się, kanonując, pchając obrzucali się obelgami wśród tej burzy żelaza i ognia.

Działa grzmiały bez przestanku przy akompaniamencie strzałów z ręcznej broni; niekiedy następowała krótka pauza wsród której słychać było jęki i przekleństwa; ale wnet rozpoczynał się na nowo piekielny wrzask, kule armatnie sypały się jak grad a co chwila odgłos trzasku żelaza o żelazo, drzewa o drzewo, głuchy odgłos łamania się czegoś, wskazywał z jaką furją statki uderzały jedne o drugie.

Okręt admirała Tegetthowa, puszczony całą parą, spieniony, biegał dokoła jak byk rozwścieczony, szukając „Affondatora“;—wiedział że Persano się na nim znajduje i że statek ten miał boki malowane na kolor ciemno niebieski; — chciał się na niego rzucić. Już dwa razy uderzał na inne pancerniki biorąc je za „Affondatora“; nareszcie zajaśniało pośród ogólnego dymu i ciemności i Tegetthow spo-

strzegł przed sobą na wodzie, masę ciemno-niebieską, nieruchomą,

Oczy mu się zaświeciły, po bladej twarzy przegiegł uśmiech; chwyciwszy tubę zawołał do maszynistów głosem śpiesznym, urwanym, nakazującym: „puścić całą parę!“, poczem prostując się, z założonemi na piersiach rękoma czekał nieporuszenie. Gwizd świstawki rozległ się w powietrzu, i intelligentna fregata, pojmując myśl swego pana, zarysowując na fali szeroką bruzdę, rzuciła się ze ślepą wściekłością na stojący przed nią statek i w tej samej chwili, okropny trzask zagłuszył wrzawę bojową; całe plyty żelaza rozprysły się na sztuki i wyleciały w powietrze jak drzazgi ściany którą by rozbito taranem. Przebity statek przechylił się na bok i zanurzył swoją ranę w morzu. Ekwipaż gdy zobaczył że zaczyna tonąć, wydał okrzyk przerażenia i nastąpiła cisza, i jeszcze się raz rozległ okrzyk, ale tym razem tak straszny, pełen rozpaczy i śmierci że aż morze zadrżało. A potem nie widać już było nic tylko głowy i ręce bijące konwulsyjnemi uderzeniami po falach. Statku na powierzchni wody już nie było. Ale to nie „Affondatore“ los ten spotkał, jak mniemał Tegetthow, to „Re d'Italia“ zatonął z 400 ludźmi załogi. Wyratowano tylko tych co umieli pływać. — Gdyby kapitan admiralskiego statku austryackiego, nie był wpadł na myśl, aby w samej chwili uderzenie na „Affondatore“, wywrócić parę swojej maszyny, by się wy-

plątać z przebitego boku włoskiego okrętu, oba statki były zgubione. Majtkowie austryaccy których gwałtowne wstrząśnienie szturmu, obaliło wszystkich na pokładzie, powstali nietknięci z okrzykiem: „niech żyje Austrya!“

Było wówczas trzy kwandranse na jedenastą. Włosi przerażeni uciekli. Austryacka flota puściła się za nimi w pogoń ale ciężkie drewniane jej statki zostały niedługo zdystansowane. Nieszczęście jednak ścigało jeszcze eskadrę admirała Persano: w chwili gdy kapitan „Palestra“ w odpowiedzi na okrzyki austryaków, zawołał: „Niech żyją Włochy!“, na część nieopancerzoną jego statku spadł granat, który przebijając ścianę dostał się do składu prochu. Snop iskier i płomieni wyleciał w górę, huk podobny do uderzenia piorunu rozległ się w powietrzu, a szczątki drzewa, żelaza, armat i ludzkich członków rozsypały się na wsze strony; poszarpany szkielet „Palestra“ pobujał się jeszcze przez parę minut na powierzchni wód, otoczony płomieniami jakie go pożerały, i powoli, wśród grobowego milczenia, zanurzył się pod falą.

Wszystko już było skończone. Adryatyk był wymieciony; nie ujrzano już tam więcej ani floty włoskiej ani Persana z jego miotłą.

Gdy ją wcielono do Austryi, w roku 1767, Istrya była na pół zrujnowaną; egoizm rzeczpospolitej weneckiej kierował zawsze na swoją korzyść wszystkie źródła bogactwa i siły żywotne tej prowincyi: rolnictwo znajdowało się w opłakanym stanie, a przemysł i handel morski wcale już nie istniały.

Rząd austryacki wyznaczył dla Istryi stosownie do jej potrzeb, specyalną administracyę; pobudował drogi, pozakładał szkoły, zorganizował gminy. Istrya jest dzisiaj prowincyą autonomiczną; posiada własne ziemstwo, a dwóch deputowanych reprezentuje ją w sejmie państwa; od czasu Maryi-Teresy która pierwsza nadała znakomite przywileje Tryestowi, monarchowie austryaccy okazują wielką pieczołowitość dla tej prowincyji, zwanej po niemiecku „Kustenland“, to znaczy krajem nadbrzeżnym.

Niedawno jeszcze, czternastu członków sejmu państwa, udało się z Wiednia do Tryestu z zadaniem obmyślenia środków któreby poprawiły stan ogólny ludności istryjskich i dalmackich. Wprawdzie garstka ludzi przekonanych że są przedstawicielami stronnictwa włoskiego, skorzystała z tej sposobności by zorganizować anti-austryacką manifestacyę przed ratuszem gdzie właśnie odbywał się bankiet ofiarowany przez miasto Tryest reprezentantom monarchii; ale to już do sprawy nie należy.

Od stacyi San Peter, widok kraju już się zmienia. W miejsce gór nagich i skalistych wznosi

się sznór pagórków pokrytych drzewami, a pośród nich wychyla się dzwonnica kościoła, na około której zgrupowanych jest kilkanaście rzędów nizkich domów pomalowanych na sino: znajdujemy się w Karnioli, w Laybach gdzie również jak i w sąsiedniej stolicy kroackiej, w Agram, odbyły się niedawno głośne manifestacye panslawistyczne. Na 446,000 mieszkańców Illyryi jest tylko 36,000 niemców.

Co do Kroacyi, to ta liczy 1,816,150 mieszkańców z których 74 od sta przypada na słowian, 23 na serbów a 3 na magiarów, albańczyków i niemców.

We wszystkich tych prowincyach, gdzie panuje prawdziwie południowa wstrzemięźliwość, mieszkańcy są silni, piękni, a życie ludzkie dobiega ostatecznych swych krańców: widok stuletniego starca należy tam do bardzo zwykłych rzeczy. Przyrost ludności wynosi w Austro-Węgrzech rocznie 325,000 dusz; wszystkich mieszkańców ma ta monarchia 38 milionów; prześcignęła już pod tym względem Francyę i idzie zaraz po Rosyi i Niemczech. Wsie słowiańskie które stoją tam obok wsi niemieckich, w prowincyach jakie w tej chwili przebywamy, są daleko pracowitsze i moralniejsze od swych sąsiadów: we wsiach niemieckich jest o pięć czy sześć razy więcej dzieci nieprawych. U słowian rzadko kiedy się spotka głucho-niemego lub idyotę, podczas gdy u niemców jest ich na tysiąc mieszkańców, w Karyntii 4,02 a w Styryi 3,7.

W Laybach pociąg się zatrzymuje kilka minut. Nie ma tam nic godniejszego uwagi a pomnik Radeckiego nie jest tak znów ciekawym aby się dla niego podróżni mieli zatrzymywać. Laybach zwie się właściwie Ljubljane; jest to punkt bardzo ważny, gdyż panuje nad drogą od Dunaju do Adryatyku.

Pociąg ruszył dalej.

Karniola jest krajem cudów podziemnych. Pod jej gruntem najeżonym kamieniami i granitem, mieści się przepyszne państwo mineralne, ciągnie się cały szereg bajecznych grot, jaskiń piękniejszych od jaskini Ali - Baby z jej czterdziestoma ministrami, i podziemi które prowadzą do istnych zaczarowanych pałaców.

Groty adelsbergskie przechodzą wszystko co najfantastyczniejsza imaginacya może sobie wyobrazić; słoje wapiennych urwisk, stalaktyty i stalagmity tworzą tam całe lasy jakby cyprysow i palm: tu spadają w kształcie szerokich draperyj o fantastycznych zwojach, tam strzelają w górę kolumnadami i pilastrami, zginają się w łuk i półkule jak gotyckie katedry, a pośród tego wszystkiego, wzrok uderzają mgliste zarysy postaci ludzkich i zwierzęcych. Napotyka się w tych podziemiach jeziora o czarnych wodach, zaludnionych przez ryby u których oczy pozbawione optycznego nerwu, są w stanie zarodku; znajduje się niedoperze i mnóstwo much, owadów i skorupiaków bez oczów; słyszy się spadek kaskad

i szmer strumieni mruczących jak gnomy których obecność cudzych gości rozdrażni. Dwa razy do roku wyprawiają w tych grotach illuminacye na które tłumy ciekawych przybiegają z Wiednia i Tryestu.

Karniola posiada sławną kopalnię merkuryuszu, — kopalnię Idria. Merkuryusz znajduje się tam w stanie surowym; w wielu nawet miejscach ścieka ze skał w drobnych srebrnych kropelkach. Dawniej używano do roboty w tych kopalniach tylko skazanych na śmierć, którzy też i umierali tam po kilku latach. Dzisiaj pracuje już w Idria dużo ochotników; prawie każdy z nich zażywa arszenik, w dozach po kilka aż do dziesięciu nawet gramów, co parę dni, i jest zupełnie zdrów.

Ale otóż i Styria, sąsiadka Karyntii i Kroacyi. Jakaż to geograficzna szachownica z tej austryackiej monarchii! Aby się rozmówić z wszystkiemi swoimi ludami, cesarz Frańciszek-Józef musiałby znać siedmnaście języków i dyalektów. A cóż to za ciężkie zadanie,—rządzić, prowadzić, utrzymać w porządku i zadowolnić aż czternaście narodowości. Istny ha-
m ludów! Austrya przedstawia obraz Francyi
XV wieku, Francyi składającej się z narodów Nor-
dyi, Burgundyi, Bretanii i t. d. „Moje narody,
ł raz Józef II do pewnego ambasadora, obcymi
są jeden dla drugiego; ale to tem lepiej, bo nigdy
wszystkich razem nie napada jedna i ta sama choroba.

Używam jednych przeciwko drugim. Posyłam węgrów i czechów do Włoch a włochów do Węgier. Każdy pilnuje swojego sąsiada. U was przeciwnie, gdy nastanie gorączka, wszyscy jej od razu podlegają.“

System ten był dobry wówczas gdy Europa sama podzieloną była na mnóstwo państw i państewek; ale dzisiaj w obec dokonanych zjednoczeń Włoch i Niemiec, i w chwili gdy kwestya słowiańska się agituje, czyż podobny system nie jest zgubny?

Odezwanie się Metternicha o Włoszech nie może się zastosować do Austryi która nie jest nawet „wyrażeniem geograficznem“, i z pewnością, w dniu w którym by składające obecnie monarchię austro-węgierską narody, chciały się rozłączyć, Austrya przestałaby istnieć. Na szczęście jednak dla niej, zarówno słowianie między sobą jak i węgrzy i niemcy, do porozumienia przyjść jakoś nie mogą. Pomiędzy nimi nie ma węzłów braterskich, nie ma zgody; wszyscy chcą mieć pierwszeństwo, i każdy rządzi się polityką partykularza. Słowianie chociaż żadnych prawie nie mają praw politycznych za sobą, posiadają jednak liczebną większość; na czterech austro-węgrów przypada jeden niemiec, a na siedmiu jeden tylko madżiar.

Austryi po klęsce z roku 1866 zbrakło sprytu politycznego. Stracony wpływ i znaczenie na Zachodzie można było odzyskać na Wschodzie i opóźnić,

uniemożliwić nawet straszną walkę jakiej obecnie jesteśmy świadkami. Z tej strony przedstawiało się jej szerokie i żyzne pole do działania: czyż Austrya nie stoi u wrót krain które się same dopraszały o opiekę i cywilizacyę? Ale zamiast rozwinąć swoją energię w tym kierunku, Austrya skryła się jak żółw w swoją skorupę i nie daje żadnej już oznaki życia. Podstawami jej politycznemi wstrząsnął brak podstaw moralnych. Zabrakło centrum, nie stało punktu oparcia. Jest to chaos. Pośród tych chęci i rządz które się wyzywają w szranki bojowe, sprzecznych każdego z osobna interesów które się szarpią wzajemnie, harmonja znikła, a Wiedeń z Pesztem zdają się grać w palanta – koroną.

Powyższe myśli zajęły mnie aż do stacyi Pragergof zkąd wsiadło do naszego wagonu jeszcze parę osób. Jest nas teraz sześcioro włącznie z bardzo otyłą jedną damą którą śmiałoby liczyć można za dwoje. Opowiada ona swojemu sąsiadowi że jest komi-woyażerką od win szampańskich, że dom jej ma swoją firmę w Berlinie, i że ona sama posiada prześlicznego pieska-Milorda, którego okrutny i dziki konduktor nie pozwolił jej wziąść do wagonu na kolana. Stary oficer którego ta pani obdarza swemi konfidencyami, słucha tego wszystkiego gładząc siwiejące faworyty i zdaje się być daleko więcej zajętym swoją sąsiadką z prawej strony, młodą polką która powraca

z Włoch z matką. Polki są pełne zachwycającego wdzięku—przypominają leśne róże.

W głębi przedziału siedział spokojnie niemiec w okularach i paląc porcelanową fajkę, trzymał sobie ciągle przed oczyma fotografię narzeczonej.

Stary kapitan zwrócił się do mnie i opowiedział historyę zawalenia się Steinbrucku po gruncie którego przejeżdżaliśmy właśnie.

Wypadek to był przerażający: Na wioskę Steinbruck, położoną w głębi ciasnej doliny, nad brzegiem Sawy, i opartej o górę, spadła lawina oderwanych skał i całą osadę w proch starła. Pociąg z Wiednia do Tryestu przed chwilą był przejechał, ale niedługo miał przebiedz pociąg idący z Tryestu, i naturalnie musiałby się rozbić o gruzy piętrzące się na drodze, bo i słupy sygnałowe i telegraf zostały porwane.

Położenie było groźne. Dróżnik nie zawachał się ani chwili: pomimo ciemności, przebył w pław Sawę, i ze skały na skałę dowlókł się na drugą stronę linii, gdzie dając rozpaczliwe sygnały zapaloną pochodnią, zatrzymał pociąg który już nadbiegał. Ten dzielny człowiek który uratował życie paruset osobom, był tak przekonany iż li tylko swoją powinność spełnił, że mocno się zadziwił gdy mu za to przyznano gratyfikacyę.

— Podobno wojsko austryackie rozpoczyna mobilizacyę? — zapytałem kapitana po chwili.

— Zkąd znowu! To z Berlina puszczają wszystkie te kaczki. Tam by chcieli żebyśmy się sami w błoto wpakowali; ciągle nas popychają do zajęcia Bośnii i Hercegowiny i zabrania obu tych prowincyj, bo doskonale wiedzą że jakby tylko słowianie u nas otrzymali większość, to niemcy w niebogłosy by zaczęli krzyczyć na oppresyę i wołaliby na pomoc Bismarcka by ich z pod jarzma austryackiego wydobył. Taka to ich gra; ale znamy się na tem!

Komiwoyażarka która była przedstawicielką nie tylko berlińskiego szampana ale i ferworu pruskiego, zaprotestowała: „To francuzi — zawołała, — wymyślają wszystkie te rzeczy!“

— Berlin wymyślił już przecie szampana! odciął się kapitan.

— Mój szampan!... Ach! pan poniewierasz szampanem-Bismarck, z domu Fuchs i Spółka! No to pan spróbuj a potem mów... no, zobaczymy.

I rajzenderka wyjęła ze skórzanego mantelzaka małą butelkę o złoconej szyi, opatrzoną etykietą z portretem księcia Bismarcka; wysadziła korek przez okno i podała swojemu sąsiadowi szumiącą flaszkę.

Kapitan wypił wino duszkiem.

Niezłe, niezłe, — rzekł oddając butelkę i cmokcząc językiem.

Byliśmy już w Grac, stolicy Styryi; jest to miasto jedno z największych w Austryi, a zbudowali go słowianie w VI wieku. Jest to dzisiaj dzielnica „par

excellence" *niemiecka* w duchu pruskim; Grac urządza dzisiaj manifestacye pruskie, tak jak Tryest włoskie.

W propagandzie swojej, zuchwalstwo pruskie nie zna granic i objawia się nieraz w sposób ubliżający zarówno dla monarchy jak i dla dumy narodowej austryackiej.

I tak, na jednym z ostatnich konkursów naturalistów jaki się odbył w Grac, na gmachach publicznych i domach prywatnych powiewały same tylko chorągwie o barwach czarnej, białej i różowej, (Prusy) i czarnej, różowej i złotej (Niemcy). Oznak austryackich—(kolor czerwony, biały i czerwony) nigdzie widać nie było.

Grac, który jakem to już wyżej powiedział podlega silnej presyi z Berlina, znalazł to wszystko bardzo naturalnem i nawet patrzał obojętnie jak zdejmowano z wieży jednego kościoła chorągiew narodową którą był tam zatknął oburzony jeden austryak.

Cóś podobnego działo się i w Ried w Wyższej-Austryi. Na zebraniu rolniczem jakie miało miejsce w tem mieście w roku 1871, komitet rolniczy kazał wywiesić chorągwie pruskie i niemieckie, nie troszcząc się bynajmniej o austryacką; ale tym razem, kulturtregerom wyszło to jakoś na niedobre, bo władza wmięszała się do sprawy. „Bezirk-Hauptman" (naczelnik powiatu) rozkazał zrucić „zagraniczne"

amblemata i zatknąć flagi narodowe, a komitet rolniczy skazał na 50 guldenów kary.

W całym Tyrolu prusacy również w podobny sposób propagują idee swojego kulturkampfu. Ale mają oni obecnie w tej prowincyi nieubłaganego wroga w osobie gubernatora hrabiego Taaffe. Hrabia wydał już i wydaje ciągle rozporządzenia skrócające zapał i popędy berlińskie.

Sam Grac znajduje się w przepysznem położeniu; otoczony jest ogrodami które mu zastępują stare fortyfikacye, horyzont tworzą mu zielone bory a od wiatrów i burz zasłaniają go również jak i starą fortecę i rzekę Mur,. okoliczne góry. Życie przytem jest tu spokojne i tanie. Ktoś powiedział że Grac jest „Pałacem Inwalidów" austryackiej monarchii, i miał racyę; tu to zjeżdżają na stałe mieszkanie pułkownicy—emeryci, radzcowie którzy odbywają już narady tylko ze swemi kucharkami, profesorowie którym zbrakło już głosu, wzroku i słuchaczy. Każdy urzędnik na pół pensyi, przenosi się do tego miasta w którego okolicach rozciągają się niezmierzone okiem pola kartofli, gdzie dojrzewa winogrono, a krzaki zapełniające rowy roją się od zwierzyny.

Pociąg biegnie dosyć szybko. Od czasu do czasu widzę na wzgórzach ruiny jakiego zamku, lub pokryty czerwoną dachówką dach willi. Ale niezadługo krajobraz się zmienia: zbliżamy się do regionu alpejskiego. Tu i owdzie wznoszą się już śpiczaste góry,

zdala widać na horyzoncie śnieżne szczyty, a na lewo i prawo skupiają się jakby w wojennym ordynku świerkowe lasy.

Ta część Styryi obfituje w jelenie, dzikie kozy, sarny i cietrzewie. Poluje się tu bardzo rzadko z naganką lub psami; prawdziwe polowanie w tych górach opiera się na zasadzce: myśliwy ukryty za drzewem lub skałą do której się doczołgał, czeka na jelenia lub kozę i z nienacka, niespostrzeżony, o kilkaset metrów odległości, posyła kulę upatrzonemu zwierzu.

Do tego potrzeba mieć zdrowe nogi, dobrą głowę i lepsze jeszcze oko. Ale czyż rozkosz błąkania po tych pustkowiach i zastępach, sam na sam z naturą prawie tak piekną i nietkniętą jakby z rąk stwórcy dopiero wyszła, nie wynagradza zmęczenia i trudów, nie odkupia niebezpieczeństwa! Pod ciemnem sklepieniem borów panuje cisza uroczysta, nad skałami buja tylko orzeł; człowiekowi może się tam zdać że jest panem.

W Peggau, u stóp Schocklu, spostrzegliśmy kilku myśliwych. Kostium tych panów jest bardzo oryginalny i przypomina strzelców tyrolskich. Na głowie noszą kapelusz zielony, w kształcie głowy cukru, przybrany w ogon koguci i brodę dzikiego kozła; resztę kostiumu stanowią kurtka sinego koloru z kołnierzem i wyłogami zielonemi, obcisłe spodnie ze skóry koziej, wyszywane czarnym jedwabiem,

szeroki pas skórzany, gołe kolana, grube wełniane zielone pończochy i grubsze jeszcze podbite gwoździami trzewiki. Dodawszy do tego długi na siedm stóp kij z żelaznym końcem i flintę o lufie mierzącej metr długości i głęboko żłobkowanej, będziemy mieli obraz dokładny styryjskiego strzelca. Strzały ich na sześćset kroków są celne.

Od niejakiego czasu spostrzegłem że kapitan był jakoś dziwnie niespokojny; to przeglądał marszrutę kolejową, to na zegarek patrzał, to wychylał się przez szybę drzwiczek. Prawą nogę zakładał na lewą, lewą na prawą, i wyciągał bez miłosierdzia długie swoje faworyty...

— Barnegg! — dwie minuty! zawołali konduktorzy.

Kapitan wypadł jak bomba z wagonu porywając z sobą gazetę palącego porcelanową fajkę niemca.

Sygnał odjazdu rozległ się: zadzwoniono trzy razy; nim zdążyliśmi przestrzec konduktora o nieobecności jednego z naszych towarzyszów, drzwiczki zatrzaśnięto.

Lokomotywa była już puszczoną gdyśmy ujrzeli na platformie biegnącego kapitana, machającego rozpaczliwie rękami aby pociąg się wstrzymał.

Ale lokomotywa była głuchą na jego krzyki.

Ja, wydobyłem z kieszeni książeczkę notatkową i zapisałem dla pamięci: „Nie pić szampana—Bismarcka, chyba na czczo; w każdym razie nigdy w podróży."

VI.

Galicyjski romanso-pisarz. — Jakim sposobem Sacher-Masoch stał się pisarzem. — Jego dzieła. — Jego salon. [1])

Na stacyi Bruck-an-der-Mur, czekał na mnie pan Sacher - Masoch; nie widziałem nigdy ani jego portretu ani fotografii, a byłbym go poznał między tysiącem ludzi: autor „Opowiadań galicyjskich" obdarzony jest fizyognomią pełną wyrazu która go zaraz wyróżnia od reszty tłumu; oczy ma błyszczące, włosy czarne, gęste, spadające w puklach, usta delikatne, cerę bladą.

Bruck-an-der-Mur jest małą nędzną mieściną,

---

[1]) W rozdziale niniejszym autor przytacza kilka anekdotek o słynnym Żółkowskim, ojcu znakomitego naszego aktora, opowiedzianych mu przez pana Sacher - Masocha. Opowiadania te opuszczamy bo parę z nich wszyscy nasi czytelnicy znają na pamięć, a reszta nie jest zgodna z prawdą i wyrodziła się tylko w bujnie-fantastycznej wyobraźni pana Sacher-Masocha który zresztą znany jest powszechnie ze swych autorskich elukubracyj. — (przypisek tłómacza.)

cichą jak klasztor mniszek. Nie widziałem nigdy nic więcej prozaicznie mieszczańskiego od domu w którym mieszka autor „Legata Kaina“: na dole jest sklep mączarza, a naprzeciwko mieści się kupiec korzenny.

W salonie przyjęła mnie pani Sacher-Masoch, otoczona dziećmi; – mały chłopczyk i zachwycające dwie dziewczynki bawiły się w pokoju, przy głośnych okrzykach i śmiechu.

Obok salonu, za kotarą na wpół uchyloną znajduje się gabinet pana domu, — komórka pszczoły. W tym to gabinecie, napisał on drugą część „Legatu Kaina“ (Własność) i wielki romans anti - pruski, „Dążności naszych czasów“, przetłómaczony dwa razy na język francuzki pod tytułami: „Złoty Cielec“ i „Dzisiejsi Prusacy“.

Okno tego spokojnego sanktuaryum otwiera się na ogródek po za którym ciągną się szerokim pasem niezmierzone okiem łąki i lasy.

Sacher-Masoch ukochał naturę i czerpie w niej swoje instynkta, zapał i natchnienie.

Kiedy ranek jest piękny, małżonkowie wyjeżdżają razem, konno i kilka godzin spędzają wśród lasów które im gotują duchową ucztę. Zielony świerk, dumna ze swej korony sosna, kobierce mchu, świergot ptasząt, szept sączącego się po kamykach strumienia, czerwona jagoda, wszystko to jest dla nich zachwycającem i stanowi ich szczęście. Szczęśliwi!

Sacher-Masoch już trzy lata jak opuścił Wiedeń by tu zamieszkać pośród ciszy, spokoju i szczęścia.

Dano nam znać że obiad na stole. Gospodyni uraczyła swoch biesiadników doskonałemi rybami i sarnią pieczenią.

— Czy to cesarz Franciszek - Józef—spytałem Sacher-Masocha,—obdarzył pana orderem?

— Nie — odpowiedział mi uśmiechając się, — mnie żaden monarcha nigdy nie protegował; nie jestem człowiekiem któryby należał do jakiej partyi lub koteryi, i nigdy nikt dla mnie nic nie zrobił, z czego co prawda, jestem dumny. Czem jestem, sobie tylko zawdzięczam, a może i moim nieprzyjaciołom. Tytuł Kawalera jaki noszę, jest w naszej rodzinie dziedzicznym, otrzymał go mój ojciec za usługi jakie rządowi wyświadczył podczas powstania z lat 1831, 1846 i 1848; ojciec mój był naczelnikiem policyi we Lwowie, i w tem to mieście ja się urodziłem w roku 1836 dnia 27 stycznia. Cała moja młodość zeszła mi w otoczeniu żandarmów, żołnierzy, złodziei i spiskowców. Co dzień pod naszemi oknami ćwiczono skazanych rózgami. Lato spędzałem na wsi, gdzie uzbrojony w strzelbę, całe dnie przesiadywałem po lasach, błotach i górach jak prawdziwy kanadyjski strzelec. Całemi nieraz godzinami leżałem na skale i wpatrywałem się w przestrzeń. Największem dla mnie szczęściem było

rozmawiać z chłopami i słuchać ich opowiadań i historyi.

— Wybacz mi pan moje natręctwo w zadawaniu ci ciągłych pytań, — rzekłem, — ale pan wiesz że szczegóły o autorze którego się lubi czytać, zajmują: Jakim sposobem i zkąd przyszła panu myśl napisania „Opowiadań galicyjskich", bo o ile wiem toś pan przez długi czas był profesorem historyi i wcale nie myślałeś o karyerze literackiej.

— Byłem wówczas w Grac i w tamtejszym uniwersytecie miałem katedrę historyi; zwykle przepędzałem wieczory u baronowej Gudenus. Pewnego razu opowiedziałem jej parę epizodów z czasów powstania w roku 1846. „Zrób pan z tego książkę, — rzekła, będzie to prześliczny romans."

„Poszedłem za jej radą i napisałem „Emisaryusza"; wydana najprzód w Szwajcaryi, pierwsza ta moja książka zyskała powodzenie i w krótce wyszło jej drugie wydanie. Zachęcony, napisałem drugi romans-historyczny p. t. „Kaunitz". Gdy to się działo, przybył do Grac, Kürnberger, autor sławnej książki: „America - Muden". Poradził mi porzucić rodzaj pospolitego powieściopisarstwa niemieckiego, i wziąść się do opowiadania rzeczy swoich; „opiewaj — rzekł do mnie — Karpaty, ich strzelców, stepowych opryszków, piękne chłopki o królewskiem sercu i panów biesiadników co wznoszą toasta w trzewik : dam".

„ Wziąłem się natychmiast do drzieła, i we dwa tygodnie potem czytałem już Kurnbergerowi mojego „Jana de Kolomea“, — powiastkę która ustaliła moją reputacyę.

— Ta powieść — rzekłem, jest pełna prawdy i boleści.

— Napisałem ją jakby krwią z własnego serca, bo wówczas płakałem; jest ona echem tortur jakie mi sprawiała kobieta którą kochałem i która wtrąciła mnie w istny chaos tragicznych awantur. Ta kobieta jest główną bohaterką drugiej mojej powieści: „Rózwódki“.

„Teraz pan pojmujesz? nieprawdaż. — Ta mała dziewczynka, dodał pokazując na dziecko stojące opodal, to wszystko co mi po niej zostało.

Spojrzałem na dziewczynkę i uderzyły mnie melancholijny wyraz jej oczu czarnych i dziwna piękność.

— Podczas mojego pobytu w Grac,—opowiadał dalej Sacher-Masoch, miałem dziesięć pojedynków. W Austryi bronię sprawy słowiańskiej. Mógłbym pisać po rosyjsku, ale wolę pisać po niemiecku aby toczyć walkę na gruncie moich przeciwników.

„Pierwsze studya odbyłem po łacinie, w uniwersytecie nauczyłem się po czesku a później dopiero po niemiecku, w którym to języku pisząc jeszcze dzisiaj, robię sporo ortograficznych zmyłek.

Po skończonym obiedzie przeszliśmy do salonu gdzie gospodarz pokazał mi kilka próbek krytyk które pierwsze jego dzieła wywołały w dziennikarstwie niemieckiem. Dzisiaj jest już zupełnie co innego. „W historyi cywilizacyi naszego wieku,— pisze n. p. „Pantheon“, Sacher-Masoch nie może być pominięty, ma prawo zająć miejsce obok Makarta, Ryszarda Wagnera i Schoppenhauera.“ — „Przyszłość powieści i romansu, mówi „Werkeher“ leży w tej młodej szkole na której czele stoi Sacher-Masoch“.

Gdyśmy sobie w najlepsze gawędzili, przybyli goście; były to znajome gospodarstwa, panie z Bruck i jeden doktór, polak, postać bardzo oryginalna, którą pewnie znajdę gdzie w jakiej powiastce galicyjskiej.

Rozmowa przybrała niedługo bardzo ożywiony charakter. Sacher-Masoch lubi i umie mówić do czego znakomicie mu dopomaga nadzwyczajna pamięć; pamięta on wszystko co kiedykolwiek widział, słyszał lub czytał. Anegdoty sypią mu się jak z rękawa.

VII.

Brück-an-der-Mur. — Pióro Napoleona. — Dolina Murzy. — Semmering. — Czerwony Djabeł. - Neustadt. — Spisek węgierski. Baden. — Zamek Radbota.

Nazajutrz odbyłem ranny spacer z państwem Sacher-Masoch, którzy się namówili aby mnie zatrzy-

mać; chcąc mnie skusić, obiecali mi polowanie na jelenia; była to moja słaba struna, ale w Wiedniu byłem już oczekiwany od dwóch tygodni i nie mogłem się dłużej spóźniać.

Bo to karnawał miał się już ku końcowi, a dziś karnawał w Wiedniu czyż to nie karnawał wenecki? Nad te zapusty z muzyką Strausa, maskaradami w Salonie Kwiatów, Kąpieli Diany, Koloseum, nie znam nic co by było więcej wesołe, hulaszcze odurzające!

Ale nie ubiegajmy wypadków; jesteśmy jeszcze w Brück, pod murami starego zamku książąt styryjskich. — Sacher-Masoch. stawszy się na nowo profesorem historyi, opowiada mi historyę księcia Ernesta Żelaznego, którego tak przezwano z powodu iż łamał w ręku sztaby żelaza. Książe ten chciał koniecznie pojąć za małżonkę księżniczkę co by była również silną jak i on, i ożenił się z polką która dnie swoje spędzała na trapieniu niedźwiedzi, a tak była mocną że pięścią wbijała w podłogę gwoździe.

Książęcy pałac ze swojemi pilastrami i kolumnami marmurowemi o rozmaitej barwie, robi wrażenie dziwnej jakiejś budowli, na którą się złożyły styl gotycki i włoski. Na frontonie widzi się, nie wiedząc jaki związek ma pomiędzy niemi zachodzić, głowę mongoła i psa.

Kaplica która stoi tuż obok, jest zdaje się bardzo starą; główne jej drzwi są „majstersztykiem“

sztuki ślusarskiej; rząd ma zamiar wysłać je na wystawę paryzką.

O kilka kilometrów od Bruck stoi Leoben sławne z traktatu z roku 1797; jest to najbogatsze miasto na świecie: płaci nie tylko wszystkie podatki za swych mieszkańców, ale ci ostatni otrzymują jeszcze z gminy roczną rentę z miejskich posiadłości. W małym pawilonie zachowują tam jeszcze pióro którem Bonaparte podpisał traktat pokoju; zdaje mi się jednak że z tem piórem dzieje się to samo co z piórem Woltaira: Co tydzień kupuje je jakiś anglik.

Wiadomo że hrabia Cobentzel usiłował otrzymać od zwyciężcy ustępstwa; Bonaparte uniósł się gniewem i ciskając na ziemię filiżankę porcelanową która rozprysła się w sztuki zawołał: „Nie zmuszajcie mnie do rozpoczynania na nowo wojny, bo z monarchią waszą zrobiłbym to samo co z tą filiżanką!“

We dwa dni potem, młody generał mówił z emfazą do arcyksięcia Karola: ,,Jeżeli ten pokój może ocalić życie chociażby jednemu tylko człowiekowi, będę z tego szczęśliwszy i dumniejszy niźli z chwały zdobytej na polach bitwy!“

W kilka lat później, Napoleon zapominając co powiedział Bonaparte, brał z rąk Berthiera listę konskrypcyjną i wołał radośnie: ,,Więc mam do wydania 10,000 ludzi co miesiąc!“

Wdrapaliśmy się także na ruiny starego zamku w Bruck, gdzie stoi jeszcze sześć armat francuzkich z wypisanym na nich rokiem 1792 i z dewizą: *Wolność, Równość i Braterstwo*; po czem, w południe pożegnałem się z głośnym pisarzem u którego byłem gościem i wsiadłem na pociąg do Wiednia.

Dolina Murzy w którą wjechałem, jest okolicą bardzo pracowitą; koła młyńskie obracają się na wsze strony, zewsząd słychać zgrzyt piły i stuk młota o kowadło. Kuźnia stoi tam obok kuźni. W nocy wygląda to wszystko na jakąś dzielnicę wulkanów wyrzucających z siebie snopy iskier i ognia, a pośród tego światła i blasków, kowale przypominają cyklopów a ciężkie ich młoty, maczugi. Ale cały ten przemysł miejscowy nie leży w ręku krajowców; te młyny, kuźnie, fabryki należą do czechów, francuzów i niemców. Styryjczyk nie posiada ducha przedsiębierczości; ma on skłonności pasterskie: żyje byle czem, sam się odziewa, ale za to potrzeba mu górskiej swobody, piosenek górskich i stada krów czy kóz, które z dumą prawdziwie królewską prowadzi pomiędzy góry i skały.

Krowy z doliny Murzy nie są pospolite; przeciwnie, są wysokiej rasy: ich podobieństwo z rasą indostańską jest tak rażące, że naturaliści utrzymują iż sięgają one czasów emigracyi ludów indo-germańskich. Krowy te są maści popielatej, nozdrza i pysk

mają czarne, a rogi ich wyróżniają je od innych ras europejskich.

W Murzzuschlag poczyna się wznosić Semmering. Semmering który dzieli Styryę od właściwej Austryi, jest górą wysoką na 992 metry, a kolej która przezeń przechodzi mogła by się policzyć do cudów świata, gdybyśmy jeszcze w naszym wieku pary i elektryczności liczyli się z cudami.

Niegdyś, u stóp Semmeringu rostaczał się las tak gęsty i głęboki że wszyscy opryszkowie monarchii znajdowali w nim pewne schronienie; latem biwakowali w gąszczach, zimą chronili się do jaskiń. Za panowania Ottokara V, rabusie ci zorganizowali się nawet w formalną armię i napadali na okoliczne zamki i wsie, rabując i mordując co im w ręce popadło. Cała okolica przejęta była paniką; chłopi wodza tych opryszków przezwali Czerwonym—Djabłem. Jedni opowiadali że ten Djabeł był to student wypędzony z uniwersytetów; drudzy że syn jakiegoś magnata, zrujnowany rozpustą i grą. W każdym razie, nie był to zwyczajny człowiek, i musiał posiadać jakieś sztuki magiczne, bo tyle razy był otaczany przez wojsko i zdawało się że niepodobieństwem mu będzie się ocalić, a jednakże zawsze uchodził cało i żywo.

W owym to czasie stał pod miasteczkiem Leoben duży browar z austeryą a właścicielem tego zakładu był Jerzy Steinbek. Jerzy należał do owych ober-

żystów tradycyjnych których rasa dziś już wyginęła; był zawsze jednakiego humoru, wesół i gotów do usług. Ponieważ miał dobre serce i był uczynny, w ogródku jego pełno zawsze było wędrownych muzykantów i studentów którzy wiedzieli że z austeryi imci pana Steinbeka z próżnemi rękami nie wyjdą, bo nie brakuje nigdy gości tam gdzie jest grzeczny gospodarz a lepsze jeszcze piwo i mużyka.

Ale co szczególnie przyciągało amatorów piwa do ogródka pana Jerzego, to była jego córka, piękna Berta; kończyła właśnie lat ośmnaście, a była różową jak róża a żywa i figlarna jak wiewiórka. Od czasu śmierci matki zarządzała całym domem i była wzorową gospodynią.

Wielu już bogatych młodych ludzi z Leoben prosiło o jej rękę; ale piękna Berta dawała każdemu rekuzę oświadczając że pójdzie tylko za tego kogo jej serce wybierze.

A kochała dzielnego chłopca, towarzysza lat dziecięcych, który musiał pojechać do Dolnych-Węgier dokąd wezwała go była chora ciotka. Młodzieniec ów miał na imię Andrzej, posiadał szlachetne serce i silne ręce nie wstydzące się pracy.

Był miesiąc maj. Jednego poobiedzia, kiedy ogród austeryi był już pełen gości, przeszedł ogrodową furtkę młody człowiek około lat dwudziestu ośmiu, o twarzy opalonej, czarnych oczach i długich spadających w puklach na ramiona kruczych włosach;

na ramieniu miał zawieszoną arfę, a ubrany był dość wykwintnie: obcisły aksamitny kaftan przepasany pasem z czerwonej skóry, uwydatniał delikatne i zarazem silne kształty jego figury. Ukłonił się grzecznie zgromadzonym, uderzył kilka akordów i zaśpiewał towarzysząc sobie na instrumencie. Głos jego był silny i harmonijny,—przenikał aż do duszy; słuchacze powstali wszyscy z miejsc by mu przyklasnąć. Gdy śpiewak z czapeczką w ręku obszedł kolej stolików, napełniono mu ją miedziakami; gdy powrócił na miejsce znalazł tam Bertę która czekała już na niego ze szklanicą szumiącego piwa. Przysunął szklankę do ust rumieniąc się, lecz pijąc oczy miał wlepione w zrenice dziewczyny.

— Dziękuję ci, rzekł oddając jej próżną szklankę; Bercie ręka zadrżała.

Piękny wędrownik zaśpiewał jeszcze melodyjną balladę miłosną, po czem musiał przyrzec zgromadzeniu że jutro powróci.

Przechodząc koło Berty, schylił wdzięcznie i z uszanowaniem głowę, a kładąc rękę na sercu, szepnął wzruszonym głosem: „Do widzenia!“

Ona także schyliła głowę by ukryć rumieniec jaki na jej twarz wytrysnął, a gdy już była w swoim pokoiku zdawało się jej że ciągle ma przed oczami śpiewaka; dziwnem się jej tylko wydało że widziała na jego czerwonym pasie krew.

Nazajutrz śpiewak, stosownie do obietnicy powrócił, a piosnki jego były więcej jeszcze upajające niż poprzednie. Błagano go by jeszcze powrócił. Berta ukryła się w kąciku by otrzeć łzy fartuszkiem. całą noc nie spała.

Było jeszcze bardzo rano gdy zeszła do ogródka, wszyscy spali w domu; ale jakież było jej zdziwienie! O dwa kroki przed sobą ujrzała opartego o drzewo i spoglądającego na nią, śpiewaka.

— Co pan tu robisz? — zapytałała zmięszana.

— Czekam na ciebie.

— Na mnie?

— Tak Berto na ciebie, bo ja cię kocham, sława twojej piękności doszła aż do mnie, chciałem się przekonać czy ty rzeczywiście jesteś tak piękną. Oh! jesteś piękną, sto razy piękniejszą niźli mi mówiono; widok twój zadecydował o mojem życiu: ile ja cię kocham, to ci musiały powiedzieć moje oczy, moje pieśni. Nic już nie zdoła ugasić ognia jaki rozżarzyłaś w mojem sercu...

„Ja nie jestem biednym, biednym śpiewakiem za jakiego mnie bierzesz; ja jestem bogaty i potężny, a mieszkam w pałacu jakiego żaden książe nie posiada. — Słuchaj dziewczyno, rzekł cichym głosem schylając się nad nią, chcesz iść ze mną? Chcesz być moją żoną? Będziemy tak szczęśliwi!

Berta drżała jak liść osiny wiatrem targany; pierś jej gwałtownie falowała.

Wziął ją za rękę, ale ona wyrwała mu się gwałtownie z uścisku i zawołała:

— Zostaw mnie pan! błagam cię; ja nie jestem wolną, mam narzeczonego!

I uciekła do swego pokoiku gdzie padłszy na kolana zaczęła się tak gorąco modlić iż nic nie widziała nic nie słyszała, nawet ojca który ją wołał na śniadanie:

Po obiedzie tego samego dnia w ogródku były tłumy, ale śpiewak nie przyszedł.

Berta przez resztę dnia była smutna i niespokojna; nareszcie gdy już się wszyscy rozeszli, odetchnęła z zadowoleniem i poszła sobie usiąść w kącie na ławce.

Niedługo wszedł do ogródka jakiś kaleka i zawołał ją po imieniu. Berta ocknęła się z zadumy:

— Czego chcesz? zapytała.

— Mam ci donieść nowinę, smutną nowinę.

— Co takiego? mów!

— No, ale uważasz panienko, nie trzeba płakać; jak go się opatrzy to po kilku dniach i śladu nie będzie...

— Mówże wyraźniej! zawołała dziewczyna niecierpliwie.

— On przyjechał...

— Kto?

— Andrzej.

— Andrzej! mój narzeczony! Ah! chwała Bogu, nie napróżno się modliłam. Ale gdzież on jest? Dla czego sam nie przyszedł?

— Powiedziałem ci już że jest raniony?

— Raniony! Jak, gdzie?

— Bił się.

— Z kim?

— Napotkał Czerwonego-Djabła i naturalnie bronił się.

— Ale gdzież on się znajduje? zawołała Berta. Zaklinam cię, powiedz mi!

— Jest tu niedaleko, w chałupie na skraju lasu.

— Ach, to biegnijmy tam. Jutro o świcie przeniesiemy go do domu.

Kaleka poszedł naprzód kulejąc; Berta popychała go. Weszli tak do lasu; Zaledwie jednak zrobili kilka kroków, Berta uczuła nagle jak ją dwa silne ramiona pochwyciły z tyłu.

— Co to, czego odemnie chcecie! zawołała przestraszona.

— Czego chcę! — zawołał za nią głos silny, — ciebie Berto, ciebie ; będziesz moją żoną.

Dziewczyna zadrżała, bo poznała głos śpiewaka.

— Przez litość, puść mnie. Narzeczony mój jest umierający...

— Twój narzeczony? Ah prawda; ale uspokój się; jemu nic nie grozi i jest zdrów jak ryba. Ja to

wymyśliłem całą tę historyjkę aby cię tu sprowadzić. Kiedyś dobrowolnie nie chciała być moją, zmuszę cię do tego siłą. Ja nigdy łupu z rąk nie wypuszczam: jestem Czerwony-Djabeł.

Berta wydała okrzyk zgrozy i padła bez zmysłów w objęcia bandyty. Udany kaleka trzymał już za cugle dwa konie.

Nazajutrz kiedy o zniknięciu Berty wszyscy już wiedzieli, przyszli do Steinbeka węglarze i opowiedzieli mu jak w nocy widzieli przy blasku księżyca dwóch jeźdzców cwałujących przez las co koń wyskoczy; jeden z nich owinięty był w długi czarny płaszcz pod którym trzymał w swoich objęciach młodą dziewczynę.

Stary Steinbek na próżno robił poszukiwania i obiecywał sowitą nagrodę temu kto mu cokolwiek o córce doniesie, — Berta przepadła jak kamień w wodę. Biedny człowiek zmienił się nie do poznania, schudł, stracił energję i chęć do pracy tak że już do jego ogródka mało kto przychodził bo piwo bywało co raz to gorsze.

Gdy się to działo, z Węgier przybył szczęśliwie do domu Andrzej. Ciotka zostawiła mu swój mająteczek, tak że był to już młodzieniec ze stanowiskiem. Steinbek przyjął go jak syna.

— Ty już ze mną razem zamieszkasz, — rzekł — będziemy ją we dwóch opłakiwali.

Przeszło kilka miesięcy; lato miało się już ku końcowi; dżżysta jesień była blizką.

Jednego wieczoru, gdy Steinbek z Andrzejem, smutnie zadumani, siedzieli przy kominku, na dziedzińcu rozległ się turkot wózka, i nim oni zdołali dojść do progu, drzwi otwarły się z łoskotem i kobieta rzuciła się w ich objęcia.

„Berta! zawołali obaj jednocześnie. Berta!“

Była to Berta rzeczywiście, tak samo piękna, świeża, z tym samym uśmiechem na ustach co dawniej. Opowiedziała im że Czerwony-Djabeł traktował ją z wielkim szacunkiem i że parę dni temu, spoiwszy wszystkich rozbojników zdołała uciec, w wilję właśnie dnia w którym porwany ze swego probostwa ksiądz miał ją z przywódzcą hersztów dozgonnnym węzłem połączyć.

We dwa miesiące potem, pośród zimy, uorganizowano w lasach obławę i Andrzej szczęśliwy już małżonek pięknej Berty, sam własną ręką zabił Czerwonego-Djabła.

W miarę jak się wstępuje na wyżyny dziś już bezleśne Semmeringu, krajobraz roztacza się w coraz to szerszych ramach. Kilka domków i chat wisi jeszcze gdzie niegdzie nad brzegiem jakiej przepaści, ale są to już tylko jakby strażnice wysuniętego w pustyni posterunku.

Wjeżdżamy co raz dalej: Góry piętrzą się jedna na drugiej w przepysznym nieładzie. Jedne z nich są ogromne ze szczytem ginącym w niedoścignionych obłokach; drugie, z lodową koroną na czole, patrzą dumnie i wyzywająco na pełzającego jak robak w dolinie człowieka; trzecie konwulsyjnie skręcone, niedostępne, zdają się grozić niebu odłamami wylatujących w chmury strzał. Są i takie co obarczone wiekami wieków mozolnie już tylko dźwigają strzaskane przez piorun resztki swych niebotycznych szczytów, co stoją jak olbrzymie w rujnach gotyckie katedry, z wieżycami, całym szeregiem pilastrów i sklepień chylących się w dół; wreszcie w dali pod mgłą lotnego horyzontu widzi się szerokie i długie góry, całe białe, pokryte od stóp do szczytu śniegiem, wyglądające na duchy lodowisk.

Czyś zauważył czytelniku że góra każda gdy ją się zblizka czy z daleka obserwuje dłużej, przybiera kształty i fizjognomję żywej istoty? Tu objawia się majestat i duma, zamyślenie i powaga; tam stoją one prosto, wysoko, jakby w pogotowiu do walki, niżej widzisz schylone ku ziemi, zwinięte jakby w kłębek, jakby do snu się brały. To też w górach człowiek nigdy sam nie jest; wszystko doń przemawia: zdźbło trawy; ptak przelatujący; płaczący strumień; grzmiący wodospad; wiatr czy to chłodzi południa upały czy wyje burzą; biedny kwiatek rosnący samotnie na skale, któremu przypadek był ojcem; chmury jaśnie-

jące blaskiem pogody czy wyrzucające ze swego łona błyskawice.

Tu i owdzie świerk, stary olbrzym nieczuły na zawieruchy, sterczy ponuro i dumnie jako król pustyni. Kocham te surowe i poważne postacie, bo mi przypominają melancholijne doliny mojego kraju.

Im jednak więcej się idzie w górę, tem roślinność staje się rzadszą: świerki tracą już swoje atletyczne kształty, kurczą się, karleją; korony ich są pokręcone, pień się zwija i wiąże, korzenie wyglądają jak gady wysuszone od słońca. W miejsce trawy i liści zielonych rośnie blady mech pasożyt, a oko tak daleko jak zdoła sięgnąć nie widzi już nic żyjącego, ludzkiego. Człowieka wówczas zdaje się przygniatać jakaś straszna potęga i bojaźń; piersi brak tchu, wzrok mąci się. Żelazna lokomotywa o ognistych nozdrzach i grzywą z czarnego dymu, co cię tam wiezie, przybiera kształty jakiegoś smoka zaczarowanego, zrodzonego w tych jaskiniach i ciemnych pieczarach.

Nareszcie wjeżdżamy już w szyję wąwozów.

Pociąg przelatuje po nad brzegami przepaści, przechodzi z równiny na równinę po dwupiętrowych mostach wyciągniętych jak lina skoczka, znika w tunelach i wyjeżdża po nad nowe urwiska, by znów przelecić po nowym moście i drapać się na nowe szczyty.

Ileż tu trzeba było pracy i geniuszu ludzkiego aby dojść do zdobycia tych strasznych i niedostępnych gór!

Samych tunelów jest piętnascie; niektóre z nich są wybite „a giorno“ i tworzą szereg arkad.

Kilkadziesiąt chat zawieszonych jakby w powietrzu, na odłamach skał, tworzy tu stacyę: jesteśmy w Pagerbach. Statko młodych dziewcząt trzymając długie kije obwieszone bukietami z *edelwejssów*, wybiegło na spotkanie pociągu. Każdy prawie kupi tu sobie parę kwiatków. Edelweiss to biała górska niezapominajka. Niewinne te kwiatki są jakby uśmiechem pośród tych smutnych stron.

Ruszyliśmy dalej; kilka białych punkcików widać na skręcie: to wioska Glognitz. Dolina już się tu rozszerza, oko spoczywa na milszym horyzoncie, krajobraz przybiera widoki idylli. Góry się zniżają i nagle ucieszony podróżnik znajduje się na płaszczyźnie, naprzeciwko miasteczka po nad którego dachy wzbijają się dwie wieżyczki: jesteśmy w Neustadt. Marya-Teresa założyła tu w roku 1752 akademię wojskową w której obecnie kształci się 400 młodych ludzi. Radecki kończył tu swoje studya.

Dawny zamek stojący na zachód od miasta wystawiony był w roku 1445 przez cesarza Fryderyka III; po nad jego bramą wjazdową czytać jeszcze można wyniosły napis: *Austriae est imperare orbi universo.* [1]).

---

[1]) ,,Do Austryi należy panowanie nad światem.‘

Niestety! najpiękniejsze dewizy przechodzą w zapomnienie; to samo się dzieje i z państwami, to samo z władzcami!

Neustadt przywodzi na pamięć jedno z najstraszniejszych wspomnień jakie monarchia Austro-Węgierska w swojej historyi posiada.

Dnia 29 kwietnia 1671 r. Zrinyi i Frangipani zostali w Neustadt straceni na placu Arsenału; dwie marmurowe tablice wmurowane przy drzwiach w katedrze, opiewają ten fakt.

Korzystając z czasu jaki przybycie pociągu do Baden zabierze, opowiem w krótkości historyę tego spisku którego rezultat miał na zawsze oderwać Węgry od Austryi.

Cesarz Leopold zrobił z Wiednia jedną z najpiękniejszych stolic Europy; przepych hiszpański i uciechy francuzkie panowały samowładnie na dworze. Festyny, karuzele, turnieje, widowiska różnego rodzaju i miłość, pochłaniały wszystkie chwile dni i nocy tak rodziny cesarskiej jak i dworzan. A tymczasem w Węgrzech panował terroryzm, żołdactwo austryackie dopuszczało się tysiąca nadurzyć i zbrodni! o tem wszystkiem cesarz nic nie wiedział. Węgrzy postanowili zarządać sprawiedliwości i w tym celu deputacya madżiarska udała się do Wiednia; nie przyjęto jej, a co gorsza, aby ją więcej upokorzyć skorzystano z bytności w stolicy deputatów dla spalenia na stosie dzieła broniącego sprawy węgier-

skiej [1]). Orszak wydelegowany ad hoc, w ceremonyalnym marszu przechodził po ulicach napełnionych przez uradowanych niemców; na czele szli woźni i pisarze, potem jechali sędziowie konno; marsz ten zamykał kat trzymający po nad głową skazaną książkę. Przybyli wszyscy w ten sposób do szafotu pokrytego czerwonem suknem, jakby dla egzekucyi jakiego czarownika lub niewiernego. Do czterech słupów przybito cztery deski z napisem tytułu książki, poczem kat rzucił samą książkę w ogień.

Deputacya węgierska tak zbeszczeszczona powróciła do domu z nienawiścią w sercu i żądzą zemsty.

Na czele malkontentów stali już książe Rakoczy, hrabiowie Nadaszdy, Piotr Zrinyi i Krysztof Frangipani. Ten ostatni był świetnym i pełnym zalet młodzieńcem, a pałał tem większym gniewem że w Wiedniu zelżył go oficer austryacki. Panowie ci zawiązali stosunki z Francyą i Turcyą i w danej chwili mieli dać hasło do narodowego powstania, a potem przy pomocy turków wyrzucić austryaków po za Leitę.

Pięć kobiet należało do spisku; jedna z nich hrabina Wesselengi która miała za kochanka sekretarza swego męża, nie mogła dotrzymać tajemnicy. Skoro tylko w Wiedniu dowiedziano się o sprzysiężeniu,

---

[1]) *Memorii belli Ungaro—Turcici.* Authore Joanne Henrici Andle argento ratensi. Mawiliae 1665.

otoczono spiskowców szpiegami i w pół roku potem policya zaaresztowała Nadaszdego w jego pałacu, Pottenhoffie, w tym samym pałacu gdzie trzy lata przedtem hrabia przyjmował w gościnę cesarza i cesarzowę. Z piwnic zamku zabrano zarazem cztery miliony guldenów w srebrze.

Nadaszdego zawieziono do Wiednia, a Zrinyi i Frangipani których także schwytano, zamknięci zostali w Neustadskich lochach. Wszystkich trzech sądy wiedeńskie skazały na śmierć.

Zrinyi, gdy mu odczytano wyrok hańbiący, rozpłakał się.

Frangipani nie chciał wierzyć: „Jestem za młody — zawołał — abym miał już umierać; po mnie ród by mój zaginął, mnie nie mogą zabijać!..“

Wyrok skazywał ich przed ucięciem głowy na ucięcie prawej ręki.

29 kwietnia, pomiędzy czwartą a piątą godziną z wieczora, komisarze cesarscy kazali pozamykać bramy miasta, i eskortowani przez oddział z pięćdziesięciu muszkieterów, przeprowadzili skazanych z więzienia do dwóch izb jakie dla nich przygotowano w Arsenale, gdzie mieli spędzić ostatnią swoją noc w asystencyi sześciu kapucynów.

Frangipani zażądał papieru i atramentu dla napisania listu do żony która była uciekła do Wenecyi; był niesłychanie rozdrażniony i lękał się więcej jeszcze niż śmierci, ucięcia ręki.

Zrinyi przeciwnie był spokojny; wyspowiadał się w kilka minut, podczas gdy jego towarzyszowi trzeba było na to aż trzech godzin.

Pozwolono im pożegnać się wzajemnie, w obecności komisarzy, pod warunkiem że będą mówili tylko po niemiecku. Gdy się całowali, Frangipani zawołał: „Do widzenia towarzyszu, na tamtym świecie!“

Nazajutrz o szóstej rano, ksiądz odczytał skazanym ostatnią mszę, poczem, o ósmej godzinie, Zrinyi wyszedł pierwszy z kazamatowej celi. Musiano go podsadzić na wóz, tak był osłabiony, od dwóch dni bowiem nic nie jadł. Na około szafotu nakrytego czarnem suknem stały trzy kompanie gwardyi mieszczańskiej; w oknach, na balkonach, drzewach, murach, dachach do koła placu, pełno było widzów.

Zrinyi z oczami wlepionemi w krucyfiks który w ręku trzymał, wysłuchał spokojnie powtórnego odczytania wyroku; gdy mu powiedziano że cesarz zwolnił go od hańbiącej kary ucięcia ręki, odpowiedział obojętnie: „Dziękuję cesarzowi.“

I wszedł na szafot, sam zdjął ze siebie kaftan i oddając go swemu paziowi który go nie opuszczał, kazał mu zawiązać sobie oczy chustką wyszywaną złotem jaką miał w podarunku od żony. Kilku cięciami nożyczek, kat obciął piękne pukle jego czarnych włosów, poczem chwyciwszy za miecz uderzył z całej siły w Zrinyego w chwili gdy tenże wy-

mawiał ostatnie słowa: „Panie, polecam Ci moją duszę!“

Ale cios był źle zadany, głowa na wpół tylko została odciętą: męczennik wydał okropny krzyk na który tłum zadrżał. Kat uderzył po raz drugi, ale głowa trzymała się jeszcze; wówczas uchwycił oprawca swą ofiarę za włosy i głowę oderżnął.

Podczas gdy kapucyni zabierali się do modłów nad trupem który pokryto czarnem suknem, komisarze udali się po Frangipaniego. Temu więcej widać było żal życia. Był blady i drżący gdy wchodził na fatalne rusztowanie. Do tłumu przemówił po łacinie przysięgając że jest niewinny. Usiadł na pieńku, dał sobie oczy zawiązać i czekał. Po sinych jego ustach przemknął się ostatni wyraz pożegnania; kat zamierzył się, miecz zatoczył półkole, strumień krwi karmazynowej trysnął. Ale topór nie w głowę trafił: uderzył w lewe ramię. Frangipani ryknął straszliwie i jak tygrys postrzelony podskoczył w górę.

I nastąpiła okropna, przerażająca scena: skazany bronił się, kat walił weń z tyłu co mu sił starczyło. Nareszcie Frangipani z którego krew lała się potokami, z głową porąbaną, padł. Kat siedział już na nim i gniótł mu pierś kolanem. Nieszczęśliwy żył jeszcze: oprawca podsunął mu nóż pod brodę, i na deskach rusztowania, przepiłował mu gardło.

Po skończonej egzekucyi otworzono bramy miasta, a komisarz Abell popędził natychmiast galopem do Laxenburga, dokąd też i o północy przybył; cesarz tam czekał, wysłuchał on spokojnie, milcząco, raportu, poczem kazał aby sześć tysięcy mszy odmówiono za spokój duszy buntowników.

W roku 1824, pewien student, Hermann Stejger, robiąc poszukiwania na dawnem cmentarzysku, odnalazł głowę Zrinyego, którą doskonale było można poznać po inkrustacyi złota które na czaszce pozostawiła chustka. W muzeum w Neustadt pokazują także i złote guziki od ubrania obu straconych.

Po pagórkach czepia się winograd, powietrze pełne jest zapachu: zbliżamy się do Baden.

Baden w Szwajcaryi jest piękne, Baden w wielkiem księstwie Badeńskiem, było kiedyś jeszcze piękniejszem; ale z tej trójcy Badenów, austryackie jest podług mego zdania najpiękniejsze. Na około właściwego miasta rozciąga się cała sieć willi rozsianych po wzgórzach, wzgórza te ocieniają olbrzymie orzechy, wiązy i ginące w obłokach topole, a na około tego wszystkiego biegną przeżynane strumieniami setki drógi dróżek wśrót opłotków z olszyny, dzikich róż i powoi.

Zródła termalne tego Badenu, są bardzo uczęszczane; zlewają się one w małe sadzawki w których

płeć piękna z brzydką, kąpie się razem tak jakby za czasów Adamowych. Pewnemu anglikowi który raz utrzymywał że zdałoby się dla płci pięknej nieco więcej kostiumu, odpowiedziano że tak jak jest, dzieje się wszystko z woli i rozkazu fakultetu medycznego!

Baden podczas letniej pory roku jest miejscem schadzki dla wiedeńskiej finansowej arystokracyi; dyplomacya także tu przybywa odetchnąć świeżem powietrzem, a jej adepci mogą się na miejscu przekonać że prawda leży zawsze w głębi studni. Potrzeba ją tylko umieć wydobyć.

Chleb badeński jest tak smaczny, że baron Rodszyld nie chce nigdy innego jadać i do Paryża zabrał z sobą piekarza z Baden.

Na okolicznych górach stoi kilkanaście starych zamków obronnych. Jeden z nich wiem że był wybudowany przez młodego księcia austryackiego za pieniądze wuja, biskupa. Młody książe bowiem, na cztery wieki przed otwarciem wiedeńskiej giełdy, znalazł sposób zrujnowania się do szczętu. Nie miał przy duszy ani szeląga.

Kiedy zamek był już ukończony, biskup zjechał na oględziny.

— Kochany siostrzeńcze — rzekł do księcia Radbota, — zamek twój jest prześliczny, ale brak mu rowów i szańców.

— Kochany wuju—odpowiedział książe,—przecież kościół który wystawiłeś w Grac, także ani rowów ani szańców nie posiada.

— To co innego; kościół jest domem Bożym i siła ludzka nic przeciw niemu nie zdziała.

— Ma wój racyę,—odrzekł Radbot zamyślony—na około takiego zamku jak mój trzeba potężnych wałów; wuju! jutro już wały będą!

— Jutro! — zawołał biskup! — ty żartujesz?

— Jutro, tak jutro — odpowiedział książe odprowadzając wuja biskupa do przepysznego apartamentu jaki już był dlań przygotowany.

Zeszedłszy na dół, Radbot porozsyłał natychmiast posłańców do wszystkich wsi i wiosek swojego dominium, i niedługo zaczęli się gromadzić na około zamku ludzie uzbrojeni. Przez całą noc trwała ta wędrówka.

Nazajutrz, ze wschodem słońca, książe uszykował swych ludzi w linję bojową, i otoczywszy nimi swój zamek, zagrał tryumfalnie na rogu.

Biskup Werner przebudzony nagle, pobiegł do okna na wpół ubrany.

— Oto wały mojego zamku! — zawołał z dołu książe pokazując z dumą na swoich wojowników ubranych w ciężkie kirysy, uzbrojonych w maczugi i dzidy; był to prawdziwy śpiżowy mur. Jeźdzcy z proporcami o znaku książęcym, wyglądali na istne wierzyce.

Zachwycony tym widokiem biskup zawołał:

Masz rację siostrzeńcze! to są najsilniejsze okopy; dla księcia nie ma jak waleczność i wierność poddanych.

Dzisiaj wszystkie miasta monarchii austryackiej podobne są do zamku Radbota: broni ich patryotyzm mieszkańców.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

Wiedeń.

Wiedeń, miasto otwarte. — Ambasador angielski i czarny gabinet. — Fizyognomia starego miasta. — Wiedeń i Berlin.—Wiedeń nie jest miastem niemieckiem. — Z placu Ś-go Stefana do Graben.— Ulica Żydowska — Nowa Jeruzalem.

Dzisiaj z tą samą łatwością można się dostać do Wiednia co i do Pekinu: nikt już podróżnego nie pyta ani o paszport ani o papiery, kufrów nie rewidują; mur został obalony: bramy zniesione; złożysz czytelniku tylko w ręce poborcy mundurowego 4 krajcary podatku za bruk jaki twój powóz w drodze od dworca kolejowego do hotelu zniszczy, i już żadnych zatargów z rządem nie będziesz miał.

Temu lat dwadzieścia pięć, było nieco inaczej; zdawać się wówczas naprawdę mogło że stolica austryacka mieści się w królestwie wybranych, tak było trudno się tam dostać; trzeba było na to szczególnych łask i rekomendacyj do samych świętych, trzeba było nawet znaleźć jaką „osobę znaną“ którąby

za ciebie poręczyła podczas trwania twojego tam pobytu, co nie przeszkadzało bynajmniej policyi śledzić każdy twój krok, uważać z kim przestajesz, odpieczętowywać nawet adresowane do ciebie listy. Można się było wprawdzie pocieszać tą myślą że ambasadorowie zagraniczni podlegali jeszcze większemu nadzorowi. Ambasador angielski, nadzwyczaj przebiegły dyplomata, który wiedział że wszystkie jego listy przechodzą przez „czarny gabinet“ wymyślił figla; kazał w swojej pieczęci zrobić małą zmianę. W czarnym gabinecie nie spostrzeżono tego i dalej starą pieczęć przykładano przy kopertowaniu rewidowanych jego listów. Po niejakim czasie, ambasador spotyka się z księciem Metternichem:

— Mości książe — mówi do niego, — może było by dobrze zawiadomić twoich urzędników żeśmy pieczęć zmienili.

— Ah! gawrony! — mruknął książe wzruszając ramionami i odszedł.

Na bramach Wiednia powinien był wisieć napis jako przestroga dla przyjezdnych: „Tutaj nie wolno myśleć.“

Ksawery Marmier który w owej epoce znajdował się w Getyndze, opowiada że jeden doktór z tego wielkiego uniwersyteckiego miasta, zaordynował pewnemu wielce uczonemu mędrcowi, który stracił wszystkie swoje siły fizyczne na bezsennych nocach i stał się prawie idyotą w skutek badań nad głębo-

kością niemieckiej filozofii, jako kuracyę, pobyt w Wiedniu. Paszport jaki nieborakowi wydał burmistrz Getyngi był zredagowany jak następuje: „M. W. doktór filozofii, profesor uniwersytetu, *skazany przez lekarzy na niemyślenie.*“

Dyrektor wiedeńskiej policyi niczego więcej nie żądał: profesora zwolniono od wszelkich innych formalności i zostawiono go w spokoju.

Nareszcie Cesarz Franciszek-Józef obdarzył swój naród konstytucyą, i Wiedeń przeszedł odrazu z więzów średniowiecznych do nowożytnej wolności. Tranzakcya była nieco za raptowną, tak że dzisiaj nawet stara monarchia nie uspokoiła się jeszcze po doznanem wstrząśnieniu. Wystawcie sobie stary okręt zbudowany na to aby całe życie stał na kotwicy, porwany nagle na pełne morze i oddany na pastwę przeciwległych wiatrów. Austrya znalazła się w podobnem położeniu.

Ta transformacya polityczna wyszła na korzyść samemu Wiedniowi który się wziął natychmiast do zburzenia okopów jakie go na uwięzi trzymały i w przeciągu lat nie wielu stał się jedną z najpiękniejszych stolic w Europie.

Tam gdzie wczoraj jeszcze krzyżowały się w kręgu szerokie fosy i groźne sterczały bastiony, dzisiaj roztaczają swoje powaby zachwycające ogrody, ciągną się długo i szeroko przepyszne bulwary, wznoszą

się gmachy o marmurowych wschodach z fasadami pokrytemi freskami.

W Wiedniu wszystko ma widok imponujący i wielki, — rzeczy stare jak i nowe.

Stara dzielnica która tworzy jakby czarną wyspę pośród białego morza przedmieść, jest punktem zbiorowym życia handlowego, politycznego i eleganckiego; pośród robót reorganizacyjnych, uszanowano te kręte uliczki, te place wązkie, pełne starych relikwij gdzie drga jeszcze cała dusza dawnej monarchii. W tym labiryncie ciemnych i malowniczych ulic które biegną gzygzakiem, krzyżują się, wiążą jedne z drugiemi, przenosząc myśl w oddalone wieki, co krok spotyka się duże sześciopiętrowe domy pokryte karyatydami, o drzwiach okutych w bronz i żelazo. Po nad dachami wylatują w niebo małe ,wieżyczki, nadając budowli pozór zamków w których fedalizm tak silne miał siedlisko. Ale aby temu wszystkiemu przypatrzyć się dobrze, trzeba wyjść na miasto w noc pogodną, kiedy księżyc świeci. Wychodząc z pewnego wieczoru, dałem się oprowadzać w ten sposób po mieście, przez przyjaciela artystę; zapuściliśmy się w labirynt: byłem widokiem olśniony. Jedna część miasta tonęła w ciemnościach, druga kąpała się w srebrnych promieniech; a pod blaskiem tego opalowego światła, brodate figury kariatyd zdawały się nabierać życia: te duże nagie ciała faunów i satyrów rzec by można że chciały oderwać się od ram cemen-

tu i kamieni do których były przykute i zbliżać się do nympf które także wysuwały się z kamiennego więzienia, z podniesionemi rękami, z piersią naprzód wystającą. Pod działaniem blasków zimowego księżyca, dachówki polerowane katedry wyglądały jak rybia łuska: Zeszliśmy aż do Dunaju, do Salsgries, pod arkady olbrzymich koszar, gdzie wpatrując się w gwiazdy żołnierze palili sobie fajki. Z tamtąd po schodach szerokich doszliśmy do kościoła Maria-Stejgen wybudowanego w stylu gotyckim!

Byliśmy sami na ulicy, cisza głęboka zawisła nad miastem pogrążonem w głębokim śnie; pośród tych cieniów, blasków i śniegu staliśmy nieruchomo, zadumani.

Berlińczycy próżno będą się trudzić i łamać głowę, ich stolica w porównaniu z Wiedniem będzie zawsze tem czem jest żaba w obec byka, — Quazimodo obok kościoła Panny Maryi.

Czegóż by Berlin nie dał aby mieć taką katedrę jak Ś-ty Stefan, zamek jak Burg, muzea takie jakie są w Belwederze? Berlińska kolumna Zwycięztwa nie warta jest chociażby jednej wieżyczki kościoła Wotywy.

Co krok oko spotyka stare monumenta, stare gmachy które świadczą o silnych fundamentach piętnasto wiekowej dynastyi Habsburgów. Przepyszne ekwipaże, wspaniałe wystawy sklepów, wesołe życie na ulicach, wszystko to świadczy że dwór jest prawdzi-

wie cesarski, arystokracya bogata i elegancka, jedyna może z całej Europy która potrafiła zachować w sobie rycerskie cnoty. Wiedeń jest centrum ras i interesów, i służy za łącznik pomiędzy Niemcami a krajami Wschodu; Berlin nie jest żadnym punktem: to głowa a raczej kask.

I jakże życie jest piękne i wesołe pośród tej ludności którą ani dobry humor nigdy nie opuszcza, ani otwartość i gościnność!

W jednym ze swoich listów, Józef Richter powiedział o Wiedniu: „Wątpię czy nawet w raju można się lepiej bawić. Prawda że w poniedziałek nie ma czasem na obiad, ale cóż to znaczy, byle tylko niedziela była wesołą!" Jest to kraj „złotych niedziel" „błękitnych poniedziałków" i „zielonych czwartków."

Gdy historyk Jan Muller opuszczał Wiedeń by osiedlić się w Berlinie, następujące zdanie wypowiedział: „Austryacy są dobrzy ludzie, mają w sobie dużo serdeczności, i tworzą bardzo piękną monarchię." I miał racyę: w Austryi nie potrzebowano ustanawiać osobnych kar na łapiących małe ptaszki chroniące się przed jastrzębiem lub burzą pod strzechę.

„Gdy przybywam z Berlina do Wiednia,—mówił mi raz pewien kuryer z ambasady,—zdaje mi sie że przechodzę ze stajni do salonu."

Porównanie jest ostre, ale charakteryzuje doskonale uczucie jakiego się doznaje wjeżdżając do Wie-

dnia po deportacyi pruskiej. Nawet gdy się tam przybywa po raz pierwszy, jest się od razu jakby u siebie, jakby u starych przyjaciół którzy jeszcze potrafią się śmiać, pić, gawędzić i śpiewać.

Tak samo jak Paryż, Wiedeń trzeba zwiedzać w zimie; podczas lata, arystokracya wyjeżdża do majątków, a bogate mieszczaństwo rozrzucone jest po okolicach: w Baden, Doebling, Weidling i t. d. Wszędzie są zatem pustki, dopiero życie zaczyna wrzeć 1-go października i trwa do 1-go kwietnia. Przez cały ten przeciąg czasu, teatra są pełne, wszędzie słyszy się odgłos skrzypiec: smyczek Straussa jest wszechwładnym panem.

Niemieccy pisarze słusznie utrzymują że Wiedeń nie jest miastem niemieckiem: „Zalane od wieków przez słowian, madżiarów i włochów, to miasto, — mówią — nie ma już w swoich żyłach ani jednej czystej kropli krwi niemieckiej; w Wiedniu jest teatr czeski, taki sam jaki jest w Pradze, włoska opera w której śpiewają francuzi i węgrzy, są kluby polskie; jadąc omnibusem zdarza się często że niemiec nie może z nikim słowa zamienić, bo nikt po niemiecku nie rozumie. W wielu kawiarniach jest po kilka dzienników węgierskich, czeskich, polskich, włoskich, a jedna tylko będzie gazeta niemiecka. Niemiec który od lat paru dopiero w Wiedniu mieszka, może jeszcze być rzetelnym niemcem, ale jego żona będzie polką, kucharka czeszką, bona do dzieci dalmatką,

służący serbem, stangret słowakiem, golarz madżiarem, a guwerner francuzem. W administracyi, wszystkie przeważnie urzędy zajmują czesi, a wyższą polityką kierują węgrzy."

Rzeczywiście mają racyę, Wiedeń nie jest miastem niemieckiem.

Gdy się zblizka przypatrzy monarchii austryackiej, widzi się że żywioł niemiecki jest tam zupełnie odosobniony, powiem nawet z przyjemnością że nienawidzą go. Już raz przecie czesi krzyczeli po Wiedniu: „Precz z niemcami!" Temu jeszcze lat kilka, gdy niemiec odważył się wyjść na ulice Pesztu, z cylindrem na głowie, znalazła się zaraz pięść która mu kapelusz spłaszczyła.

Obserwując typy przechodniów, na sto osób widzi się ze dwadzieścia najwyżej fizyognomij niemieckich. U kobiet różnica jest jeszcze większa; każda wiedenka ma w oczach słowiańską żywość; jest dobrze zbudowaną, wysmukłą, nerwową; nogę ma wypukłą i małą: nie jest to szeroka gęsia łapa bawarki ani noga słoniowych rozmiarów prusaczki; włosy są u nich przepyszne, zęby drobne, białe jak mleko. Niektóre z wiedenek mają cerę paryżanek; drugie znów są różowe i świeże jak angielki, lub też czarne jak włoszki, a wszystkie są ognistego temperamentu i tem właśnie różnią się głównie od leniwej niemki która całe życie chciałaby przepędzić w warzywnym ogro-

dzie i z grządek kapusty i selerów patrzyć na księżyc w pełni.

Tę samą uwagę możnaby zrobić i co do budownictwa. Pani de Stael już powiedziała „że w Wiedniu nic nie jest podobne do reszty Niemiec z wyjątkiem niektórych gmachów gotyckich które przypominają średniowieczne czasy.“ W „starem mieście“ jest sporo krętych brudnych uliczek podobnych zupełnie do przesmyków w Wenecyi. Posągi jakie się spotyka na dziedzińcach i po sieniach przypominają także Włochy. W wielu miejscach publicznych widzi się nawet wyobrażenia świętych. Nad drzwiami jednego domu na Tiefen-Graben, wisi portret cesarza Józefa II przedstawiający świętego Józefa.

A stało się to jak następuje: W roku 1750 tajny radca Herden kupił na Tiefen-Graben dom, a chcąc okazać swoją wdzięczność monarsze który go wzbogacił, nie znalazł nić lepszego jak wywiesić portret cesarza na fasadzie swojej kamienicy, za szkłem; dyrektor policyi dał o tem znać cesarzowi.

Józef II kazał przywołać pana radcę.

— Ależ najjaśniejszy panie, to nie żaden szyld to oznaka szacunku i czci: umieściłem waszą cesarską mość nad mojemi drzwiami jako protektora, anioła-stroża, świętego...

— Pozostawmy aniołów i świętych w spokoju; ja nie jestem w zgodzie z hierarchią niebieską.

Ja tylko chciałem,—mówił dalej Herden, złożyć waszej cesarskiej mości publiczne świadectwo mojej wdzięczności.

— Uczucie uwzględniam, ale nie mogę znów pozwolić aby mnie w ten sposób przedstawiano na frontowych ścianach domów; byłby tylko jeden sposób... dodał cesarz zatrzymując się.

— Powiedz najjaśniejszy panie, błagał Herden.

— Jak chcesz koniecznie... Chociaż nie czuję w sobie żadnych zdolności do spełnienia roli tak wielkiego świętego, trzeba abyś znalazł malarza któryby ze mnie zrobił Ś-go Józefa; pod tym tylko warunkiem obraz może pozostać.

Herden odszedł uradowany i nazajutrz jeden z najpierwszych ówczesnych malarzy, zamalował białą perukę Józefa II na czarno, płaszcz cesarski zamienił na żydowską opończę a z berła zrobił lilję. Aby uniknąć wszelkiego dwuznacznika, Herden kazał jeszcze napisać pod obrazem: „*Święty Józef.*“

W Wiedniu jest mnóstwo gmachów powstałych w trzynastym i czternastym wieku; ale w piętnastem dopiero stuleciu budownictwo naprawdę się tam rozwinęło, katedra Świętego Stefana wzniesiona w owym czasie przewyższa kopuły strasburgskie i kolońskie.

Plac Ś-go Stefana stanowi centrum miasta; z tamtąd rozjeżdżając się po trzydziestu sześciu przedmie-

ściach omnibusy, tam mieszczą się najwięksi bankierzy, najpiewsi krawcy, otwarte są najpiękniejsze kawiarnie; tam również zbiera się sztab główny publicznych posłańców. — Ci komisyonerzy wiedeńscy są doprawdy bardzo użyteczni a ich taryfa jest bardzo umiarkowaną; ubrani są w specyalne mundury: na mosiężnej tabliczce przyszytej na lewym boku bluzy, mieści się ich numer, wyszyty również na wyłogach, a na daszku czapki ze skóry czerwonej mieści się napis: Posłaniec. Używa się ich do różnego rodzaju kursów i robót: butelkują wino i piwo, strzyżą psy trzepią dywany i meble, pakują rzeczy, dozorując, a przedewszystkiem roznoszą listy i pakunki. Za każdą wiedenką chodzącą po sprawunkach idzie jeden taki posłanień obładowany zwykle jak muł. W Niemczech, gdzie nie ma zwyczaju aby właściciele sklepow odsyłali do domów zakupione u nich sprawunki, instytucya komisyonerów jest niezbędna. W ogóle, ludzie ci są pewni i zręczni; można im powierzać większe kwoty pieniężne, i używać do najdelikatniejszych misyj. Wiedeń posiada takich posłańców publicznych 1,600.

Z placu Ś-go Stefana kilka jest tylko kroków do Graben.

Graben ze swojemi magazynami które błyszczą jak fajerwerki, podbudzają wszystkie żądze i gusta, które mogą zadowolnić wszystkie kaprysy i zbytki,— Graben ze złoconemi kawiarniami o miękich ottoman-

kach pokrytych różowym aksamitem, które latem otwierają dla swych gości wspaniałe na chodnikach werendy. — Graben ze swoim tłumem spacerujących, jest w Wiedniu tem czem jest w Paryżu bulwar Włoski. Na Graben, co rano i wieczór zbierają się śmietanka złotej młodzieży i cudzoziemcy; po południu wszyscy jadą powozem do Prateru albo paradują konno na Ring.u

— Od dziesiątej rano do południa i od szóstej do dziewiątej wieczorem, odbywa się na Praterze jarmark wiecznych uśmiechów i miłosnych spojrzeń; piękne grzesznice mają tam swoje stacye świadczące o ich dobrych chęciach. Występek ma tu jakieś pozory niewinności: wydaje się, że nie pełni rzemiosła ale szuka przyjemności.

Co najwięcej ściąga publiczności na Graben, to sklepy z rycinami i fotografiami: przed wystawą każdego z nich stoją zawsze tłumy ciekawych; kobieta z ludu i szwaczka potrąca tam łokciem wielką damę, żołnierze, chłopcy cukierniani, i szewczyki mięszają się z młodymi dyplomatami, starymi bankierami, z cudzoziemcami. Za oknem wywieszone są wszystkie sławne osobistości, tak z dnia wczorajszego jak i z ostatniej chwili; zobaczysz tam generałów, hr. Andrassego obok pierwszego tenora opery, autora ostatniego romansu obok słynnego zbrodniarza, Księżnę X. lub Y. obok całego szeregu zachwycających

aktorek ubranych na wzór Ewy przed zjedzeniem jabłka lub Wenery wychodzącej z wód.

Na Prater nie same tylko piękności półświata występują z uśmiechem na ustach i strzałą w spojrzeniu: panie i panny noszące najpierwsze nazwiska, a nieupośledzone od natury, przychodzą tam zbierać poklaski. Komu się podoba jaka piękna patrycyuszka może zaraz kupić jej fotografię w pierwszym lepszym sklepie. Nikt tego nie uważa za złe, a fotografowie robią mąjątki.

Ale jaka szkoda, że w Wiedniu jednostajność mód odbiera mieszkańcom najodleglejszych nawet krajów oryginalność ich kostiumów!

Na Grabenie nie spotyka się już ani węgra z butami i w haftowanym dolmanie, ani polaka w czamarze lub kontuszu, ani serba ze sztyletem zatkniętym za pas. Jedni tylko turcy i żydzi wiernie zachowują dotąd stare obyczaje. Z Grabenu przeszedłszy przez Hohert—Markt, na ulicę żydowską, możnaby sądzić, że się jest w jakiej podkarpackiej mieścinie. Ale *Judengasse* trzeba widzieć rano; od dziewiątej do jedenastej, stare jej domy, ponure, zyzowate i ciemne jak jaskinie zbójców, otwierają swoje drzwi, z których wylatują całe bandy ludzi nie umytych, nie uczesanych, ubranych w długie wytłuszczone hałaty i śpiczaste kapelusze, z potarganą długą brodą, oczami koloru niebieskiego fajansu, szerokiemi spłaszczonemi uszami, zakrytemi do połowy przez pejsy, któ-

re okalają chude ich i wyniszczone twarze. Ludzie ci kupują, sprzedają, odprzedają, targują wszystko co im pod ręce podpadnie, rachują i spekulują przy akompaniamencie żywych gestów i bełkocie jeszcze żywszym żargonu żydowskiego. U jednych widziałem w rękach o krugulczych palcach, pierścionki, kolczyki, zegarki z łańcuszkami, koralowe naszyjniki; zdawałoby się, że to rajtary wracający po rabunbu jakiego zamku; u drugich, pod pachą stare wykoszlawione buty, albo popsuty jaki zegar ścienny, lub młynek do kawy; u trzecich wiszą na ramieniu pokrwawione spodnie jakiego galernika lub mordercy wczoraj straconego, podczas gdy z kieszeni hałata wygląda im główka jakiej pasterki lub nymfy z saskiej porcelany.

Raz widziałem tam młodego żydka o żółtych włosach, który z tryumfem pokazywał dwie prześliczne tureckie bambosze, całe wysadzane perłami i haftowane złotem. Jakiejże to czarodziejki nóżki mieszkały w tych pantofelkach? zkąd pochodziły? Jaką podróż odbyły a raczej gdzie się rozbiły aby je obrzydliwe ręce tego gałganiarza podjęły? Był to gotowy tytuł do powieści: *Podróż i konfidencye dwóch pantofelków!*

Ta żydowska ulica ma w sobie coś strasznego: jest ciemna, brudna, ponura, mury jej domów są jakby trądem pokryte, a po szybach ściekają jakieś okropne cuchnące smugi. Sklepy podobne są do podziemi;

po nad drzwiami każdego z nich porozwieszane są stare buty, futra zjedzone przez mole, podarte w strzępy jedwabne suknie, nowe liberye, mundury żołnierskie, jednem słowem kompletny inwentarz pozostałości po zbrodni i cnocie, przepychu i nędzy. Niekiedy w półświetle takiej nory zabłyśnie promieniejąca twarz młodej dziewczyny, — Rebekki o śniadej cerze, zębach z kości słoniowej i dużych jak węgle czarnych oczach.

W południowych godzinach, wszystko tam jest martwe i jakby pokryte całunem śmierci. Nigdy zresztą nie rozlegnie się tam szmer puszczonego w ruch warsztatu, nie zabrzmi piosnka robotnika; pająki przędą w ciszy. Nie widzi się również na ulicy bawiących się ani krzyczących dzieci; młode pisklęta izraelskie wyglądają blado, chorobliwie samo powietrze powinno ich zabijać.

Wszedłem do wnętrza jednego z tych domów: poręcz chwiejąca się od spadzistych schodów, jest jakby jakim klajstrem wysmarowana, z murów wilgoć leje się strumieniem, izby są nizkie, małe, pułapy czarne jak wnętrze komina, sprzęty napakowane jedne na drugie. Na kulejącej szafce poustawiane są stare filiżanki, a na pułkach stoją cynowe naczynia kuchenne. Za kamiennym piecem, starzec o szklistem spojrzeniu, sapał.

Usłyszawszy mój głos, podniósł z wielkim wysiłkiem głowę i zawołał:

— To ty, Rebbe-Kac? Jakżem szczęśliwy. oh! tak, szczęśliwy!.. Jerozolima już jest odbudowana, wbrew proroctwom, „gojów;" jutro wyruszamy w drogę, nieprawda Rebbie? Świat się cały zmieni; ci co dotąd ojczyzny nie mieli, teraz ją otrzymają. Ja mój Rebku, będę mieszkał zaraz przy świątyni Salomona.. W nowem pięknem mieście, Mesyasz z pewnością przyjdzie... Ah! co za święto Rebku! musimy zjeść baranka!

— Niech pan nie zwraca na to uwagi, rzekła mi do ucha stara kobieta, widocznie żona starca, — on już tak stary że zdziecinniał.

Kiedym był na schodach, słyszałem jeszcze jak stary fanatyk wołał: „Oh, Jeruzalem."

— O, starcze, — miałem ochotę mu odpowiedzieć. Jerozolima od dawna już jest odbudowaną, ale aby się do niej dostać, nie potrzebujesz przebywać ani gór ani rzek, ani morza. Nowa Jerozolima mieści się nad brzegiem Dunaju; znajdujesz się właśnie w błogosławionym kraju Izraela.

Któż to zbudował owe pałace, które zrobiły z wiednia jedno z najpiękniejszych miast?

Żydzi.

Do kogo należy prasa austryacka?

Do żydów.

Czyje ręce obracają finansami państwa?

Żydowskie.

„Wiedeń — pisze jeden z przewodników wydanych na czas wystawy, liczy 18,398 banków z których dwa tylko należą do chrześcian.“

Lichwiarze żydowscy pożyczają pieniędzy szlachcie węgierskiej, galicyjskiej i polskiej. Potrzebujesz np. trzydziestu tysięcy florenów; to bagatela, głupstwo,— ale napiszesz weksel na pięćdziesiąt.

W taki sposób zrujnowanym został pewien książe któremu majątek pozwalał kiedyś w Petersburgu, podczas koronacyi Najjaśniejszego cesarza Alexandra II rozrzucać pieniądze po ulicach pełnemi garściami. Komornicy zabrali mu nawet dworskie mundury od których brylantowe guziki zakupili jubilerzy londyńscy.

Nowa giełda wiedeńska jest co najmniej tak piękną jak świątynia Salomona.

Na samem przedmieściu Leopolda, mieszka czterdzieści tysięcy żydów.

Na ośmiuset studentów w gimnazyum akademickiem, połowa jest żydów.

U ojców Benedyktynów którzy zarządzają jedną z najbardziej uczęszczanych wiedeńskich szkół, i w której temu lat cztery nie było ani jednego żyda, dzisiaj jest ich tam trzech na dziesięciu uczni chrześcian.

W szkole handlowej obok dwustu pięćdziesięciu pięciu chrzecian zasiada dwustu pięćdziesięciu żydów.

Po innych szkołach proporcya jest ta sama; wielu nawet żydów przybywa z prowincyi do szkół wiedeńskich.

Pomiędzy adwokatami i doktorami najwięcej jest żydów; ministerstwa nawet nie są od nich wolne.

Prawdziwa emancypacya żydów poczęła się dopiero w Austryi w roku 1856. Do roku 1849 bez specyalnego pozwolenia policyi nie wolno im było nocy w Wiedniu przepędzać. Pozwolenie takie na wolny pobyt w stolicy ważne tylko było na dwa tygodnie.

Wszystko to jednak jest niczem w porównaniu z prześladowaniem jakiego żydzi doznawali w Austryi w wiekach średnich. Roku 1425 np. rozeszła się była wieść po Wiedniu że jeden stary żyd, zwiący się Izraelem, dostał za pieniądze poświęconą hostyę i że w świętokrackiej ceremonii użył ją do sparodyowania mszy świętej. Wzburzenie było ogromne, lud domagał się wyrżnięcia żydów. Książe Albert nie wiedząc co czynić, kazał wszystkich żydów jacy się w Austryi znajdowali, zamknąć w więzieniach. Wielu z pomiędzy tych nieszczęśliwych, aby życie ocalić, ochrzciło się, drudzy wieszali się i zarzynali po więzieniach. Dnia 18 marca, spalono ich żywcem stu; pozostałym skonfiskowano majątki. Umysły nareszcie się uspokoiły.

— Jakże się czasy zmieniły!—zawołał znajomy mi wiedeńczyk od którego powyższe szczegóły otrzymałem, — Dzisiaj, to żydzi konfiskują nam majątki!

II.

Wielki Targ. — Hof. — Arsenał gminy. — Głowa Kara-Mystafy.— Pius VI w Wiedniu — Historyczny kandelabr. — Zamordowanie Latoura. — Ratusz. — Kościół Maria-Steigen. — Slub karłów.

Powróćmy na plac „Hoher-Marktu" czyli Wielkiego Targu, i nim dalej pójdziemy, rzućmy okiem na otaczające nas kramy. Próbowano tu tak jak w Berlinie wybudować centralną hallę, ale projekt nie przyszedł do skutku. Prawdziwy targ z którego artykuły żywności czerpie Wiedeń, znajduje się obok mostu Elżbiety, w sąsiedztwie Ringu. Co rana przekupnie i owocarze przychodzą tam robić zapasy i uwożą swoje prowizye na wózkach które psy ciągną.

Na Wielkim Targu znaleźć można całą kolleksyę przekupek jarzyn, owoców, ryb, zwierzyny i wędlin. W jarzynach wyboru wielkiego nie ma: Kalafiory są tu tak rzadkie że je sprzedają aż na Grabenie w owocarniach, obok cytryn i pomarańczy. Gruszek i jabłek za to przybywają codziennie wielkie transporta z Wyższej-Austryi. Zwierzyny jest tu także sporo i można jej dostać za tanie pieniądze. Zdarza się często że na jednem polowaniu w jakich dużych dobrach,

padnie pod strzałami myśliwych do dziesięciu tysięcy zajęcy i kilkaset bażantów. Bażanty czeskie są szczególnie poszukiwane; do kuchni Napoleona III sprowadzano ich co rok po pięćset sztuk.

Targi wiedeńskie mają także swoje „przekupki“; wiedeńczycy je nazywają *fortschelweiber*. Józef II chcąc się raz zapoznać ze słownikiem tych pań, wywrócił jednej z nich naumyślnie koszyk z jajami. Po paru minutach musiał uciekać.

Ale to w wigilię Bożego Narodzenia trzeba iść na Hof: przez noc wyrósł tam cały las, — las dziwny jakby wyjęty z bajki illustrowanej przez Dorego. Wstęgi z kolorowego papieru zwieszają się w kształcie łańcuchów po bokach choinek, do gałęzi poprzyczepiane są złocone orzechy, gwiazdki, jabłuszka i t. d. Wieczorem kiedy światła zapalą, widok całego placu jest wielce fantastyczny. Śnieg przykrywający ziemię i budy uszykowane w długie rzędy pośród tego iglastego lasu, robi wrażenie pejzażu Czarnego Boru. Jest tam tłumno i wesoło, każdy się ciśnie ciekawie do straganów oświeconych jak ołtarze, uchylających się pod ciężarem bębenków o złoconych obręczach, drewnianych koników, piesków i kogutów krzyczących, lalek wystrojonych, papug, arek Noego, pałaszy, fuzyjek, i tysiąca innych zabawek na widok których oczy młodego pokolenia śmieją się radośnie. W miarę jak tłum się zwiększa, lasu ubywa; całe szeregi komisyonerów z drzewkami na ple-

cach wysuwają się z placu i nikną po sąsiednich ulicach.

Na fasadzie pałacu barona Sina jest napis łaciński, oznajmiający że kiedyś Wielki Targ służył za forum dla rzymian. Wiadomo że cesarz Marek-Aureliusz umarł w Wiedniu. Szkaradny to gmach w stylu rokoko; cały jest wyrzynany w festony, na gzymsach w najfantastyczniejszych pozach poumieszczane są gruppy aniołków-kupidynów.

Przejćmy do Hofu: jest to najobszerniejszy i najpiękniejszy plac z całego miasta. Na środku wznosi się kolumna bardzo nie gustowna, skopiowana niezdarnie z kolumny Wielkiego Targu i Grabenu. Stojący na prawo silnie i massiw zbudowany budynek, to arsenał miejski, własność gminy; jest to raczej museum aniżeli skład broni. Jego kollekcya broni z piętnastego i szesnastego wieku jest najpiękniejszą z wszystkich tych jakie znam. Halabardy, piki, groty poustawiane są w snopki z których biją niebieskawe blaski; puklerze rozmaitych kształtów porozwieszane są na ścianach jak skorupy olbrzymich żółwi; jest tam miecz feld-marszałka Clerfaixa, kapelusz marszałka Loudona, górska buława Andreasa Hofer, którego rozstrzelano w Mantui. „Nie trzeba — rzekł chłop-patryota do oficera dowodzącego egzekucyjnym plutonem, — nie trzeba mi oczu zawiązywać, klękać także nie potrzebuję; jestem Andreas Hofer, oberżysta

z pod „Piasku“; Stojący ja chcę oddać moją duszą w ręce stwórcy. — Żołnierze, ognia!..,“

Zbroje i sztandary zabrane turkom składają olbrzymie trofea. Jest tam zielona chorągiew którą feldmarszałek Loudon zdobył pod Belgradem, wychaftowane są na niej wyobrażenia słońca, księżyca i gwiazd, również jak i ręka sprawiedliwości Mahometa, pod którą wypisanych jest kilka ustępów z Koranu, obiecujących zwycięztwo, radości i raj wieczny synom proroka którzy legną na polu chwały.

Na drugiej różowej chorągwi mieści się następujący napis: *La ilaha illa al'ahu, Muhammed rasul allahi* (Bóg jest jeden, a Mahomet jest jego prorokiem). Tę część arsenału zdobi jeszcze niezliczona ilość krzywych tureckich mieczów o szerokiem ostrzu, handżarów, kurdzkich lanc, bębnów żezańskich i turbanów. Widzi się tam także za szkłem czaszkę i śmiertelną koszulę Kara-Mustafy, któremu sułtan po porażce przysłał jedwabny sznurek aby się udusił. Na dowód śmierci wielkiego wezyra ściągnięto z jego twarzy skórę i posłano ją do Konstantynopola. Po zdobyciu Belgradu znaleziono jego ciało w jednym z meczetów; jedwabny sznurek, czaszkę i koszulę baszy kardynał Kollenitz posłał do wiedeńskiego arsenału.

Na drugiej stronie placu, prawie naprzeciwko arsenału, stoi stary gmach z balkonem: to pałac nuncyatury z którego właśnie ganku, przejeżdżający przez

Wiedeń w r. 1782, Pius VI dał swe apostolskie błogosławieństwo wiedeńskiemu ludowi.

Na lewo, pośrodku placu, naprzeciwko świecznika, wznosi się pałac ministeryum wojny. Świecznik ten jest historyczny z powodu okropnego dramatu jaki się odegrał na Hofie podczas burzliwych dni roku 1848.

Panami Wiednia po złupieniu arsenału, powstańcy ruszyli na ministeryum wojny, domagając się przy wściekłych okrzykach aby im wydano hrabiego Latoura. „To zdrajca! wołał obszarpany proletaryat potrząsając staremi pałaszami i skałkówkami. Trzeba go powiesić!“

Pałac został zdobyty i cała zgraja rozpuściła się po apartamentach, rąbiąc siekierami sprzęty. Jeden robotnik spostrzegłszy przepyszne puzderko na stoliku, chciał je zabrać, ale powstrzymał go gwardzista narodowy mówiąc: „Obywatelu, przyszedłeś tu sprawiedliwość wymierzać a nie kraść.“

Krzyki: „śmierć Latourowi!“ rozlegały się coraz głośniej; napróżno oficerowie gwardyi narodowej usiłowali uspokoić rozjuszoną bandę.

— Co! — wołał jeden — my nie mielibyśmy się pomścić! A mój ojciec którego zabili!..

— A mój brat! — dodał drugi.

— A moja matka! wołał trzeci.

— Latour na szubienicę! śmierć zdrajcy! — wyła chórem cała banda.

Smolka aby zyskać trochę czasu rozpuścił pogłoskę że hrabiego Latoura nie było w pałacu, ale widząc iż rozwścieczonych tych ludzi niczem nie uspokoi i że opór mógłby ich tylko więcej rozdraźnić, pobiegł na czwarte piętro gdzie się znajdował minister i rzekł:

— Ekscelencyo, jest tylko jeden sposób uratowania cię: podaj się do dymisyi.

Hrabia Latour nic nie mówiąc, wziął arkusz papieru i napisał:

„Jestem gotów, za zezwoleniem Najjaśniejszego Pana, ustąpić ze stanowiska ministra wojny."

— Ekscelencyo, lepiej będzie jak nic o Najjaśniejszym Panu nie wspomnisz, — zauważył Smolka po odczytaniu karty. — To ich rozdraźni jeszcze więcej; na waszem miejscu, podałbym się do dymisyi w prostej zupełnie formie.

— W tem co napisałem nic nie zmienię,—odpowiedział zimno Latour.

Smolka wziął papier, złożył go i wyszedł.

— Latour podał się do dymisyi — zawołał schodząc na pierwsze piętro gdzie powstańcy tłukąc wszystko co im pod rękę podpadło, prowadzili dalej patryotyczną swoją robotę.

— Czytaj! zawołało kilka głosów.

— To on tu siedzi! — zakrzyczeli pijani robotnicy, zawijając rękawy.

Smolka zaczął czytać; ale jak doszedł do ustępu: „za zezwoleniem Najjaśniejszego Pana,“ okropny wrzask wybuchnął.

— Gdzie on się kryje? gdzie jest?

— Chcemy ministra zobaczyć..

— Chcemy widzieć Latoura!

Smolka odpowiedział:

— Wszyscy razem nie możecie do niego pójść; niech się dwudziestu wybierze, ale przedtem musicie mi przysiądz że zostanie przy życiu.

— Tak, tak, — zawołało kilku gwardzistów. Zaprowadzimy go przed sąd wojenny.

Smolka w towarzystwie dwudziestu powstańców którzy się oddzielili od głównej gruppy, udał się na górę; doszedłszy do pokoju w którym przed chwilą znajdował się minister, znalazł drzwi zamknięte.

W tejże samej chwili, cały motłoch zaczął się pchać na czwarte piętro. Rozbiegłszy się po korytarzach: robotnicy wołali:

— Niech wyjdzie! — my go chcemy zobaczyć; pomówimy z Latourem!

Nagle boczne drzwi się otworzyły i minister stanął na progu.

— Oto jestem — rzekł. — Chcieliście mnie sami pilnować; macie mnie.

Pośród klątw, krzyków i pogróżek, sprowadzono go po wschodach na dół.

Kiedy stanął na placu gdzie patryoci bankietowali, przywitano go okropnym wrzaskiem. Latour zbladł: widział w oczach tłumu krew.

— Ah ty się boisz, — krzyknął mu nad uchem pijany robotnik. — Masz... to ci doda odwagi.

I plunął mu w twarz.

— Kule się nie raz na mnie sypały, a ja nie drżałem, — westchnął Latour; — ah! uczęstujcie mnie raczej kulą a nie plujcie!

— Mogę ci służyć —zawołał robotnik przykładając strzelbę do ramienia; ale ponieważ był pijany, chybił.

Huk strzału i zapach prochu wywołał w wściekłym tłumie żądzę mordu.

— Śmierć mu! śmierć! — ryknęło kilkaset głosów.

I tłum się rzucił na otoczenie jeńca, pięściami rozpędzono tych co go chcieli bronić, i jakiś kowal o zwierzęcym wyrazie twarzy i oczach krwią nabiegłych, ogromny, bezkrztałtny chłop, opasany skórzanym fartuchem, podniósł do góry z tyłu za Latourem ciężki swój młot żelazny i spuścił go na głowę ministra jak na kowadło. W tej że samej chwili, jeden gwardzista przebijał pierś nieszczęśliwego bagnetem, a drugi rąbnął go pałaszem.

— Latour padł jak martwa bryła w kałużę krwi.

Na zegarze Hofu, wybiły trzy kwandranse na piątą.

Upojeni widokiem krwi, mordercy podnieśli trupa by go pokazać tłumowi, poczem uwiązawszy mu postronek u szyi, powiesili u krat okna; ale postronek się zerwał i trup spadł na ziemię.

Wówczas rzucili się na niego i poszarpali mu ubranie.

Przez ten czas, czeladnik szewcki wdrapał się z grubym powrozem na świecznik stojący naprzeciwko gmachu ministerstwa. Na ten widok tłum przyklasnął. Czeladnik rzucił jeden koniec powroza mordercom i ciało Latoura, całe nagie i pokaleczone zawisło w powietrzu pośród okrzyków radości.

Gdy noc nadeszła, zapalono latarnie świecznika. Światło gazowe padając na tę głowę zdefigurowaną i kwią pokrytą, nadawało jej okropny wyraz, a blade i drżące promyki ognia spadając wzdłuż ciała podobne były do dreszczy.

Orgia kannibalów zakończyła tę uroczystość; zatoczono beczki wina, śpiewano obrzydliwe kuplety. Nim tłum opuścił plac, gwardziści uszykowali się w pluton i dali ognia do trupa. Były to już tylko jakieś szczątki ciała ludzkiego; jedna kula wybiła mu oko, z dziury w czaszce wychodził muzg, wzdłuż twarzy płynęły wązkie paski krwi. Całe ciało było podarte, skrwawione, połamane. W kałuży krwi jaka się zebrała pod świecznikiem, publiczne dziewczyny maczały swoje chustki aby je zachować jako trofea.

Nareszcie nad ranem, kiedy już na placu nie było nikogo, jeden legionista kupił od stróża prześcieradło i okrył niem ten nagi i martwy kawał mięsa i kości wiszący na sznurze, który wczoraj jeszcze nazywał się Latourem.

Ulica która się poczyna obok arsenału, prowadzi z Hofu na ulicę Wipplingen jedną z najdłuższych i najstarszych ulic Wiednia, po Hernngasse. Idźmy nią: oto jesteśmy przed Ratuszem, ciekawą bardzo chociaż zniszczoną budowlą. Gmach ten datuje z piętnastego wieku, ma gotycki dziedziniec, wodotrysk i pomniki. Salę delibracyjną członków magistratu zdobią freski i kolorowe szyby.

Na końcu ulicy równoległej, Salvator-gasse, stoi kościół Maria-Stejgen, prawdziwe cacko kamienne, rżnięte, rzeźbione a dżiorno z wielkim smakiem. Prześliczny ten kościołek wznosi się ponad staremi domami cyrkułu Salzgries. Aby się nim zachwycać, trzeba go widzieć w nocy przy blasku księżyca: przybiera on wówczas fizyognomję zjawiska magicznego. Pod drżącem i jasnem światłem gwiazd, jego wieżyczka, lekka jak trzcina i nadpowietrzna jak sen, zdaje się zamieniać na srebrny kielich lilii z którego o świcie przyjdą pić rosę ptaszki.

W roku 1622, dnia 27 stycznia, miała miejsce w tym kościele ceremonia jakich się dużo odbywa

u liliputów: celebrowano z wielką uroczystością ślub dwojga karłów.

Na dwa dni przedtem, dwóch karłow bogato ubranych obeszło całe miasto zapraszając na ślub i wesele wszystkich karłów i karlice stolicy.

Dziwna to i oryginalna była procesya! Na czele orszaku szedł mały liliputa, przybrany w mundur marszałkowski, z piuropuszem na głowie, z laską tambormażora w ręku; potem szli narzeczeni i pięćdziesięciu karłów i karlic uszykowanych w szereg, podług wzrostu. Narzeczony miał dwie i pół stóp wysokości a narzeczona dwie stopy: a była ona ładniutka z wiankiem na głowie; oczy miała niebieskie, zęby duże jak ziarnka ryżu, figurę osy, ręce bardzo białe nie większe od różanych liści, a nóżki tak małe że zmieściłyby się w ręku dziecka. Miała przytem na buziakach prześliczne dołki, ale.., aby tam złożyć pocałunek trzeba by być motylem albo też samym karłem. Ubrana w satynową suknie, podobną była do białej myszki. Tłumy widzów wydawały na jej widok okrzyki zachwycenia. Narzeczony nie był ani tak zgrabny ani miły; trzymał się sztywno i aby być większym spinał się na palcach. Miał na głowie spiczasty na bok pochylony kapelusz, kurtkę i krótkie spodeńki; jego ruchy małego dandysa podobnym go robiły do szczura miejskiego pośród szczurów polnych.

Po ceremonii odbyła się wspaniała uczta ofiarowana nowożeńcom przez miasto. Młodzi małżonko-

wie siedzieli na fotelikach złoconych pokrytych aksamitem i ustawionych obok siebie pod baldachimem ubranym w wieńce.

Przy końcu uczty, mały marszałek wstąpił na stół i wzniósł toast na cześć cesarza i państwa młodych, których odprowadzono potem solennie do ich mieszkania.

III.

O Telegrafie i jego użyteczności. — Wiedeńscy odźwierni. — Nowa giełda — *Krach* z 1873 roku. — Zabawy i rozrywki *Kulisierów*. — Tramwaye. — Pałac Harrach — Wallenstein w Wiedniu. — Posiedzenia parlamentu. — Nowe budowy na Ringu. — *Volksgarten*.— Cesarskie stajnie. — Albertina; rysunki Callota i Durera. — Książe Lobkowitz i jego historya.

Ulica Wipplinger na której znajdowaliśmy się przed chwilą prowadzi prosto do nowej giełdy i bulwaru Ring; przechodząc zatrzymajmy się na chwilę przed centralnem biurem telegrafów, przepysznym pałacem, piękniejszym od pałacu cesarskiego; na peronie przechadza się majestatycznie szwajcar, jeden z tych odźwiernych wiedeńskich co to od samego rana jest już wykostiumowany tak jak by wieczorem miał grać w jakiej operze komicznej lub figurować w cyrkowej pantominie.

Wiedeński szwajcar złocony jest od stóp do głowy; zimą nosi na plecach wspaniałe futra, latem

wdziewa białe ze złotemi lampasami spodnie, i wygląda jak generał. Ci galowi szwajcarowie są ostatnią pozostałością po zwyczajach hiszpańskich jakie Karol VI wprowadził do Wiednia. W owej epoce, każdy pan miał w swoim domu ze stu służących: — murzynów, strzelców, paziów hajduków, perukarza, doktora sekretarza; a taki piękny szwajcar z kapeluszem pokrytym piórami, z laską jako buławą w ręku, wart był sam jeden więcej od całego szwadronu gwardyi.

Wiedeńskie biuro telegraficzne jest wzorową instytucyą; przyjmują tam i zapieczętowane listy przeznaczone dla miasta i jego okolic i takowe ekspedyują z szybkością prawie telegraficzną, za pomocą przeprowadzonych w różnych kierunkach rur, pneumatycznych. Po biurach telegraficznych i na poczcie urzędnikami są prawie wyłącznie same kobiety: telegrafistką jest jedna nawet wielka dama, hrabina Wimpfen, córka generalnego inspektora telegrafów; minister handlu obdarzył ją dyplomem:

Jeżeli są jeszcze przypadkiem ludzie co wątpią o wielkiej użyteczności telegrafu, to opowiem im poniżej zamieszczoną historyjkę:

Pewien mieszkaniec Monachium, przybyły do Wiednia na wystawę, uradowany że znalazł nad Dunajem piwo bawarskie tak godnie reprezentowane, uraczył się ojczystym nektarem w sposób tak chojny że zapomniał zupełnie w którym hotelu stanął.

Położenie było fatalne. Ale od czegóż telegraf! wyznawca Gambrinusa pobiegł na telegraf i wyekspedyował do swojej połowicy, będącej także na wystawie, następującą depeszę, którą u bramy głównej przylepiono:

„Donieś mi jak najprędzej gdzie ja w tym djabelskim Wiedniu stoję. Obecne moje mieszkanie jest: Browar Drehera w gmachu wystawy.“

Małżonka, wierny stróż mężowskiego adresu, odpowiedziała niebawem:

„Mieszkasz na ulicy „Brama do Raju“ Nr. 12.“

Nowa giełda jest świętym przybytkiem którego podwoje są zamknięte dla profanów; aby wejść do tego sanktuaryum, trzeba być koniecznie wprowadzonym przez którego z wielkich kapłanów Złotego Cielca. Ci co na giełdę uczęszczają opatrzeni są w abonamentowe karty które jeśli się nie mylę, kosztują rocznie 60 franków. Główna sala cała jest wykładana najdroższemi marmurami; ma trzy nawy z dwoma rzędami arkad podtrzymywanych przez kolumny z różowego marmuru w stylu dorychim; światło jest tam żywe, promieniste: dziwna rzecz, jak przy tym blasku może się odbywać tyle „ciemnych“ interesów!

Akustyka w tej sali jest tak silną że się nic nie słyszy i aby przygłuszyć piekielny wrzask jaki tam sprawiają panowie „kulisierzy“ trzeba by chyba ściany

całe pokryć draperyami. — Każdy wekslarz ma osobny gabinet gdzie pali i przyjmuje interesantów. Specyalna sala przeznaczona jest dla redaktorów finansowych działów, gazet; buletyny giełdowe piszą się na miejscu, na poczekaniu.

W antresolach gmachu, mieści się giełda zbożowa i doskonała restauracya.

Wschody jakie prowadzą do górnych piątr, są marmurowe; wentylacya i opalenie gmachu urządzone zostały podług systemu p. Böhma; umieszczona w suterenach parowa maszyna o sile szesnastu koni porusza dwoma wentylatorami: jeden z nich wprowadza świeże powietrze, drugi wyprowadza powietrze zepsute. Świateł gazowych jest tam 1,366.

W porównaniu z latami 1872 i 1873, gra obecna na giełdzie wiedeńskiej jest ledwie dziecinną zabawką; wówczas, w przeciągu dwudziestu czterech godzin, tworzyło się przynajmniej jakie trzydzieści akcyjnych towarzystw; operacye codzienne przenosiły tam cyfrę miliarda! W roku 1867 około 1000 osób uczęszczało na giełdę, w roku zaś 1873 liczba graczy wzrosła do 3,200. Notowania oficyalne wskazywały w roku 1876, 152 papiery wartościowe, w roku 1873 było już ich 424. Dziś widziano jeżdżących karetami tych co wczoraj jeszcze chodzili w wykoszlawionych butach a ci co wczoraj mieli ekwipaże, umierali nazajutrz na szpitalnym barłogu:

Był to bezczelny i skandaliczny tryumf bankierskiego bandytyzmu. „Miliardy francuzkie, — pisze słusznie Sacher-Masoch w swoim *Cie'cu Złotym*, to był grecki podarunek dla tych biednych Niemiec; to złoto wywołało w Berlinie, Wiedniu i stu innych miastach niemieckich, gorączkę spekulacyi która nas cofnęła do czasów Lawa; z miliardami wyrosła z pod ziemi cała armia skorpionów chciwych krwi ludu; wszyscy pragnęli mieć bogactwo bez pracy i trudu; zaraza ogarnęła wszystkiemi warstwami społeczeństwa; książęta, generałowie, dyplomaci, urzędnicy rywalizowali z żydami, dziennikarzami i kobietami półświata, wielcy rabowali małych, bogaci — biednych. Pałace stawiano na cemencie rozrabianym w krwi ofiar! Wiedeń był istnym upadającym Rzymem, złoto pokrywało infamię!

— Powiedz mi pan, — pytał nowicyusz starego oszusta giełdowego,—jaką drogą trzeba iść aby dojść do majątku?

— Oh, to bardzo łatwo: *bierz* na prawo, *bierz* na lewo, *bierz* na wszystkie strony.

W tych dwóch wierszach mieściła się cała ówczesna nauka giełdy!

Ah! cóż to była za porażka! Miliony zaczęły topnieć jak te dukaty które djabeł z bajki daje w lesie tym co mu duszę zaprzedają. Rozległ się krzyk rozpaczy: *Krach!*

Krach to była przepaść która nagle roztwiera swoją paszczę pod nogami podróżnego; to sklepienie niebios zapadające się na Tytanów. Po śmiechach i wybuchach radości i tryumfu, rozległy się wycia wściekłości i nędzy! od razu jednego dnia znalazło się dwustu spekulantów zrujnowanych; dwustu dłużników nie mających czem płacić! Wielu z nich odebrało sobie życie na korytarzach giełdy. Tłumy wściekłe i rozjuszone, depcząc po tych trupach leżących w kałużach krwi, miotając obelgami, szukały pp. Rotszilda i Scheya których oskarżano o wywołanie całego kryzysu przez zatrzymanie w swoich kasach wszystkich zapasów gotówki; nazwiska ich obrzucano obelgami; gdy młody baron Schey, zjawił się na giełdzie tłum rzucił się na niego wściekły z rykiem dzikich zwierząt; powalono go na ziemię, bito, kopano, podarto na nim ubranie; gdyby nie energiczna pomoc służby i policyi która go prawie martwego wrzuciła do powozu, byłby został zamordowany. Po całej awanturze znaleziono na wschodach jednego z jego urzędników, okropnie pokaleczonego. Nazajutrz policya giełdę zamknęła a zajął ją oddział żandarmów.

Ale dawno już minął ów czas piekielnych gonitw, kiedy wiedeńczyk zamiast pić piwo wychylał kielichy szampana, kiedy ekwipaże finansowych baronów bryzgały błotem na porządnych ludzi chodzących z ich przyczyny piechotą, a giełda stanowiła drugą wieżę Babel; dzisiaj jeszcze na Praterze obwijają sery

w akcye z owych czasów drukowane na różowym papierze.

Giełdziści i kulisierzy którzy już dzisiaj nie potrzebują staczać z publicznością krwawych bojów, wynaleźli sobie oryginalne i dość głupie zabawki. Jedną z ich ulubionych rozrywek jest udając zajętego rozmową dotykać lekko zaaferowanych interesantów, cienką laseczką, z tyłu. Każdy się naturalnie obraca sądząc że go ktoś przyzywa, tymczasem nie widzi już nikogo przy sobie, ani też żadnej laseczki. Interpelowani w ten sposób, gniewają się, szukają zaczepiającego, ale prawie nigdy znaleźć go nie mogą, tak się ci panowie zręcznie potrafią ukryć. Przeciwko tym nadużyciom, rada giełdowa nie potrafiła jeszcze skutecznie wystąpić.

Nie raz można tam także widzieć dwóch kulisierów przyszytych do siebie za poły od surdutów: gdy się rozchodzą, poły naturalnie bywają rozdzierane. Jeden drugiemu także nieraz delikatnie napisze na kołnierzyku od koszuli, kursa ostatnie albo jaki dowcip. Wszystko to uchodzi na giełdzie wiedeńskiej i wywołuje wybuchy radości i śmiechu pomiędzy widzami.

Naprzeciwko giełdy, w dawnym hotelu „Austria“ zbankrutowanego wskutek krachu, mieści się biuro dyrekcyi policyjnej; wygląda to tak jakby giełda potrzebowała policyjnego dozoru. Hotel „Taubera“ hotel „Britanica“ „Union“ także już nie istnieją; wszy-

stkie pobankrutowały. Hotel Taubera np. kosztował 60,000 guldenów, po krachu kupiło go pewne towarzystwo, a dawnemu właścicielowi dostało się wszystkiego 60 florenów, reszta zaś poszła na spłacenie długów hypotecznych. Hotel „Union“ zamieniono na „Café-concert“ a hotel „Britanica“ zakupił rząd na pomieszczenie sądu.

Ale dość już o tem wszystkiem; wsiądźmy lepiej do tramwaju. W Wiedniu tramwaje kursują już od dziesięciu lat; nie mają siedzeń na wierzchu, a do środka pakuje się niezliczona ilość pasażerów którzy tam siadają jak kto może; często widzi się damy usadowione na kolanach mężczyzn.

A jak tam wesoło! wszyscy się śmieją i rozmawiają jakby byli w domu u siebie.

Sąsiadka twoja np. powie ci zaraz czy jest panną lub mężatką; sąsiad z naprzeciwka zwierzy ci się że źle spał przez całą noc bo wieczorem za dużo piwa wypił i że mu najmłodszy synek zachorował na kaszel, i t. d. i t. d. Po kwandransie jazdy znasz już stosunki familijne każdego z twoich tramwajowych towarzyszów, wiesz co kto robi, ile ma dochodów, ile dzieci i jakie oni mają imiona. A odbywa się to wszystko z taką dobrodusznością i humorem, że cię to wcale nie nudzi i wydaje się rzeczą zupełnie naturalną.

A teraz pójdźmy na platformę i przypatrzmy się ulicy „Ringstrasse“ która na miejscu dawnych ba-

styonów i okopów okala miasto. Stoją tam najpiękniejsze prawie gmachy. Oto Opera-Komiczna, Izba deputowanych, Kościół Wotywy i Brama Szkocka która sięga do „Freyung“ gdzie się znajduje klasztor benedyktynów szkockich i pałac Harrach w którym galerya obrazów zajmuje trzy wielkie sale. Są tam prześliczne płótna starych mistrzów niemieckich Dürera i Holbeina oraz obrazy włoskich malarzy. „Freyung“ otrzymała swoją nazwę z tej okoliczności że dawniej gdy miasto nie dochodziło aż tak daleko i kończyło się na Tiefen-Graben, kryminaliści znajdowali schronienie w klasztorze szkockim który sam tworzy całe skrzydło ulicy. Kiedyś Wiedeń składał się w trzech czwartych z zakonów i klasztorów które same jedne mogły być uważane za małe miasteczka.

W roku 1626 pewnego zimowego wieczoru, zatrzymał się przed pałacem Harrach czterokonny powóz z którego wysiadł człowiek o czarnych włosach, surowem wejrzeniu, słaby, i chwiejący się; lektyka już czekała, wsiadł i kazał się zanieść na pierwsze piętro: był to głośny generał Wallenstein, bohater Trzydziestoletniej wojny który miał za żonę jedną z córek hrabiego Harrach, ulubieniec cesarza, i który przybywał do Wiednia ratować silnie nadwyrężone zdrowie w obozach na Szlązku i Czechach.

W kilka dni potem, przed bramą pałacu stanął prosty żołnierz, kroata i zażądał widzenia się z generałem. Gdy służba chciała go odpędzić, narobił ta-

kiego hałasu że musiano iść o tem wszystkiem zawiadomić chorego!

— Wpuścić go! — odpowiedział Wallenstein.

Na widok żołnierza powstał i zawołał:

— Ah to ty!.. ten urwis z Gitschin... nabroiłeś wtenczas, co?

Wallenstein znał wszystkich żołnierzy swojej armii; gdy raz jeden przyjrzał się jakiej fizyognomii, nie zapomniał jej już nigdy.

— Tak, odpowiedział kroata, jestem tem bydlęciem z Gitschin, i zbliżył się do łóżka. Cóż chcesz mój generale, byłem pijany. Wasza ekscelencya przejeżdżała z Pappenheimem przez najbrudniejszą ulicę Gitschinu; ja przechodziłem sobie obok nie domyślając się bynajmniej że to nie prostych kawalerzystów ale generałów obryzgam błotem; ale ty mój generale stanąłeś na strzemionach i głosem jak wszyscy djabli zawołałeś: „Powiesić to bydlę!“ A no, ja wcale nie miałem ochoty wisieć na postronku, to też dałem do waszej ekscelencyi ognia; kula musiała ci świsnąć koło ucha. Ale wasza ekscelencya najspokojniej spuściła się napowrót na siodło i powiedziała do swoich ludzi: „Dajcie pokój temu bydlęciu, niech sobie ucieka.“ Wyratowałeś mi życie generale, ja teraz przychodzę twoje ratować.

Po tem przemówieniu żołnierza, nastąpiła pauza, w trakcie której obaj ci ludzie patrzyli sobie oko w oko.

— Mój generale, — przerwał pierwszy milczenie żołnierz, — nie wierz temu co ci doktorzy prawią; ja w mojej głupocie wiem więcej od nich; wasza ekscelencya cierpi na kamień, ja mam na to lekarstwo.

— Więc ty jesteś czarownikiem?

— Nie mój generale, ale posiadam starą rerecepte która jest tylko znaną w naszej rodzinie.

— A no, doskonale, sprobujmy jej, — rzekł Wallenstein.

— To niech wasza ekscelencya rozkaże żeby mnie wpuszczono do kuchni, ja tymczasem pójdę na miasto kupić potrzebne na lekarstwo zioła i za godzinę przyrządzę napój; jutro mój generale będziesz zdrów, przysięgam.

Generał zażył lekarstwo i rzeczywiście wyzdrowiał.

Wallenstein był i drugi raz w Wiedniu w roku 1633. Przybywał z Pragi gdzie posiadał pałac o sześciu wjazdach; w jego antykamerach stało piećdziesięciu halabardników, na osobiste usługi miał pięćdziesięciu paziów; gdy podróżował świta jego składała się ze stu powozów z których pięćdziesiąt było sześciokonnych a pięćdziesiąt czterokonnych.

Za drugim swoim pobytem w stolicy, zajechał do swojego bankiera Jakóba Hasevy, na ulicy piekarskiej. Ten niespodziewał się wcale podobnej wizy-

ty i spędzał właśnie wieczór na pogawędce ze sławnym astrologiem ówczesnym, Andreasem Argoli.

— Szukam cię wszędzie, — rzekł Wallensztein do Argolego, wchodząc do pokoju bez anonsowania się, okryty olbrzymim płaszczem z nasuniętym na oczy kapeluszem. — Słyszałem o tobie bardzo wiele, jedna twoja tylko sztuka może rozproszyć moje podejrzenia.

Narada z astrologiem przeciągnęła się do późna w nocy. W następnym roku, Wallenstein, ów bohater który przez chwilę najpotężniejszym był człowiekiem w Europie, wjeżdżał do Eger, niesiony w lektyce, z eskortą dwustu strzelców i pięciuset jeźdzców. W kilka dni potem umarł zamordowany.

Astrolog, podobno przepowiedział mu ten tragiczny koniec.

Deputowani cesarstwa austryackiego, tak samo jak i deputowani w Berlinie, odbywają swoje posiedzenia w tymczasowym tylko budynku podobnym bardzo do włoskiego pawilonu. Budynek ten stoi o jakie pięćdziesiąt kroków od bramy Szkockiej. Wejdźmy tam: debatuje właśnie izba nad kwestyą która się tyczy Paryża; idzie oto czy Austrya ma brać udział w powszechnej wystawie francuzkiej naznaczonej na rok 1878, czy też ma naśladować Niemcy i wstrzymać się od współudziału.

Trybuny są prawie pełne; ambasadę francuzką przedstawia pan de Vogué i jego sympatyczny sekretarz pan de Ring. Tu i owdzie jaśnieją toalety dam, ale trybuny w izbie wiedeńskiej to nie trybuny wersalskie: tutaj takich dyplomatek w spódnicy jak hrabina de Renneville, księżna Trubeckoi i księżna Gallera, wcale nie znają.

W chwili kiedym wszedł do sali, pan Giskra przemawiał; pan Giskra nie lubi Francyi dla tej przyczyny że przekłada nad nią Prusy; chciałby żeby naśladowano Berlin i nie zajmowano się wcale Paryżem który, armaty Kruppa musiały zupełnie zniszczyć.

Gdy w roku 1866 cesarz Wilhelm zajął Czechy ze swojem wojskiem, pan Giskra który był wówczas merem w Brun, miał u zwycięzcy audyencyę. Audyencya ta była dlań punktem wyjścia do karyery.

Nowy neofita przemawia naturalnie za swoim świętym, ale w trybunach dają się słyszeć szemrania; po panu Giskrze zabrało głos kilku mówców i wszyscy przemawiali za współudziałem Austryi w wystawie. Przyjęto ich sutemi oklaskami; gdy się głosowanie skończyło, wniosek za uczestnictwem poparty został znakomitą większością głosów. Izba zawartowała natychmiast subsydya.

Doktór Herbst, przywódzca lewicy jest *alter ego* pana Giskry: przezwano ich „Kastorem i Polluksem.“ Lewica ministeryalna składa się z centralistów niemieckich „grossdeutsch“ którzy są stronnikami przy-

łączenia do cesarstwa niemieckiego, wszystkich niemieckich prowincyj austryackich. Na czele konserwatystów stoi hrabia Hohenvart; jest to jeden z najlepszych mowców Izby.

Dr. Kronaveter dowodzi skrajną lewicą złożoną z demokratów; ale nie ma tam ani jednego socyalisty. Socyalizm w Austryi można powiedzieć że wcale nie istnieje.

Gołuchowski walczy na czele dzielnej chociaż szczupłej legii polskiej.

Trzydziestu trzech deputowanych czeskich, nie zasiada już wcale w izbie od lat kilku, z powodu że partya centralistów niemieckich która dzisiaj jest w Wiedniu u władzy, zgwałciła prawa historyczne Czech.

W izbie deputowanych austryackich, trybun wcale niema: każdy mówca prawi ze swego miejsca, z rękami w kieszeniach lub oparty o jaką plikę papierów. Mowy jakie tu mają posłowie są wszystkie bez końca; nie są to bynajmniej żadne improwizacye mniej lub więcej świetne, ale długie i suche raporta odczytywane i recytowane tak jak lekcya. W samej izbie nie widzi się ani jednego deputowanego we fraku, za to sporo się widzi niebieskich i fioletowych aksamitnych kamizelek. Woźni noszą na ramieniu białą kokardę ze złotemi frenzlami.

Dawniej Wiedeń pełen był optymistów, dzisiaj spotyka się tam samych tylko pessymistów.

Jeżeli różnorodne narodowości wchodzące w skład monarchii austro-węgierskiej, nie mogą się zgodzić między sobą co do kwestyj politycznych, to za to idą ręka w rękę skoro tylko idzie o kwestye interesów materyalnych; okoliczność ta może jeszcze Austryę od zguby wybawić.

Na nieszczęście jednak dla Austryi w której przecież tyle jest żywotności, inwazya pruska zalała całą monarchię; prusacy są wszędzie; w administracyi, w ministerstwach, w armii, w prasie, w uniwersytecie, w izbie panów, w izbie deputowanych, na sejmach prowincyonalnych, w radach municypalnych. Wiedeń tak dla finansistów jak i artystów północnych i południowych Niemiec, jest drugiem Eldorado. Naczelnikami obu kancelaryj cesarskich jak również jego adjutantami, są niemcy; generał Gablentz, dowodzący wojskami austryackiemi w wojnie szlezwigskiej, był saksończykiem. Był to człowiek bardzo miernych zdolności ale giętkiego umysłu a więcej jeszcze giętkiego krzyża. Gdy powracał z Danii, przyszykowano mu w Wiedniu wjazd tryumfalny; cesarza który wyjechał na jego spotkanie, generał pocałował ostentacyjnie w rękę. W roku 1872 chcąc wziąść udział w zbieraniu manny złotej, generał Gablentz wystąpił ze służby i rzucił się w spekulacye. *Krach* wybrał go sobie za pierwszą ofiarę: zbankrutowany moralnie i materyalnie uciekł do Zurichu i tam życie sobie odebrał.

Ale zadalekośmy odbiegli od Ringu; powróćmy do miasta.

Wychodząc z izby deputowanych, znajdziemy się wprost kościoła Wotywy, wystawionego na pamiątkę ocalenia życia cesarza od zamachu w roku 1853. Sztuka gotycka nie wystawiła w naszym wieku nic jeszcze tak pięknego; zdawałoby się że to arcydzieło powstało podług odnalezionych jakich starych planów którego z mistrzów dawnych, Erwina Strasburgskiego np. Widok ogólny kościoła jest imponujący. Przez błyszczące kolorowe szyby przedziera się do wnętrza w łamanych liniach światło słoneczne i odbija się od lasu kolumnad i p lastrów na których spoczywa sklepienie. Styl jest czysty i doskonały;. w tym wieku armat i złota, to dzieło pokoju i miłości jest jakby oazą pośród rozpalonych żarem słońca piasków.

Na Ringu budują obecnie pałac dla parlamentu, nowy ratusz i nowy uniwersytet. Pałac prawodawczy trzymany jest w dwóch stylach: greckim i renesansowym; ratusz jest w stylu gotyckim a uniwersytet w stylu renesansu włoskiego. Trochę dalej w przepysznym gmachu zebrane zostaną kolekcye muzeum historyi naturalnej i belwederska galerya obrazów. Cała armia mularzy i snycerzy jest w ruchu; na wszystkie strony słychać sztuk młotka, kielni i dłuta o kamień; szeregi kobiet w butach — Słowaczki—przenoszą na ramionach cement i wapno.

Jest nawet projekt połączenia nowego muzeum z Burgiem i zrobienia z tego placu czegoś nadzwyczajnego, jedynego w świecie, czegoś nakształt placu Ś-go Piotra w Rzymie;

Po za muzeum, naprzeciwko małego rzymskiego łuku tryumfalnego przy którym stoi odwach żołnierzy, wznoszą się stajnie cesarskie; miesci się w nich czterysta koni w przegrodach opatrzonych marmurowemi kolumnami; żłoby są także z marmuru a drabiny zastąpione są przez rodzaj koszyków ze stali polerowanej po nad któremi na tabliczce metalowej wypisane jest nazwisko każdego konia. W tych długich stajniach wszystko się świeci jakby w salonie.

Pokazano mi najprzód dwanaście ogierów które elektor heski, zmarły w Pradze, pozostawił w spuściźnie cesarzowi austryackiemu; ich rasa ma się wraz z ich życiem zakończyć; jest to jeden z warunków testamentu. Kiedy prusacy weszli do Wielkiego Księztwa, wielki książe który posiadał jedno z najpiękniejszych stad koni w Niemczech, kazał wszystkie klacze powystrzelać. Ciekawe te konie mają sierść krótką jak harty i są maści cielistej.

Przed rokiem 1866 w stajniach cesarza austryackiego było sześset koni; dzisiaj jest już ich tylko czterysta pomiędzy którymi znajduje się sto koni hiszpańskich czystej krwi, ulubionych faworytów cesarzowej. Są one przepysznej maści; niektóre są jakby pokryte srebrnym puszkiem. Jej cesarska mość

znajdowała się właśnie w maneżu z jedną z woltyżerek cyrku Renza, której lat temu dwa podarowała konia; koń ten figuruje dotąd na afiszach cyrkowych pod nazwą „konia cesarzowej“.

Cesarzowa gdy bawi w Wiedniu przepędza sporą część dnia w towarzystwie swoich koni; nie ma nad nią odważniejszej, więcej eleganckiej i wdzięczniejszej amazonki; lubi szalone kursa, a jest w zachwycie gdy ją koń poniesie przez pola, za jeleniem pośród psów szczekania i odgłosu myśliwskiego rogu; jeździ przytem często bez siodła i pızesadza najniebezpieczniejsze przeszkody. Ona również ujeżdża młode konie cesarskiej stajni. Wiedeńczycy którzy ją nie lubią, a lubią za to żarty, powiadają że najjaśniejsza pani minęła się z powołaniem.

Po nad stajniami znajdują się wozownie dla cesarskich ekwipaży, które się spuszcza na dół za pomocą osobnego mechanizmu; można tam widzieć prawdziwe muzeum galowych pojazdów, złoconych i błyszczących jak słońca; powóz koronacyjny, pokryty rzeźbą i złotem, ze drzwiczkami składjącemi się z jednej tafli lustrzanej, upiększony jest malowidłami Rubensa przedstawiającemi monarsze cnoty: sprawiedliwość, siłę i t. d. Wnętrze tego powozu wyłożone jest aksamitem ze złotem. Zakłada się do niego ośm koni białych, a po bokach, z tyłu i poprzód towarzyszy mu dziesięciu kuryerów, czterdziestu lokai i ośmiu hajduków. Stangret i fo·

rysie ubrani są we fraki z czarnego i żółtego aksamitu i mają na głowach pióropusza. Na cesarskiej koronacyi w Frankfurcie, przed powozem szły: gwardya szwajcarska, marszałek dziedziczny z mieczem dobytym i feldmarszałkowie konno; za powozem zaś postępowała kompania paziów cesarskich, ubranych w mundury wyszywane złotem, szli dowódzcy gwardyi cesarskiej, i halabardziści w czerwonych uniformach.

Kolekcya sanek nie mniej jest godną uwagi: są sanki w kształcie łabędzia, morskich ryb, i t. d. Sanki któremi jeździła Marja - Teresa sama powożąc, naśladują konchę.

W oddziale siodeł pokazano mi siodło cesarza Maksymiljana, jego spodnie ze skóry sybirskch psów, jego lazzo i meksykański kapelusz i siodło Kara Mustafy, którego czaprak wysadzany jest rubinami, perłami i księżycami z dyamentów; u tego siodła strzemiona i ostrogi są złote.

Szory koronacyjne są pokryte aksamitem złoconym, i złotemi dzwoneczkami.

W czterech salach mieści się kolekcya broni myśliwskiej datującej od najdawniejszych czasów istnienia dynastyi Habsburgskiej. Są tam dzidy z któremi pierwsi książęta szli na dzika i niedźwiedzia, obok prześlicznych strzelb z których Marya-Teresa strzelała do zajęcy i lisów. Na ścianach pierwszej sali wiszą

wysadzane złotem rogi darowane Franciszkowi-Józefowi przez Wiktora Emmanuela.

Na lewo za stajniami rozciąga się ogród dworski (Hofgarten) gdzie możemy na chwilę spocząć; jest to wiedeński ogród Tujlerjów, muzyka tam gra, dzieci się bawią, damy spacerują myśląc o niebieskich migdałach. Ogród ludowy (Volksgarten), pełen ciemnych drzew, z elegancką kawiarnią, służy za równoważnik temu dworskiemu ogrodowi, i mieści się naprzeciwko pałacu prawodawczego.

Wiedeńczycy są wielkimi amatorami ogrodów; lubią kwiaty, drzewa i ptaki: w salonie każdego wiedeńskiego mieszczanina znajdziesz żardinierkę i klatkę—doniczki z geranium i kanarki. Nie mogąc zaludnić swoich ogrodów publicznych słowikami zaludniają je muzykantami; co wieczór skoro tylko wiosna pozwoli pączkowi rozkwitać a płci pięknej odkrywać gardziołki, Volksgarten i Stadtpark zamieniają się w olbrzymie sale koncertowe pod otwartem niebem, w których króluje Strauss, król walców.

Wiedeń dał Holandyi pierwszego tulipana. Mathias Corwin w jednym ze swoich listów mówi że „całe terytoryum Wiednia tworzy olbrzymi ogród otoczony winnicami i sadami."

Kiedyś wiedeńczycy obchodzili uroczystość pojawienia się pierwszego fijołka; ten co pierwszy na łą-

ce na której się w tym celu zbierano, znajdywał wonnego gońca wiosny, był królem zabawy i odprowadzano go w tryumfie do Wiednia.

Uroczystość ta bywała bardzo piękną; cały dwór jej asystował; uroczystościowy orszak udawał się na Kahlenberg: pochód otwierało towarzystwo pasterzy ubranych w czapki z niedźwiedzich skór i pawich piór,—szła potem gruppa paziów i kawalerów dwórskich, poprzedzając księcia i księżnę z ich gwardyą honorową, w końcu zamykali marsz członkowie „rady waryatów“ przybrani w błazeńskie szaty. Od rana dnia poprzedniego straż pilnowała już Kahlenberga aby kto naprzód nie odszukał już miejsca gdzie wyrosł pierwszy fijołek. Na dany znak wszyscy się rozbiegiwali po pagórkach i dolinach; kto pierwszy kwiatek zerwał był zatem królem: otrzymywał fiołek ukuty ze złota, a na uczcie jaka kończyła zabawę siedział na honorowem miejscu. Miał także przywilej przetańczenia z księżną a kronikarze notowali jego nazwisko.

Niedaleko od Hofgartenu stoi pałac arcyksięcia Alberta zawierający przepyszną galeryę rysunków i sztychów, znany pod nazwą „Albertiny.“ Fundatorem tej cennej galeryi jest książe Albert, syn elektora saskiego, Fryderyka - Augusta, króla polskiego. Gust i zamiłowanie do sztuk pięknych rozwinęły się u księcia podczas podróży jaką odbył do Włoch ze swoją młodą żoną arcyksiężniczką Maryą-Krystyną,

najstarszą córką i faworytą Maryi-Teresy. Polecił on Jakubowi Durazzo, ambasadorowi austryackiemu w Wenecyi, zebrać kollekcyę starych sztychów włoskich, a podczas kiedy sam był gubernatorem Niderlandów, dokonał zbioru rysunków mistrzów neerlandzkich; na nieszczęście, statek który wiózł wszystkie te bogactwa również jak i bibliotekę księcia, zatopił się w przeprawie między Belgią a Hamburgiem, w roku 1792. Obywatele Niderlandów, chcąc stratę księciu wynagrodzić, zebrali dla niego sto czterdzieści siedm przepysznych rysunków Rembrandta, studyów Rubensa i szkiców Van-Dycka; podarunek ten stanowi bardzo piękną ozdobę „Albertiny.“

Ale perłą artystyczną tej kollekcyi jest zbiór trzystu siedmdziesięciu jeden rysunków Durera, pochodzący od Rudolfa II, tego cesarza wielbiciela sztuk pięknych, który kazał przenieść z Wenecyi do Pragi na ramionach czterech ludzi, *Uroczystość Różańców* mistrza Nurembergskiego, nie chcąc narazić obraz na pakowanie i trzęsienie na wozie. Durer wymalował to płótno w Wenecyi roku 1506, za summę 110 guldenów; Józef II w roku 1782 kazał publicznie obraz sprzedać w Pradze razem inną „starzyzną.“

Własny portret który Durer zrobił, mając lat trzynaście, pozując sam przed lustrem, umieszczony jest na samym czele tej nieoszacowanej kollekcyi w której się mieszczą tak pierwsze próby mistrza jak i późniejsze jego arcydzieła. Są tam szkice po-

chodzące z czasów jego podróży naukowych, są wzory kostiumów niewieścich z Nurembergu, znakomite rysunki przypominające „Damy" Holbeina. Durer naśladując wieczny model — naturę, potrafił być malarzem idealistą; wszystko co wyszło z pod jego boskiego pędzla lub ołówka, jest pełne harmonii, delikatności, wdzięku, obserwacyi i głębokiej poezyi.

Ten „Bukiet fijołków," którego zdaje się że wraz z barwą ustalił na papierze i zapach, pewnie sam zerwał lub go dostał z rąk jakiej patrycyuszki, wielbicielki jego talentu; tego „zająca w sidłach" musiał widzieć w naturze; pejzaż „Madonny" w otoczeniu zwierząt, zkopiował w pełnem polu, podczas pięknego ranka. Albertina posiada jeszcze bardzo piękną seryę jego studyów olejnych na zielonym papierze. Wszystkie osobistosci tak samo jak i wzory piórkiem, „Adoracyi Magów," brane były z żywych modeli. Durer miał poczucie życia cielesnego; w jego kompozycyach dusza drga, wyprzedził tak samo jak Shakespeare, swój wiek.

Tausing, obecny dyrektor Albertiny, znalazł niedawno temu prawdziwy skarb, — kajet szkiców Jakóba Callota, zarzucony w starych papierach antykwaryusza. Na samem czele tego albumu znajduje się własny portret rysownika, — istna głowa cygańska o zamyślonych oczach, wąsach do góry sterczących, włosach rozrzuconych; następnie idą zachwycające studya podłóg „Tańca umarłych" Holbeina.

Wykonanie u artysty francuzkiego jest o wiele lepsze niż u artysty niemieckiego; jest delikatniejsze, ma w sobie więcej ironii, muskularności—uderza odrazu widza.

Wiedeń posiada mnóstwo skarbów artystycznych; Belwederska kollekcya jest jedną z najpiękniejszych w Europie. Berlin nie posiada kollekcyj prywatnych: Wiedeń oprócz „Albertiny" ma ich pięć: kollekcyę hrabiego Czernina, hrabiego Harracha, księcia Lichtensztejna, hrabiego Schoeborn i hrabiego Breunner. Wszystkie te galerye są otwarte dla publiczności; są tam arcydzieła starych szkół niemieckiej, włoskiej i holenderskiej.

Wychodząc z pałacu arcyksięcia Alberta, wchodzi się na lewo na plac Lobkowitza na którym stoi pałac tegoż samego nazwania; jest to pyszny gmach, w stylu rokoko, zbudowany między latami 1685—1690. Książe Lobkowitz, odegrał znaczną rolę w siedmnastym wieku: był to zarazem dworak, spekulant i hulaka. Wznoszony stopniowo do najwyższych godności, popadł w niełaskę i umarł na wygnaniu; prawda że nie zawsze potrafił trzymać języka za zębami, a wiadomo że to wielka wada.

W roku 1673, cesarz Leopold straciwszy swoją pierwszą żonę, chciał się powtórnie ożenić; wahał się pomiędzy księżniczką Margrawiatu a swoją ku-

zynką Klaudyą, córką wielkiego księcia Ferdynanda; ofiarowywano jeszcze cesarzowi kilka innych partyj, i portrety wszystkich tych księżniczek wystawione były w jednej z sal Burgu. Pewnego dnia kiedy Lobkowitz przypatrywał się tej ciekawej kollekcyi, Leopold zapytał się go którą księżniczkę radzi mu wybrać. Lobkowitz wymienił ich kilka ale ani jednej z tych których potrety miał przed oczami. Klaudya wyszedłszy za Leopolda, gdy się o tem dowiedziała, postanowiła się zemścić na księciu: pod pretekstem że utrzymywał tajemną korespondencyę z Francyą, wymogła na swoim cesarskim małżonku że go ten skazał na banicyę.

Książe ściągnął także na siebie niechęć rady municypalnej Wiednia, która ulice stolicy utrzymywała w okropnym stanie; Lobkowitz wzywał nieraz zarząd miasta do wywożenia z ulic błota i zamiatania chodników, ale ani jego reklamacye ani groźby nie skutkowały. Książe, jako gubernator, wezwał wówczas do siebie burmistrza wiedeńskiego który przybył naturalnie do gubernatorskiego pałacu, w galowym ekwipażu, ubrany dworsko, w jedwabnych pończochach i trzewikach ze srebrnemi sprzączkami na których błyszczały drogie kamienie.

— Ah! to pan panie burmistrzu, — rzekł Lobkowitz biorąc za kapelusz, — przepraszam pana po tysiąc razy, ale pilny interes powołuje mnie na mia-

sto; wsiadaj pan do mojego powozu, w drodze pomówimy; potem pana odwiozę do domu.

Sebastyan Fingensheur kazał swojemu stangretowi odjechać i wsiadł do karety Lobkowitza który zaczął z nim rozmawiać o deszczu i pogodzie.

— Powóz przejeżdżał przez najbrudniejsze ulice Wiednia, w końcu stanął przed Ratuszem.

— Bardzo pana przepraszam — rzekł Lobkowitz, — ale muszę cię tutaj panie burmistrzu pożegnać, interesa powołują mnie w drugą stronę miasta a widzę żem się już spóźnił.

Drzwiczki były już otworzone a przy nich stał lokaj; pan burmistrz spojrzał na ulicę, ale gdy zobaczył morze błota jakie zalewało cały plac, zwrócił się do księcia i rzekł głosem prawie modlącym:

— Czy jego ekscelencya nie była by tak łaskawą kazać stangretowi podjechać trochę dalej...

— Niepodobna, — odpowiedział Lobkowitz, — czekają na mnie: już i tak spóźniłem się o dwadzieścia minut.

Chcąc nie chcąc, pan burmistrz musiał wysiąść i zabrnął w błocie powyżej kostek — do domu przyszedł powalany jak pudel.

Lobkowitz odjechał śmiejąc się do rozpuku; od tej chwili nikt się już w Wiedniu nie skarżył na nieczystość ulic.

Na wygnaniu, Lobkowitz nic a nic nie stracił na humorze; swój pokój sypialny kazał oryginalnie urzą-

dzić: jedna jego połowa przepysznie była umeblowana, podczas gdy druga przedstawiała wnętrze chłopskiej chałupy: ,,To mi stawia przed oczy — mówił do znajomych co przychodzili go odwiedzać — zarazem przeszłość i teraźniejszość.''

Napis do nagrobka ułożył sobie sam za życia:

„Byłem panem, hrabią, księciem; —
Dziś jestem, pyłkiem, cieniem, niczem!„

IV.

Plac Szillera.—Opera.—Hotele i pałace.—Książe Richelieu w Wiedniu. — Austryackie muzeum. — Przemysł austryacki. — Gdzie jest piękny błękitny Dunaj? — Szyldy. — Paryż jest wszędzie. — Omnibusy, dorożki i dorożkarze. — Margrabia dorożkarzem. — Spacer na Ringu. — Typy.

Pójdźmy ulicą Alberta wzdłuż Hofgartenu i wróćmy na Ring.

Naprzeciwko siebie mamy plac Szillera i akademię sztuk pięknych, gmach obszerny w którego złoconych niszach na zewnętrznych ścianach, zebraną jest cała kollekcya bohaterów, bogów i bogiń Olimpu. Statua Szillera źle się odbija od tej fasady błyszczącej jak pagoda. Gdyby zamiast z bronzu wykuto ją z marmuru, daleko by lepiej wyglądała. Ta wenerancya Niemiec dla swoich poetów zasługuje na wielkie uznanie: Sziller i Goethe mają na niemieckiej ziemi

przynajmniej jakie czterdzieści pomników, ileż ich mają we Francyi Corneille i Moliere?

Zchodząc po Ringu, na lewo, spotyka się Operę która w porównaniu z paryzką, bardzo mizernie wygląda; budowniczy jej mniej szczęśliwy od pana Garnier, umarł ze zmartwienia w skutek zajadłych krytyk jakiemi jego utwór obrzucano. Pomiędzy kolumnami frontu, wcale nie wspaniałemi, stoi cztery czy pięć nędznych figur które tak wyglądają jakby się okropnie nudziły i nie wiedziały co z sobą począć. Ale za to wewnętrzne urządzenie wynagradza z lichwą braki z zewnątrz. Pod względem praktyczności, opera wiedeńska może ze wszystkich jakie są w Europie, najlepiej jest zbudowaną. W sali może się pomieścić trzy tysiące widzów którzy widzą doskonale scenę i wygodnie siedzą na swoich miejscach.

Minąwszy Operę, widzimy na prawo i lewo dwa największe hotele wiedeńskie: hotel „Metropolii" i „Wielki hotel." Nieco dalej dwa pałace ściągają na siebie uwagę, — pałac arcyksięcia Wilhelma i pałac pana Dumby. Pałac arcyksiążęcy trzymany jest w stylu włoskiego renesansu; ma kolumnadę i okna pokryte płaskorzeźbą. Apartamenta pana Dumby dekorował słynny malarz Makart, allegoryami Rolnictwa i Handlu; Pan Dumba jest grekiem i handluje zbożem.

Naprzeciwko ulicy Jana, rozciąga się park miejski znany „Stadt park." Jest tam jezioro które

w zimie pokrywa się lodem i łyżwiarzami obojej płci; wieczorami odbywają się na tej ślizgawce urocze zabawy przy blasku i świetle pochodni. Węgrzy w obcisłych butach, w szamerowanych kurtkach, i futrzanych czapkach przelatują po lodzie jak błyskawice prowadząc pod rękę damy, jakby w kadrylu. Wyprawa Tegetthofa do północnego bieguna wprowadziła w modę dla eleganckich łyżwiarek oryginalny kostium Eskimosów, który usuwa niedogodności sukni i spódnic. Kostium ten składa się z czapeczki futrzanej, kaftana, spodeńków i kamaszy obcisłych. Włosy przy tym kostiumie nosi się rozpuszczone, ręce chowa się w zarękawek; dosyć ładnie to wygląda ale i śmiesznie zarazem.

W roku 1725, książe Richelieu, wysłany jako nadzwyczajny ambasador na dwór wiedeński, zamieszkał na ulicy Jana u hrabiego Kestenberg; podkowy u koni jego świty były srebrne, a u jego wierzchowca złote, i tak były przybite, że odpadały na ulicy.

Podczas pięciomiesięcznego swojego pobytu w Wiedniu, głośny w całej Europie ze swoich miłosnych przygód, książe, był bohaterem tysiąca awanturek.

Jednego dnia udał się książe ze swoim przyjacielem hrabią Zinzendorfem, do słynnego wróżbiarza; ten po różnych przepowiedniach i objaśnieniach o dworze i dyplomatach austryackich, zadał swoim gościom następujące pytanie:

— A teraz powiedźcie mi panowie, co byście chcieli posiadać?

— Ja bym chciał posiadać — odpowiedział Richelieu, — klucz do serc książęcych.

— A ja, — rzekł Zinzendorf, — klucz do serc kobiecych.

— Dla niektórych ludzi, — odezwał się czarownik, —klucz do serc kobiecych nie jest potrzebny, bo kobieta którą kochają serca nie ma.

— Ty ubliżasz mojej kochance — zawołał Zinzendorf któremu na twarz zwykle bladą wystąpiły rumieńce.

Potem głosem urywanym dodał:

— Nie cofasz coś powiedział?

— Nie cofam.

Zinzendorf obracając się do księcia Richelieu. rzekł:

— Słyszysz książę!... Ten nędzny kłamca nie cofa swojej obelgi... Niech da dowody, chcę mieć dowody!...

Wróżbiarz na to wezwanie, począł opowiadać takie szczegóły o prowadzeniu się kochanki hrabiego, panny A. że Zinzendorf uniesiony wściekłością wydobył szpadę. Tamten uczynił to samo. Obaj przeciwny byli jednakowej siły i zręczności i rozpoczęli walkę z równą szansą, ale wróżbiarz miał więcej zimnej krwi i pewniejszą rękę; nagle odbił żelazo swojego przeciwnika i już ostrze swej szpady miał wbić

w piersi hrabiego, gdy Richelieu, który z rapirem w ręku asystował temu dziwnemu pojedynkowi, raptem uderzył w broń wróżbiarza i ten pchnięty swoim własnym impetem, nadział się na rapir Richelieugo jakby na rożen.

Dotknięty w samo serce, z przebitą piersią, wydał głuchy jęk i padł na ziemię jak martwa bryła.

Obaj przyjaciele spojrzeli na siebie z trwogą i uciekli.

Była to po prostu zbrodnia; ale policya nie śmiała o nią interpelować księcia: W parę wieczorów później, gdy przy Richielieum zrobiono o tem uwagę w salonach cesarskich, książe odpowiedział śmiejąc się: „Ależ ja tylko djabła zabiłem!“

Za miejskim parkiem znajduje się muzeum przemysłowe i sztuk pięknych.

W pierwszej sali mieści się skarb dynastyi Guelfów, własność króla hanowerskiego, i skarb zakonu teutońskiego którego wielki mistrz rezyduje w Wiedniu. Jest to zbiór drogich kamieni, pereł, złota; wszystko tam błyszczy i rzuca słoneczne blaski; widziałem ewangelye wysadzane całe brylantami, topazami i rubinami z emalią złotą, kielichy i cyboryum z piętnastego wieku, wschodnie sztylety których ostrze błyszczy jak błyskawica, a rękojeść jaśnieje gwiazdami nieba.

W drugiej i trzeciej sali złożono przedmioty przysłane przez Maksymiliana z Meksyku; są tam także

szafy napełnione szkłami czeskiemi i weneckiemi z szesnastego, siedmnastego i ośmnastego stulecia. Wiedeńską fabrykę porcelany która się cieszyła wielkiem powodzeniem od roku 1790 do 1820, reprezentują próby najpiękniejszych jej wyrobów.

W czwartej sali są tkaniny i hafty; znajduje się tam puzderko z pokrowcem prześlicznie hatfowanym na którym wypisane są monogramy Henryka II i Dianny de Poitiers.

Muzeum powyższe stanowi rodzaj ciągłej wystawy na której przemysł wiedeński pokazuje cudzoziemcom najpiękniejsze swoje wyroby. Pan Lobmeyer który za pomocą pary metalicznej doszedł do możliwego udoskonalenia wyrobów ze szkła, umieścił w dużym półokrągłym kredensie całe piramidy pucharów, wazonów, flakonów, amfor, przezroczystych i cienkich jak bańki mydlane i na których rżnięciach łamią się tysiące promieni światła. Bizuterya wiedeńska odznacza się również elegancyą i dobrym smakiem. Dywany, materye i tkaniny są także bardzo piękne. W Wiedniu są i snycerze na kości słoniowej, których zręczność da się porównać do sztuki chińskich i indyjskich rzeźbiarzy.

Jedną ze specyalności przemysłu wiedeńskiego jest wyrób rzeźbionych cygarnic z pianki morskiej: niektóre z tych cygarnic przedstawiają prawdziwe okazy architektoniczne; ale w ogóle wiedeńska cygarnica wyobraża strzelca górskiego, pasterza ze swoją

trzodą, epizod z jakiej bitwy, gonitwę niedźwiedzi, nowożytną Kalipso pocieszającą się chętnie w swojej grocie wybitej jedwabiem, na ścianach której wiszą zwierciadła i kotary.

Introligatorstwo nie mniej świetnie się przedstawia. Wyroby ze skóry są specyalnością wiedeńczyków; w Paryżu nawet fabryki galanteryjno-skórzane sprowadzają robotników z Wiednia.

W ogóle co się tyczy wyrobów z bronzu, mebli, i przedmiotów zbytku które w Niemczech są znane pod nazwą *Galanterie Waaren*, przemysł wiedeński idzie zaraz po paryzkim a nawet rywalizuje z nim. Podczas gdy berliński robotnik usiłuje naśladować wzory paryzkie i wyroby swoje ciężkie, niezgrabne, i nietrwałe może zbyć tylko na Wschodzie który zalewa swoją produkcyą, wiedeńczyk biorąc smak paryzki stworzy zawsze coś swojego, oryginalnego. Od rozpoczęcia się wojny na półwyspie Bałkańskim, do chwili obecnej, przemysł niemiecki poniósł już straty na półtora miliarda. Gdy turków i ich pieniędzy nie stało, nikt w Berlinie nic nie kupuje.

Przy muzeum sztuk pięknych istnieje szkoła zastosowana do sztuk i przemysłu. Uczęszcza do niej dwustu czterdziestu uczni. Podczas zimy odbywają się tam artystyczne konferencye czyli prelekcye na które i publiczności wstęp jest dozwolony.

Zakład ten ufundował cesarz. Robotnicy znajdują tam wielką pomoc i kształcą się na prawdziwych

„rywalów bizantynów“ jak ich słusznie nazywają. Muzeum sztuki przemysłowej powstało w roku 1863.

Ring ciągnie się dalej między rzeką Wien a placem mustry koszar Franciszka-Józefa, aż do mostu Aspern który prowadzi do przedmieścia Leopolda i na Prater; ale rzecz dziwna! — szukałem wspaniałego Dunaju, owego „błękitnego Dunaju“ pełnego poezyi i czarów, i znaleźć go nie mogłem. Dunaj który przepływa pod mostem Aspern jest to sobie rzeczka nędzna i bez siły po której z wielką biedą mogą zaledwie kursować małe parowe statki obsługujące Prater. To też dla cudzoziemca który sobie wyobrażał widzieć Wiedeń nad wielką legendową rzeką, jest to wielkie rozczarowanie. Prawdziwego Dunaju trzeba szukać o milę za miastem.

Ale zapomnieliśmy mówić o szyldach które nas najwięcej uderzyły i ubawiły wśród tej pierwszej naszej wycieczki. Gdyby nie było innych dowodów starożytności Wiednia to same szyldy zawieszone nad mniejszemi hotelami i zajazdami, stanowiłyby tu cenne dokumenta; w Wiedniu pełno jest tablic z napisami: *Pod złotą gęsią*, *Złotym barankiem*, *Złotym winogronem*, *Złotym krzyżem*, *Złotą koroną* *Złotym jeleniem*, *Złotym bukietem*, i *Złotym bykiem*. Jest także oberża pod „Niebieskim kozłem“ „Czarnym niedźwiedziem“ i „Trzema królikami“. Sklepikarze silą się nad wynajdywaniem dla swoich magazynów ładnie brzmiących nazw.

I tak są sklepy pod *Wieńcem laurowym*, *Kamelią*, *Rajskim ptakiem* i t. d. Szyldy francuzkie mniej są szczęśliwe i świadczą więcej o dobrych chęciach niż o znajomości u wiedeńczyków gramatyki francuzkiej. Oto niektóre próbki: „Choix des vetements confectionnés pour les hommes au dernier gout aux étoffes du pays et de l'étrangère" — „Grande-Mode Etablissement." — Specialité de bottines pour femmes claquées." (Wybór gotowego ubrania dla mężczyzn z ostatniej mody, krajowych materyałów i z cudzoziemki. — Wielkiej mody zakład. — Specyalność bucików dla dam gumowanych). Przypomina to ogłoszenie „serwetek ze skóry adwokackiej" i „białego wina dla ostryg," co jeszcze nie dawno można było czytać na szyldach w samym Paryżu.

Ah! ten Paryż, wszędzie go można znaleźć. Paryżanie którzy nie chcą opuścić Paryża pod pretekstem że to jest jedyne miejsce w którem można żyć, ani się domyślają że Paryżów w Europie jest mnóstwo; W wiedniu np. przybywając do hotelu, przyjmuje cię zaraz szwajcar powitaniem w języku francuzkim, a w czytelni znajdziesz wszystkie dzienniki francuzkie; w teatrze będzie ci się zdawało że tam studyują twoją narodową sztukę: grają Dumasa i Feuilleta. Pójdziesz na jaki bal publiczny: tańczą tam jak w Valentino. W Wiedniu, Londynie, Berlinie, Petersburgu, wszędzie i na wszystkie strony czytasz „Nowości Paryzkie" „Mody Paryzkie" „Fry-

zyer Paryzki.“ W Niemczech wszyscy fryzyerzy, nazywają się Hipolitami. Paryż bądź co bądź zachował dawne swoje znaczenie i wpływ: bo jest zawsze i będzie ojczyzną dobrego smaku, sztuk i bogactwa. Dla tego też wystawa którą teraz przygotowują, uda się najzupełniej.

Paryż jest ogniskiem, a narody które niechcą skostnieć przedwcześnie, muszą przyjść od czasu do czasu ogrzać się u jego promieni.

„Nasi lepsi rękodzielnicy — rzekł do mnie jeden wiedeński fabrykant, prawie wszyscy terminowali w Paryżu; tam to ludzie się udoskonalają. Ale jeżeli po przeciągu jakich czterech czy pięciu lat nie pojadą znów do Paryża, to stracą i gust i całą zręczność: samodzielnie nie są oni w stanie „odnawiać się“ ani tworzyć nowych modeli.“

Jeden z dyrektorów opery wiedeńskiej, z którym rozmawiałem pewnego razu o tym wpływie Paryża, posunął się nawet dalej: oświadczył mi że w jednym tylko Paryżu robią się dobre libretta do oper i za dowód swego twierdzenia przytoczył mi jedną operę Mozarta którą w całych Niemczech osądzono za niemożliwą do grania i która później, po przerobieniu jej libretta w Paryżu miała w Berlinie i samym Wiedniu wielkie powodzenie.

Ulice Wiednia są pełne życia i wesołości. Część Ringu pomiędzy „Salonem Kwiatów" a Operą, przypomina ruchem jaki tam panuje, Pola Elizejskie na wiosnę lub w jesieni. Ekwipaże dworskie pompatycznie się posuwają mając na kozłach ogromnych stangretów ubranych w żółte spodnie i trójgraniaste kapelusze obszyte złotym galonem; powozy prywatne mkną wyciągniętym kłusem swoich rumaków; cała kalwakata jeźdzców paradując na dzielnych wierzchowcach asystuje pięknym amazonkom. Tu i owdzie widzi się w malowniczych grupach, węgierskich oficerów których buty z kutasami, obcisłe spodnie całe w haftach i kołpaki z piórami zwracają aż z drugich ulic uwagę; oficerowie zaś austryaccy, zgrabni, ufryzowani, wypomadowani jak bohaterowie opery-komicznej, przechadzają się zwolna bujając, z piersią naprzód wysuniętą, z binoklami na oczach, fryzurą starannie rozdzieloną na środku głowy. Są oni prawie wszyscy wysokiego wzrostu, szczupli, na wysokich nogach; rude faworyty, barwy starego mchu, okalają im obdarzoną kolorkami twarz.

Widzi się tam jeszcze studentów z długiemi włosami; malarzy w śpiczastych kapeluszach; niańki z dziećmi, ubrane w spódnice jaskrawego koloru, haftowane gorsety i czepki złocone; turków w turbanach z półksiężycem; wychowańców *Theresianum*, w ich ładnych wojskowych mundurach które tak im są do twarzy; małe kwiaciarki; handlarzy psów;

odźwiernych przebranych za szwajcarów z katedry, stojących z miną arcy-poważną w bramach domów. Wszystko to nadaje temu bulwarowi cechę oryginalną i kosmopolityczną, i czyni zeń rodzaj kalejdoskopu nęcącego i oko i słuch.

Ring ma dwa chodniki, dwie szosy dla powozów, i jedną dla jeźdzców; wielką środkową szosą jeżdżą tramwaje, oblepione zewnątrz afiszami, omnibusy i dorożki. Wiedeńskie dorożki są prawdziwemi ekwipażami z których każdy ma parę koni mogących się ścigać z rasowymi kłusakami. Wnętrze takiej dorożki jest w miniaturze małym salonikiem: ma firanki, lustra; brak tam tylko kominka i zegara. Dorożkarze wiedeńscy są sami po największej części właścicielami powozów na których kozłach siedzą. Przed samem otwarciem wystawy, w roku 1873, urządzili bezrobocie a to z powodu że chciano im narzucić taksę na kursa; dorożkarzowi wiedeńskiemu przyzwyczajonemu do sutych naddatków, nie mogło to oczywiście pójść bardzo w smak. Wiedeńczyk mówi zawsze dorożkarzowi — ty. Trzeba też przyznać że automedon z nad „pięknego błękitnego Dunaju“ jest sympatyczny i przedstawia w swoim rodzaju odrębny zupełnie typ i różni się we wszystkiem od swoich kolegów z innych miast. Jest on zawsze w dobrym humorze i ma zapas dowcipów i opowiadań któremi bawi siebie i swojego pana. Zdaleka jeszcze ukłoni ci się i będzie dawał znaki że jest do twojej

dyspozycyi. Płaci go się w stosunku do godziny jazdy; ale przez jedną godzinę wiedeńską dorożką odbyć można sześć razy więcej kursów niż np. dorożką paryzką: szybka jazda stanowi dla dorożkarza wiedeńskiego punkt honoru; na ulicach gdzie wolno „pędzić“ puszcza on też swoje konie i zamienia się w Fa- rysa. Policya wiedeńska musiała zabronić szybkiej jazdy na wszystkich ludnych ulicach. Szczęśliwe miasto co ma takich dorożkarzy!

Dorożkarz wiedeński jest tłusty i gruby, cerę ma kwitnącą jakby radca stanu a brzuch jak u notaryusza; twarz jego zdobią rubiny tak jak tarczę Złotego Runa, a z całej jego fizyognomii i osoby bije pewność siebie i zadowolnienie. Latem ubiera się w nankinowe szaty a zimą nosi futrzany wytarty płaszcz, który sobie kupuje na ulicy Żydowskiej. Jest przy tem nadzwyczaj grzeczny: gdy kto przechodzi koło stacyi fiakrów, gdzie zebrani w koło dorożkarze obradują nad polityką lub w wielkiem skupieniu ducha słuchają jak im jeden z kolegów czyta romans Walter Scotta, zaraz kilku z nich wybiega na spotkanie przybysza i z kapeluszem w ręku a uśmiechem na ustach, pyta: „Czy wielmożny pan chce dorożki?“

Jeżeli przechodzień nie racząc odpowiedzieć, idzie dalej wyniośle spojrzawszy na dorożkarza, usłyszy zaraz po za sobą drugi głos: „Dajże pokój wielmożnemu panu, doktór mu zabronił jeździć dorożką!“

Dorożkarz wiedeński rzadko kiedy zawadza o drugi powóz: zręczność jego jest prawie cudowną, przysłowie mówi że potrafi on wykręcić ósemkę około talara. To też na ulicach Wiednia nie zdarzają się prawie nigdy sceny dorożkarskie jakich pełno jest co dzień w Paryżu. Jeden był tylko człowiek co mógł rywalizować z nimi szybkością jazdy i zręcznością:— hrabia Sandor ojciec księżnej Metternichowej. Dorożkarze wiedeńscy uchylali z uszanowaniem na widok tego sławnego sportsmana, kapeluszy. „Kiedy go się widzi jak prowadzi swoje cztery konie z kozła powozu, rzekł raz jeden z fiakrowych automedonów, — przysiądz by można że pan hrabia był całe życie dorożkarzem.“

Najdystyńgowańsze nawet osoby przekładają często fiakra nad własny ekwipaż; dorożkarz bez numeru jest filozofem na dyskrecyę którego liczyć zawsze można.

Próbowano kilka razy odziać dorożkarzy liberyą, ale wszelkie usiłowania w tym względzie przeszły bez skutku. Wolą oni swój zatłuszczony kapelusz i czerwoną kamizelkę, nad wszelkie galony i świecące się guziki.

Jednego ze znanych dorożkarzy, który od trzydziestu lat powoził jedną i tą samą dorożką, wezwano raz do adwokata: „Pan nie jesteś, rzekł doń prawnik, synem dorożkarza, jak ci się dotąd zdawało; jestem w posiadaniu papierów które wyświetlają two-

je pochodzenie; jesteś pan synem arystokratycznej wiedeńskiej rodziny. Ale ponieważ przyszedłeś na świat upośledzony nieco od natury, rodzice twoi kupili na twoje miejsce drugie dziecko, tak że syn dorożkarza B. stał się hrabią a syn hrabiego K. stał się dorożkarzem. Jestem w możności przywrócenia ci stanowiska i spadku jakich cię ta zamiana pozbawiła.“

— Jestem dorożkarzem i nim pozostanę, panie adwokacie — odpowiedział B. po chwilce namysłu. Być hrabią to bardzo pięknie, rzecz prosta, ale ja wolę być dorożkarzem, ponieważ wolę mieć niebo nad głową aniżeli złocone sufity. Ptak umiera w klatce; a ja chcę jeszcze żyć.

I pozostał dorożkarzem.

Jeden z komedyopisarzy wiedeńskich, Bauerle, zrobił z tej prawdziwej historyi sztukę, którą grano z powodzeniem pod tytułem: *Margrabia dorożkarz.*

Środki lokomocyi nie były jednak zawsze w tak kwitnącym stanie w Wiedniu; w siedmnastym wieku urządzono towarzystwo lektyk; godzina kursu lektyką kosztowała 6 krajcarów a cały dzień guldena i 30 krajcarów. Opowiadają że pewnego razu sekretarz rady stanu, Antoni Kuranda, wsiadł do lektyki, podczas szkaradnej pogody i kazał się zanieść na bal. Nagle dno lektyki wypadło; deszcz lał strumieniem noc była ciemna a wiatr szalał z taką gwałtownością że ci co go nieśli nie słyszeli ani hałasu ani rozpaczli-

wego wołania pana sekretarza. Biedak zamknięty w budzie musiał razem ze swoimi przewodnikami dojść piechotą aż do miejsca przeznaczenia. Naturalnie zabłocony był niemiłosiernie aż po kolana.

Omnibusy wiedeńskie podzielone są na dwa oddziały: pierwszy oddział czyli „coupé“ przeznaczony jest dla pasażerów więcej eleganckich: w drugim wolno nawet palić. Siedzeń na wierzchu nie ma, a konduktor stoi z tyłu na stopniu. Te paskudne omnibusy, brzuchate, brudne, wilgotne, pomalowane na jasno żołty kolor, zdają się być zrodzone z połączenia wiejskiego dyliżansu z arką Noego.

Na całej tej przestrzeni Ringu, ulica jest prawdziwie świetna; błyszczy jak sklep jubilerski.

Ring stanowi modny cyrkuł miasta; są tam najpiersi jubilerzy, sklepy starożytności i galanteryi, kwiaciarki i t. d. Ale można sobie wystawić moje zdziwienie gdy mi jedna kwiaciarka oświadczyła że róże, fiołki i kamelie sprowadza z Paryża! Czyż to warto robić dwieście mil aby się napawać wonią tych samych fiołków które się widziało przed Tortonim!

Zimą jest tu zwyczaj wyprowadzania dzieci na spacer, na Ring, w południe; ci mali ludzie, przebrani za szkotów i te małe kobietki wystrojone jak cesarzowe, witają się i żegnają wzajemnie jak dorośli; — prawdziwe maryonetki.

Ring jest najpiękniejszym pomiędzy trzecią godziną a piątą po południu, zwłaszcza w niedzielę

przy końcu jesieni i początku wiosny. Jest to chwila inaguracyjna nowych toalet, miejsce schadzek gdzie znajomi się spotykają tak jak w jakim dużym salonie; jest to drugie madryckie Prado. W Paryżu nie mamy nic podobnego; Ring jest gruntem neutralnym na którym się schodzą wszystkie światy, — wielki świat, półświat, ćwierć świata, a nawet świat dyplomatyczny i dwór. Karety się zatrzymują; przez drzwiczki które otwiera dwóch lokai w długich aż po ziemię rajtrokach, wychodzi księżna lub hrabina i stawia swe miniaturowe nóżki obute w drażniące wzrok buciki, na chodnik by pospacerować po Ringu. Książe następca tronu przechadza się tam codziennie pomimo nieprzyjemności jaką mu sprawia asystujący tłum. Hrabia Andrassy z cygarem w ustach i rękami założonemi z tyłu przychodzi tam również pogawędzić ze znajomymi. Pan Gambetta, dwa lata temu zwiedzał także Ring, prowadzony pod rękę przez pana Etienne, naczelnego redaktora „Neue Freie Presse."

Na Ringu spotyka się cały elegancki świat Wiednia. Słychać tam jakby w drugiej wieży Babel, wszystkie niemal istniejące w Europie języki.

Naliczyć tam można niezliczoną moc elegantów, próżniaków, spacerowiczów, pierwszych i drugich sekretarzy ambasad. Każdy z nich ma w ręku tradycyjną laskę ze złotą gałką a na nosie binokle. Dawniej, każdy pan lub mający się za pana, spacerując

po Ringu prowadził za sobą psa. Najmodniejsze psy były pomorskie, maści białej lub zupełnie czarnej, o długim pysku. Człowiek światowy nie mógł nie mieć takiego psa. Obok targu na drób znajdował się targ psi.

Co każdego paryżanina uderzyć może, to to że na Ringu nie spotyka się wcale ludzi dekorowanych. W Wiedniu nie należy do dobrego tonu prezentować na ulicy wstęgi i ordery. Młodzież elegancka nosi zatknięty u tużurka kwiatek.

Ring stanowi doskonałą pozycyę obserwacyjną dla tego kto chce studyować różnorodne typy ludów wchodzących w skład monarchii. Jeśli chcesz użyć takiej przyjemności czytelniku, to zasiądź na werendzie którejkolwiek z kawiarni i patrz. Widowisko jest jedyne w swoim rodzaju, tłum tak różnorodny jakby na placu jarmarcznym; nigdzie indziej się nie zobaczy tak cennych wzorów, nigdzie kobieta nie uderza swojemi wdziękami tak silnie na zmysły.

Oto młode kobiety, dziewice, o kształtach tak czystych i klasycznych linij i konturów, że greckie posągi mogą na nie zawistnem okiem spoglądać; lica ich płoną barwą róży, ich oczy w których żarzy się czarny płomień, przypominają Wschód. Po cienkiej wypukłej stopie poznaje się węgierki. Posiadają one w sztuce ubierania się wrodzony gust i elegancyę, w chodzie mają coś z ruchów i wdzięków paryżanki. Czeszki pochodzenia słowiańskiego i Polki odznacza·

ją się również wielką dystynkcyą rasową, co stanowi wybitną ich cechę; słusznego są wzrostu, proporcyonalnie zbudowane; a ich ciemne oczy stanowią dziwny kontrast z cerą przypominającą biały marmur. Są one otoczone mgłą poezyi i dumań; to łabędzie z północnych wód!...

Na ich twarzy odbija się rozum i dowcip, a posiadają one wszystkie, pod lodowatą powierzchnią, ogniste serca.

Pośród tego kosmopolitecznego towarzystwa, włoszki szczebiocą mową miłości i śpiewu, jak jaskółki co w krajach północy są zwiastunami wiosny.

Wiedenki przykrojone wszystkie na wzór pani de Pompadour, z noskiem zadartym, uśmiechnięte wiecznie, rzucają w koło zdradziecko-wyzywające spojrzenia. Każda wiedenka zachowuje do późnej starości świeżość i blask cery.

A te kobiety, postrojone jak wystawy sklepowe, z meszkiem na wargach, filutkami na skroni, z parą kolczyków w kształcie olbrzymich obrączek, dzwoneczków lub kas ogniotrwałych, zatkniętą w uszach, kto one są? — To żydówki, żony bankierów-milionerów,—stare fregaty co bijąc się przez lat kilkanaście po różnych morzach, dawno już przebyły przylądek Burzy. Ale ich córki! — Ach jakie one są piękne! jakże te judajskie twarze o dużych czarnych oczach szeroko rozciętych i pełnych dzikiej czułości, są wyraziste!

Co do wiedeńczyków - mężczyzn, to są oni wszyscy wysokiego wzrostu i silni; na Ringu nie widzi się jednak takich kolosów jak w Berlinie pod Lipami. Twarz wiedeńczyka, okolona faworytami, tak jak u Offenbacha, jest inteligentną, otwartą, pełną sprytnej dobroduszności.

Rasa austryacka jest bardzo żywotna; krew w niej jest piękna. Prawda że gdyby ją kto chciał zanalizować, to mało by w niej znalazł pierwiastków niemieckich: przewagę tam gra rasa słowiańska, włoska i węgierska.

V.

Cesarska drukarnia. — Cenzura i prasa w Austryi. — Dziennikarstwo w roku 1848. — Stara *Pressa* i Nowa *Pressa.* — Dyrektor prasy francuzkiej w Wiedniu.—Amerykanizm w prasie wiedeńskiej.— Prasa rewolwerowa. — *Fremdenblatt.* — *Politische Correspondenze.* — *Tagblatt.* — *Le Messajer de Vienne.* — *Le Danube.* — Dzienniki illustrowane. — *Concordia.*

Zwiedziwszy Ring w całej jego długości, powróćmy do miasta i zostawiając targi na prawo, wejdźmy na ulicę Singerstrasse,—jesteśmy przed cesarską drukarnią. Tam to chromolitografia postawiła pierwsze swoje kroki. Przemysł prywatny zawładnął już tym wynalazkiem który dzisiaj stanowi płodne źródło dobrobytu dla tych co w tym dziale pracują.

Cesarska drukarnia zajmuje stu zecerów i urzędników; drukują się tam książki we wszystkich językach, widziałem jak tam składali romans japoński znaleziony przez uczonego filologa, Pukmayera.

Pan de Beck, dyrektor drukarni, zamierza posłać na wystawę paryzką nadzwyczajny okaz, — reprodukcyę w chromolitograficznych planszach, ołtarza tak zwanego z Verdun, pochodzącego z trzynastego wieku, a tak nazwanego z powodu że robił go jakiś Mikołaj z Verdun, w klasztorze Klosterneubourg, pod Wiedniem.

Cesarska drukarnia zajmuje się specyalnie fabrykacyą monety papierowej, marek, kopert i kart pocztowych. Robotnicy którzy pracują w tych warsztatach, są bacznie pilnowani. Rządowi komisarze asystują przy każdej nowej emisyi i zapisują na regestrach każdy nowy bilet tak jak imię nowonarodzonego dziecka. Plansze które służą do odbijania pieniędzy są przechowywane w ogniotrwałych kasach.

W Austryi jest w obiegu około 400 milionów guldenów papierowych; od r. 1866 stare bilety zamienia się na nowe. — Bilety które powracają po odbyciu swej włóczęgi po świecie, bywają zamykane do żelaznych szaf, jak skoro tylko tożsamość ich jest skonstatowaną. Czasami pomiędzy dobrze urodzonemi, znajdują się i fałszywe, nieprawego pochodzenia; zachowują je w takim razie przez parę lat, po czem idą w ogień. Nieraz w przeciągu jednego

dnia, kilka milionów guldenów bywa w ten sposób zniszczonych.

Kilka lat temu utworzyły się w Austryi towarzystwa które zbierały stare marki stemplowe którym przywracano dziewiczość o wiele skuteczniejszą od tej jaką Aleksander Dumas obdarza panny lubiące szampana i kamelie. A ponieważ są stemple i na pięćdziesiąt florenów, „interes“ był korzystny; ale pan de Beck, po długich poszukiwaniach, znalazł nareszcie farby których kolor zmienia się pod wpływem kwasów i tym sposobem postawił tamę temu nowemu przemysłowi.

Ulice Szuler-Strasse i Wolzeile, które nas prowadzą do punktu wyjścia, placu Ś-go Stefana, są zarazem wiedeńskiem „quartier latin“ i dziennikarską dzielnicą. Ale nic tu nie przypomina obyczai studentów z przedmieścia Ś-go Michała. Cyrkuł studencki wygląda na ciche miasteczko prowincyonalne, a nie ma nic prozaiczniej mieszczańskiego nad widok akademika wiedeńskiego dla którego kufel piwa i fajeczka stanowią świat cały. Uniwersytet oddzielony jest od Wolzeilu arkadowym pasażem; mieszczą się tam zaraz redakcye „Pressy“ „Nowej wolnej Pressy“ „Gazety Niemieckiej“ „Gazety przedmieść“ „Tagblattu“ i t. d.

Prasa w Austryi rozwinęła się tak nagle jak w Ameryce; przed rokiem 1848 austryacy nie mieli

ani parlamentu ani konstytucyi i nie wiedzieli nawet co znaczy wyraz „polityka.“

Książe Metternich tolerował tylko „Gazetę Augsburgską“ kfórą był kupił, a w samym Wiedniu wychodził jeden tylko dziennik „Gazeta wiedeńska“ organ rządowy i dwie czy trzy gazetki literackie które cenzura trzymała na końcu swych nożyczek. „Ah! wówczas to, — rzekł mi raz stary jeden wiedeńczyk — byliśmy bardzo głupi ale byliśmy szczęśliwi!“ Raz pewien literat który wydawał teatralny dziennik, dał artykuł o portrecie Napoleona I-go, który gdzieś widział w domu prywatnym; mówił o nim naturalnie jak o dziele artystycznem; cenzura artykuł wykreśliła. Dla czego? Bo imie Napoleona tam się znajdowało.

Nie było wolno tytułować aktorki *Panią* lub *Panną*; cenzura szła jeszcze dalej: jeśli się jej niepodobał jaki rysunek mody niepozwalała go drukować.

Tego samego dnia kiedy ogłoszoną została wolność prasy w Austryi, 20 marca 1848 r. pojawił się zaraz od samego rana dziennik „Konstytucya“ redagowany przez pana Leopolda Hoefnera.

Hoefner był kapelusznikiem. Dla nadania swoim kapeluszom paryzki pozór, wymyślił sławną markę fabryczną: *Juljusz Janin w Paryżu.* Głośny krytyk francuzki nie domyślał się pewnie że jego nazwisko służyło za podpis do wszystkich kapeluszy jakie no-

sili poddani austryaccy, którzy brali go naturalnie za słynnego kapelusznika. Do sławy różne prowadzą drogi!

„Konstytucya“ pękła jak bomba i zaraz od pierwszego dnia biła bajeczną ilość egzemplarzy, dzięki okolicznościom i niezaprzeczonemu talentowi redaktora.

Niebawem powstał drugi dziennik: „Gazeta austryacka,“ po nim poszły „Szatan“ „Sztandar postępu“ „Przyjaciel ludu“ „Młoda Austrya“ i t. d. Jednem słowem w tym roku 1848, zostało utworzonych 217 dzienników, a pomiędzy niemi „Pressa“ zdobyła sobie od razu znaczenie i niezmierną powagę przez zaopatrywanie czytelników w najświeższe i zajmujące wiadomości.

Twórcą „Pressy“ był dawny piekarz, doskonale znany w Paryżu gdzie pierwszy wyrabiał na ulicy Richelieu wyborne tak zwane wiedeńskie bułeczki. Pan Zang poznał się był z Emilem de Girardin który stworzył w Paryżu „tanią prassę“ i sam zaraz postanowił pójść w ślady francuzkiego pisarza spekulując na duchowej strawie. Pojechał do Wiednia, brzęknął złotem przed dwoma głównymi redaktorami „Gazety Austryackiej,“ i kupiwszy ich sobie, założył „Pressę.“ Powodzenie „Pressy“ było natychmiastowe i ogromne; po pierwszem zaraz wyjściu, nietylko się koszta nakładu wróciły, ale były i zyski: od pierwszego dnia, pan Zang bił po sto pięćdziesiąt tysięcy

egzemplarzy swojego dziennika. Pomiędzy konkurującemi gazetami powstał ogromny popłoch: rozpuściły one wówczas pogłoskę, że Zang pobierał tajemne fundusze. Ale to był fałsz; Zang nie potrzebował subsydyów, stworzył był przecież w Wiedniu amerykańską prassę.

Ale po rewolucyi nastała reakcya; wszystkie dzienniki liberalne zostały zamknięte; nie było wolno żadnemu dziennikowi używać wyrazów — konstytucya, demokracya, rewolucya. Nie było już nawet prasy zachowawczej; była tylko prasa oficyalna, redagowana w biurach ministeryum. Ale to długo nie trwało; po represyi nastąpiła znów swoboda i przed dziennikarstwem austryackiem otwarły się szeroko wrota do długiego pasma dni złotych. Pan Zang szczęśliwy redaktor „Pressy" ujrzał swój gabinet w oblężeniu: sypano mu po prostu pieniądze oknami i drzwiami. W r. 1863 za kilka słów sympatyi i poparcia jakie się pojawiły w „Presie" pan Zang otrzymał z Galicyi w dowód wdzięczności, cztery przepyszne konie. Ale niestety! szlachetne rumaki, jakkolwiek nie pochodziły wcale od trojańskiego konia, stały się powodem niezgody i zdrady. Jeden z młodych i najświetniejszych współpracowników „Pressy" pan Michał Etienne, wyraził życzenie podzielenia się z redaktorem podarunkiem; pan Zang który był zdania że cztery konie to wcale nie zawiele dla wożenia jego osoby i fortuny, odmówił. Na to, pan Etienne

zarzucając tragicznie połę od płaszcza na ramię, opuścił redakcyę, rzuciwszy redaktorowi na pożegnanie Coriolanową groźbę.

W tydzień potem, olbrzymie afisze porozlepiane na ulicach Wiednia, głosiły, że powstaje nowy wielki dziennik: *Neue Freue Presse* (Nowa Wolna Pressa). Tytuł ten był dla pana Zanga, ciosem. Publiczność złapała się na wędkę i „Neue Presse“ pobiła wkrótce starą, dzięki zręczności, prawdziwemu talentowi i iście amerykańskiemu „węchowi“ pana Etienne'a, jej głównego redaktora. Czytelnicy jedynie tego nowego dziennika, byli dobrze poinformowani; był to drugi „Times.“ Dniem i nocą stały w dziedzińcu redakcyi prawdziwe książęce ekwipaże do dyspozycyi redaktorów i głównych współpracowników.

Pan Etienne który z osobistych pobudek nie cierpiał cesarstwa, rozpoczął zawziętą kampanię przeciwko Napoleońskiej dynastyi; na nieszczęście wziął Francyę z cesarstwem za jedno i w r. 1870 stanął po stronie Prus.

Mówiono powszechnie wówczas ze „Neue Freue Presse“ kazała sobie zapłacić za swe usługi, milion guldenów; ale to nieprawda; raczej pan Etienne byłby ofiarował z milion talarów panu Bismarckowi za Sedan.

W wigilię wojny, jeden z dyrektorów prassy francuzkiej, przybiegł do Wiednia; ale jakież to dzienniki sobie kupił? Te których już Prussy nie chcia-

ły; — „Tages Presse,“ gazetę bez znaczenia, której zobowiązano się przecież płacić dziennie 600 franków; „Dziennik Austryacki“ który sam ocenił swoje niepotrzebne usługi, na 200 franków dziennie; „Gazetę wojskową“ której ile razy wykazywała wyższość szaspota nad iglicówką, wypłacano po 400 franków.

Prussy osądziły że wpływ jaki w Austryi wywierały za pomocą wiedeńskiej prassy, był cenny; to też po wojnie ponosiły dalej koszta by ten wpływ zachować w tym celu została w Wiedniu założoną filia słynnego berlińskiego biura, „ducha publicznego“ na której czele stanął jeden z dziennikarzy-agentów z nad Sprei. Policya wiedeńska wypędziła to indywiduum ze stolicy dwa lata temu.

W Wiedniu jeżeli dziennikarstwo nie prowadzi wprost do sławy i zaszczytów, to już prowadzi do majątku który znów jest szczeblem do sławy. Dziennik jest interesem który się eksploatuje tak jak fabrykę tytoniu lub czekolady; maszyny drukarskie są przedewszystkiem aparatami do bicia monety; i odkąd można zmetalizować swoją myśl, dziennik stanowi kopalnię o bogatych żyłach złota; wyciągnąć zeń można mniej więcej około miliona rocznie. To czego alchimiści nie zdołali znaleźć na dnie swoich tygli, wiedeńscy dziennikarze znaleźli w głębi redaktorskiego biurka.

Przebieg procesu Plachta (sprawa tyczyła się założenia pewnego banku) wykazał że główniejsze dzienniki wiedeńskie pobrały od osób zamięszanych w procesie 35,000 guldenów. „Nowa Wolna Pressa" i stara „Pressa" dostały każda po 1,500 guldenów. *).

Kiedy „Anglo-Banque" wypuszczał losy tureckie, musiał wydać ogromne summy aby sobie kupić u niektórych dzienników, milczenie, które w takich razach waży się na złoto. „Nowa Pressa" i stara „Pressa" dostały 50,000 guldenów; „Gazeta przedmieść" 16,000 guldenów; „Fremdenblatt" (Gazeta dla cudzoziemców) 12,000 guldenów; „Tagblatt" który w Wiedniu ma tyluż czytelników co „Petit Journal" w Paryżu, kazał sobie zapłacić za kilka gorących rekomendacyj, 32,000 guldenów, — razem około 110,000 guldenów.

Nazwa „prassy rewolwerowej" była specyalnie wynalezioną dla oznaczenia drobnego wiedeńskiego dziennikarstwa, które przez długi czas wywierało prawdziwą nad brzegami Dunaju *camorrę*. Gazety te rekrutują swoich reporterów pomiędzy szpiegami którzy prawie wszyscy należą z natury i rzemiosła do Prus; mają oprócz tgo i tajemnych agentów polu-

---

*) Cyfry te i następne czerpię z nader ciekawego dzieła, profesora Wuttke, z Lipska, traktującego o prasie niemieckiej.

(*Przypisek autora*).

jących na skandale i oszustwo. Płać a będziesz poważanym! — taką jest maksyma tego dziennikarstwa które żyje jedynie z reputacyj stworzonych lub zniszczonych kilku pociągnięciami pióra, i które na ciebie czycha na rogu swojej gazety tak jakby na skręcie lasu.

Raz, pewien dyrektor wielkiego towarzystwa kolei żelaznych, u którego jeden z redaktorów takiej „rewolwerowej prasy“ bezskuteczne czynił zabiegi, otrzymał pod opaską gazetę z zakreślonym czerwonym ołówkiem artykułem, w którym opisaną było na jego konto bardzo szkaradna historya; dalszy ciąg zapowiadano na jutro. Aby go nie było, dyrektor zapłacił.

Dyrektor drugiego jakiegoś towarzystwa, do którego zgłosił się raz jeden dziennikarz z korektą nikczemnego artykułu jaki miał być o nim wieczorem wydrukowany w gazecie, byłtyle odważnym że dziennikarza za drzwi wyrzucił i zapowiedział mu że jeżeli kiedykolwiek choć wiersz jeden o sobie przeczyta, to mu na ulicy każe kije sprawić. Groźba ta poskutkowała.

W r. 1871, redaktor „Gazety szlacheckiej“ przyszedł do radcy dworu Eichlera, z rękopismem szkalującym jego dobrą sławę; za nieumieszczenie artykułu, w swoim dzienniku, żądał 100 guldenów, a nadto chciał aby pan Eichler płacił „Gazecie“ 100 guldenów rocznego subsydyum.

Pan Eichler podał skargę do sądu i redaktor ładnej gazetki poszedł na cztery miesiące do kozy.

Tego samego roku, komitet administracyjny drogi żelaznej Franciszka-Józefa, oskarżył przed sądem za podobne najście redaktora satyrycznego dziennika „Pchły;" i redaktor „Pchły" poszedł także do kozy.

W roku 1872, jedna dama zawezwała do policyi literata który nie dotrzymując zobowiązań, groził, że ją i całą jej rodzinę umieści w skandalicznym romansie.

Młodzi debiutanci którzy się nie opłacą takim dziennikom, są zgubieni! Widziano dziennikarzy którzy się targowali z rodzicami debiutującej artystki, o wysokość wynagrodzenia za pochwalną recenzyę. Wielu artystów płaci miesięczną stałą pensyę, pewnym redakcyom, aby sobie zapewnić ich dobrą łaskę.

Podług urzędowej statystyki, wychodziło w Wiedniu w r. 1860, 103 gazet; w r. 1865, 182; w r. 1870, 258; a w r. 1877, 355.

Stara „Pressa" która już dzisiaj nie jest w ręku pana Zanga, wyznaje zasady umiarkowanego liberalizmu i broni ale niezależnie, politykę rządową. Dawniej „Pressa" zamieszczała bardzo cenne korespondencye i kroniki paryzkie; te ostatnie nosiły podpis Pawła d'Abrest, pseudonim młodego wiedeńskiego pisarza który przeszedł następnie do „Tagblattu."

Dział ekonomiczy „Pressy" redaguje z wielką starannością i znajomością rzeczy, pan Herrenfeld,

który znalazł nieznany w Niemczech sekret, nadania kwestyom suchym i niewdzięcznym, formę zajmującą i literacką.

„Nowa Pressa“ posiada więcej liberalizmu i zapału; jej współpracownicy piszą z całą namiętnością stronniczą; jest to gazeta bardzo urozmaicona, zajmująca, posiada dobre i pełne szczegółów korespondencye zagraniczne. Jej literackie felietony cieszą się nie małą powagą. „Nowa Pressa“ z „Gazetą Kolońską“ stoi na czele niemieckiego dziennikarstwa.

Redakcye obu „Press“ stanowią prawdziwe biura ministeryalne. Każdy z redaktorów ma swoją specyalność—polityczną, ekonomiczną czy finansową, a ci którzy uprawiają dział zagraniczny mówią kilkoma językami i przebywali w krajach których sprawami się zajmują; w takich tylko warunkach może być dziennik dobrze redagowany, zajmujący, żywy, i posiadać dokładne informacye.

W danym razie, dziennikarstwo wiedeńskie nie żałuje nigdy pieniędzy.

„Fremdenblatt“ który pod względem finansowym jest najkorzystniejszą z wiedeńskich gazet, uchodzi za organ rządowy; zajmuje się on jaknajmniej Niemcami; jest to przedewszystkiem dziennik austryacki i posiada najleprze informacye miejscowe; założony przez jednego z braci poety Henryka Heine, „Fremdenblatt“ zamieszczał tylko z początku listę przybyłych do stolicy cudzoziemców, obok paru nowinek,

później dopiero rozwinął się olbrzymio. Poranne jego wydanie zawiera od 18 do 20 stronnic druku z których 10 jest samych ogłoszeń. Redaktorem działu francuzkiego jest we „Fremdenblacie" dawny tłómacz „Agencyi Havasa" który się odznacza nie wielką sympatyą dla Prus.

Organ oficyalny rządu, „Politische Correspondenze" jest autografowany i ma za korespondenta w Berlinie niejakiego pana Ludwika Schneidra, który jest wielką tam figurą. Pan Schnejder nie dostarcza „Korespondencyi Politycznej" samych tylko listów z Berlina; daje on jeszcze i listy z Petersburga w których spożytkowywa wiadomości poufne jakie cesarz niemiecki odbiera z dworu stolicy rosyjskiej; bo pan Schnejder jest poufnym lektorem jego arcy-chrześciańskiej i arcy-pruskiej mości. On to odpieczętowywa co rano dzienniki i oznacza kolorowym ołówkiem artykuły godne uszu cesarskich. Dawniej, za czasów kiedy żyła „Spener Gazette" J. K. M. kazała sobie cały ten dziennik od A do Z odczytywać; dzisiaj to „Fremden-Gazette" ma zaszczyt interesować cesarza. Kiedy w roku zeszłym „Berliner Tagblat" drukował w odcinku powieść Spielhagena: *Potop*, pan Schnejder musiał co wieczór czytać ten romans Wilchelmowi 1-mu. Cesarz któremu *Potop* bardzo się podobał, nie był kontent z jego zakończenia. Pan Schnajder doniósł zaraz o tem powieściopisarzowi, i ten natychmiast napisał drugi epilog który

„Tagblatt“ wydrukował ku wielkiemu zdziwieniu swoich czytelników którzy byli przekonani, że już bohaterowie pana Spielhagena na zawsze zostali potopieni.

Cesarz Wilhelm bardzo się cieszy gdy znajdzie powtórzone w dziennikach wiadomości nieraz dowcipne jakie sam odbiera z Petersburga. Raz nawet w życiu był sam dziennikarzem. Było to po powrocie z wyprawy czeskiej; napisał wówczas własną ręką do „Spener Gazette“ długi artykuł, w którym chciał dowieść że jego polityka była dalszym ciągiem polityki Fryderyka-Wilchelma IV. Pan Schnaider który przepisywał artykuł, zachował pełen poprawek rękopism na pamiątkę.

Stosunek rządu austryackiego do prasy jest bardzo przyzwoitym i honorowym; dziś już nie ma dzienników stypendowanych, ale pan Hoffman, minister finansów państwa, w którego wydziale leżą także i sprawy dziennikarskie, przyjmuje wszystkich dziennikarzy bez różnicy opinii, którzy chcą u niego zaczerpnąć informacyj.

Pan Hoffmann uważany jest od lat sześciu za prawą rękę hrabiego Andrassego, przedstawia żywioł zarazem liberalny i patryotyczny w Austryi. To też nie bardzo go lubią w Berlinie. Jest to człowiek bardzo uprzejmy i ożywiony jest względem prasy dobremi chęciami i poważaniem, których to uczuć nie żywią dla dziennikarstwa w ogóle ministrowie w innych krajach.

W Wiedniu jest tylko jeden dziennik radykalny, „Gazeta Przedmieść“ i jeden z barwą paryzkiego „Univers“ — „Vaterland.“ „Deutsche Zeitung“ jak zresztą wskazuje tytuł, jest czysto niemieckim dziennikiem który nie czerpie wcale informacyj w Wiedniu. Jest to w Austryi liść winny Prus.

„Tagblatt“ wziął sobie za wzór amerykańskie dziennikarstwo; jego *menu* składa się ze wstępnego artykułu bardzo krótkiego, drobnych wiadomości, i mnóstwa depesz telegraficznych ułożonych aby zwracały uwagę czytelnika, różnego rodzaju czcionkami.

„Tagblatt“ sprzedany był w r. 1867 za 12,000 guldenów, przez bankiera który w roku 1872, odkupił go znów na rachunek pewnego towarzystwa ale już za summę 500,000 guldenów. Obecny naczelny redaktor „Tagblattu“ pan Szeps wystawił sobie niedawno przepyszny pałac tuż obok pałacu księcia Lichtensztejna. Część zagraniczną redaguje tam z wielkim talentem i znajomością rzeczy, pan Lauser który kilka lat przebywał na Wschodzie, w Hiszpanii, Włoszech i Francyi. Pan Lauser napisał i wydał dwa bardzo cenne dzieła o rewolucyach w Hiszpanii a w tej chwili przygotowuje do druku ciekawą książkę o komunie paryzkiej.

Jeden z redaktorów „Tagblattu“ który tak jak wielu innych padł ofiarą finansowego *Krachu*, wpadł na koncept i wytapetował swój gabinet od dołu do góry włącznie z posadzką i sufitem, akcyami i obli-

gacyami które jeszcze w kwietniu roku 1873 przedstawiały wartość 3,000,000 guldenów, a dzisiaj warte są tylko tyle ile waży ich papier!

„Tagblatt“ miał za korespondenta w armii tureckiej, oficera austryackiego który doskonale mówi po turecku i był w ścisłych stosunkach z Osmanem-baszą; to też dziennik ten najlepiej był o wypadkach na Bałkańskim półwyspie z pomiędzy wszystkich europejskich gazet poinformowany.

Powodzenie „Tagblattu, stało się powodem narodzenia „Ekstrablattu“ który ma tę wyższość że jest illustrowany ale za to o wiele gorzej jest redagowany.

Dwa francuzkie dzienniki wychodzą w Wiedniu: „le Messager de Vienne“ i „le Danube.“ „Mesager de Vienne“ jest jakby dalszym ciągiem „Messager d'Orient.“ Dziennik ten dobił się szóstego roku egzystencyi; założony przez gruppę osób wpływowych na Wschodzie, redagowany jest dzisiaj z wielką starannością, talentem i zręcznością przez pana B. Wołowskiego, kuzyna nieboszczyka francuzkiego senatora. „Messager de Vienne“ wyznający zasady francuzkiej polityki, podjął się podwójnego zadania: broni on narodowości uciemiężone i daje poznać Zachodowi literaturę narodów wschodnich. Do każdego numeru pisma dołączony jest dodatek specyalnie zredagowany w tym celu przez najcelniejszych i kom-

petentnych autorów. — Co do „Danube“ to dziennik ten ma pozór i częstokroć dowcip „Figara.“

Pism humorystycznych i illustrowanych jest pełno; mają one dużo werwy i attyckiej soli. Nie znam satyrycznego pisma któreby było lepszem od „Kikiriki“ pod względem oryginalności rysunków, chumoru i wesołości.

„Kikiriki“ ma czytelników w Ameryce, w Turcyi wszędzie gdzie tylko jest choćby jeden wiedeńczyk.

Jego redaktor, pan Berg, jest najpłodniejszym i najbardziej popularnym z komedyopisarzy wiedeńskich.

Dwa lata temu, „Gartenlaube“ pismo illustrowane wychodzące w Lipsku, zamieściło przeciwko cesarzowej austryackiej artykuł który wywołał ogólne oburzenie; „Gartenlaube“ zostało zamknięte na rok jeden; przez ten czas powstało w Wiedniu nowe pismo illustrowane pod tytułem „Die Heimat“ (ojczyzna). Znakomity literat, pan Vicenti, który stanął na czele tej publikacyi, uczynił z niej dzieło narodowe, grupując około siebie najpierwszych pisarzy i artystów kraju.

„Pressa“ „Nowa Pressa“ „Fremdenblatt“ „Tagblatt“ i „Ekstrablatt“ wychodzą dwa razy dziennie. Wydanie poranne jest najważniejsze; nie ma nigdy mniej nad ośm stron. Feljeton mieści się w wieczornem wydaniu. Odcinek poranny poświęcony jest

artykułom naukowym, rozmaitości, opowiadaniom podróży, krytyce teatralnej i artystycznej. Ta część literacka dzienników wiedeńskich redagowaną jest ze starannością która im zaszczyt przynosi i stawia je pośród prasy niemieckiej na niepośledniem miejscu. W Wiedniu zresztą piszą daleko lepiej niż w Berlinie.

U dziennikarzy austryackich nie widać tej zarozumiałości, pychy, gburowatego humoru i pogardy dla drugich, jakie się spotyka u dziennikarzy berlińskich; jest to ich charakterystyka. Dziennikarz wiedeński jest pełen wesołej werwy i posiada obok wiedzy dobre wychowanie. W Wiedniu spotyka się kolegów, — w Berlinie nieprzyjaciół.

Jak prasa austryacka sądzi Francyę? Jest to pytanie które powinno interesować moich czytelników. W Wiedniu jak i w innych stolicach, nie należy szukać w dziennikach odbicia się opinii publicznej, bo to dzienniki właśnie tworzą tę opinię. Paryża nie przedstawiają w Wiedniu pod zbyt pochlebnemi barwami. „Nowa Pressa“ ustatkowała się jednak trochę w ciągłych swoich napadach, i głosiła za uczestnictwem Austro-Węgier w wystawie powszechnej. Pośród publiczności Francya ma daleko więcej sympatyi aniżeli pośród prasy.

Wielkie dzienniki traktują bardzo poważnie i z wielką starannością kwestye przemysłowe i handlowe również jak i kwestye ekonomii politycznej.

Kronika, w znaczeniu bulwarowem jakie my temu wyrazowi nadajemy, jest jeszcze w Wiedniu w kolebce, a to dla bardzo prostej przyczyny: w Wiedniu półświat nie odgrywa takiej roli jak w Paryżu, nie wala się w złocie i jedwabiach jak u nas, jest cichy, spokojny. Stara arystokracya stoi na straży i nie puszcza go za pewną rogatkę. W teatrach, na publicznych spacerach stawia mu zaporę wołając dumnie: ,,Dalej nie wolno!" Piękne boginie miłości muszą zakrywać swoją rozpustę płaszczykiem przyzwoitości i skromności; nie widać ich wcale. Żyją po cichu. Pomiędzy nimfami z nad błękitnej rzeki, jedna tylko była tak szczęśliwą że posiadała powóz i parę koni; nadano jej przydomek ,,Fiakr-Milly" na pamiątkę tego niesłychanego zbytku.

Kronikarze wiedeńscy, traktujący swoją rzecz więcej seryo od kronikarzy paryzkich, nie są za to tak zabawni; Najwięcej z pomiędzy nich ma powodzenia pan Spitzer; jest on autorem ,,Przechadzek po Wiedniu." W ,,Republiqne Française" drukowała się jego nowella p. t. ,,Pańskie prawo." Pan Schember daje także co tydzień do ,,Tagblattu" i ,,Messager de Vienne" kroniki bardzo zajmujące.

W dziennikach wiedeńskich ogłoszenia królują na całej linii; przybierają one wszelkie kształty i pozory, mówią wszystkiemi językami, zaczepiają cię po-

prostu na ulicy jak żebracy lub dziewczyny z kwiatami. Jest to ludzka wystawa z napisem ile porcya kosztuje. Żadnego wstydu, żadnej przyzwoitości. Jest to zarazem naiwne i cyniczne, jak dziecko podnoszące do góry koszulkę.

„Co za szkoda, — mówił mi raz jeden wiedeńczyk, że nasza publiczność, tak poczciwa w gruncie rzeczy, nie jest moralniejszą!“

Oto niektóre próbki ogłoszeń, wyjęte z „Tagblattu“ „Fremdenblattu“ „Nowej Pressy“ i t. d.

Gdy się mówi o podobnej literaturze, trzeba ją poprzeć przykładami:

„**Serce wraz z ręką** ofiaruje się bogatej damie któraby chciała pięknemu studentowi mającemu lat 22, zapewnić środki ukończenia studyów. — Zgłosić się proszę do biura niniejszej redakcyi. Wiedeń 22.“

Wiadomość dla dam

„Pewien pan dystyngowany życzy sobie poznać damę dobrego tonu, któraby nie była interesowną.— Odpowiedź przyjmuje ekspedycya dziennika pod znakiem Dr. Paris, 534.“

Nie wiem który naród wynalazł pierwszy sposób łączenia małżeństwa z handlem. W Wiedniu jak w Paryżu, Londynie i Berlinie są domy których specyalnością jest dostarczać żon dla kawalerów i mężów dla panien. Przybycie nowych *objektów* ogłasza się

w dziennikach; jest przytem wyszczególnienie wieku, koloru włosów, białości duszy i zębów, łagodności charakteru; dochody się dodaje a mnoży nadzieje.

Są i ogłoszenia prywatne, jak np.:

Słuchajcie mężczyźni, słuchajcie!..

„Jestem młoda i ładna, wzrostu średniego, brunetka, i pragnę pójść za mąż przed rozpoczęciem się przyszłego karnawału. — Mam 800 guldenów kapitału, i zalety które mogą uszczęśliwić mężczyznę. — Należę do klasy służących, i jeżeli ta rewelacya nikogo nie przestraszy, można mi składać oferty pod adresem: „Brunetka 20" w biurze dziennika. — Gwardzista węgierski będzie miał pierwszeństwo. — Listy przyjmuje się do 3 grudnia."

„**Sierota,** pracowita, czynna, nie posiadająca majątku, życzy sobie żyć wspólnie z niemłodym panem. Gdyby się okazała harmonia w charakterach, poślubiła by go później."

Panny na wydaniu.

„U pana X. wielki wybór młodych panien na wydaniu, wszelkiego wieku i położenia. Posagi od 500 guldenów do 150,000. — Jest kilka panien bogatych które chcą iść za mąż z miłości. — Dyskrecya zapewniona."

W jednej ze swoich dowcipnych kronik, Bachaumont opowiadał że w Wiedniu otworzono kantor małżeński. Za wzór urządzenia wzięto kantor stręczeń mamek. Każda wiedenka pragnąca iść za mąż, ma się w tem biurze zapisać, i być *wystawioną* po dwie godziny dziennie. Amatorzy przychodzą; oglądają młodą osobę, proszą ją aby zagrała na fortepianie i wykazała co umie, — po tem, jeśli się im podoba, interes skończony, robi się kontrakt. Młoda osoba ma prawo nie przystać. Jedna sala wystawowa przeznaczona jest dla brunetek, druga dla blondynek. Kiedy amator się zjawia, właściciel zakładu pyta się go w jakim kolorze chce zagrać na małżeńskiej loteryi.

Wszystko to jest bardzo dowcipnie obmyślane, ale... nieprawdziwe. Bachaumont żartował sobie. Wprawdzie podług tego jak dzisiaj w Wiedniu traktują małżeństwo, bardzo być może że niezadługo otworzy się podobny kantor.

Czy już ich nie ma dla dziennikarzy i panien do wszystkiego?

Co dzień, czwarte stronnice dzienników pokryte są ogłoszeniami francuzkiemi; powtórzę tu z nich kilka:

Kto

z porządnych i dystyngowanych panów chciałby się zainteresować losem biednej szwajcarki, silnej i do-

brze wychowanej, niech złoży swoje oferty pod adresem „Protektor“ w biurze „Tagblattu.“

A. Z. 875.

„Małżonko mojego serca! upojony do tej chwili owemi pięciu minutami ze czwartku, posyłam ci na niedzielę dzień dobry wraz z tysiącem gorących, palących całusów. Jestem pewny twojej miłości; twój bilecik mi to powiedział i powiedziały twoje oczy w których dusza przeziera. Zawsze ten sam, więc nie kocham bez wzajemności, miłość jest nieśmiertelna; ja bez ciebie bym nie mógł żyć. Poniedziałek.“ 2667.

A t e n y.

„Co za szczęście wielkie, bez nazwy, odmalować ci uczucie, skarb naszych wspomnień, budzących się przez twoją obecność. Przyznaj wraz zemną, że z tobą to szczęście rozkoszy. Ale co moje wnętrze mówi? To mój ulubiony sekret, powiem ci go w tej godzinie, kiedy będę patrzała w twoje oczy; spodziewam się jednego dnia odpoczynku, powiem ci co mi się śni. Jestem zawsze szczęśliwa, mając drogie twoje nowiny. Bądź zdrów! pamiętaj o moich snach, a przedewszystkiem o moich całusach.“ 9254.

Tryest 875.

„Moje ukochane dziecko! Czy jesteś teraz spokojna? Chciałbym tego, bo twoje boleści są mi przykre; chciałbym cię widzieć szczęśliwą, staram ci życie upiększyć, zawsze będzie dla mnie największą rozkoszą spełniać twoje życzenia. W tej chwili mam ogromną ochotę pocałować twoją buzię; oh! te pocałunki!“ 8709.

„**Młody człowiek** zamożny, poszukuje przyjaciółki. Warunki niezbędne: młoda i piękna, francuzka z pochodzenia. Oferty wraz z fotografią składać proszę w biurze tego dziennika pod lit. „I. M. G.“ 8701.

Tryest 875.

„Ukochane moje serce! Jestem bardzo szczęśliwy, że ci mogę powiedzieć te parę słów, które płyną wprost z mojego serca. Ja tylko pragnę ciebie posiadać, ale to mi nieraz sprawia boleści. Bądź przekonana o mojem dla ciebie uczuciu. Głęboko ucałowana.“ 9645.

---

12 Luty.

Pamiętaj o tym dniu błogości
Kiedy w uścisku gorącym
Mówiłaś głosem drżącym
„Tyś mi zwiastunem miłości!“

Kiedy nic trwałem nie może być
A co jest nasze to już nie zginie,
Daj mi więc szczęścia choć jedną chwilę
A potem już dłużej ja nie chcę żyć.

Tryest 875.

„Gwiazdo moja, przewodniku mego życia! po nadludzkich cierpieniach, jestem szczęśliwy. Dzisiaj jasno widzę, że bez ciebie nie ma dla mnie spokoju. Bądź ucałowaną.“ 5539.

Gazety, które się znajdują w domach i kółkach rodzinnych, służą nietylko za pośrednika pomiędzy kochankiem a żoną ale niosą słowa miłości i młodej dziewczynie. Jeżeli w teatrze np. albo na koncercie, jaka panienka ci się podobała, — chociażby była w towarzystwie rodziny i matki, to jest rzeczą bardzo naturalną, jeśli jej dasz to poznać za pomocą dziennika; zwykle panny się o to nie gniewają.

Oto ogłoszenie w podobnym guście:

„Zachwycająca młoda blondynka, która była zeszłej soboty na przedstawieniu *Króla Carotte* w teatrze „An der Vien“ ubrana w suknię lila, czarny kapelusz, z bransoletą na prawem ręku, proszoną jest przez swojego sąsiada pozwolić mu mieć nadzieję, że ją jeszcze zobaczy i raczy objaśnić go, czy zbliżenie

się w celach honorowych, jest możliwe. Oczekuję z wielką niecierpliwością chwili szczęścia, w której znajdę odpowiedź pod adresem: B. E. B. w biurze „Tagblattu.“

Najwięcej takich ogłoszeń daje „Tagblatt“ i to po większej części po francuzku. Jest to mowa miłości u wiedeńczyków.

Ogłoszenia wiedeńskie są szczególnie dla cudzoziemców wielkiem dobrodziejstwem! Jesteś np. sam w Wiedniu, nie znasz nikogo, nie wiesz co z czasem robić, nudzisz się; bierzesz więc „Tagblatt“ i na ostatniej stronnicy czytasz:

Dwie młode damy

uczciwe i dobrze wychowane, życzą sobie dawać u siebie wieczorem, lekcye francuzkiej konwersacyi *chrześcianinowi*, panu dystyngowanemu i intelligentnemu, a to aby sobie skrócić długie zimowe wieczory. Oferty składać można w biurze tego dziennika pod adresem: „Konwersacya francuzka.“ 9902.

Jeżeli te dwie damy nie będą w twoim guście, to je przeprosisz, a w redakcyi który z reporterów zredaguje ci ogłoszenie w tym guście:

Cudzoziemiec

(chrześcianin), młody, szlachcic, nie mający znajomości w Wiedniu, życzy sobie przepędzić co wieczór kilka godzin w towarzystwie damy, pochodzącej z do-

brej rodziny, młodej, dobrze mówiącej po francuzku. Ponieważ ta propozycja jest *poważną*, na listy bezimienne nie będzie odpowiedzi. Za dyskrecyę poręcza się. Pisać proszę pod adresem „Słowo honoru“ w biurze „Tagblattu.“ 5207

Ma się rozumieć, że wiele z podobnych ogłoszeń jest sformowanych na żart, a to w celu zażartowania sobie z dobrej wiary publicznej. Opowiem tu autentyczną w tym rodzaju historyę.

Pewnego dnia pan X. ogłosił w „Tagblaćie“ mniej więcej podobne zawiadomienie: „Młoda panna z dobrej rodziny, z którą rodzice źle się obchodzą, pragnie dać się wykraść przez jakiego dystyngowanego pana. Pisać proszę pod literami K. V. do biura tego dziennika, i dołączyć swoją fotografię.“ Amatorów na wykradzenie było sporo; pomiędzy ofertami był jeden list od dymisyonowanego oficera, który prosił mniemaną pannę o danie mu szczegółowych informacyj co do jej wieku i położenia majątkowego. Pan X. posłał mu żądane informacye i potem przez całe trzy miesiące, prowadził z nim całą korespondencyę pełną gorących oświadczeń miłosnych. Pan X. podpisywał swoje listy poetycznem imieniem Julii. Raz, pan oficer posłał pannie Julii kwit do księgarni na dzieło, które był napisał: były to dwa traktaty o sztuce sztrzelania!

Julia chcąc podziękować swojemu kanonierowi za tak delikatną atencyę, upoważniła go do przeje-

chania konno przed domem jednej ze swoich niby przyjaciółek. „Będę — pisała Julia, w oknie z moim bratem, ale nie przypatruj mi się pan zbytnio, bo brat mój to bardzo nieokrzesany człowiek i gotówby wylecić za panem i zrobić awanturę.“ Pan X. w dniu i godzinie oznaczonej, poszedł do jednej ze znajomych sobie pań, i namówił ją do zainstalowania się w oknie by widzieć jak ulicą przejeżdżać będzie jeden z arcyksiążąt. Oficer niebawem nadjechał kurs-galopem, ale zaledwie się uśmiechnął do damy, gdy pan X. ujął tę ostatnią szybko za ramię i odprowadził od okna.

Nazajutrz oficer wyekspedyował nowy list miłosny, ale o wiele już gorętszy od poprzednich. „Tak, pisał, — odpowiadasz pani w zupełności ideałowi mojemu, chcę cię wykraść by się z tobą ożenić. Ah, jak ja cię kocham! Posyłam pani dwa bilety na pojutrzejsze przedstawienie w Operze; będę siedział obok pani, i ułożymy plan ucieczki.“

Panna Julia, czyli pan X. poszedł ofiarować owe dwa bilety jednej znajomej sobie pani, która miała córkę bardzo podobną do damy, którą oficer w oknie widział.

Rzecz cała wydała się bardzo naturalną matce i córce i obie poszły do teatru.

Gdy zasiadły na swoich miejscach, obok córki znalazł się wnet stary oficer który gdy zaledwie orkiestra zaczęła grać, westchnął mocno raz, drugi i trzeci, i pożerając pannę oczyma, chwycił jej rękę i rzekł stłu-

mionym głosem: „Ah! Julio, ja cię tak kocham!... na dole czeka na nas powóz, gdy się przedstawienie skończy, porywam cię.“

Na te słowa, przestraszona panna, wyrwała swą rękę z objęć oficera i naturalnie nastąpiła skandaliczna scena.

Nazajutrz oficer zjawił się w mieszkaniu tych pań i rzekł: „Przychodzę panie przeprosić; teraz widzę, że stałem się ofiarą nikczemnej mistyfikacyi; spodziewam się, że mi panie powiedzą kto im dał bilety na wczorajsze przedstawienie.“

— To pan X. odpowiedziała matka domyślając się całej historyi.

— Ah! to pan X., dobrze — rzekł oficer.

Jeszcze raz bardzo panie przepraszam.

I poszedł natychmiast zaskarżyć do policyi swojego mistyfikatora. Pan X. został wezwany do prefekta; ale ten gdy się o wszystkich szczegółach tej awanturki dowiedział, wpadł w tak serdeczny śmiech, że już o karze i mowy nie było; pogodził nawet skarżącego z oskarżonym.

Pan X. jest obecnie dyrektorem orkiestry w jednym z większych teatrów stolicy.

Ogłoszenie i reklama tak się zespoliły z życiem wiedeńczyków, że kupcy doszli już nawet do tego, że swoje cygara lub świece ogłaszają wierszem.

Mam przed oczyma jedno z nich: — pośród kwiatów spaceruje para zakochanych; młodzieniec pali

cygaro, z którego dym wzlatuje w białych obłoczkach ku niebu. Pod winietą jest wiersz następujący:

JULIETTA.

Oh! mój drogi, jakaż woń
Rozstacza się dokoła!

ROMEO.

Oh! Julietto, to nie zapach
Róż; — to zapach mego cygara.

JULIETTA.

Kto ci mój kochanku sprzedaje
Te cenne niezrównane liście?

ROMEO.

Oh! Julietto, głośno oświadczam
W obec ciebie i świata całego
Że jeden tylko *Emanuel Oleoli*
Sprzedaje takie pyszne cygara!

Dzienniki mają dwojakiego rodzaju prenumeratorów: takich co sami przychodzą po Nr. do biura redakcyi, i tych którym się go posyła. W cenie obu prenumerat jest różnica paru guldenów. Ci co przysyłają po gazetę, okazują kwit prenumeracyjny ponumerowany, w którym za każdym razem ekspedytor wybija znaczek, tak jak na kolei konduktorzy znaczą bilety jazdy.

W Austryi gdzie prasa jest prawie tak swobodną jak w Anglii, uliczna sprzedaż gazet nie jest jeszcze tolerowaną; aby kupić Nr. jakiej gazety trzeba wstąpić do którejkolwiek dystrybucyi gdzie są kantory pism, i to jeszcze trzeba zrobić zamówienie dnia poprzedniego.

W Austryi gazety tak krajowe jak zagraniczne obłożone są stemplem. Za każdym razem jak bryftreger przynosił mi z poczty paryzki jaki dziennik, płaciłem mu oprócz porta, po dwa krajcary od Nr.

Więcej przewidujący od swoich paryzkich kolegów, dziennikarze wiedeńscy tworzą stowarzyszenie pod nazwą *Concordia*; wpisowego płaci się tam 250 guldenów, a roczna składka wynosi 12 guldenów. Podczas zimy odbywają się w lokalu stowarzyszenia bale i prelekcye, z których dochody powiększają fundusze towarzystwa, przeznaczone na zapomogi dla niezamożnych literatów, ich wdów i opłacanie wpisu szkolnego ich dzieci. Concordia jest zarazem klubem literackim; znaleźć tam można wszystkie jakie tylko wychodzą na świecie dzienniki, znaczniejsze przeglądy, każdą nową broszurę i książkę, i spotkać śmietankę towarzystwa intelligencyi.

W kraju tak podzielonym jak Austrya, jedna tylko potęga i urok literatury, mogą skupić pod jednym dachem tylu ludzi o opiniach i uczuciach tak podzielonych.

VI.

Fizyognomia ulic wiedeńskich — Drobny przemysł. — Odźwierny poborca. — Afisze. — Kantory loteryi. — Jakim sposobem zaprowadzoną została kawa w świecie chrześciańskim. — Pierwsza kawiarnia w Wiedniu. — Kawiarnia Dauma i jej historya. — Klientela kawiarni i browarów. — Piwnice. — Wiedeńczycy u stołu.

Na ulicach tak malowniczych i ożywionych jakiemi są ulice wiedeńskie, gdzie wszystko przechodnia zajmuje i bawi, zmęczenia wcale się nie czuje. Miasta tak samo jak i ludzie mają właściwą sobie fizyognomię która przyciąga lub też odpycha; Wiedeń ma fizyognomię sympatyczną. Odnajduje się tu żywość, ruch i wesołość Paryża, gorączkę pracy i uciech. Tej ostatniej gorączki doktorzy wcale nie leczą: jest ona wiedeńczykowi potrzebną do życia.

Ulice Wiednia mają także swoje typy popularne i swój drobny przemysł. Spotyka się tam druciarza słowackiego z rądlami, pułapkami, koszykami do sałaty, ubranego w szeroki kapelusz, bundę podartą i łapcie; wędrownego czecha który obchodzi podwórza domów z gitarą na plecach i skrzypkami pod pachą; kobiety z koszykami jabłek i cebuli chodzące od domu do domu niosąc swój towar na głowie: nazywają je „Kroatin“ chociaż co prawda, widziały one tak Kroacyę jak kiełbaski *frankfurckie*, które sprzedają po rogach ulic, widziały Frankfurt. W Frankfurcie za to, w zamian za tę grzeczność, nazywają te same kiełbaski, kiełbaskami *wiedeńskiemi*. Jada się je na

ulicy i stanowią one dla Wiedeńczyka tyle co makaron dla neapolitańczyka.

Wiedeń tak samo jak Paryż ma swojego urwisa ulicznika impertynenta, rewolucyonistę i kpiarza, zdolnego zarówno do dobrych jak i złych uczynków: jest nim *der Schusterbub*, — szewczyk. Spotyka się go na ulicy, z włosami rozczochranemi, kawałkiem niedopalonego cygara w ustach; ma on zawsze rękawy od koszuli zakasane, trzyma jedną rękę za fartuchem a w drugiej niesie parę butów; przytem zawsze biegnie szybko, a nigdy nie gubi swoich połatanych pantofli chociaż te mogły by obuć nogę o dwa razy większą. *Schusterbub* jest postrachem mleczarek i odźwiernych; pierwszym wywraca blaszanki z mlekiem, drugim paki ze śmieciami.

Wiedeńscy odźwierni nie wszyscy ubierają się w galowe szaty; zwyczajny odźwierny nosi długi surdut z błękitnego sukna, kamizelkę czerwoną i kraciaste modesty; co rano widzi go się na podwórzu jak trzyma miotłę z taką powagą jak by miotła była mieczem a on sam Karolem Wielkim; a wieczorem znów, od godziny dziesiątej, otulony w szlafrok w pasy, mając w jednem ręku klucz a w drugiem latarnię, spełnia te same obowiązki jakie poruczone są w raju Świętemu Piotrowi. W Wiedniu, furtek od bram nie otwiera się tak jak w Paryżu, za pomocą sznurka, trzeba za każdym razem kluczem otwierać, — a ile razy odźwierny kogo wpuszcza, tyle razy dostaje „na piwo.“

Jest to już zwyczaj przyjęty: do północy daje mu się sześć krajcarów, po północy zaś taryfa podnosi się do krajcarów dziesięciu.

Kto oddaje wieczorem wizyty, płaci raz wchodząc, drugi raz wychodząc, a trzeci raz wracając do domu. To też nieco przed dziesiątą widzieć można całe rodziny wybiegające z teatrów i ogródków i śpieszące na wsze strony miasta, aby wrócić przed dziesiątą i uniknąć podatku.

Ulegając temu dziwnemu prawu czy zwyczajowi zawsze mi na myśl przychodziła zabawna historyjka jakiej bohaterem był pewien odźwierny paryzki, mający widocznie instynkta swoich wiedeńskich kolegów. — Anegdotę opowiada Villemot: — Pewien odźwierny, jednemu ze swoich lokatorów który się dobijał do bramy w nocy, takie złożył oświadczenie, z po za zamkniętej furtki: „Proszę pana, godzina „sznurka“ już przeszła, teraz otwieram tylko „kluczem“; to kosztuje pięć franków.“

Spóźniony lokator zaczął negocyować, próbował wzruszyć odźwiernego, prosił o spuszczenie z ceny; nic to nie pomogło. Odźwierny groził że wróci do łóżka. Deszcz padał, było zimno; więc zwyciężony lokator wyjął pięć franków z kieszeni i przesunął je cerberowi przez szparę drzwi. Drzwi się otworzyły. Ale tu zaszła nagła scena: lokator młody i silny, chwycił odźwiernego za bary i wykręcił nim na miejscu; skutkiem tej operacyi, lokator znalazł się w sie-

ni a odźwierny na ulicy. Drzwi się natychmiast zamknęły.

— Panie Gustawie! — wołał odźwierny. — Na miłość Boską, coś pan zrobił! szesnaście stopni mrozu, a ja jestem w koszuli; otwórz pan bo zmarznę.

— Mój przyjacielu — odpowiedział lokator. — Znasz zwyczaje domowe... Godzina sznurka już przeszła. Teraz otwieram tylko kluczem; to kosztuje dziesięć franków.

— Ależ drogi, kochany panie Gustawie, gdzież pan chcesz abym wziął dziesięć franków, jestem przecież w koszuli i na ulicy.

— A no, to oddaj tymczasem te pięć franków które ci dałem, na resztę udzielę ci kredytu...

Gdyby wszyscy wiedeńczycy pewnego wieczoru zmówili się i zrobili tak jak zrobił ów lokator, to dzikie to nadużycie odźwiernych nakładających na lokatorów rozbójniczy podatek, zniknęłoby od razu.

Po ulicach Wiednia przechodzą co chwila wojskowe muzyki. Wszyscy wówczas stają w oknach a za muzyką idą długie szeregi uliczników i gapiów.

Naród tak wrażliwy z natury i czuły na wszystko co uderza wzrok i słuch, nie pozostaje również obojętnym w obec pokus afisza. To też z jaką sztuką, bogactwem kolorów, rozmaitością pisma, układają w Wiedniu afisze, owe olbrzymie różowe, białe żółte niebieskie arkusze które piętrzą się po rogach ulic, jedne nad drugiemi, tworząc piramidy reklam. Afi-

sze z oznajmieniem o balach, upiększone są rysunkami przedstawiającemi jak nadobne tancerki wyrzucają zgrabnie nóżkami do góry. Na ogłoszeniach loteryjnych, wymalowane są rogi obfitości z których sypią się dukaty jakby z zaczarowanego worka. Są i takie ogłoszenia w których bankierzy zapewniają że w ich kantorze loteryi pewna jest wygrana, bo ich Pan Bóg ma w swojej opiece.

W Austro-Węgierskiej monarchii, wszyscy grają w loterję, — bogaci i biedni; pan milionowy, urzędnik, kupczyk, kucharka, dorożkarz i ulicznik. Ostatni grosz robotnika krwawo zapracowany, ginie w otchłani kół loteryjnych.

Co szczególnie w Wiedniu uderza cudzoziemca, to nadmierna ilość kawiarni; nadają one Wiedniowi pozór wschodniego miasta. Nie liczyłem ich, ale statystyka mówi, że ich jest przeszło czterysta.

Co prawda, to z miast chrześciańskich, najpierwej w Wiedniu otworzono kawiarnię; jest to zatem pewna prerogatywa.

Było to w roku 1683. Wiedeń był po raz drugi oblegany przez turków, i strach był wielki; pomimo walecznej obrony hrabiego Ernesta Rudiger Starmberg, wiedeńczycy przewidywali już chwilę, w której przyjdzie im poddać się turkom, chyba żeby im przyszła jaka pomoc z zewnątrz. Posyłano wprawdzie kuryerów na spotkanie armii cesarskiej, która zbliżała się, mając na czele Karola Lotaryng-

skiego, ale wpadali oni wszyscy w ręce turków, którzy ich zaraz, tuż pod murami miasta wieszali. Niebezpieczeństwo wzmagało się z dniem każdym, niepokój był ogólny. Wiedziano, że Karol Lotaryngskt stoi o kilka mil od stolicy, czekając hasła, ale niki już nie śmiał wychylić się po za wały miasta, a tem mniej przedrzeć się przez linie nieprzyjacielskie.

W owym czasie żył w Wiedniu polak, Jerzy Kulczycki, młody człowiek przystojny, inteligentny, czynny i odważny; miał lat dwadzieścia trzy i był właścicielem sklepu na przedmieściu Leopolda. Gdy Wiedeń turcy oblegli, Kulczycki zaangażował się jako ochotnik do korpusu wolnych strzelców kapitana Franka. Kulczycki pewnego ranka zjawił się przed naczelnym wodzem.

— Czego odemnie chcesz? — zapytał go hrabia Starmberg, przechodzący się w tej chwili cały wzburzony, po sali rady wojennej.

— Generale, rzekł polak, przychodzę się ofiarować na kuryera; przejdę linie tureckie i przysięgam ci na głowę, że dotrę aż do armii cesarskiej.

Turcy cię powieszą! — odpowiedział Starmberg, przechadzając się dalej.

— Nie powieszą mnie, panie generale.

— A dla czegóż to ciebie by mieli oszczędzić skoro drugich mordują.

— A bo ja nie mam najmniejszej ochoty wisieć na gałęzi.

— Więc chyba posiadasz jaki talizman?

— Być może.

— To twoja tajemnica; zachowaj ją. Więc naprawdę chcesz się pokusić o przejście przez obóz nieprzyjacielski? rzekł Starmberg zatrzymując się tym razem przed młodym człowiekiem.

— Przejdę przez obóz, zaniosę twoje panie generale rozkazy, cesarskiej armii i powrócę zdać ci sprawę z mojej misyi; oto moja propozycya.

Starmberg na chwilę się zamyślił:

— Przyjmuję — odpowiedział. Jeżeli ci się uda, jakiej żądasz nagrody?

— Żadnej. Chcę tylko mieć zaszczyt usłużyć generałowi.

— Dobrze. Dziś wieczór, wręczą ci moje rozkazy; możesz odejść. Niech cię Bóg ma w swojej opiece!

W nocy, był to miesiąc kwiecień, nad Wiedniem i jego okolicami rozszalała się burza; Kulczycki korzystając z tej okoliczności, przebrany za turka, wyszedł z miasta niepostrzeżenie, w towarzystwie swego służącego Michałowskiego, także przebranego za turka. Nazajutrz rano, gdy się już zbliżali do obozu ottomańskiego, turcy ich chwycili i poprowadzili przed agę. Na zapytania jakie mu poczyniono, Kulczycki odpowiedział, że był kupcem z Belgradu i że przyszedł zaproponować turkom umowę o dostawę żywności dla armii.

Ta myśl podobała się bardzo adze który postanowił wnieść ją do rady starszej; kazał więc dać jeść i pić przebranym muzułmanom, i odchodząc rzekł im: „Pozostawiam was na wolności, ale tylko nie oddalajcie się zbytnio, bo awangardy cesarskiej armii dotarły już do Leopoldbergu.“

Kulczycki potrafił zręcznie z tych objaśnień skorzystać, i udając że spaceruje przedostał się wieczorem do obozu chrześciańskiego zkąd 17-go już powrócił do Wiednia, spełniwszy swoją misyę.

W kilka dni potem, Sobieski i Karol Lotaryngski uderzyli z nienacka na turków i zmusili ich do ucieczki.

Hrabia Starmberg przywołał Kulczyckiego i koniecznie go chciał wynagrodzić; ale polak poprzestał na małem żądaniu: prosił aby mu oddano worki z kawą jakie turcy pozostawili w obozie.

— Najchętniej, odpowiedział hrabia, ale któż nas objaśni co się robi z temi ziarnkami?

— Ja ekscelencyo.

I Kulczycki opowiedział co następuje: „W roku 1285, pewien derwisz, zwany Hadji-Omer, wypędzony z klasztoru Mekki, szukał schronienia w sąsiednich jaskiniach; nie znalazłszy za wszelkie pożywienie, jak tylko ziarnka dzikiej rośliny nazwanej kahwa, próbował zrazu jeść te ziarnka na surowo, ale ponieważ były gorzkie przyszło mu na myśl je upalić, zgnieść potem i rozgotować w wodzie; z tego wynikł

napój posilny i smaczny. Kiedy przyjaciele jego przyszli go odwiedzić, nowy napój nadzwyczaj im zasmakował; to też powróciwszy do miasta, głosili wszędzie o wynalazku derwisza. Dowiedział się o tem szeik, który widząc w całem zdarzeniu wyraźny znak Bożej łaski, pozwolił derwiszowi powrócić do zakonu. Ziarnka tej rośliny są te same jakich turcy używają do ulubionego przez nich napoju, jest to rzecz wyśmienita i godna chrześciańskiego podniebienia; jeżeli pan generał ustąpi mi worki z kawą które stanowią część łupu, przysposobię kawę również dobrą jak ta którą turcy piją.“

— Wszystkie te worki do ciebie należą, odpowiedział Starmberg; wydam rozkazy aby ci je dostawiono; oprócz tego, gmina postanowiła ofiarować ci dom na przedmieściu Leopolda w dowód wdzięczności za usługę jakąś nam wyświadczył, jeżeli nie sprzedaż swojej kawy, to będziesz miał przynajmniej własny dom. Kulczycki wziął się zaraz do roboty. Z początku chodził od domu do domu niosąc na tacy filiżanki z kawą; potem gdy już wiedeńczycy przyzwyczaili się do tego napoju, tak że się bez niego obejść nie mogli, wynajął na Schuler Strasse, skromny sklep ale gdy amatorzy zaczęli się tam schodzić, lokal okazał się być za szczupłym i polak przeniósł się na ulicę Ślusarską pod *Niebieską butelkę*, gdzie pozostawał aż do roku 1703, — chwili śmierci. Za szyld do swojej kawiarni wybrał Kulczycki niebieską butelkę,

bo gdy na początku oblężenia, został rannym, narzeczona jego, córka chirurga, przyniosła mu balsam na ranę, w małej niebieskiej flaszeczce.

Oto jak wyglądała ta kawiarnia: w głębi, na wielkim ogniu, woda się gotowała w miedzianych naczyniach; wzdłuż ścian poustawiane były ławki; stołów nie było: goście trzymali filiżanki w ręku albo je stawiali obok siebie. Salę oświecały dwie latarnie zawieszone u sufitu, a wzdłuż i szerz przechadzał się Kulczycki z cybuchem w ręku, uśmiechnięty i szczęśliwy. Co wieczór przychodził pod *Niebieską butelkę*, stary Rudiger de Starmberg i kapucyn Marek Avian, spowiednik Sobieskiego; on to z wyżyn Kahlenbergu dał przed bitwą armii chrześcijańskiej błogosławieństwo. Książe Sabaudzki Eugeniusz, przychodził tam również od czasu do czasu wypić filiżankę kawy, a popularny ówczesny śpiewak, Augustyn, produkował się pod *Niebieską butelkę*, z najdowcipniejszemi swojemi piosenkami.

Po śmierci Kulczyckiego, powstało od razu kilka kawiarni, a Wiedeń opanowała prawdziwa turkomania: nikt już nie chciał palić jak tylko tytoń turecki i to z fajek prawdziwie tureckich; każdy musiał mieć szlafrok turecki, na balach maskowych widziano tylko turków, lubiono tylko muzykę turecką, która była wówczas tem czem jest dzisiaj muzyka Wagnerowska; do fortepianów dodano specyalny pedał a to aby naśladować hałas bębnów i cymbałów tureckich.

Na ścianach kawiarni wisiały wszędzie obrazy przedstawiające piękne odaliski o długich rzęsach, czarnych oczach, ustach koralowych, leżące niedbale na dywanach z rozwiniętym nargillem u nóg.

W roku 1778, jeden z bogatych wiedeńskich księgarzy otworzył kawiarnię literacką; były tam nietylko publikacye peryodyczne, wychodzące we wszystkich żyjących językach, ale i broszurki i pamplety polityczne. Dzieła Valtaira sprzedawano tam potajemnie.

W Wiedniu wszyscy chodzą do kawiarni: mężczyźni, kobiety, księża, dzieci. Kawiarnia stanowi dla wiedeńczyków centrum życia społecznego: załatwia się tam interesa, dobija targu, dowiaduje o nowinkach, dyskutuje się nad rządową polityką, sądzi sztuki teatralne i książki. — Kawiarnia zastąpiła forum. O godzinie czwartej trudno jest znaleźć miejsce w jakiejkolwiek bądź kawiarni; wszystkie są pełne, o tej bowiem porze wiedeńczycy piją poobiednią kawę.

Służba po wiedeńskich kawiarniach jest doskonałą, i może służyć wszędzie za wzór, wiedeński garson jest królem kawiarnianych garsonów. Stanowi on szkołę. Do całych Niemiec poszukują wiedeńskiej służby, bo też i wiedeński garson jest pracowity, grzeczny, uczciwy i zawsze w dobrym humorze. Garson wiedeński gdy wchodzisz do kawiarni, poznaje od razu twoją narodowość po twojej fizyognomii,

i usłużnością która przecież nie ma nic w sobie narzucającego się, podaje ci gazety francuzkie jeśli jesteś francuzem, węgierskie jeśliś węgier, włoskie jeśliś włoch. Jeżeli przybywasz z północy, postawi ci jeszcze na stoliku pudełko papierosów.

Kawiarnie wiedeńskie są prawdziwemi czytelniami; znajduje się tam po dwanaście egzemplarzy znaczniejszych gazet, jak „Nowej Pressy“ i starej „Pressy“. Czy w Paryżu jest choćby jedna kawiarnia któraby posiadała dwa egzemplarze „Tempsa?“

Kawę ze śmietanką nazywają w Wiedniu *melanżem* a kawę czarną *kapucynem*. Wiedeńczyk zjada zwykle do kawy kilka ciastek lub bułeczek. Bułeczki wiedeńskie są rozmaite: są maślane, na mleku, z rodzynkami korynckiemi, z cukrem. Nieraz widzieć tu można pojedynek na bułeczki: dwóch panów zasiada na przeciwko siebie i rozpoczyna wyścig: kto skonsumuje więcej bułek jest zwycięzcą; przegrywający płaci za wszystko.

Kawiarnie mają właściwą swoją klientelę, swoją historyę, swoją fizyognomię. W kawiarni Europejskiej na placu Ś-go Szczepana, spotyka się po największej części przejezdnych cudzoziemców. Młoda arystokracya zbiera się w zbytkownych kawiarniach na Grabenie i Ringu. Kawiarnia narodowa jest zbornym punktem tych co się bawią; jest ona otwartą przez całą noc, i chodzą tam kobiety. Dwór, arystokracya wojskowa, dyplomaci, jednem słowem świe-

czniki stolicy, wszystko to zasiadało dotychczas przed stolikami kawiarni Dauma, która dziś jest już zamkniętą. Ta sławna kawiarnia składała się z sześciu pokoi a w każdym z nich zbierało się osobne towarzystwo, klan, koterya. Była sala oficerska, sala polityków, sala dziennikarzy, graczy i t. d. Do sali głównej chodzili ministrowie gdzie widzieć ich było można jak sobie półgłosem robili zwierzenia, lub opowiadali dworskie skandaliki.

Historya kawiarni Dauma jest prawdziwą historyą Austryi. Przed rewolucyą w roku 1848, spotykano tam tylko poważnych biurokratów czytających w milczeniu „Obserwatora wiedeńskiego", „Gazetę wiedeńską", „Dziennik teatralny;" od czasu do czasu zaledwie, jaki dowcip rozjaśniał na chwilę te pościągane twarze. W owym błogosławionym czasie, nie mówiono jeszcze ani o Szlezwigu, ani o jedności włoskiej, a jeszcze mniej o jedności niemieckiej; pan Bismarck wówczas wprawiał się dopiero w łamaniu krzeseł na głowach obskórnych oberżystów. Zamieniano pocichu uwagi nad ostatnią mową w izbach francuzkich. W sali oficerskiej, rozmowa była już więcej ożywioną: rozprawiano o ostatniej komedyi Scribego lub Baurfelda, sławiono skoki cyrkowej woltyżerki.

Kiedy Wiedeń najerzył się barykadami, kawiarnia Dauma uległa raptownej transformacyi! jej sale napełnili legyoniści w kapeluszach z kokardami, re-

prezentanci narodowi ubrani w różnokolorowe kostiumy, obszyci galonami od stóp do głów, z wielkim pałaszem u boku i w palonych butach, „młodzi czesi“ polacy, węgrzy i różnego rodzaju wielcy ludzie których wczoraj nikt jeszcze nie znał. Pośród tego tak różnorodnego tłumu przesuwały się kobiety w strojach „rewolucyjnych.“ Było tam pełno wrzawy i krzyku tak jak w paryzkich bulwarowych kawiarniach w czasie komuny. Gazety reakcyjne darto i deptano nogami. Improwizowani mówcy przemawiali z wysokości stolików.

Po tych nieporządkach i burzy, nastąpił stan oblężenia, a kawiarnia Dauma stała się głównym sztabem władzy wojskowej. I znów widziano tam za stolikami ludzi poważnych i milczących z brodą zapuszczoną w wysoki kołnierz, o krótko ostrzyżonych włosach, z okularami na nosie. W drzwiach kawiarni stała zawsze gruppa oficerów z cygarem w ustach i binoklach na nosie, przypatrujących się kobietom. Trwało to tak aż do bitwy pod Solferino; wojskowa klientela kawiarni Dauma zamieniła się wówczas na klientelę cywilną. Byli to już doktorzy, adwokaci, bankierzy, poeci, artyści; gdy się teatra kończyły, przychodzili i deputowani w czarnych frakach, dyplomaci pokryci orderami; kawiarnia otwartą była aż do rana.

W Wiedniu kawiarnie są otwarte dopóty dopóki są w niej goście.

Kawiarnia i browar stanowią dla wiedeńczyka niezbędny warunek do życia; mają one klientów dwojakiego rodzaju: *stamgaste* czyli gości stałych i *laufende* czyli przechodnich. W piwnicach browarów, u kupca winnego, w kawiarni, każdy z takich stałych gości którego nazywają także *Wirthshausbruder*, ma swój osobny stolik; biada temu co by mu to miejsce zajął! są tacy którzy od trzydziestu lat przychodzą do swojej knajpy zawsze o jednej i tej samej godzinie, zasiadają przed tym samym stolikiem, na jednem krzesełku, piją jedno wino lub piwo w jednej i tej samej szklance, czytują jedną gazetę i palą ten sam tytoń w jednej i tej samej fajce.

Taki *Stamgast* przepędza zwykle 4—5 godzin dziennie w piwnicy browaru, w kawiarni lub u kupca.

Piwnice czyli *tunele* w browarach wiedeńskich, mają w swojej architekturze coś babilońskiego; największe z nich jak Drehera i Liesenmajera, mieszczą się w suterenach, a podtrzymujące ich sklepienia kolumnady i słupy giną w dymie fajek i cygar. *) Gorąco tam nie do zniesienia, a odór sosów jaki się z kuchni wydobywa, jest okropny. Ludzie tam

*) W piwnicach browarów wiedeńskich urządzone są ludowe restauracye, gdzie obok trunku Gambrynusa dostać można w każdej chwili wszelkiego rodzaju jedzenia. (Przyp. tłom.)

płyną jak fale, co chwila inny się przedstawia widok:

Oto towarzystwo wojskowych wchodzi, gruppa urzędników wychodzi; tu się kręci chłopak z gazetami trzymając pod pachą plikę wilgotnej bibuły, tam obchodzi stoliki kolporter z broszurami, illustrowanemi powieściami, i t. d. Handlarz krawatów papierowych kołnierzyków, robi tam doskonałe interesa: na miejscu, od razu, *eleganci* zmieniają kołnierzyki i krawaty. Włoch obnosi figurki gipsowe, ktoś drugi znów sprzedaje fotografje.

Nad tem wszystkiem panuje duszna atmosfera, rozlegają się krzyki, grzmią śmiechy, słychać brzęk talerzy, szklanek, zgrzyt noża i widelca. Wiedeńczyk kiedy jest przy stole, zawsze bankietuje.

Wiedeń oprócz tych tunelów ma jeszcze piwnice w których sprzedają wino i delikatesy: są tam pasztety, ostrygi, kawior, ryby wędliny i t. d. Niektóre z tych piwnic, są urządzone jak np. *Piwnica skalista* w kształcie grot. Można tam dostać pokoje duże i mniejsze, gościnne i tak zwane gabinety osobne.

Na ścianach Piwnicy skalistej wypisane są nazwiska luminarzy bieżącej epoki: Viktor Hugo, Meyerbeer, Wagner, Augier, Aleksander Dumas i t. d.

— Widzisz pan — rzekł mi raz pewien znajomy z którym jadłem kolacyę w tej piwnicy — to nazwisko tam, na lewo pod sklepieniem?

— Widzę, tak, to Sardou; ależ jemu nie Wiktor na imie.

— Wiem o tem, to też patrz pan lepiej.

— Nazwisko Sardou jest zagryzmolone, ot i wszystko co widzę.

— Przypatrz się pan lepiej.

— Ależ mnie pan intrygujesz. Cóż tam jest pod spodem?

— A no, pańskie nazwisko!

— Moje nazwisko! Pan żatujesz. Ja do gwiazd nie należę.

— — Pańskie nazwisko zmazali a na jego miejsce wpisali pana Sardou, bo prusacy z tej dzielnicy oświadczyli właścicielowi że do jego piwnicy nie będą już przychodzili jeżeli ta przypominać im będzie autora którego nienawidzą: i oto w jaki sposób Sardou został Wiktorem.

Wierzaj mi pan że miejsce to daleko lepiej wypełnia nazwisko autora Dory niźli moje; ale dobrze że o tem wiem: jak pomaszeruję na Berlin, zwalę zaraz ich kolumnę Zwycięztwa.

— Ah! drogi panie, tylko tego nie rób! — zawołał przestraszony wiedeńczyk, — upiększyłbyś im przez to stolicę!

Z pomiędzy wszystkich piwnic wiedeńskich, najoryginalniejszą i posiadającą najwięcej malowniczości jest „Esterhazy-Keller“ (piwnica Eeterhazego) otwarta codziennie od 11 godziny rano do pierwszej w no-

cy. W tem ciemnem podziemiu nie ma ani stolików ani stołków, ani lamp gazowych; wzdłuż ścian stoją stare pobrudzone ławki obok sosnowych długich stołów, a w drewnianych lichtarzach których trzonek wbity jest w mur, pali się kilka łojówek o płomieniu tak słabem że wchodząc tam ze światła dziennego, nic się nie widzi. W tem pomroczu, spostrzec można niewyraźne kontury i cienie fizyognomij i typów godnych zaprawdę pędzla artysty. Tu siedzi jakiś urzędniczek w opiętym starym surducie z którego przykrótkich rękawów wysuwają się brudne mankiety od koszuli; kazał on sobie podać pół kwarty wina i to wraz z kotletem który z sobą przyniósł w gazecie stanowi jego obiad; — tam zasiadło dwóch żołnierzy, a w środku pomiędzy nimi panoszy się ich „znajoma“ wystrojona świątecznie. Trójka ta bawi się znakomicie, czego dowodem są próżne już butelki z jednej strony a z drugiej, pełne. „Panna“ śmieje się na cały głos bo jeden z jej adoratorów depczę ją po nogach a drugi całuję po rękach. Dalej znów starzec, istny szkielet żyjący, szuka w soku winnym talizmanu życia; dalej jeszcze kobieta jedna, druga, trzecia; — ta ubrana w czarny szal, tamta w perkalikową sukienkę, ta jest w czepku, tamta ma na głowie kapelusz; jedne są młode o białych jak śnieg zębach i czarnych błyszczących oczach, drugie znów stare, zgarbione, pomarszczone, brzydkie, szkaradne, istne czarownice. W rogu nareszcie, rozparty na

ławie z wyciągniętemi nogami i rękoma w kieszeniach, z rozpiętą koszulą kiwa się pijak, trzymając w zębach wypaloną już oddawna fajkę. Kapelusza jego nie widać, — usiadł na nim.

W głębi piwnicy, widać więcej nieco światła: mieści się tam kontuar składający się z deski obrzydliwie łojem wyświechtanej, położonej na dwóch beczkach; za tą deską siedzi na słomianem krzesełku kasyer zakładu, w czapce nasuniętej po uszy, w okularach oprawionych w żelazny drut, z regestrem przed sobą, kałamarzem na prawo, tabakierką, fularem i kuflem wina na lewo; on to przyjmuje pieniądze i zapisuje każdą wydaną szklankę wina. Dwóch posługaczy w fartuchach i z zakasanemi rękawami, płucze i napełnia szklanki. Po za tem wszystkiem widać dwa szeregi kuf i przysadzistych beczek, wyglądających jak zamyślone sfinksy. Przed kontuarem, w gruppach tworzących prawdziwy chaos, cisną się nędzarze w gałganach, panowie w futrach, cudzoziemcy, oszuści i złodzieje. Przy drzwiach wisi karta z napisem: „Niech każdy pilnuje swojej kieszeni!“ Aby dostać szklankę wina, lub oddać już wypróżnioną, za którą każdy musi dać zastaw, czeka się swojej kolei. Trzeba wiedzieć, że w piwnicy Esterhazego są dwa gatunki najlepszych win z całej Austryi. Najbogatsze domy zaopatrują się tam w wina. W jednym z rogów piwnicy ma swoje gospodarstwo han-

dlarka kiełbasek gorących: na piecyku żelaznym mieści się kocioł a w tym kotle są kiełbaski.

Austro-Węgry produkują z piętnaście gatunków win. W roku 1348 cesarz Karol IV sprowadził z Burgundii szczepy winnic i zaaklimatyzował je na wzgórzach nad Dunajem. W Niższej-Austryi wino utrzymuje się na wysokości 2,000 metrów po nad poziomem morza; w południowym Tyrolu, w Wororlbergu, w Styryi, Koryntyi, Morawii, Illyryi, Dalmacyi, Węgrzech, Transylwanii i w Kroacyi, wyrabiają znakomite wina które mogą walczyć o lepsze z winem burgundzkiem i reńskiem. Dla słowian, wino stanowi zwyczajny napój. To też słowianie są o wiele silniejsi, więcej muskularni zdrowi i piękni od niemców których piwo ogłupia.

W Wiedniu dosyć jest trudno o dobre jedzenie; ale z miast niemieckich jest to jeszcze najlepsze w tym względzie. Kuchnia wiedeńska jest jak i sam naród wiedeński, międzynarodową; najlepsze restauracye posiadają hotele. W każdym hotelu są trzy kategorye restauracyj: w suterenie dla służby własnej i przyjezdnej; na dole dla wiedeńczyków; na pierwszem piętrze dla cudzoziemców. W hotelach tych nie ma table d'hote, jedzenia są à la carte. Restauracya która się najwięcej zbliża do wielkich paryzkich restauracyj, mieści się na placu opery a trzyma ją Sacher. W owej szczęśliwej opoce kiedy to giełda rodziła miliony, salony Sachera jaśniały całą noc

od gorejących świateł; szampan lał się strumieniami, złoto brzęczało na zielonych stolikach, wesołe towarzystwa kobiet, napełniały gabinety śmiechem i wrzawą.

Zwyczajny wiedeńczyk jada w „browarze“ gdzie za dwa franki i pół, dostać można jedno mięso, talerz jarzyny i leguminę.

Leguminy—*melspejsen*, są tryumfem kuchni wiedeńskiej. Co za rozmaitość i pomysłowa oryginalność w wyrabianiu tych szarlotek, naleśników, i pudingów z ryżem polanych winem!

W Wiedniu obiad się jada pomiędzy godziną pierwszą a trzecią, a kolacyę od siódmej wieczorem do jedenastej. Teatra kończą się o dziesiątej. Wiedeńczyk kiedy idzie do teatru nawet wraz z żoną i dziećmi, uchybiłby ogólnej regule gdyby całą swoją rodzinę nie poprowadził tego wieczoru na kolacyę do restauracyi.

VII.

Legenda o „pniu żelaznym."

I oto znów znajdujemy się na tem samem miejscu z którego rozpoczęliśmy naszą ekskursyę,—na placu Ś-go Szczepana. W tej to starej bazylice, jednej z najpiękniejszych w całych Niemczech, Karol VI

drugi syn cesarza Leopolda, okrzyknięty został królem Hiszpanii, Kastylii i Aragonu; miał wtenczas lat dziesięć.

O jakie trzydzieści kroków od katedry, pomiędzy ulicą Karyntii a Grabenem, spostrzega się dziwny pień drzewa, wysoki na czery do pięciu metrów, objęty obręczą żelazną u której wisi zamknięta kłótka.

Cały pień na około tak jest szczelnie obity gwoździami, że zdaje się być w pancerzu.

Jest to sławny *Stock im Eisen* — „żelazny pień“ którego ciekawa historya zasługuje tu na powtórzenie.

Otóż, w połowie piętnastego stulecia, czyli w roku 1450, stał na placu targowym stary, oczerniony dom; od wschodu słońca aż do zmroku, po nad jego dachem kręciły się kłęby dymu, a w jego wnętrzu rozlegał się huk młotów, zgrzyt pilnika i trzask palącego się ognia przy akompaniamencie głośnego oddechu miechów.

Dom ten, pod którym aż się ziemia trzęsła, należał do Ercharda Marbacher, pierwszego ślusarza miasta Wiednia.

Majster Marbacher był to sobie tłusty i gruby człowieczek o czerwonych policzkach, nosie spłaszczonym, o oczach żywych i błyszczących jak węgle które się paliły w jego kuźni; na około brzucha miał tyle przynajmniej sadła ile jego imię miało sławy, bo też robił on w swojej kuźni cuda prawdziwe i podno-

sił ślusarstwo do godności sztuki. Kiedy wychodził na próg domu, opasany rzemiennym fartuchem, z zakasanemi rękawami, odpiętą koszulą, twarzą i rękami czerwonemi od ognia jak miedź, podobny był do hipopotama wychodzącego z rzeki na brzeg wody dla nabrania powietrza.

Erhard był wzorowym majstrem, pracował o tyle ile mu siły i sadło pozwalały; jego czeladnicy lubili go, był surowym ale zawsze sprawiedliwym i dobrym.

Obok domu i kuźni ślusarza, stała piekarnia. Marbacher lubiał po dziennej pracy pogawędzić, to też co wieczór zachodził do piekarki, i tam obrawszy sobie miejsce na jakim worku mąki, wziąwszy się pod boki, opowiadał i słuchał dykteryjek, śmiejąc się na całe gardło. Greth Mux, piekarka była wdową. Najmłodszy z jej synów, tęgi chłopak ośmnastoletni, jakkolwiek go matka wychowała w bojaźni Boskiej, sprawiał jej mnóstwo kłopotów i niepokoju płatał przez cały dzień figle i wcale nie myślał o pracy. Dla tych co mają jakie cierpienia, największą ulgą jest zwierzać się z nich przed przyjaciołmi, to też nieszczęśliwa matka skarżyła się na syna przed każdym co jej skarg chciał słuchać, a najczęściej na konfidenta swoich zwierzeń wybierała przyjaciela i sąsiada, majstra Erharda.

Jednego wieczoru gdy ten przyszedł do piekarni w lepszym jeszcze niż zwykle humorze, biedna

wdowa rozpłakała się gorzkiemi łzami: syn jej zapomniał się do tego stopnia, że wystąpił w obec matki z pogróżkami.

— Nie martwcie się matko, — rzekł wzruszony ślusarz,—przychodzę wam zrobić propozycyę; jeśli ją przyjmiecie, to daję słowo że zrobię z waszego syna porządnego rzemieślnika.

— Ah! majstrze Erhardzie, niech was Bóg błogosławi za tę dobrą myśl! — odpowiedziała wdowa ocierając oczy rogiem fartucha.

— Posłuchajcie mnie.

— Słucham was—rzekła Greth, opierając się łokciami o stół.

— To proste jak dwa a dwa cztery: mojego siostrzeńca przyjmiecie za terminatora do piekarni, a ja przyjmę waszego syna za terminatora ślusarskiego; prosta zamiana i nic więcej; cóż zgoda?

— Czy zgoda! ależ to mnie uszczęśliwia! doskonale!—zawołała wdowa, biorąc za rękę ślusarza. Więc sprawa skończona; tylko mój sąsiedzie, bądź dla niego surowym, bardzo surowym.

— Oh! co do tego, to bądźcie spokojni; utemperowałem ja nie takich urwisów; Marcin jest młody, i żeby nawet był z żelaza, to go nakręcę jak zechcę; od czegóż jestem ślusarzem?

I ślusaız wymówił ostatnie wyrazy z naciskiem, co już zupełnie przekonało wdowę o prawdzie słów jego.

— Niech się dzieje jak Bóg zechce! — szepnęła nieco przestraszona groźbą majstra.

Nazajutrz w warsztacie ślusarza zjawił się nowy terminator: Marcin w pierwszych dniach dął miechem z miną wielce nieukontentowaną; w końcu jednak pogodził się z swoim losem i wszystko szło jak najlepiej. Pracy oddał się z zamiłowaniem i z zapałem i zdawał się już pojmować, że kiedy kto chce do czego dojść, to musi pracować.

Piekarka była w zachwyceniu; przypisywała ona tę cudowną zmianę nowennom jakie odprawiała na cześć Ś-go Antoniego. Co do Marbachera, to człowiek ten pysznił się ze swojego dzieła i tył coraz więcej z ukontentowania.

Pewnego poobiedzia, majster Erhard zawołał Marcina i rzekł doń:

— Mój chłopcze, weź oto ten szaflik i pójdź nakopać gliny, której potrzebuję do wygniecenia modelu na głowę; glinę znajdziesz pod lasem Siechenhaus, za rogatką Ś-go Jerzego; tylko nie baw się w drodze i wracaj przed pogaszeniem świateł. U mnie po ciemku nikt nie wraca.

Marcin wziął szaflik i obiecał że wróci przed wieczorem.

Dzień był przepyszny: była to wiosna. Zdawało się że niebo składało zwoje błękitnego jedwabiu, pośród których słońce jaśniało ogniem brylantów; na łąkach kwitły świeże wonne kwiaty, a pośród

nich uwijały się roje motylów. Marcin od zimy nie był jeszcze na żadnym spacerze, to też zdawało mu się, że mu skrzydła urosły; zeszedł z drogi i puścił się ścieżkami na pole. Gdy doszedł do lasu, było już po godzinie czwartej.

Gdy napełnił gliną swój szaflik, słońce było jeszcze wysoko; dachy i wieżyce miasta widział wyraźnie; umieściwszy szaflik na głowie, puścił się napowrót w droge gwiżdżąc. Droga którą szedł przechodziła przez placyk na którym wiedeńczycy zwykli byli grać w kręgle; w tej chwili właśnie, liczne towarzystwo było tam zebrane; Marcin poznając kilku swoich znajomych, złożył swój ciężar po za drzewem i wmięszał się do gry. Praca u ślusarza, rozwinęła w młodym człowieku siły; nikt w rzucaniu kręgli nie mógł mu sprostać; tryumf ten napełnił go tak wielką dumą, że zapomniał o zachodzącem słońcu i zleceniu majstra.

Nagle zadźwięczał dzwon, jego monotonny i smutny głos podobny był do krzyków nocnych ptaków; gracze podnieśli głowy, nadstawili ucha i puścili się co tchu w kierunku najbliższej bramy miasta.

Był to sygnał do gaszenia światła. Myśl, że przybędzie za późno, tak przeraziła Marcina, że machinalnie pobiegł za swoimi towarzyszami; ale nagle zatrzymał się: zapomniał o szafliku. Wrócił się więc i chociaż strach jaki w nim wzbudzał majster Marbacher, dodawał mu skrzydeł, nie mógł już od-

zyskać czasu straconego. Słyszał najwyraźniej, jak się już podwoje bramy Ś-go Jerzego zamykały; gdy pokryty potem, bez tchu prawie, dobiegł do bramy, klucze strażników obracały się już zgrzytając w zamkach. Zawołał, począł prosić, błagać, nic to nie pomogło; nikt mu nawet nie odpowiedział.

Noc zepadła, cień się wzmagał z każdą chwilą, a jakaś czarna powłoka pokrywała jakby płachtą niebo, ziemię, pola, miasto, okopy. Marcin usiadł na kamieniu i zaczął płakać; widział się już nazajutrz w potężnych obrotach majstra.

Ale niezadługo księżyc wydostał się z po za chmur jakie go pokrywały, i Marcin podniósłszy głowę ujrzał przed sobą jakąś osobistość tak dziwną i straszną, że pobladł drżąc cały.

Był to człowiek chudy jak szkielet, oczy miał żółte, nos haczykowaty, bródkę czarną i wąsy spiczaste; pióro na jego kapeluszu błyszczało jak płomień; u palców miał paznokcie zakrzywione, a cały pokryty był długim po pięty płaszczem.

Marcin chciał powstać i uciec; ale nieznajomy zbliżył się i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Czego płaczesz, moje dziecko? Wypadek jaki cię spotkał, da się jeszcze naprawić. Ja ci dam coś takiego co ci posłuży za paszport.

I nieznajomy wyjął z kieszeni sakiewkę która się sama otworzyła, wziął z niej jednego cekina, pod-

niósł go do ust i dmuchnął: cekin zamienił się w dziesięć nowiuteńkich dukatów.

— Masz,—rzekł do Marcina dając mu garść złota,—zabrzęcz no tem pod bramą, a przysięgam ci na moją brodę, że strażnicy nie będą już głusi.

Marcin zaczął oddychać; przecież strach nie opuścił go jeszcze: to złoto zdawało mu się ze jest gorące i że spali mu rękę.

— Jeszcze nigdy tyle złota nie widziałem—szepnął.

— Kiedy ci go zbraknie, to ci jeszcze dam; zawołaj mnie tylko.

— Ja mam pana wołać?

— Tak; powiesz tylko trzy razy: Raab-Rebeck-Quardec, i będziesz mnie miał.

— Ale czemże ja wynagrodzę tyle dobrodziejstw?

— Oh! to głupstwo; porachujemy się gdy umrzesz.

— Gdy umrę?

— Tak... Zapiszesz mi twoją duszę, — rzekł od niechcenia nieznajomy.

— Ależ moja dusza do pana Boga należy, i ja nie mam prawa nią rozporządzać,—zawołał żywo Marcin.

— Ha! ha! ha!—zaśmiał się nieznajomy,—czy się boisz bym twoją duszę nie obskubał jak gołębia, co? Więc ty wierzysz tym wszystkim bredniom ja-

kie plotą księża? Czy to dla tego takeś mi odpowiedział, że się spodziewasz dostać do raju?

— A naturalnie, — odpowiedział dobrodusznie Marcin.

— Ha! ha! ha!—zaśmiał się nieznajomy po raz drugi—oni wszyscy są do siebie podobni! myślą że raj to jakieś miejsce uciech!... Ja tam byłem mój drogi i nie mogłem wytrzymać: dają ci naprzykład na obiad samego powietrza i światła; wina ani znaleźć, o szynce nie wiedzą czy egzystuje. A przeciwnie jeśli twa dusza zechce pójść ze mną, po śmierci twojego ciała, to obiecuję jej uciechy bez granic; pałac w którym mieszkam jest cały z marmuru, i stoi nad jeziorem na którem co noc wyprawiam uczty; w mojem państwie z jednego festynu przechodzi się w drugi; dusza u mnie nie jest tchem, a przeciwnie obleczona jest w ciało; odmłodzony kochanek odnajduje swoją kochankę—dziewicą... No, chcesz?

Marcin schylił głowę jak by się już czuł zwyciężonym.

— Czy chcesz—dodał nieznajomy—aby tu na ziemi wszystkie drogi były ci otwarte, aby twoje imię było sławnem a twe serce znało miłość? Czy chcesz stanąć wyżej od twojego majstra, i posiadać wiedzę złego i dobrego?

— Pod jednym warunkiem,—odpowiedział Marcin głosem drżącym; moja dusza będzie twoją, jeśli

raz w życiu chociaż, z własnej winy, opuszczę mszę niedzielną.

— Niech i tak będzie, widzisz, ja jestem dobrym djabłem. Podpisz się tu na tym skrypcie.

I djabeł rozłożył pargamin, a że było ciemno, dmuchnął na swoje palce, i te zapaliły się natychmiast jak świece.

Marcin, który godzinę jeszcze temu wcale pisać nie umiał, w tej samej chwili posiadłszy tę naukę, podpisał się. Wówczas pięć palcy djabła zgasło, a on sam zniknął.

Marcinowi się zdawało, że przebył jakiś brzydki sen; w uszach mu dzwoniło, w głowie czuł ołów, oddech miał ciężki, a nóg nie mógł wyprostować. Ale to nie był sen, bo dukaty miał rzeczywiście w kieszeni. Wstał i podszedł do bramy. Na dźwięk złota głos z za bramy odpowiedział: „zaraz“ i w parę chwil potem młody terminator był już w Wiedniu, a po kwandransie był już w swojem łóżku, u majstra, dokąd się dostał, nie obudziwszy nikogo.

Nazajutrz rano, ślusarz nie robił mu żadnych wymówek, widział bowiem na własne oczy jak Marcin powrócił do domu jeszcze przed wieczorem, jak potem jadł ze wszystkimi razem kolacyę i nareszcie spać się położył.

Taką była sztuka nieznajomego.

We dwa dni potem, ten sam nieznajomy wszedł do kuźni majstra Erharda, głosząc, że jest szlachcicem dworu.

— Polecono mi obstalować u was — rzekł— obręcz żelazną zamykaną na kłótkę, którejby żadna siła ludzka otworzyć nie mogła.

— To czego pan odemnie żąda,—odpowiedział Erhard,—potrzebuje namysłu; jest to robota trudna, bardzo trudna... zamek którego by żadna siła nie zdołała otworzyć!... To trudne...

— Ale ja takiego zamku potrzebuję.

— Czy panu pilno?

— Bardzo pilno.

— W takim razie, ja nie mogę się podjąć tej roboty; potrzebowałbym na to dużo czasu; bo to wymaga i namysłu i kombinacyi...

— Oh! majstrze Marbacher, i ty mi to mówisz! Założę się, że który z twoich czeladników zrobi to czego ty nie potrafisz.

Na te słowa, Erchard aż zzieleniał, a nieznajomy, którego kozia bródka wciąż się ruszała, zwrócił się do czeladzi:

— Czy pomiędzy wami —zapytał— nie ma nikogo co by się podjął ukuć zamek któryby żadna siła ludzka nie zdołała otworzyć?

W kużni zapanowało grobowe milczenie.

— Nikt z pomiędzy was nie ma odwagi odpowiedzieć?—zapytał nieznajomy.

Marcin widząc że wszyscy cicho siedzą, wysunął się śmiało naprzód i rzekł pewnym głosem:

— Ja się tej roboty podejmuję!

Marbacherowi się zdało że się ziemia wywraca.

— Ty, ty, Marcinie! ty, najmłodszy z moich terminatorów, chcesz zrobić to czego zrobić nie może sam majster Erhard! ja na to nie pozwalam...

— A ja ci rozkazuję abyś zrobił—rzekł nieznajomy tonem tak imponującym, że Marbacher schylił głowę i odszedł nic już nie mówiąc:

— Wrócę za sześć dni,—dodał nieznajomy;—majster Erhard dopilnuje aby robota była gotową.

Marcin wziął się tego jeszcze wieczora do pracy; świtało już, a on wciąż nachylony nad deską drewnianą, szukał, kombinował, tworzył, rysował sprężyny i zatrzaski różnego rodzaju i kształtu; chciał coś wynaleźć czego jeszcze nie wynaleziono,—ale niestety, szukał napróżno, to co kreślił na swojej desce, podobne było do nitek zaplątanego motka. Przeszedł w ten sposób dzień cały, nadszedł wieczór; znów noc. Majster Erhard już się był uspokoił i kładąc się spać, mruknął; „Nie uda mu się!“

Około godziny drugiej rano, młody terminator znużony zasnął na krzesełku; po niejakiej chwili śniło mu się że się przechadza po wielkim jakimś zamku nad brzegiem morza Adryatyckiego; zamek ten należał do pewnego rozbójnika morskiego, który zebrał w jednej z sal wszystkie kłódki i zamki pałaców które był w swoim życiu złupił; były tam zawieszone na ścianach, tworząc fantastyczne arabeski, zamki weneckie, neapolitańskie, tureckie, hiszpań-

skie, francuzkie; Marcin nie mógł wyjść z podziwu na widok tych sprężyn które za jednym pociśnięciem palca, otwierały się jakby paszczęki gadów, zaciskały jak szpony drapieżnego ptaka. Był zwłaszcza jeden zamek który był podobny do pająka i którego mechanizm był prawie taki sam jak w zegarku.

Kartka z napisem, objaśniała, że Otton von Heslau, kazał ten zamek zrobić jakiemuś czarodziejowi, i zamykał nim drzwi wieży w której przesiadywała jego niewierna małżonka.

Kluczyk do tej kłódki był prawdziwym klejnocikiem, wyżynanym jak koronka. Marcin zdjął z tego zamka rysunek, i gdy już miał plan na papierze, nagle podłoga się pod nim obsunęła i spadł. To go zbudziło. Słońce zapełniało cały jego pokój; podniósł się i ku wielkiemu zdziwieniu spostrzegł obok swojego łóżka na stołku rysunek cudownego zamku który mu się zdawało, że rysował tylko we śnie.

Potarł ręką czoło aby się przekonać czy jest na jawie; potem wziął z sobą rysunek i wszedł do kóźni gdzie zabrał się natychmiast do roboty; odrobienie kłódki było już bagatelą. We trzy dni nieznajomy szlachcic zjawił się u majstra Erharda i spytał ironicznym tonem gdzie jest Marcin i jego zamek.

Marcin zbliżył się na te słowa i podał swoją obręcz z kłódką. Nieznajomy otworzył ją naprzód

małym kluczykiem, poczem próbował wszystkich wytrychów jakie tylko u ślusarza były, ale żaden zamka nie mógł otworzyć; proba wypadła swietnie: był to tryumf dla Marcina, który naprawdę stworzył arcydzieło.

— Doskonale!—zawołał nieznajomy; i odwracając się do Marbachera i jego uczni, rzekł wskazując na Marcina:—Udało mu się, dzięki jego pracy i wytrwałości; ja za to daję mu worek złota; a ty majstrze Erhardzie co mu dasz?

— Tytuł towarzysza i wolność!—odpowiedział ślusarz ponurym głosem, trzęsąc się cały z gniewu i zawiści.

Nieznajomy wbił obręcz na pień drzewa jaki stał na placu „Targu końskiego,“ zamknął sam kłódkę i zabierając z sobą klucz, już się więcej nie pokazał.

W kilka dni potem Marcin pojechał do Nuremberga, gdzie wszedł do warsztatu majstra Veita, z którym razem wykonał nagrobek dla Ś-go Sebalda; nagrobek ten stanowi artystyczną relikwię miasta.

Marcin Mux dokonał także kilka znakomitych robót w Augsburgu, poczem wrócił do Wiednia, w chwili kiedy rada miejska obiecywała tytuł i prerogatywy majstra temu ze ślusarzy, który dorobi klucz do kłódki jaka zamykała obręcz na pniu z placu „Końskiego targu,“ który to pień przezwano „pniem żelaznym.“ Kilku już próbowało, ale nadaremnie.

Marcin, który doskonale miał w pamięci kształty owego klucza, który zresztą sam był ukuł, zrobił w kilka dni zupełnie taki sam.

W dniu oznaczonym na próbę, otoczyli pień: burmistrz, radcowie miasta w galowych mundurach, korporacya ślusarzy i kowali z banderą rozwiniętą, i niezliczone tłumy ciekawych.

Marcin ukłoniwszy się burmistrzowi i majstrom korporacyj, zbliżył się do pnia, wyjął z kieszeni mały kluczyk, pokazał go obecnym, i włożywszy go w zamek, nacisnął kłódkę, bo już była zardzewiała, i w tej samej chwili kłódka się otworzyła, a obręcz upadła na ziemię.

Tłum uderzył w dłonie wydając głośne okrzyki.

Ślusarze uradowani i dumni ze zwycięztwa Marcina, podnieśli w górę młoty, i tańcząc w koło, wbili każdy z kolei gwóźdź w pień, na wieczną pamiątkę dnia tego.

Marcinowi nadano natychmiast stopień i godność majstra: burmistrz kładąc mu szpadę na głowę, dał mu swoje błogosławieństwo, dziekan ślusarzy i kowali uścisnął go trzy razy za rękę, a czterech towarzyszów wzięło go na ramiona by go w tryumfie odnieść do domu.

Marcin założył w Wiedniu warsztat, i sława jego wzrastała z dniem każdym; jego to roboty są kraty żelazne na chórze wiedeńskiej katedry: opowiadają, że gdy się pokazało iż kraty nie dochodzą do muru,

rozciągnął je rękami; u niego żelazo miękło w dłoni jak wosk.

Przecież tajemny układ jaki zawarł z djabłem, mocno go martwił; w niedzielę i święta słuchał nie jednej ale dwie i trzy nieraz mszy; w nocy nie mógł sypiać, bo wiecznie miał w pamięci fatalną konwencyę z szatanem. Stara jego matka często słyszała jak się niespokojnie w łóżku obracał, ciężko wzdychając.

Posiadał bogactwa, sławę, miał wszystko co w oczach ludzkich stanowi szczęście, a jednak szczęśliwym nie był.

— Eh! — rzekł sobie raz w duchu, powracając z uczty, — po co ja się martwię i gryzę bezustannie? Co tam, pal wszystko djabli! Będę żył i używał, a potem niech co chce będzie!

I Marcin co wieczór biegł do knajpy gdzie noc całą przepędzał przy butelce i kartach.

Pewnej soboty, mając pilną robotę do skończenia, przybył na partyę później niż zwykle i chcąc czas stracony wynagrodzić, oddał się jak szalony hazardownej grze. Grał tak noc całą; gdy dzień zaświtał, oberżysta pootwierał drzwi i okna: słońce oblało jarzącem światłem graczy, ale oni nic nie widzieli, nic nie słyszeli; każdy z nich był jakby przykuty do stołka, ręce ich tylko drżąc konwulsyjnie przebierały w kartach i złocie.

— Ha! ha!—zawołał gospodarz knajpy, wystrojony świątecznie, wchodząc do pokoju gdzie siedzieli gracze,—ha! ha! widzę że nie źle idzie! Bo doprawdy, z kartami to jak z polowaniem; wiemy kiedy się zaczyna, ale nie wiemy kiedy się skończy! Gdy się raz pojedzie to się i jedzie!

Wypowiedziawszy jeszcze z parę podobnych sentencyj, czcigodny oberżysta nachylił się do zielonego stolika, z tą dobroduszną miną tych co lubią buteleczkę i zażywają tabakę i rzekł dość głośno aby go dosłyszano, tak jednak by się nikt nie obraził:

— Ho! ho! dobrze idzie! ale szanowni panowie, nie róbcie tyle wrzawy... bo to już nabożeństwo się zaczęło, a nasz burmistrz wraz z latami staje się coraz surowszym...

— Nabożeństwo już się zaczęło!—powtórył Marcin blady, wypuszczając z rąk karty.

— A, no, już przecie czas... Już dawno jak dziewiąta wybiła... Marcin powstał chwiejąc się; nie mówiąc ni słowa i opierając się o stoły i ścianę wyszedł.

Partnerzy jego zdumieni, popatrzyli za nim kiwając litościwie głową i szepnęli: „Biedny, zwaryował!“

Wyszedłszy z oberży, pierwszą osobą którą Marcin spostrzegł, był nieznajomy szlachcic, którego nie widział od czasu jak opuścił majstra Erharda. Szlachcic, a raczej djabeł, przechadzał, się mia-

rowym krokiem po ulicy, kręcąc wąsem, mając kapelusz na bakier i trzymając rękę na rękojeści szpady której koniec wyglądał mu z pod płaszcza; przytem uśmiechał się sardonicznie a oczy błyszczały mu ogniem siarki i fosforu.

— Za późno! — zawołał głosem który w uszach Marcina zadźwięczał jak dzwonek pogrzebowy. — Za późno!

Ale Marcin na widok tego złego ducha którego aż nadto dobrze znał, pobiegł co mu sił i tchu starczyło, w kierunku kościoła Minoritów, gdzie jeszcze o jedenastej godzinie odprawiano zwykle mszę.

Djabeł pobiegł za nim.

Marcin dobiegł do kościoła, bez tchu prawie i jednym skokiem przebywszy schody peronu, znalazł się we wnętrzu świątyni: w tej samej chwili, ksiądz zwracając się do wiernych wymówił słowa: *Ite missa est.*

— Och! mój Boże, zlituj się nademną! — zawołał Marcin, i w tej samej chwili padł bez zmysłów, na kamienną posadzkę.

Podniesiono go i zaniesiono do matki; ciało jego było już zupełnie czarne; gdy wyzionął ducha, wybuchnął mu z ust kłęb dymu.

Marcina pochowano z wielką ceremonią na cmentarzu katedralnym; tego zaś samego wieczoru, o godzinie w której zwykł on był chodzić do swojej knaj-

py, zebrani tam gracze usłyszeli modlący się głos który wołał: „Kupcie mi mszę! jedną mszą!“

Począwszy od tego dnia, nastał zwyczaj, aby każdy towarzysz ślusarski który przybywał do Wiednia lub miasto opuszczał, wbił gwóźdź w „pień żelazny,“ odmawiając przytem „Ojcze nasz“ za spokój duszy nieszczęśliwego majstra Marcina.

VIII.

Piękne dni zimowe.—Mistrz Pilgram.—Legenda Katedry.—Wieża.—Dzwony.—Strażnicy.—Platforma —Ławka Starmberga.—Monarchia Austro-Węgierska, widziana w przelocie.

W Wiedniu również jak i w Paryżu, zimę często przeplatają piękne dni wiosenne. Miasto podobne jest wówczas do pokoju dziewicy, który oświetlają promienie słońca. Dla mieszkańców, dnie takie są uroczystością, to też każdy wychodzi wnet na spacer. Powietrze jest przepyszne, czuje się że natura zadrga niezadługo nowem życiem. Ciało jest lżejsze, dusza więcej poetyczna: jest się pod wpływem siły attrakcyjnej nieba.

Dzieliłem się właśnie temi wrażeniami z przyjacielem z którym spacerowałem po Grabenie. „Ah, jeżeli się pan czujesz dzisiaj tak lekkim, to skorzystajmy z tego by zdobyć wieżę Ś-go Szczepana; wi-

dok z tamtąd jest przepyszny; w drodzę opowiem panu historyę mistrza Pilgrama.“

— A to idźmy natychmiast, — odpowiedziałem zwracając się w stronę katedry.

Opatrzywszy się we dwie karty wejścia, weszliśmy na kręcone schody, po lewej ręce; z początku zdawało się nam że jesteśmy w jakim kominie, ale niezadługo ujrzeliśmy nieco światła przez małe okienko których jest w tej wieży kilkanaście. Co piętro, znajdują się małe drzwiczki wychodzące na galeryę okalającą budynek, jak kamienna fryza.

Aby odetchnąć zatrzymaliśmy się na jednym z takich balkonów: był on już na wysokości dachów okolicznych domów.

— Może mi pan teraz opowiesz — rzekłem do mego towarzysza, — historyę obiecaną.

— Mistrz Pilgram, — zaczął mój towarzysz, — budowniczy tej wierzy, był jednym z tych genialnych artystów jakich posiadały tylko, Kolonia, Strasburg, Ulm. Jego to cudownego dłuta są rzeźby na ambonie katedry. Czyś pan zauważył głowę po nad oknem? To siebie samego tam Pilgram umieścił.

Otóż stary mistrz miał córkę, piękną i czystą dziewicę, — Cecylię, którą pokochał jeden z jego uczniów, tak jakto w owe czasy kochano, a jeszcze i teraz niekiedy, gdy się ma dwadzieścia lat. Twarzom aniołów które wyrzeźbił na portyku głównym, Pilgram nadał rysy swojej córki.

Gdy stary mistrz skończył już jedną wieżę, wszedł pewnego ranka do jego pracowni, uczeń.

— Mistrzu — rzekł głosem wzruszonym, — ja Kocham Cecylię, córkę twoją, i zdaje mi się że i ona mnie kocha.

Pilgram zmarszczył brwi z niezadowolnienia.

— Przychodzę mistrzu, — mówił dalej uczeń — błagać cię o jej rękę.

Po ustach Pilgrama przeleciał uśmiech pełen pogardy; skrzyżowawszy ręce na piersiach, wyprostował się dumnie i rzekł do ucznia:

— Ja sądzę że ty chyba żartujesz. Czemże ty jesteś abyś śmiał podnieść oczy na córkę mistrza Pilgrama? Czy masz majątek, czy masz reputacyę?..

— Reputacyę zdobędę, a ta poprowadzi mnie do majątku, — odpowiedział żywo uczeń.

— Zdobędziesz reputacyę! Jak ci się to łatwem wydaje! I czemże ją sobie zdobędziesz?

— Mistrzu, zdobędę ją tem czem tyś ją zdobył: odwagą, wytrwałością, ambicyą!

— A jeśli oprócz ambicyi ty nic więcej nie posiadasz?

— Weź mnie szanowny mistrzu na próbę — odpowiedział Puxbaum, tak się uczeń nazywał, — i powiedz za jaką cenę otrzymam rękę ukochanej twej córki; zobaczysz co potrafię.

— Zbuduj drugą wieżę dla katedry, a Cecylia będzie twoją, — rzekł Pilgram tonem ironicznym i odwrócił się pogardliwie od ucznia.

— Dobrze mistrzu! — zawołał Puxbaum rozegzaltowany.—dobrze; ta druga wieża która przedstawia tyle trudności, zobaczysz ją jak powstanie dzięki mej woli i inteligencyi! Wieża ta będzie mojem dziełem, i będzie również piękna i wzniosła jak jej siostrzyca którąś ty sam zbudował.

Pilgram odwrócił się nieco, i spojrzał na swego ucznia tak jak się spogląda na warjatów.

— Mam twoje słowo, — dodał spokojnie Puxbaum; — i to słowo człowieka honoru wystarcza mi. Przy dziele poznasz pracownika.

Nazajutrz Pilgram został wezwany do ratusza aby tam otrzymać zapłatę za swoją pracę. Zastał burmistrza i radców gminy zebranych solennie i w ceremonialnych mundurach, również jak i majstrów korporacyj. Ofiarowano mu od cesarza łańcuch złoty i wyliczono nowemi zupełnie dukatami, dwa razy taką summę jaką mu się należała za wykończenie pierwszej wieży.

— Powierzamy ci również — rzekł doń burmistrz — i budowę drugiej wieży.

Pilgram przypomniał sobie obietnicę daną Puxbaumowi i zbladł; ale przezwyciężając wzruszenie, odpowiedział spokojnie:

— Jestem zmuszony, moi panowie, uchylić się od tego zaszczytu; jeden z moich uczni, za waszą zgodą podejmie się tej pracy.

Odpowiedź ta wywołała ogólne zdziwienie.

— Któż jest owym uczniem, o tak wczesnym geniuszu? — zapytał burmistrz.

— Puxbaum, do waszych usług panowie,—rzekł Pilgram pochylając się z wielkim trudem; piersi przygniatał mu jakiś ciężar. Imię które wymienił, było już dla niego nienawistnem.

Pilgram miał jeszcze drugiego ucznia,—Herdera, który również jak i Puxbaum wzdychał do ręki córki starego mistrza; ale Herder był o dwadzieścia lat starszym od Puxbauma i miał charakter tak brzydki i zawistny że brzydoty te moralne odbijając się na jego twarzy, czyniły zeń odrażającego człowieka.

Kiedy się dowiedział że sam Pilgram polecił Puxbaumowi budowę drugiej wieży, poprzysiągł swojemu rywalowi śmiertelną zemstę. Puxbaum nie troszcząc się bynajmniej o groźby swojego nieprzyjaciela, wziął się odważnie do roboty i wkrótce wieża zaczęła się wyłaniać z fundamentów, rosnąc jak krzew winny, na wiosnę; wiedeńczycy cieszyli się z pracy młodego budowniczego i okazywali mu wiele sympatyj i szacunku.

W miarę jak się wieża wznosiła, ta wieża która także powinna była nosić jego imię,—mistrz Pilgram starzał się i stał się ponury i milczący. Po całych

tygodniach siedział zamknięty nie widząc się z nikim, kilka razy, wieczorem, gdy miasto całe było uśpione, otwierał potajemnie okno od swego pokoju, i przypatrywał się całemi godzinami, zawistnem okiem, pracy ucznia; druga wieża zapowiadała że będzie piękniejszą i wznioślejszą od pierwszej.

Wreszcie Pilgram zachorował i niedługo potem znaleziono go w łóżku bez życia. Zawiść go zabiła.

Herder skorzystał z tej okoliczności by rozpuścić wieść że Puxbaum zawarł z djabłem umowę i że dzięki temu, robota mu szła tak pomyślnie; jego również oskarżył o śmierć mistrza.

Pogrzeb starego mistrza, odbył się z przepychem prawdziwie królewskim; pochowano go o zmroku, przy świetle pochodni, na cmentarzu katedralnym. W dźwięku dzwonów wieży, czuć było skargę żalu po zmarłym.

Tłum już się był oddawna rozproszył i noc zapadła; na cmentarzu pozostał jeden tylko człowiek: stał on nad mogiłą nieruchomy, niemy jak posąg.

Człowiekiem tym był Puxbaum; patrzał na swoją wieżę z całem wytężeniem wzroku i myśli. Wieża jakkolwiek sięgała dopiero trzeciej części zamierzonej wysokości, twórca jej jednak widział ją już zupełnie wykończoną; widział jak się wzbijała pod niebiosa, — jak jej koronkowy szczyt rysował się na ciemnem tle nieba zasianego miliardem gwiazd.

Nagle wzniósł ręce do góry z wyrazem zadziwienia; spostrzegł cień jakiś wspinający się ze zręcznością chłopca okrętowego, wzdłuż wieży po drabinach rusztowania. Puxbaum zawołał; cień który już dosięgał ostatniej platformy, nie odpowiedział mu.

Młody budowniczy sądząc że to był jaki złoczyńca, pobiegł do rusztowania i sam także zaczął się piąć po drabinach. Kiedy już był na ostatniej, zobaczył wyraźnie jakiegoś człowieka który także go spostrzegłszy, posunął się ku niemu. Nieznajomy twarz miał w cieniu.

— Kto idzie? — zawołał Puxbaum wskakując na platformę.

Nieznajomy szedł dalej naprzód w milczeniu.

— Co tu robisz? — krzyknął Puxbaum już groźnie tym razem.

— Przechadzam się,—odpowiedział nieznajomy.

Puxbaum poznał głos Herdera, swojego rywala i nieprzyjaciela.

— Tu nie miejsce ani godzina do przechadzki! — rzekł.

— A jeśli mi się to podoba...

— Ale mnie się nie podoba.

— To mi wszystko jedno.

— Wieża ta jest moją, rozkazuję ci zejść natychmiast.

— Chyba po tobie! — wrzasnął przeraźliwie Herder rzucając się na Puxbauma z zamiarem obale-

nia go: ale młody budowniczy miał jeszcze dość czasu aby go chwycić za gardło, i obaj skrępowawszy się nawzajem uściśnięciem ramion, potoczyli się na bok, stracili równowagę i padli w próżnię.

Była to straszna chwila.

W powietrzu, lecąc na dół, Puxbaum wypuścił z rąk swoich wroga, chwycił w przelocie za wystającą z muru belkę i wytężywszy wszystkie siły przyczepił się do tej deski ratunku. Co do Herdera, to nim dotknął kamieni brukowych, wydał tak okropny krzyk że go całe miasto usłyszało; w jednem mgnieniu oka, pootwierały się wszystkie okna i drzwi domów sąsiednich i przerażeni mieszkańcy, wybiegłszy na ulicę w nocnych kostiumach, znaleźli u stóp wieży zmiażdżonego trupa. Głowę miał strzaskaną; nikt go nie poznał.

— To pewnie Puxbaum, budowniczy,—szeptano dokoła. -- Djabeł go musiał zrucić ze szczytu wieży.

W tej samej chwili, Puxbaum który się cudem od śmierci uratował, pokazał się tłumowi. Na jego widok wszyscy zrobili znak krzyża świętego i uciekli.

Teraz więcej niżli kiedykolwiek, wiedeńczycy uwierzyli że młody budowniczy zaprzedał się djabłu; to też od tej chwili zaczęto go unikać. Naokoło Puxbauma zrobiła się próżnia. Kiedy go kto spotykał na ulicy, zawracał się natychmiast, bojąc się jego spojrzenia. Nakoniec, robotnicy nie chcieli już dłużej pracować pod nim; Puxbaumowi groziło to

wszystko nawet procesem o czary i konszachty ze złym duchem. Opuścił on Wiedeń. Z torbą podróżną na plecach, kijem w ręku, poszedł pożegnać się z Cecylią, młoda dziewczyna zalewając się łzami, przysięgła że mu pozostanie wierną.

Ale od tego czasu, nikt już nic nie słyszał o mistrzu Puxbaumie, i Cecylia umarła, a druga wieża katedry pozostała nieskończoną.

Teraz kiedy już pan zna legendę wiedeńskiej katedry, i skorośmy już odpoczęli, idźmy dalej.

*
* *

Oto jesteśmy w *klatce* dzwonów: ten gruby dzwon nazywa się „Józefiną“ przez pamięć dla Józefa I-go pod którego panowaniem odlano go. Dzwon ten po raz pierwszy się odezwał dnia 26 lutego 1712 roku, kiedy Karol VI powracał ze swojej koronacyi z Frankfurtu. Głos jego jest tak potężny, że go słychać aż w Styryi; lud go przezwał *Pummerinem.*

Przebywszy jeszcze z pięćdziesiąt stopni schodów, doszliśmy do kabiny strażaków; noszą oni mundur prawie taki sam jak i żołnierze piechoty. Zadaniem ich jest dać sygnał w razie pożaru; skoro dostrzegą kłęby dymu lub płomień, kierują w kierunku miejsca wypadku ruchomą lunetę; kierunek lunety wskazuje numer który połączony jest znów z numerem regestru oznaczającym już dokładnie ulicę i numer domu

palącego się. Na Hofie jest centralna straż ogniowa; ztamtąd otrzymawszy telegrafem ostrzeżenie, wyjeżdżają natychmiast strażacy na miejsce zagrożone.

Tego sprytnego wynalazku dokonał profesor Littrow w roku 1867—1868.

Dawniej strażnik ostrzegał o ogniu dając sygnał ogromną trąbą.

Ale idźmy dalej, mamy jeszcze ze trzydzieści stopni do wyższej platformy. Na tej ławce którą widzimy po prawej ręce, siadywał hrabia Starmberg, podczas oblężenia Wiednia, dla obserwowania turków; ale szły tygodnie i miesiące a pomoc nie nadchodziła; tymczasem turcy zniszczyli już część miasta, a prawie wszystkie fosy dokoła fortyfikacyj były zawalone.

Dzielny garnizon wiedeński stał dniem i nocą na reducie; miała już wybić niebawem godzina katastrofy. Starmberg wysłał jeszcze jednego kuryera, polaka, o którym już mówiliśmy; ten wrócił 17 września z dobremi wiadomościami. Całą noc następną, energiczny komendant spędził na tej ławce, wpatrując się w dal. Ale wszystko było spokojne, jak zwykle; namioty tureckie podobne były do olbrzymiego pola pokrytego śniegiem.

Z bastyonu Burgu, który już był w rękach tureckich od 3-go września, słychać było głos szyldwachów tureckich. Nareszcie słońce się pokazało; Starmberg wyprostował się, spojrzał jeszcze raz, i na-

gle podnosząc w górę swój miecz, wydał radosny okrzyk i upadł na kolana z modlitwą dziękczynną na ustach. Zbiegł natychmiast na dół, dopadł wojska i wołając: „Naprzód! jesteśmy zbawieni!“ stanął na czele pierwszego oddziału.

Z wysokości wieży ujrzał chorągwie i sztandary wojska chrześciańskiego, które wyszedłszy z poza pagórka, spadło jak nawałnica na obóz turecki.

Stamberg dostał się na plac boju w chwili kiedy spahisowie i janczary rzucali się w nieporządku na redutę pomiędzy Weinhart i Gersthof; usłyszawszy odgłos muzyki i bębnów piechoty austryackiej, na turków spadła taka panika, że poszli w rosypkę; rzucając broń i bagaże.

Z wysokości tej wieży, wiedeńczycy patrzyli jak na ich stolicę maszerowali francuzi; przypatrywali się bitwie pod Essling i widzieli potem jak po trzydziestogodzinnej walce, armia Napoleona przebyła w pław Dunaj.

Gwar miasta wydaje się być na tak znacznej wysokości, szumem wód morskich, same miasto morzem a wysokie kominy fabryk wyglądają jak statki na kotwicach. Sama zaś katedra panuje nad tem wszystkiem jak olbrzymia skała.

Szukając brzegów tego morza, oko przechodzi na północ po równinach Węgier, i gubi się na szczytach galicyjskich Karpat.

Pagórki pokryte winogradem, których stopy kąpią się w Dunaju, natchnęły nie jednego poetę; jeden z nich wyrzekł te piękne słowa: „za całą nagrodę, włóżcie na mą skroń wieniec uwity z liścia winnego, którego kraj madziarów jest ojczyzną. Krzak winny i poeta jednakie mają losy: oboje dają światu swoją duszę, wino i śpiew.“

Nad Dunajem rozpoczęła się formacya narodów; wzdłuż brzegu Dunaju ciągnęły niegdyś hordy barbaryzmu; dzisiaj po tym że samym Dunaju płynie światło cywilizacyi; kto będzie panem tej rzeki, panem będzie i całego Wschodu.

Węgry są ziemią niepodległości; ich stepy są obrazem wolności; to kraj bohaterów, kraj serc szlachetnych i wspaniałych, tam jest wielkość i entuzyazm. Rasa węgierska jest pyszną, pełną energii, zapału bojowego i rycerskich popędów. Węgry chełpią się swoją dawną swobodą i przywilejami.

Galicya jest również pięknym i szlachetnym krajem; są tam piękne wody błękitne drzemiące w głębi czarnych dolin, dzikie góry pokryte śniegiem i niebotycznemi sosnami, któremi wstrząsa wicher i gdzie niedźwiedź szuka schronienia przed gonitwą myśliwych: Klimat jest tam ostry ale ziemia płodna. Rozrzucona po dworach żyje liczna szlachta, zachowawszy po przodkach w spóściźnie i wady i ich przymioty. Życie płynie tam potokiem: jest to ostatnie może schronienie w świecie cywilizowanym świata

średnich wieków; Świat ten atoli już tam umiera, ale przed zgonem wieńczą go jeszcze różami.

Na wschód rozciągają się Czechy, kraj surowy, pracowity, oddany rolnictwu, handlowi i przemysłowi. Pośród pól należycie uprawianych żyje w dobrobycie ludność spokojna, pracowita i uczciwa. Czechy są dla Austryi kasą. W tym kraju gdzie życie okupić musi ciężka praca, charaktery są silne; nienawiści religijne i polityczne gwałtowne. Jan Zyszka, chociaż był ślepem, kazał sobie przyprowadzić księdza katolickiego pojmanego w Kolinii i sam go uderzeniem maczugi zabił. Umierając, głośny wódz husytów rozkazał aby po jego śmierci ściągnięto zeń skórę i pokryto nią bęben aby tegoż odgłosy „prowadziły ich jeszcze do zwycięzkich walk.“ Żołnierze Hussa to ludzie bez serca, to dzikie zwierzęta; pochodowi ich towarzyszyły mordy i rozpalone pochodnie. Gdzie oni przeszli płynęły strumienie krwi i dymiły się zgliszcza. Starcy, dzieci, kobiety padały pod ciosami ich cepów, wideł i drągów żelaznych.

Potęgę polityczną Czech, paraliżuje obecnie wpływ żywiołu niemieckiego i węgierskiego. Deputowani czescy nie zasiadają w parlamencie austryackim.

Dziś zaczyna się tam objawiać nowe życie: Na uniwersytecie w Pradze, owej kolebce panslawizmu, poczyna się rodzić jutrzenka czeskiej literatury.

Jeżeli się teraz odwrócimy na południe, to zobaczymy pośród jasnej mgły rzeźbione szczyty gór styryjskich, po za któremi Alpy Tyrolu tworzą jakby wałowy mur. Po pastwiskach styryjskich ciągną niezliczone stada przepysznego bydła; są tam i bogate pokłady żelaza, miedzi i ołowiu. W zimie Styrya zamienia się w Syberyę; latem, to drugie Włochy.

Tyrol! — Któż nie zna Tyrolu, tej Bretanii austryackiej? To naród dzielny, dumny, swobodny, to ojczyzna żołnierzy i myśliwych. Szczyty tej starej i bohaterskiej ziemi są pełne czaru. Czy jest co przyjemniejszego nad te poetyczne ballady, kiedy wychodzą wieczorem z uśmiechniętych koralem ust młodych dziewczyn?

W południowym Tyrolu, gdzie chodują jedwabniki, zapach pomarańcz przychodzi z Włoch niesiony wiatrem wieczornym.

Czyż nie piękny przedstawia widok Austrya widziana tak w przelocie!

IX.

Żołnierze austryaccy na mustrze. — Epizody z bitwy pod Solferino i Koeniggraetz. — Austrya jest monarchią militarną. — Armia cesarska. — Reformy po roku 1866 r. — Wizyta u generała Uchatiusa w arsenale wiedeńskim.

Dzień był za nadto piękny aby go można było spędzić w mieście; skorośmy tylko weszli na plac

Ś-go Stefana, skierowaliśmy się ku Stadtparkowi, gdzie z wysokości wieży widzieliśmy tłumy spacerujących. Wychodząc z ulicy Wollzeil, spostrzega się na lewo ogromne koszary pomalowane na czerwono, w stylu anglo-saksońskim; mury wyrzynane z wieżyczkami na rogach, dają temu budynkowi pozór małej forteczki. Kiedyś był on nawet otoczony fosami i posiadał most zwodzony. Na obszernym placu ogrodzonym baryerami; odbywają żołnierze od rana do nocy ćwiczenia.

Zatrzymaliśmy się by popatrzyć. Widziałem jak się mustrowali francuzi, widziałem na placu parady i niemców, przyznać jednak muszę że rekruci austryaccy stosunkowo najlepiej odbywają manewra.

Żołnierz austryacki jest doskonałym materyałem jest przytem bardzo bitny, we wszystkich porażkach i przegranych bataljach, ratował zawsze honor armii. Opatrzony w nieszczególne karabiny, bił się z prusakami po bohatersku. Węgier z kijem by nawet poszedł na armaty, a wołochy z Transylwanii bili się już nieraz kamieniami: Pod Solferino np. pułk barona Culoza nie miał już ani jednego naboju, uzbroił się więc w kamienie; Szwajcarzy odpierając atak francuzów w Saint-Jacques, tak samo się bronili. Pod Koeniggraetz, jedna dywizja nie mająca już czem strzelać, rzuciła się na bagnety i wpadła w kadre pruskich kirasierów których rozbiła ze szczętem. „Panowie, rzekł po tej bitwie pruski generał Stein-

metz do korespondentów gazet wiedeńskich, zebranych w karczmie,—panowie, kiedy wasza armia powróci, to nie róbcie jej wymówek. Mieliśmy przed sobą dzielnego nieprzyjaciela, który nas przez całe trzy godziny bił niemiłosiernie. Byliśmy już prawie zębami, gdy na raz, wasze lewe skrzydło popełniło w ruchach błąd, który nam wskazał waszą słabą stronę; uderzyliśmy tam i odnieśliśmy zwycięztwo. Muszę wam jeszcze i to powiedzieć, że wasza artylerya daleko nam więcej złego narobiła, niż wam nasze iglicówki.

Jeżeli Prusacy są narodem pod bronią, to Austrya jest militarną monarchią.

Armia jest starszą od monarchii i właściwie nie jest pochodzenia austryackiego: dawniej należała ona do cesarza; żołnierze sami przezwali się wówczas „cesarskimi.“ Armia austryacka wyszła z armii lanckrechtów Maksymiliana, Karola V i Ferdynanda 1-go, a dostarczały jej ludzi, kraje ugrupowane podówczas naokoło Austryi. W szesnastym wieku, armia austryacka składała się przeważnie z najemników włoskich, hiszpańskich, burgundów, kroatów; jądro przecież wojska składali niemcy jak tego dowodzą nazwiska celniejszych z owej epoki dowódzców. W wieku siedemnastym, pomimo wielkiej liczby włochów, polaków i francuzów jacy jeszcze byli w szeregach tej armii „cesarskiej,“ armia austryacka stała się już narodową.

Stara armia cesarska miała swoje przymioty i wady; składały ją żywioły różnorodne; oficerowie różnych narodowości i wykształcenia, byli zupełnie swobodni. Surowa karność pruska nie była tam znaną, za to mięszali się wszyscy do polityki. Każdy pułk miał w Wiedniu swojego reprezentanta i agenta który intrygował przy dworze; oficerowie rozprawiali tylko o swoich prawach a nikt słuchać nie chciał ani też pełnić swoich obowiązków.

Komendanci korpusów działali jak im się podobało, a sam wódz naczelny nie słuchał rozkazów jakie mu z Wiednia nadsyłano. I jakżeż armia tak podzielona, tak słaba, mogła była obronić od śmierci stare germańskie imperyum? Przedewszystkiem brakowało armii cesarskiej, entuzyazmu i inicyatywy, a to z powodu że była w zanadto wielkim dobrobycie. Gdyby Prusy były tak bogate jak Austrya, z pewnością nie pomyślały by o pożarciu swoich sąsiadów. Apetyt polityczny zależy w ogóle w Niemczech, od apetytu żołądkowego.

Od początku bieżącego wieku, Austrya przeszła wiele doświadczeń tak w dziedzinie militarnej jak i politycznej. To co powiedziałem o armii cesarskiej, mogłoby się dać zastosować i do armii austryackiej od roku 1859 do 1866. Dosyć było być szlachcicem aby zostać oficerem. W roku 1850, armia austryacka liczyła pięciu arcyksiążąt, dwóch landgrawów; siedmdziesięciu książąt i ośmdziesięciu sześciu

hrabiów. Po katastrofie czeskiej kampanii, rząd austryacki uznał że reorganizacya armii jest konieczną ale Austrya zrobiła wówczas to samo co Francya w r. 1872: zkopiowała niezdarnie armię pruską. Błąd leży w tem, że w Austryi również jak i we Francyi, żołnierze nie przechodzą wszyscy przez jedną szkołę; są trzy kategorye: półki liniowe w których żołnierz pozostaje przez trzy lata, pułki rezerwy i landwery w których czas trwania służby a raczej mustry wynosi zaledwie parę miesięcy rocznie. W Prusach wszyscy przechodzą przez pułki liniowe; w ten też sposób pruska landwera składa się z żołnierzy prawdziwych dobrze wymustrowanych i karnych.

Armia austro-węgierska na stopie pokoju liczyła w 1875 roku 267,331 ludzi i 46,713 koni; na stopie zaś wojennej 771,556 ludzi i 136,694 koni. Z tych, 274,009, ludzi należy do pułków liniowych a 497,547 do landwery. Liczba rocznych ochotników wynosi 6,037 ludzi.

Budżet wojenny wynosi w Austryi 107,843,119 guldenów; w roku 1877 wydatki, zwiększyły się o 11,971,554 guldenów.

Od roku 1866, sztab główny armii austryackiej przeszedł przez trzy reorganizacye; pomiędzy wyższymi oficerami, baronowie Kuhn i Rodicz, wraz z księciem Albertem, zwycięzcą z pod Kustozzy, są jedni jedyni może którym można powierzyć dowództwo naczelne armii. Obecnie wpływ tak na dworze

jak i w kraju, księcia Alberta, jest ogromny. Generał Kuhn i on nie zawsze są z sobą w zgodzie; pierwszy jest zapamiętałym postępowcem, drugi zaś z trudnością się godzi na nowoczesne wynalazki i innowacye. Ale nikt nie posiada w tak wysokim stopniu bystrości rzutu oka i ducha strategicznego co książe Albert; pośród dymu i huku dział, zdaje on sobie również jasno sprawę z położenia co i na manewrach. Głębokie znajomości geograficzne pozwalają mu prędko bardzo ocenić wartość planów operacyjnych. Dla swoich poddanych, jest on surowym; oficerowie go się boją ale żołnierze za to ubóstwiają, Austrya winna mu jest najpiękniejsze swoje zwycięztwa.

Arcyksiąże Rajner który przed wprowadzeniem prawa o odpowiedzialności ministrów, prezydował gabinetowi, jest dzisiaj naczelnym dowódzcą landwery. Ci co służą pod jego rozkazami, chwalą go bardzo za sprawiedliwość, uczynność i szlachetny charakter. Jest on dobrym żołnierzem i zręcznym administratorem. Arcyksiąże Leopold, szef inżynieryi przeszedł już próby ognia. Arcyksiąże Wilhelm, odziedziczywszy tradycyjną waleczność po książętach Habsburgsko-Lotaryngskich, był niebezpiecznie rannym w roku 1866. Dowodzi on artyleryą.

Ale osobistością będącą obecnie najwiącej na widoku w armii austryackiej, jest generał Uchatius, wynalazca nowej armaty, o której nim jeszcze przemó-

wiła do nieprzyjaciela, wiele gadano. Urodzony w roku 1811, Uchatius mając lat 18 wszedł jako kadet do korpusu artyleryi. W roku 1842 otrzymał pierwszy stopień oficerski; niedługo potem awansował na majora, w roku zaś 1861 został komendantem odlewni w arsenale. W roku 1867 otrzymał nominacyę na generała i prawie zaraz obdarzył go cesarz tytułem kawalera i barona za odkrycie kombinacyi stali i bronzu jako materyału do dział. Uchatius jest uczonym człowiekiem, — nie dla tego że należy do liczby członków Akademii nauk ścisłych— ale że odnalazł po dwudziestoletnich poszukiwaniach i ciężkiej pracy, nowy metal posiadający cudowne własności siły, elastyczności i lekkości. Jedną z głównych zalet tego nowego metalu jest także jego taniość.

Wracając do siebie wieczorem, podano mi właśnie bilet generała Uchatiusa w którym zawiadamiał mnie on że będzie na mnie czekał nazajutrz o godzinie ósmej.

Punktualnie o naznaczonej godzinie stawiłem się w Arsenale. Na korytarzu nie było nikogo; zdecydowałem się nareszcie po chwili oczekiwania i zadzwoniłem do pierwszych lepszych drzwi jakie napotkałem. Drzwi otworzono natychmiast.

— Generał Uchatius zawiadomił mnie że mogę się z nim dzisiaj widzieć, — rzekłem do damy która mi drzwi otworzyła. — Oto mój bilet.

— Pan baron czeka na pana,—odpowiedziała mi dama. — Zechciej pan wejść.

Wprowadzono mnie do pokoju generała który w tej chwili właśnie jadł śniadanie.

Izba ta, z której generał zrobił sobie pokój sypialny, laboratoryum i gabinet, jest nadzwyczajnej prostoty i skromności. Żelazne łóżko pokrywają kotary z surowego płótna, skrojone na model namiotu; mebli oprócz stołów i stołków nie ma żadnych; na ścianach pozawieszane rysunki i fotografie armat. Zdawało mi się żem wszedł do celi zakonnika, a i postać mieszkańca tej celi miała w sobie coś ascetycznego. Na twarzy generała maluje się powaga, oczy są pełne dobroci i słodyczy; po zmarszczkach wysokiego czoła smutnie nachylającego się, znać że to człowiek co dużo cierpiał i walczył. Nim zwyciężył musiał do dna wychylić kielich goryczy.

„Gdybym miał na nowo rozpoczynać, — rzekł do mnie, mówiąc o swoim wynalazku, zbrakło by mi już odwagi.“

W armii wszyscy byli mu przeciwni; dzienniki wiedeńskie które go dzisiaj wynoszą pod niebiosa, wówczas obrzucały go śmiesznością i gorzkiemi słowy ironii. Aby przekonać nawet swoich przyjaciół, musiał przed ich oczami dokonać prób zwycięzkich; potem gdy nareszcie rząd zrobił u niego pierwszy obstalunek, pan Krupp zawołał że go okradziono. Sprawa wytoczyła się przed sądy; generał Uchatius do-

wiódł czarne na białem że armata Kruppa to co innego a co innego także armata Uchatiusa. Najlepszym wreszcie dowodem że wynalazek Uchatiusa jest zupełnie nowy a co najważniejsza, zupełnie dobry, jest ta okoliczność że rząd pruski czyni wszelkie możliwe usiłowania aby sekret jego posiąść. Wszyscy pamiętają niedawny proces jaki trybunały wiedeńskie rozpatrywały przy drzwiach zamkniętych; wierne swoim tradycyom, Prusy przekupiły trzech urzędników z arsenału wiedeńskiego i dzięki zdradzie tych ostatnich, dostały rysunek machin których generał Uchatius używa do odlewania swoich armat. Przy badaniu, prokurator cesarski nie mógł się powstrzymać od zawołania, zwracając się więcej do wojskowego delegata pruskiego niźli do obwinionych: „Więc przyznajecie żeście się zeszli z kapitanem Kellerem, w bramie pewnego domu; zeszliście się jak złodzieje którzy przychodzą dzielić się łupem!“

Dwa lata temu rząd pruski kupił sobie prawie na wagę złota, dwóch najlepszych robotników z odlewni arsenału. Ale nic to nie pomogło: Sekret generała Uchatiusa pozostał dotąd tajemnicą.

Doprawdy, „wierni sprzymierzeńcy“ w dziwny sposób postępują ze swymi „drogimi kuzynami.“ Gdyby to nie było smutne, byłoby co najmniej pocieszne.

Prusy z resztą otoczyły już oddawna Austryę siecią szpiegów. Oto co w tej mierze jeden z austry-

ackich mężów stanu, opowiedział margrabiemu de S..., dawnemu ambasadorowi francuzkiemu: „Wojna przeciwko Austryi zdecydowaną już była w roku 1864, wówczas gdy król Wilehelm przybył do Wiednia, dla złożenia Franciszkowi-Józefowi wizyty. W czerwcu tegoż samego roku, podczas gdy król pruski leczył się w Karlsbadzie, a cesarz austryacki śpieszył pozdrowić swojego gościa, sztab główny pruski zdejmował plany z granic czeskich, i wysyłał swoich oficecerów – szpiegów na różne strony monarchii habsburgskiej. Ci oficerowie zrzuciwszy mundury a przywdziawszy ubranie stosowne do zaimprowizowanych swoich zajęć, jeździli po miastach austryackich jako artyści, profesorowie lub księgarze, wciskali się na wieś jako zarządcy dóbr, rolnicy, lub fotografowie. Skutkiem tych „wycieczek" ministeryum wojny berlińskie, otrzymało plan topograficzny Austryi po sam Wiedeń, daleko lepszy niż ten jaki posiada sam sztab austryacki. Ale co jest jeszcze lepsze, to że zdołano zaopatrzyć się we wszystkie dokumenta i raporta ministeryum wojny austryackiego, a nawet co się wydaje nieprawdopodobnem przejęto znaki cyfrowane za pomocą których jeden korpus z drugim prowadził korespondencyę. W Berlinie znano dokładnie najmniejsze szczegóły organizacyi wojskowej w Austryi: znano wszystkich dowódzców korpusowych, siłę każdego korpusu i w ogóle wszystkie środki jakiemi armia austryacka rozporządzała.

W roku zeszłym miał miejsce fakt o wiele jeszcze lepszy: baron X... należący do wiedeńskiego topograficznego instytutu wojskowego, ofiarował ambasadzie niemieckiej wydać jej nowe plany mobilizacyi austryackiej; pruski wojskowy „attache“ po przejrzeniu ich, zwrócił takowe zdrajcy oświadczając że „posiada już te same plany ale daleko dokładniejsze!“

Ale powróćmy do arsenału: generał zarzucił na ramiona długi ciemny płaszcz i zeszliśmy na dół, do właściwej fortecy. Jest to prawdziwe małe miasteczko; tu słychać oddech ciężki miechów kowalskich, tam sztuk młota, tu przebiegają robotnicy, tam toczą żołnierze na wózkach kawały śpiżu. Na prawo stoi szpital i kościół, na lewo cały szereg domów, domków i budynków wszelkiego rodzaju i kształtu, z których kominów dym się wydobywa bezustannie. Trzy tysiące ludzi mieszka w czterech pawilonach stojących po rogach. Obszar arsenału wynosi milę austryacką powierzchni kwadratowej.

— Dawniej — rzekł generał Uchatius, jeździłem po tych wszystkich dziedzińcach, na welocypedzie, ale gdy się wszyscy ze mnie zaczęli śmiać, welocyped porzuciłem i chodzę piechotą.

Muzeum arsenału mieści się w osobnym budynku trzymanym w stylu odrodzenia; wnętrze jego przypomina katedry weneckie wyłożone całe, marmurem. Pełno jest tam posągów i złotych ozdób; sufit pokryty jest wspaniałemi freskami. Na schodach stoi ol-

brzymia statua Austryi. Sala „chwały“ udekorowaną jest w guście maurytańskim, i posiada arkady. Ściany jej pokryte są chorągwiami, zbrojami i mnóstwem zwycięzkich trofeów. Są tam chorągwie które krzyżowcy zatykali na murach Jerozolimy; jest pierścień i hełm który miał na sobie król polski, Sobieski, gdy turków z pod oblężonego Wiednia rozpędził; zbroja Matiasa Korwina; kirys, miecz i kask Libussy, królowej Czech.

— Raz zachciało mi się ustroić w ten kask — rzekł generał; — włożyłem go na głowę i kazałem dwóm żołnierzom bić weń z całej siły pałaszami, otóż czy uwierzysz pan: nic nie czułem. Wojna była w owych czasach przyjemną rozrywką.

— Co to za kirys, inkrustowany cały złotem, ten oto? — zapytałem generała pokazując palcem przepyszną zbroję z siedmnastego wieku.

— To kirys który Inocenty XI dał księciu Sabaudzkiemu po bitwie pod Zejtą. Kołnierz ze skóry bawolej i ten chwast także należały do księcia. Miecz ów jest generała Macka.

— Ah! to o tym generale francuzi powiedzieli: „Spóźnia się on zawsze o rok jeden, armię i myśl.“

Wyszedłszy z muzeum broni weszliśmy do pracowni gdzie już ostatecznie wykończają działa. Stało tam kilkanaście armat tak błyszczących jakby je ze złota ulał.

— Doprawdy, za piękne są one na to, aby miały zabijać, rzekłem.

— Oh, my nikogo nie chcemy zabijać, my się tylko bronić będziemy, odpowiedział Uchatius.

Przeszliśmy następnie koło odlewni, ale wejście tam dla obcych jest zabronione. Metal wynaleziony przez generała Uchatiusa jest mięszaniną miedzi, stali i fosforu; jest on bardzo silny i tak elastyczny że lufa po każdym wystrzale zacieśnia się.

— Ilu zajmujesz generale robotników? — zapytałem.

— Dwa tysiące czterysta i trzystu żołnierzy. Uzbrojenie artyleryi polowej jest już ukończone; zaczynamy teraz wystawiać działa oblężnicze.

Weszliśmy do oddziału gdzie się fabrykują naboje, podług systemu amerykańskiego. Zwykle arsenał wydaje na rok 3 miliony pocisków. Z wyjątkiem jednego żołnierza który próbuje zapału, same tylko kobiety pracują w tym oddziale.

— Oto rzekł generał, pokazując mi małą żelazną głowę cukru, — nowy pocisk który ja wynalazłem; kiedy wybucha, rozdziela się na pięćdziesiąt dwie części, podczas gdy tego samego rodzaju pocisk wyrabiany przez Kruppa, pęka tylko na dwadzieścia pięć kawałków.

Spacerowaliśmy jeszcze czas jakiś po dziedzińcu, pomimo śniegu jaki padał; generał opowiedział mi że wyczytawszy w powieści Juljusza Vernego, opis

polowania na albatrosy pod wodą, przyszło mu na myśl czy rzeczywiście można by strzelać w wodzie; w takim razie dawałoby się nurkom broń palną dla obrony od wielkich ryb.

— Kazałem zatem zbudować — mówił dalej, — tratwę pod którą umieściłem horyzontalnie o 50 centymetrów od powierzchni wody strzelbę Wrendla; potem umieściłem przed strzelbą drewnianą tarczę grubości jednego cala; za pomocą sznurka, dałem trzydzieści strzałów a ich rezułtaty były następujące: o półtora metra, tarcza nie nosi żadnego śladu kuli; o jeden metr i 25 centymetrów, kula zrobiła otwór na 3 do 4 millimetry; o jeden zaś metr, tarcza jest cała przedziurawiona, co pokazuje że na przestrzeni półtora metra, strzał traci swoją siłę w wodzie, podczas gdy na 50 centymetrów zachowuje całą swoją własność.

— I czy sądzisz generale że nurkowi przydał by się rewolwer?

— Nie, bo gdyby już rekin przybył na strzał, za późno by było do dania ognia; ale próby te dowiodły że można doskonale zabijać ryby, zanurzając lufę w wodę.

Generał Uchatius jak wszyscy ci co myślą wiele i badają, jest małomówny; należy on do tej kategoryi ludzi niewzruszonych i milczących, których hrabia Moltke jest charakterystycznym typem; nie lubi on świata, żyje sam jeden w swojej fortecy pośród uko-

chanych armat które kocha i pielęgnuje jakby własne dzieci.

Ładna rodzina co prawda! Narobi ona kiedyś w świecie hałasu.

X.

Zamek cesarski. — Nieco historyi. — Skarbiec korony. — Klejnoty Świętego Imperium. — Ceremonia religijna w Burgu. — Biblioteka cesarska. — Anegdoty o Józefie II.

W Wiedniu nie ma gmachów jak Luwr, Tuilerye, Luxemburg; stare pałace mają tu wszystkie jednostajną fizyognomję koszar, lub też pozór klasztoru. Wiedeń nie posiada ani jednego dzieła wyższej architektury: wszystko tu przypomina epoki walk i niepokoju. Kamień jest nagi i pokryty zadymioną barwą. Nigdzie nie ma rzeźbionych sztachet, ani ogrodów które by rozpościerały swoje trawniki po platformach o wysokiej kolumnadzie; ale za to pełno jest drzwi i bram które przypominają więzienia i fortecę. Zamek cesarski, — Burg jak go w Wiedniu nazywają, — jest po prostu amalgamatem różnorodnych budowli bez żadnego stylu, połączonych z sobą dziedzińcami. Ale takim jakim on jest, z jego potężnemi murami, wolę go jeszcze niż pałac cesarski w Berlinie, świeżej fabrykacyi, któryby można wziąść za willę handlarza skór do bębnów, wycofanego z inte-

resu. Zamek wiedeński rzuca jakby cień wielkich wspomnień przeszłości; jego mury zdają się mówić o dawnej chwale.

Burg był niegdyś otoczony wałem, broniły go baszty; do bramy prowadził most zwodzony. Książęta austryaccy rezydowali niegdyś na górze Kahlenbergu z której panowali nad całą doliną Dunaju; kiedy zaś przenieśli zamek swój nad brzegi błękitnej rzeki, powstał i Wiedeń. Nowa stolica stała się stacyą dla towarów które szły na Wschód i odwrotnie. Gdy cesarz Fryderyk odbył swój wjazd do Wiednia, ogłosił miasto wolnem. Wydał on prawo podług którego sami obywatele mogli sądzić obywateli. Wybory do trybunałów odbywały się co rok; wreszcie cesarz założył szkołę z której zrodził się następnie uniwersytet. Po śmierci Fryderyka, Niemcy zostały rozdarte przez wojnę domową. Walka trwała dwadzieścia trzy lat, aż do dnia w którym Rudolf Habsburgski opuściwszy góry szwajcarskie, przybył nad Dunaj i wzniósł swój zamek na Burgu wiedeńskim.

Rudolf był sobie mizernym książątkiem, którego widzieć jeszcze można zrujnowany zamek na drodze z Zurychu do Bale. Legenda opowiada że nieraz wracając z polowania, sam sobie naprawiał podarte ubranie. Pewnego dnia kiedy gonił za dzikiem w głębi lasów, spotkał na brzegu strumienia wezbranego wskutek spadłych deszczów, księdza z wijatykiem, który nie wiedział jak przejść przez wodę.

Widząc ambaras księdza, Rudolf zbliżył się doń i zeskakując z konia, rzekł:

— Mój ojcze, wsiądź na mojego konia; to jedyny sposób przebycia strumienia; mój koń zawsze niósł w tych lasach, śmierć i trwogę, niech że raz poniesie nadzieję i życie!

Ksiądz przyjął ofiarę, bo mu pilno było do chorego; kiedy przejechał na drugą stronę strumienia, Rudolf ukląkł u stóp dęba i zaczął się modlić za umierającego.

Ksiądz niedługo powrócił i chciał zsiąść z konia.

— Nie zsiadaj księże! — rzekł Rudulf — koń ten już do ciebie należy; niechaj służy Panu Bogu.

Nazajutrz kiedy książe zwiedzał opactwo w Fahr, spotkał się tam ze starą zakonnicą, siostrą Bertą, która go pozdrowiła jako cesarza.

— Co ty siostro mówisz? zapytał Habsburg zdziwiony.

— Ja mówię że ty i twoi następcy zasiadać będziecie na tronie cesarskim; spełniłeś wczoraj czyn święty i szlachetny, czeka cię za to w nagrodzie korona cesarska.

— Niech się stanie wola Boża! — rzekł Rudolf pokornie.

We dwa lata potem, przepowiednia siostry Berty spełniła się: Rudolf poparty przez papieża który znał jego cnoty i pobożność, został obrany przez

książąt niemieckich, cesarzem, i odbył swój wjazd do Wiednia.

Za panowania jego syna, Alberta Austryackiego, wybuchła w kantonach szwajcarskich, rewolucya; Gesslera zabił Tell, strzałą z łuku, na drodze do Altorfu, Alberta zaś samego przebił nożem jego własny synowiec. Książęta wybrali wówczas, cesarzem, kuzyna zamordowanego, księcia Luksemburgskiego który przekroczył Alpy na czele swojej armii; Dante powitał go temi wierszy:

„Ujrzałem cię, o rycerzu pełen wdzięków i majestatu; moje ręce dotknęły się stóp twoich, w duszy mojej rozlega się hymn tryumfu!..“

Henrykowi VII zadał truciznę w hostyi, przebrany mnich: „Morderco, zawołał oddając ducha cesarz, podałeś mi śmierć w ciele Pańskiem; uchodź z tąd, bo się moi niemcy za mnie pomszczą!“ Za panowania Alberta II i Fryderyka III, Wiedeń najeżył się stosami: w jednym roku 1620, spalono tam żywcem tysiąc sześciuset żydów. Fryderyk III znalazł w kombinacyi pięciu samogłosek, zdanie łacińskie które mówiło że „cała ziemia należy do Austryi.“ Zdanie to kazał on wyryć jako swoją dewizę, na wszystkich swoich meblach, srebrze, zbrojach, uprzęży, obrożach dla psów, murach pałacu, korze drzew w parku. Maksymilian II przepędził całe swoje życie zamknięty w Burgu, nad wyszukaniem kamienia filozoficznego który miał mu dostarczyć złota i dyamentów.

Jak widzimy dzieje dynastyi austryackiej ściśle są związane z tym zamkiem będącym zarazem fortecą i pałacem, i w którym zachowują jeszcze oznaki i godła cesarskie: koronę, kulę ziemską z krzyżem i berło z orłem, jak by się spodziewano że dni chwały i powodzenia jeszcze powrócą.

Skarbiec cesarski jest otwarty dla publiczności dwa razy na tydzień; w wilię otwarcia rozdają w biurze skarbca, bilety wejścia. Skarbiec przedstawia się świetnie: za szkłem drogie kamienie błyszczą i jaśnieją jak błyskawice i słońca. Zdawało by się że się jest u wejścia Golkondy lub w zaczarowanem podziemiu Aladyna. Tu leżą nagromadzone w kupki, brylanty podobne do gwiazd skrystalizowanych, tam topazy, szmaragdy i rubiny tworzą jakby bukiety kwiatów i ogni sztucznych; oto i korona którą wkładali na głowę arcyksiążęta austryaccy, przy koronacyi w Frankfurcie: jest ona cała ze złota, wysadzana brylantami, perłami i rubinami, i kosztowała 700,000 talarów, co stanowiło bajeczną summę w owej epoce. Kula ziemska jest pokryta konstellacyami pereł, brylantów i rubinów; na berle także złotem, jest wyryty monogram cesarza Matiasa, koronowanego w roku 1612. Brylantowa korona cesarzowej, kosztowała 1,500,000 guldenów. Dalej są tam pokryte drogiemi kamieniami: order złotego runa, krzyż orderu wojskowego Maryi-Teresy, królewski order Węgier, order Leopolda którego posiadanie nadaje tytuł kuzyna

cesarskiego. Idą już następnie całe szeregi różnych ozdób, zapięć, spinek, kit, płaszcz koronacyjny i t. d. i t. d.

Dwadzieścia innych jeszcze szaf mieści w sobie całą kolekcyę kostiumów heroldów; miecze które cesarzowie przypasywali do boku, przy uroczystości koronacyi; naczynia złote i srebrne i różne przedmioty wyrabiane z pereł, rubinu, kryształu i t. d.

Jest i cała kolekcya zegarków i zegarów, bajecznie bogata. Widziałem tam zegary w kształcie książek, gwiazdy, krzyża lub trupiej głowy.

* * *

Tak samo jak królewski zamek w Berlinie, i wiedeński pałac cesarski posiada swoją legendę; Biała-Dama, to widmo złowrogie, zjawia się tam zawsze w przeddzień nieszczęścia. Historya starego pałacu opowiada jeszcze o innych zjawiskach, ale te nie przestraszają już nikogo.

Co dzień w południe, wojskowa muzyka odzywa się pośród murów cesarskiego pałacu. Jest to wstęp do wielkich koncertów jakie znów odbywają się tam przed wieczorem. Podczas gdy muzyka gra, jest zawsze zebranych przed pałacem z jakie kilkaset osób. To proletaryat wiedeński; indywidua te stanowią włoskich lazzaronów. Z rękami w kieszeni spodni, z kawałkiem cygara zebranego z chodnika, w ustach,

przepędzają oni całe swoje życie, włócząc się za różnego rodzaju orkiestrami. Nie jedli oni śniadania, na obiad kupią sobie kiełbaskę i kawał chleba, wieczorem na kolacyę dostaną w jakiej prywatnej kuchni resztki z obiadu, za usługi oddawane kucharce.

W wieczornych godzinach, zjawia się także na ulicy osobistość zwana w Berlinie *Ludwikiem* a w Wiedniu *Strabanzerem* lub *strizzi*. Załatwia on poufałe interesa panien Pepi, Kati i Netti; on to sprowadza klientelę. Poznaje go się po starym cylindrze zatłuszczonym, czerwonym krawacie, okropnie wypomadowanych włosach, i brelokach u dewizki od zegarka. Kłania się on z minką familiarną i protekcyjną swoim „damom" i na zawołanie prezentuje je amatorom. Jednym z typów tych kobiet, które przyciąga tłum, muzyka i światło gazowe, jest „dama z dzieckiem." Dziecko nie do niej należy; wynajmuje go sobie na przynętę. Zatrzymuje się na ulicy by je pogłaskać, uśmiechnąć się doń, a przechodnie podziwiają słodycz i gracyę młodej mamy. Prawie zawsze zawiązuje się z tego powodu rozmowa i „dama z dzieckiem" nigdy nie wraca do domu sama.

*

* *

Dwa razy do roku, w Wielki Piątek i na Boże Ciało, odbywają się w Burgu, ceremonje religijne na sposób praktyk średnich wieków.

W Wielki Piątek, salwa z dział oznajmia rozpoczęcie się procesyi; wychodzi ona z pod głównej bramy ozdobionej draperyami z aksamitu i złota; trąby odzywają się wojowniczym głosem, dwa szeregi żołnierzy w paradnych mundurach i gałązce dębowej przy czapce, staje po obu stronach ulicy; stotysięcy tłumu zalega plac, ulice sąsiednie, okna i balkony. Orszak rozwija się z pompą i świetnością tych procesyj świętych jakie widzimy wymalowane na gotyckich szybach starych katedr: najprzód idzie niższy kler w białych komżach na czarnej sutannie; potem strzelcy, „czarni i niebiescy“ paziowie w jedwabnych kaftanach, giermkowie w czerwonych kurtkach złotem wyszywanych, i służba cesarska w pończochach i czerwonych frakach. Po domie cesarskim idzie muzyka dworskiej kaplicy, znów paziowie, szambelani z kluczem zawieszonym z tyłu, kawalerowie teutońscy w długich płaszczach, magnaci w futrzanych zarzutkach, butach palonych, czapce z kitą brylantową i pałaszem u boku. Najświętszy Sakrament który trzyma arcybiskup, błyszczy jak słońce otoczone rubinami. Za arcybiskupem ktorego ornat jaśnieje od haftów, jak płaszcz bizantyjskiego cesarza, idzie Franciszek-Józef w generalskim mundurze; jest on otoczony swoim sztabem marszałków i oficerów, a zaraz za nim postępuje gwardya niemiecka ubrana w czerwone i złote barwy i gwardya węgierska ze skórą lamparcią zarzuconą na ramiona i spiętą na piersiach klamrą z drogich kamieni.

Orszak zamykają heroldowie, drabanci uzbrojeni w lance, dworska żandarmerya i gwardya cesarska.

Wiedeńczycy lubią bardzo takie świetne uroczystości i towarzyszą im zawsze tłumnie. W Wielki Piątek nie podobna jest prawie chodzić po mieście, tyle ludu biegnie od jednego kościoła do drugiego.— Tego dnia, palą także przed niektóremi kościołami portret Judasza. W Wielki Piątek arcybiskup myje nogi kanonikom z których każdy otrzymuje puchar pełny hiszpańskiego wina. Dawniej, dostojnicy państwa i damy które asystowały ceremonii, podawały takiż sam puchar arcybiskupowi. Cesarz i cesarzowa również myją nogi dwunastu starcom w sali recepcyjnej, których potem sadowią u stołu, a cesarska para usługuje im, poczem zawiesza na szyi każdego ze starców, sakiewkę pełną złota. Niepodobna jest patrzyć na tę scenę bez wzruszenia; przypomina to symboliczne cnoty Chrystusa i słowa jakie wyrzekł: „Zaprawdę, mówię wam, Pan nie jest większy od sługi, ani poseł większy od tego co go posyła.“

*

*   *

Mnóstwo budowli wiąże się z cesarskim pałacem Burgu; między innemi w jednym z budynków mieści zimowy maneż w którym zasiadała „Konstytuanta“ w roku 1848 i gdzie dzisiaj odbywają się świetne

karuzele. Jest tam teatr, muzeum historyi naturalnej, gabinet starożytności i drogich kamieni, galerya mineralogiczna, zoologiczna i botaniczna, sala redutowa i biblioteka cesarska. W tej bibliotece mieści się 300,000 tomów i 20,000 rękopismów. Psałterz Świętej Hildegondy, żony Karola Wielkiego, jest przepyszną relikwią. Jest tam także autograficzny rękopism *Jerozolimy wyzwolonej*, Tassa, *Boska komedya* Danta z rysunkami z czternastego wieku, i wiele innych cennych manuskryptów. Pomiędzy niemi znajduje się kalendarz i księga bajek jakichś dzikich ludożerców, które przywiozła z podróży swojej na około ziemi pani Ida Pfeiffer; pokazuje się z tego że i ludożercy mają swoje prawa i swoich literatów którzy tam cieszą się daleko większą swobodą niźli ich koledzy w Prusach.

Ci dzikusy zajadają swoich bliźnich, ale „szanują poezyę."

Po nad niektóremi szafkami widać napisy następujące: *Verbotene Bücher* (książki zakazane). Są to dzieła teologii heretycznej; obok nich leżą „Wyznania" Roussa i „Sztuka kochania" Owidyusza.

Przed biblioteką na środku placu, wznosi się pomnik Józefa II. Książe ten jest w Austryi typem popularnego monarchy, tak jak Henryk IV i Napoleon we Francyi, Fryderyk II w Prusach.

„Ten młody książe, — rzekł o nim król pruski w swoich „Pamiętnikach" — obdarzony był szczero-

ścią która się u niego wydawała naturalną; miał w sobie dużo wesołości i żywość temperamentu; ale obok żądzy do nabycia wiedzy, brakowało mu cierpliwości.“ Józef II jest jednak twórcą samego siebie; nie otrzymał on w swojej młodości żadnego wykształcenia; pierwszą myśl jaką w czyn wprowadził, było objechanie Europy. W trakcie tej podróży oddawał się studyom i notował co było godnem zastanowienia, mając zamiar wprowadzić po śmierci swojej matki, wiele do Austryi ulepszeń. Podróż ta uczyniła go popularnym. Zwiedził Rzym w towarzystwie trzech panów dworskich z których każdy miał osobny wydział; każdego wieczoru, składali oni cesarzowi raporta z tego co spostrzegli. W Medyolanie zwiedził pewien klasztor i gdy spostrzegł że zakonnice prawie nic nie mają do roboty, posłał im płótna i kazał szyć koszule dla żołnierzy. Francyę przebiegł Józef II pod nazwiskiem hrabiego Falkensteina. Gdy w Breście zobaczył statek gotowy do odpłynięcia, zawołał: „Co to za potężne mocarstwo! posiada i ziemię i może!“ Wysłał też natychmiast rozkaz do rozpoczęcia robót około powiększenia portu w Tryeście.

W Paryżu przemieszkał półtora miesiąca w skromnym hotelu który nosi dzisiaj jego nazwę; chodził zawsze piechotą, co najwyżej jeździł dorożką. Księdzu de l‘Epée podarował swój portret wysadzany brylantami. Buffon którego zaszedł raz z nienacka

ubranego w szlafrok, chciał uciec do drugiego pokoju aby się przebrać. „Nie, nie! pozostańcie tak, — rzekł gość,—kiedy przychodzi uczeń, mistrz się przecież trudzić dla niego nie powinien.“ Zwiedził szpital „Hotel Dieu“, ale na widok leżących w jednem łóżku, trupa, konającego i chorego, wyszedł zaraz zawoławszy: „I to jest dobroczynny zakład!“

Gdy bibliotekarz biblioteki miasta, wyrażał swój żal że ciemność panująca w salach, nie pozwoli mu dokładnie się rozejrzyć po teologicznych księgach, książe rzekł: „Oh! mój panie, i bez tego dosyć jest w teologii ciemności!“

Z Francyi udał się Józef II do Szwajcaryi, gdzie odwiedził Hallera. Zapytano go dla czego nie idzie do Woltera: „Mam jego portret — rzekł — to mi wystarcza.“

Gdy cesarz przybył do Wurtembergu, książe wurtembergski posłał doń szambelana z zawiadomieniem że jego pałac jest na jego usługi, ale cesarz wierny swoim zwyczajom odpowiedział że stanie w hotelu. Urażony książe, wysłał natychmiast rozkaz do wszystkich oberżystów aby pozdejmowali z swych zajazdów szyldy, a nad bramą do swojego pałacu umieścił dużą tarczę z herbami Austryi, z następującym napisem: „Hotel cesarza Józefa II.“ Cesarz nie mógł się już opierać tak dowcipnemu zaproszeniu: w bramie pałacu przyjął go książe przebrany za oberżystę; wszyscy panowie dworu mieli na sobie kostiumy ku-

charzy, kelnerów i chłópców stajennych, a najpiękniejsze damy miały na głowie białe czepeczki suberetek i krótkie spódniczki z fartuszkami. Cesarz udał że się nie poznaje na żarcie który dopiero nazajutrz ustał.

Przy odjezdnem, gdy powóz zajechał, cesarz spostrzegł że pocztylion który wsiadał na konia miał strasznie podartą kurtkę i buty wielce zabłocone. Oho! ten to już chyba nie jest pochlebcą — rzekł śmiejąc się, — to pewnie jaki stary pijak; damy mu dobry tryngeld.“

Powóz ruszył: pocztylion powoził tak szybko i z taką zręcznością, że cesarz, przybywszy na pierwszą stacyę, rzekł doń:

— Jeżeli chcesz, to cię wezmę do mojej służby.

— Żałuję mocno najjaśniejszy panie, ale nie mogę opuszczać mojego kraju, — odpowiedział pocztylion.

— A to dla czego?

— Ba! najjaśniejszy panie, bo tam trzymam w mojem ręku cugle państwa! — rzekł pocztylion wybuchając śmiechem, i zdjął kapelusz do którego przytwierdzoną była peruka.

— Książe Wurtembergski! — zawołał Józef II zdziwiony i uradowany.

— On sam do waszych usług — odpowiedział książe kłaniając się.

— Doskonale książe, odegrałeś swoją rolę, — rzekł cesarz. — Ale że też ja się nie spostrzegłem; bo ani razu nie zakląłeś książe!

W Morawii Józef II chciał jak cesarz chiński, uczcić rolnictwo, i sam wyorał na polu zagon. Pług który posłużył do tej roboty znajduje się w sali Stanów morawskich.

Na granicy węgierskiej, wyszedł chłop na jego spotkanie i rzekł: „Miłosierny cesarzu, mamy cztery dni pańszczyzny, piątego dnia musimy iść z panem na rybołówstwo, szóstego na polowanie, a siódmy dzień już przecież do Pana Boga należy; miłosierny cesarzu, jakże chcesz abyśmy mogli płacić podatki i kontrybucyę?“

— Dobrze — rzekł Józef; i powróciwszy do Wiednia, podpisał dekret znoszący poddaństwo. Zniósł on również torturę, wyemancypował żydów i wydał edykt tolerancyi religijnej: jedni deiści zostali tylko z edyktu wykluczeni: „Deiści, odezwał się raz cesarz, warci są aby im dano po dwadzieścia pięć kijów.“ Wydział sprawiedliwości został również zreformowany.

Dnia 3 września 1774 r., zjechał się Józef II w Neustadt, z królem pruskim któremu chciał pokazać rewiję wojskową. Ale nagle niebo które od samego rana było jasne i czyste, pokryło się chmurami ulewny deszcz spadł na ziemię przy odgłosie uderzeń pioruna i grzmotów. Obaj monarchowie musie-

li powrócić do domu, zmoczeni do nitki. „Trzeba przyznać,—rzekł Fryderyk,—że jest Pan od nas silniejszy.“

W Wiedniu, Józef II zachowywał tę samą skromność co i podczas swoich podróży. „Ma on postawę żołnierską—mówiono,—a garderobę podporucznika“ Co wieczór, ubrany po cywilnemu wychodził z zamku i owinięty w długi ciemny płaszcz, przechadzał się po mieście. U boku nosił małą szpadę, prawie niewidzialną.

Pewnego razu, po długiej pracy ktora się późno przeciągnęła w noc, spojrzał cesarz przez okno swego gabinetu i ujrzał całe miasto kąpiące się w promieniach księżyca. Noc była prześliczna, chociaż zimna. Cesarz wyszedł; przeszedłszy się po Grabenie na którem głębokie panowało milczenie, poszedł dalej na ulicę Karyntyi i powrócił wreszcie po godzinnej przechadzce do tej samej furtki Burgu przez którą był wyszedł. Szyldwach, ku wielkiemu zdziwieniu cesarza, nie zapytał na jego widok o hasło.

Monarcha zatrzymał się i czekał nieruchomo, ale szyldwach chodził ciągle miarowym krokiem, tak jakby nic nie widział.

— To dziwna — mruknął Józef II, i zbliżając się do żołnierza, zapytał szorstko:

— Dlaczego się nie pytasz o hasło?

— Szyldwach zamiast odpowiedzieć, uciekł do budki.

Cesarz chwycił wówczas żołnierza za ramię i groźnie już zawołał co to wszystko miało znaczyć.

— Oh! mój Boże, — jęknął żołnierz cienkim głosem, nie zdradź pan mojego Augusta! i szyldwach po tych słowach, upadł cesarzowi do nóg.

— Powstań mała, powstań, — rzekł Józef poznając w żołnierzu kobietę. — Kto jesteś? Jakim sposobem znajdujesz się tu ubrana w ten płaszcz i kepi?

— Wszystko panu powiem, — odpowiedziała młoda dziewczyna, — ale chodź pan bliżej, bo jeszcze kto nas podsłucha. Ja nazywam się Marya, a mój narzeczony ma na imię August; jest on wojskowym i dzisiaj w nocy przypadła na niego kolej trzymać tu straż, ale on zachorował i ja go właśnie zastępuję. W tej chwili poszedł on do nas żeby się trochę rozgrzać, oh! bo noc tak zimna!.. Nie mów pan tego nikomu, mój dobry panie. August zaraz powróci...

— Żołnierz który opuszcza swoje stanowisko, naraża się na surową karę; czy wiesz że gdyby się o tem komenda dowiedziała...

— Oh! pan go nie wydasz! — zawołała dziewczyna.

— Nie, nie wydam go... postaw tu karabin, zdejm kepi i płaszcz i poczekaj na mnie na rogu ulicy. Za chwilę przyjdę tam.

— Jakto, ja mam pójść sobie? Ale przecież muszę pilnować tej furtki dopóki August nie powróci.

— Nie lękaj się niczego i rób co ci każę. Całą

rzecz ja załatwię z komendantem odwachu którego jestem przyjacielem. On nas nie zdradzi.

Napróżno dziewczyna błagała aby jej pozwolił stać dalej na warcie, Józef II przywołał kapitana dyżurnego, kazał mu zabrać płaszcz, kepi i karabin które dziewczyna złożyła w budce i postawić na warcie drugiego żołnierza. „August, — dodał — otrzymał pozwolenie pójścia na miasto.“

W parę chwil potem, cesarz dogonił dziewczynę która szła naprzód.

— Powiadam ci, nie lękaj się niczego —rzekł— ja to wszystko załatwię. Ale chciałbym wiedzieć gdzie ty mieszkasz.

— Tu zaraz niedaleko, proszę pana, — odpowiedziała dziewczyna przyśpieszając kroku, jakby chciała drogę pokazać.

Cesarz za nią podążył. Dziewczyna poprowadziła go na małą wązką, bezludną uliczkę, której przyświecała latarnia zawieszona na drzewie, otworzyła drzwi do ubogo wyglądającego domu, i weszła do izby znajdującej się na dole. W izbie przed lampą pracowała stara kobieta.

— Ach! jesteś już Maryo!—zawołała spostrzegłszy wchodzącą dziewczynę, całą aż czerwoną od zimna. August musiał dobrze biedz, bo dopiero co wyszedł.

Oczy starej padły na nieznajomego; podniosła się zadziwiona i spojrzała nań obejmując go wzrokiem od stóp do głów.

Cesarz starej matki nawet nie widział; oczy jego utkwiły w postaci dziewczyny którą światło oblewało swym blaskiem.

Dziewczyna była zachwycająco piękna. Miała włosy jasne, oczy czarne, a rzęsy jej rzucały duży cień na aksamitno białe policzki. Wzrostu była dużego, zgrabna i zdrowa. Mogła mieć około dziewiętnastu lat.

Marya opowiedziała matce co zaszło.

— Tak, tak,—dokończył cesarz — gdybym był ja nie nadszedł, wszystko mogło się daleko gorzej zakończyć, ale uspokójcie się; nikt o niczem nie będzie wiedział. — Potem ciszej rzekł do dziewczyny: „Czemże ty mnie za to nagrodzisz?

Marya zaczerwieniła się ale nic nie odpowiedziała.

— Chodźno, mam ci coś powiedzieć — rzekł znów cesarz, usiłując pociągnąć dziewczynę w kąt pokoju.

Dziewczyna ani się poruszyła.

— Nie bądź że taka dzika; losy twojego narzeczonego spoczywają w twoich rękach; jeżeli mnie zechcesz trochę kochać, to dostaniesz ten woreczek w posagu. — I cesarz wyjął z kieszeni sakiewkę wyładowaną złotem.

— Wszyscy jednakowi — westchnęła stara.

Przez siatkowe oka sakiewki złoto zajaśniało blaskiem ognia, rzucając dokoła nędznej izby, fosforyczne promienie; ale dziewczyna oczu z ziemi nie podniosła.

Józef II który pod względem cnoty kobiecej był sceptykiem, zaczął się mocno dziwić.

— Schowaj pan swoje złoto do kieszeni, — rzekła wreszcie Marya; — ja mam narzeczonego i jego tylko jestem; jesteś pan bogaty, więc radzę panu, nie siedź tu długo i wracaj do domu.

— Słowa te świadczące tak chlubnie o cnocie i wierności Maryi, wzruszyły cesarza do tego stopnia że mu się łza zakręciła w oku.

— Jesteś dobrą dziewczyną Maryo — rzekł — powiedz mi co chcesz abym zrobił żeby cię uspokoić co do moich zamiarów?

— To pan nic nikomu nie mów.

— Oto moja ręka.

— I idź pan ztąd.

— Daj mi przynajmniej buziaka.

— No dobrze ale pan sobie idź!

Józef II pocałował ją w czoło i wyszedł unosząc w sercu obraz tej pięknej dziewczyny, której cnota zrobiła na nim silne wrażenie. Przez całą noc nie mógł spać, widział ciągle przed sobą Maryę.

Nazajutrz, o zwykłej porze w której cesarz przyjmował wszystkich kto tylko widzieć go chciał, udał

się on na ów sławny korytarz dokąd każdy przechodzień miał wstęp wolny, i gdzie postulanci czekali od rana do nocy. Przyjął najprzód deputacyę oberżystów wiedeńskich którzy się przyszli skarżyć na konkurencyę jaką im robiły piwnice cesarskie w których sprzedawano wino pochodzące z winnic koronnych.

— Szanowni panowie, — odpowiedział im cesarz, — moje piwnice dopóty będą otwarte dla publiczności, dopóki wy sprzedawać będziecie złe wino.

Przysunęła się następnie stara jakaś kobieta, opierając się na kiju, i padła cesarzowi do nóg, wołając z płaczem: „Najjaśniejszy Panie! łaski dla mego syna; zeszedł on wczoraj ze swego pasterunku, ale on był chory, przytem ma się żenić z uczciwą dziewczyną... łaski dla niego!

— Dobrze—rzekł Józef, przebaczam mu i uwalniam od służby wojskowej.

Stara chciała ucałować monarsze kolana, Józef nie dał jej na to czasu i pomógł jej podnieść się z ziemi.

Cesarz nigdy jeszcze nie czekał wieczoru z taką niecierpliwością co tego dnia. Skoro tylko noc zapadła zarzucił na ramiona płaszcz swój czarny i poszedł prosto do Maryi. Zapókał; stara matka otworzyła mu drzwi! Na jego widok matka zmarszczyła brwi, Marya zaś wybuchła płaczem.

— Co ci jest dziewczyno? — zapytał dobrotliwie cesarz. Pociesz się, mój przyjaciel, kapitan, do-

niósł mi że twojemu narzeczonemu nic nie będzie i że nawet został uwolniony od służby.

— Oh! ja o tem wiem — zawołała dziewczyna; służyć w wojsku nie będzie, chociaż tak kocha cesarza! ale tylko jeden cesarz mógł go od kary uwolnić. Kto wie!

Z oczami pełnemi łez, piersią falującą od wzruszenia, Marya była jeszcze piękniejszą niźli dnia poprzedniego. Józef II stał nieruchomo na miejscu i wpatrywał się z niemym zachwytem w dziewczynę. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł August.

Na widok obcego człowieka u swojej narzeczonej cofnął się zrazu, ale wnet podchodząc do niego, zawołał groźnie:

— Jakiem prawem pan tu wszedłeś?

— A pan! — rzekł spokojnie cesarz.

— Ja!.. ja jestem narzeczonym Maryi.

— A ja przyszedłem tutaj bo tak mi się podobało.

— Pan masz jakieś zamiary do których uczciwy człowiek nie powinien się przyznawać! — zawołał August robiąc groźne poruszenie.

— Z kądże o tem wiesz?

— Jesteś pan wojskowym?

— Tak.

— No to nie będę potrzebował dać ci policzka... Chodźmy ztąd!

— Auguście! Auguście! co ty robisz? — zawołały obie kobiety powstrzymyjąc młodego człowieka.

— Jestem na twoje rozkazy—rzekł cesarz.

August dopiero wtenczas spojrzał na twarz nieznajomego. Nagle zbladł i zachwiał się jakby piorunem rażony.

— Cesarz! — jęknął; i upadłszy do nóg temu którego przed chwilą zelżył i wyzwał, błagał przebaczenia.

Obie kobiety były już na kolanach.

— Wstańcie, — rzekł Józef — i bądźcie szczęśliwi; jesteście dobrzy i uczciwi ludzie, będę ojcem chrzestnym wszystkich waszych dzieci.

Przez dziewięć lat z rzędu, August przychodził regularnie oznajmiać cesarzowi że nowy syn mu się narodził.

Było już ku końcowi dziesiątego roku; Józef II spotyka pewnego dnia Augusta na korytarzu.

— Mamy już dziesiątego! — woła z uśmiechem.

— Nie najjaśniejszy panie; ten rok jakoś mi niedopisał; ojca chrzestnego nie potrzebuję, ale ponieważ wojna ma się rozpocząć, przychodzę prosić abym mógł wstąpić napowrót do wojska, jako ochotnik. Brat mój który jest kaleką, będzie mnie zastępował na urzędzie jaki dostałem z łaski twojej, najjaśniejszy panie.

— Ale cóż na to powie twoja żona?

— Moja żona: Oh! ona jeszcze więcej mnie kochać będzie jeśli powrócę ze szramą na twarzy. To będzie przecież dla naszego cesarza!

W sześć miesięcy potem, August wracał do Wiednia z ogromnem cięciem pałasza na policzku i krzyżem zasługi na piersiach.

Józef II opowiadając zawsze z upodobaniem ten epizod ze swego życia, dodawał przy tem: „Nie uwierzycie, jak ta mała Marya zmodyfikowała moje wyobrażenia o kobiecej cnocie!“

XI.

Kościół dworski. — Grób arcyksiężniczki Krystyny i grób marszałka Dauna. — Groby cesarskie w kościele Kapucynów. — Rzut oka na panowanie Maryi Teresy. — Jej polityczne przepowiednie.—Francya sympatyzuje zawsze z Austryą.

Podziemny korytarz łączy pałac cesarski Burgu z kościołem Augustyanów gdzie obchodzą się nabożeństwa którym asystuje dwór. W tym to kościele przechowują w srebrnych urnach, serca członków cesarskiej rodziny. Zaraz na wstępie, naprzeciwko drzwi głównych, widzi się przepyszny grobowiec wystawiony przez księcia Alberta swojej żonie, arcyksiężniczce Maryi Krystynie, córce Maryi-Teresy. Canowa nadał tej wielkiej piramidzie marmurowej,

tyle wyrazu boleści i żałoby że jest to prawdziwe arcydzieło. Pośrodku piramidy otwierają się drzwi do grobu; z obu stron tych drzwi wykute są dwie gruppy allegoryczne: Cnota z woalem na głowie, niesie w urnie popioły arcyksiężniczki, a miłosierdzie podpiera starca którego wiek i cierpienia pochylają ku ziemi; za nimi idzie dziecko i płacze. Po nad drzwiami, Szczęście trzyma w objęciach medalion arcyksiężniczki, która się uśmiecha.

W kaplicy umarłych znajdują się groby cesarza Leopolda II i głośnego generała i marszałka austryackiego, hrabiego Leopolda Dauna. Marszałek odznaczył się najprzód w bitwach jakie z turkami staczał Seckendorf; później sam pobił Fryderyka II pod Kollinem. Aby uwiecznić pamięć tego zwycięztwa, cesarzowa utworzyła order Maryi-Teresy, przeznaczony dla wojskowych. Order jest w kształcie krzyża i nosi na sobie napis: *Fortitudini.*

Właściwie, grobowce domu austryjackiego, znajdują się w kościele Kapucynów, w środku miasta. Tam to śpią wiecznym snem ci potężni cesarze i groźni rycerze przed którymi świat cały drżał. Panowanie każdego z nich było mniej lub więcej szczęśliwe, ale zato naród wszystkich błogosławił. Dom Habsburgów nie miał ani jednego tyrana. Stoją tam grobowce cesarza Matiasa, Franciszka I-go, Małgorzaty Hiszpańskiej, Józefa II-go który kazał na swoim grobie wyryć następujące słowa: „Tu spoczywa Józef

II; był on nieszczęśliwy w najlepszych swoich zamiarach.“ Biedny król Rzymu, dla którego kongres wiedeński tak był okrutnym, spoczywa tam również, a obok niego leży w krwawym całunie, druga ofiara, nieszczęśliwy Maksymilian. Na jego żelaznej trumnie uwite są z niezapominajek wieńce; świadczą one że ci co księcia kochali za życia, czczą go jeszcze po śmierci.

Jest tam około stu nagrobków i wszystkie odznaczają się wielką prostotą z wyjątkiem nagrobka Franciszka 1-go, męża Maryi-Teresy który już posiada proporcye mozoleum. Zdawało by się że przez to, wdowa chciała pokazać ogrom swojej boleści. Przychodziła tam zresztą po parę razy dziennie, by się modlić za męża. Kiedy na starość utyła do tego stopnia że się prawie poruszać nie mogła sama, spuszczano ją do grobów na fotelu przywiązanego do sznurów. Podczas jednej z ostatnich wizyt u „drogiego Franciszka“ w chwili kiedy miano już fotel wznosić do góry, sznury pękły; wypadek ten wzięła Marya-Teresa za przepowiednię: „chce mnie przy sobie zatrzymać!—zawołała. Oh! przyjdę nie długo!“ W kilka dni potem, zachorowała rzeczywiście, i umarła dnia 29 listopada 1780, w wieku lat sześćdziesięciu czterech.

Na kilka lat przed śmiercią, Marya-Teresa wszystkiemu co ją otaczało, nadała piętno smutku i żałoby. Pałac cesarski przybrał pozór klasztoru, a Wiedeń

był dozorowany jak pensyonat panien. W tem mieście miłości, nie było wolno już kochać· Kupidyna wzięła w opiekę policya; dla sądzenia jego występków, utworzono specyalne trybunały nazwane *Komisyami czystości.* Komisyi tych było pięćdziesiąt: strzegły one obyczai poddanych cesarstwa.

Agenci komisyj, chodzili po Wiedniu jak po haremie; mieli prawo wejść do każdego mieszkania, czy to w nocy czy w dzień i aresztowali każdą dziewczynę która idąc sama po ulicy nie miała w ręku brewiarza lub książki do nabożeństwa.

Marya-Teresa miała także szczególny sposób do nawracania ludzi. Z jej rozkazu szwadrony kawaleryi porywały córki szlachty wyznającej wiarę Lutra, i odstawiały je do klasztorów gdzie po nawróceniu ich na wiarę katolicką, wydawała je za mąż Marya-Teresa za dworskich panów. W taki sposób hrabianka Bauffy poszła za hrabiego Jana Esterhazy.

Czasami owe małżeństwa z musu miały tragiczne i komiczne nawet zakończenia: „Sposobem administracyjnym“ ożenił się także drugi Esterhazy, Franciszek, z jedną z panien Starmberg. Hrabia był człowiekiem nadzwyczaj przyjemnym i łagodnego charakteru: żona jego była złośnicą i miała dzikie popędy; oprócz tego miała jeszcze kochanka. Pewnego poranku uciekła ze swoim adonisem do Szwajcaryi.

Kiedy zakochana para unosiła się w najlepsze nad pięknością gór i jezior helweckich, zjawiła się

przed nimi policya, i pokazując rozkaz ekstradycyi jaki rząd rzeczypospolitej wydał na skutek żądania Maryi-Teresy, odstawiła ich do granicy. Uwodziciel został skazany na śmierć. W ostatniej chwili mąż wstawił się za nim, otrzymał jego łaskę i obsypał podarunkami. „Uwolnił mnie przecież od mojej małżonki!“—rzekł hrabia tym co się temu dziwili.

Aby jednak ocenić życie i działalność Maryi-Teresy, trzeba się przypatrzyć jutrzni jej panowania a nie zachodowi. Była z niej wielka królowa; dla swego państwa wiele zrobiła, ale byli i tacy co jej są winni śmierć swoją.

Spocząwszy w podziemiach kościoła Kapucynów Marya-Teresa uniosła z sobą szczęście Austryi. „Przyszłość, rzekła przed śmiercią, — objawia mi się w czarnych barwach, już dzisiaj czuć despotyzm nie znający granic, nie mający nic świętego, despotyzm Hohenzollernów, dla których własna korzyść jest bodźcem do wszystkiego złego. Jeżeli tej ich zasadzie, nikt tamy nie przeciwstawi, to jakaż przyszłość czeka naszych spadkobierców!?“

Przyszłość to lata 1866 i 1870!

Sympatya jaka istniała w Austryi dla Francyi, za czasów Maryi-Teresy, nieosłabła i dzisiaj pomimo wadliwej i zaślepionej polityki z której wyrodziły się zjednoczone Niemcy. Żadne państwa nie są tak powołane do podania sobie ręki jak Austrya i Fran-

cya. Gdyby się połączyły czego by to one dokazać nie mogły!

XII.

Prostota dworu austryackiego.—Cesarz Ferdynand.—Jego popularność. — Franciszek-Józef.—Oblężenie Raabu.—Powrót do Wiednia.—Małżeństwo.—Sadowa i generał Benedeck.—Bilans panowania.— Franciszek-Józef w życiu prywatnem.—Cesarzowa.—Książe cesarski.

Apartamenta cesarskie w Burgu nie mają w sobie nic nadzwyczajnego: nie widzi się tam owych sprzętów wyszukanych które znamionują życie miękkie i leniwe, nie chodzi się po perskich kobiercach w których nogi toną jak w leśnym mchu, nie spoczywa się na rozkosznych ottomankach jakich jest pełno w pierwszym lepszym bogatym salonie. Meble Burgu są meblami starego silnie się trzymającego domu. Cesarzowie austryaccy byli zawsze pierwszymi obywatelami kraju. W każdej porze, lud ma wstęp do pałacu i nieraz prosty robotnik ociera się w korytarzu pałacowym o cesarza który wraca lub idzie na przechadzkę.

Dwór austryacki jest najpopularniejszym ze wszystkich dworów: pomiędzy cesarzem a ludem panuje uczucie miłości ojca do dorosłych dzieci. To też w Wiedniu są wprawdzie republikanie ale monarchiczni. Ciekawe to egzemplarze, i fakt niemniej

ciekawy. W najstraszniejszych dniach 1848 roku, lud umieścił po nad barykadami, portret cesarza okolony girlandami z róż, a w nocy przed tym ukochanym obrazem paliły się świece. „My do cesarza nie mamy żadnych pretensyj,—mówili owi rewolucyoniści,—ale nie chcemy już więcej cierpieć jego ministrów, nie chcemy Meternicha.“

Kiedy Ferdynand wyjechał na ulice Wiednia, podczas powstania, w powozie odkrytym i bez eskorty, powstańcy zrobili mu owacyę. Wiedeńczycy przezwali go „Dobrym.“ Opowiadają o nim mnóstwo histo ryjek zachwycającej prostoty.

Raz np. kiedy się przechadzał po parku Schoenbrunn, weszło do ogrodu dwóch anglików którzy go wzięli za dozorcę i poprosili aby ich oprowadził. Cesarz przyjął na siebie rolę ogrodnika i oprowadzał anglików po ogrodzie przez parę godzin, pokazując im i tłómacząc wszystko. Dostał za to dwa guldeny na piwo. „Po raz pierwszy w życiu,—mówił później cesarz, — zarobiłem dwa guldeny.“

Raz znowu, przechadzając sią po okolicach Schoenbrunnu, spotkał się z trumną którą niesiono na cmentarz bez żadnej asystencyi. Adjutantowi który z nim szedł wyraził w tej mierze swoje zdziwienie. „To pewnie jaki biedak, który nie ma ani rodziny ani przyjaciół—odpowiedział adjutant. „Tak? No, to my mu zastąpmy rodzinę“ — odrzekł cesarz;

i zdejmując kapelusz poszedł za trumną, rzucił na jej wieko garść ziemi, pomodlił się potem na grobie i wrócił do domu.

Ferdynand, kiedy Wiedeń zaczął coraz więcej szaleć, źle bardzo zrobił że stolicę swoją opuścił. Burg jest fortecą, a ci którzy są w fortecy nie mają prawa ani kapitulować ani uciekać. Ferdynand schronił się do Inspruckn: potem gdy Windichgraetz i Jellachich zdobyli Wiedeń, przybył do Olmutz gdzie abdykował.

Brat jego, Franciszek Karol, uważał że berło jest za ciężkie dla słabych jego rąk i odstąpił je najstarszemu synowi, Franciszkowi-Józefowi, który miał lat siedmnaście. „Żegnam cię o młodości"!—zawołał młody cesarz uczuwszy na swej głowie ciężar korony którą mu dała rewolucya, owa twórczyni tronów i szafotów. Przeczucia jego sprawdziły się; rozpoczęła się wojna we Włoszech, a pewnego pięknego poranku, musiał wsiąść na konia i schwyciwszy w małoletnią dłoń miecz swoich przodków, pójść zdobywać Węgry które nie chciały go uznać i zrobiwszy u siebie powstanie, oderwały się od Austryi.

Dnia 20 czerwca 1849 r. przybył pod mury Rabu, w chwili właśnie gdy doń szturm przypuszczano. Armia powitała go hymnem narodowym: „Niech Bóg strzeże cesarza!" Zaraz potem zagrzmiały armaty. W kwandrans później, przybiegł generał

Schlik i rzekł: „Najjaśniejszy panie, przypuszczamy już szturm. Raab dostanie się w nasze ręce. „Wówczas cesarz mu odpowiedział: „Staję na czele mojej armii aby pierwszy dostać się na okopy.“

— Najjaśniejszy panie,—odpowiedział generał Schlick,—to poraz pierwszy i raz ostatni może, będę ci nieposłuszny; jeżeli chcesz koniecznie wejść do Raabu, to już wejdź razem zemną, na czele trzeciego batalionu.

Cesarz Mikołaj przypomniał sobie że przyrzekł cesarzowi Franciszkowi 1-mu iż popierać będzie dom Austryacki: posłał więc swoje wojska i te przebywszy Dunaj, uspokoiły Węgrów.

Od Raabu do Willagosch, wojska austro-rosyjskie odniosły cały szereg zwycięztw. Od tego dnia datuje nienawiść węgrów do Rosyi. W roku przecież 1853, Austrya zapomniała że ją cesarz Mikołaj od zguby wybawił,—to też niewdzięczność Austrji stała się przysłowiową. Bismarck nie będący jeszcze wówczas wielkością rzekł: „Jeżeli Austrya zadziwiła świat swoją niewdzięcznością, to Anglia zadziwi go nikczemnością.“

We Włoszech król Karol-Albert złożył prawie jednocześnie szpadę w ręce feldmarszałka Radeckiego. Austrya miała pokój zapewniony.

Powróciwszy do Wiednia dnia 14 sierpnia 1852 roku, Franciszek-Józef, te same ulice które cztery lata przedtem, najeżone były barykadami, zastał

ubrane w kwiaty i łuki tryumfalne, a ludność cała, z chorągwiami i wieńcami, powitała go przy okrzykach radości. Wieczorem miasto było oświecone tysiącem świateł i ogni sztucznych.

Cesarz pogodził się ze swoim ludem i nastąpiły piękne dni spokoju i pogody.

Wiedeń był dumny ze swojego młodego księcia. Wszędzie pojawiły się jego portrety w obrazach i statuetkach. Salony wyższej arystokracyi, „śmietanka śmietanki,“ jak mówiono w Wiedniu, pyszniła się jego obecnością. Kiedy wchodził, pod koronkowemi stanikami, biły wszystkie serca. Bo też młody cesarz był zachwycający: miał włosy jasne i oczy niebieskie, a przytem całą jego postać otaczał jakiś urok rycerza-poety. Wzrostu był średniego, wysmukły, a tańczył z gracyą prawdziwego węgra. Nie uznając dawnej etykiety która chciała aby dla cesarza tancerki były naprzód wybierane, sam podawał ramię tym które mu się podobały. Wówczas rozchodził się dokoła szmer: „cesarz tańczy! patrzcie jak on pięknie tańczy!“ W walcu trudno było oczom pogonić za jego białym mundurem, tak szybko przesuwał się po posadzce balowej sali. Arcy-księżniczka Zofia, jego matka, była wtenczas u szczytu szczęścia.

Tak to trwało do 18 lutego 1853 roku. W dniu tym Franciszek-Józef o mało co nie został zamordowany: odbywał przegląd armii, gdy rzucił się na nie-

go jakiś zbrodniarz i uderzył go nożem w kark. Kołnierz od munduru osłabił uderzenie i cesarz został tylko lekko rannym. W tem samem miejscu Maksymilian postawił kościół Wotywy.

W rok potem, Franciszek Józef ożenił się z miłości: poprowadził do ołtarza księżniczkę która była prawie pasterką.

Żyła ona w górach, z siostrami i starym ojcem, „księciem-szlagonem" który nosił sukienne ubranie a córkom sprawiał suknie wełniane. Nie była ona wychowaną na cesarzowę: Franciszkowi przeznaczono jedną z jej sióstr, ale młoda księżniczka była już królową piękności.

Franciszek-Józef zaszedł raz na polowaniu, do przyszłego swojego teścia, mieszkającego nad brzegiem jeziora Traun. Gdy rozmawiał przed gankiem domu z czterema córkami gospodarza, które stały się potem, jedna królową Neapolitańską, druga księżniczką Tur i Taxis, trzecia hrabiną de Trani, a czwarta księżną d' Alencon, nagle z lasu poblizkiego wyszła zachwycająco piękna młoda dziewczyna, a za nią szedł duży pies. Ubraną była w białą sukienkę a słońce otaczało ją jakby aureolą złota; długie wspaniałe warkocze spływały jej na ramiona.

Była to księżniczka Elżbieta: na jej widok serce cesarza zrobiło już wybór. W kilka dni potem, na balu w Jschl, Franciszek-Józef przez cały wieczór tańczył tylko z księżniczką którą przezwał „czaro-

dziejką leśną“ i okazał tem publicznie swoj miłość.

Pierwsze lata małżeństwa były dla cesarskiej pary, rajem; ale szczęście na ziemi niedługo trwa. Piorun miał niebawem uderzyć w drzewo na którego konarach zakochani zbudowali sobie gniazdko.

Podwójna katastrofa spotkała Austryę; wszyscy dawni jej przyjaciele opuścili ją, a cesarz nie znalazł u swoich poddanych poparcia i patryotyzmu jakiego potrzebował. Wiedeń nim jeszcze usłyszał strzały pruskich dział, drżał już. Sadowa to była tylko bitwa przegrana, a nie porażka; można jeszcze było ocalić honor narodowy i nie puścić na wszystkie wiatry sztandaru cesarskiego.

Cesarz zna się gruntownie na wojskowości i gdyby miał tylko nieco więcej zaufania do samego siebie, to byłby z niego doskonały generał. Ludzie kompetentni utrzymują że gdyby był sam poprowadził kampanię w roku 1866, zamiast powierzać dowództwo generałowi Benedeckowi to Austrya nie byłaby pobitą. W każdym razie, Franciszek-Józef powinien był szukać Moltkiego dla Austryi, w szeregach wyższych oficerów, a nie zatrzymywać się przy takich generałach jak Krismanic i Baumgarten. Ale czy wybór by mu się udał, jemu zwłaszcza którego zawsze jakieś fatum ściga ile razy wybór robi?—Wybrał przecież sam Bracha, Brucka i Benedecka! Dzisiaj czuje on pewno niepochamowany wstręt do litery B. Co prawda, to Benedecka narzuciła mu opinia pu-

bliczna. Benedeck byłby doskonałym generałem brygady a nawet dywizyi, ale jako dowódzca naczelny jest on niemożliwy. Pod Solferino dowodząc prawem skrzydłem armii, odparł Wiktora Emanuela który miał dwa razy od niego większe siły. Kiedy go wezwano do objęcia dowództwa nad armią północną, sam oświadczył cesarzowi że zadanie to przewyższa jego siły. Cesarz który nie miał na razie nikogo innego, powtórzył swój rozkaz, i wówczas Benedeck poświęcił się. Zażądał aby mu dano za naczelnika sztabu generała Johna który razem z nim walczył we Włoszech; ale John który jeden tylko był obznajmiony z teatrem wojny na południu, nie mógł opuścić arcyksięcia Alberta. Benedeck musiał się zadowolnić generałem Krismanicem który posiadał daleko więcej zarozumiułości niż zdolności. Krismanic dowodził że ma genyalne plany strategiczne; plany te jego poprowadziły armię do zguby. Na pierwszą wiadomość o porażce, cesarz został jakby tknięty apoplekcyą; ale było to tylko zemdleniem. Silne zdrowie Franciszka Józefa wzięło górę. Po rozczarowaniu na polu walki, przyszło i rozczarowanie na polu polityki. Ileż nauki i goryczy zawierają jego dwadzieścia ośm lat panowania! Franciszek-Józef nieraz musi pomyśleć o cynicznych słowach Bismarcka: „Głupcy utrzymują że tylko kosztem własnego doświadczenia nabywa się wiedzę... Co do mnie to starałem się ją nabywać zawsze kosztem cudzym.“

Nieszczęście Austryi tkwi w tem że nigdy nie miała człowieka prawdziwie wyższego. Przejrzyjmy karty jej dziejów od roku 1848:—ani jednego wielkiego męża stanu, ani jednego wojownika.

Jeden admirał Tegetthof miał w sobie najwięcej materyału na bohatera, ale był on za nadto szorstki aby się mógł osobiście podobać, i umarł za wcześnie. Gdyby obok Franciszka-Józefa stanął był drugi książe Eugeniusz, to Franciszek Józef byłby największym z cesarzów austryackich bo zniósłby Prusy.

Pomiędzy jego ministrami był wprawdzie jeden człowiek który obok niezaprzeczonego talentu posiadał silną wolę: Schmerlig; ale tego zgubiły intrygi. Upadek Schmerlinga był o tyle ważnym ciosem dla Austryi ile że to był jedyny minister stojący po nad waśniami stronniczemi, i prawdziwy patryota.

Inni ministrowie—przeszli oni wszyscy jako kondukt żałobny,—byli przedewszystkiem naczelnikami partyj, dla których bodźcem do działania była tylko ambicya i interes osobisty.

Upadek jeden po drugim, ciągłe wahanie się, próbowanie wszystkich możliwych systemów, oto bilans Austryi! Wieczna walka człowieka przeciw przeznaczeniu. To też wzrok jakim Franciszek-Józef obejmuje przeszłość Twego państwa, jest smutny i pełen rezygnacyi. Nie wierzy

on już ani sobie ani drugim. Widział jak własne jego przekonania runęły jedne po drugich, na podobieństwo kamieni murów starej fortecy której nieprzyjaciel przełamał fundamenta. Ustępował on wprawdzie, ale robił to z niechęcią, cofając się; dzisiaj jest on konstytucyonistą w zasadzie; ale nie jest on nim w rzeczywistości. Znosi swoich ministrów tak jak więzień znosi dozorców. Franciszek-Józef jest więźniem konstytucyi.

Ale pośród tylu rozczarowań, cierpień i przykrości, cesarz zachował jak zresztą tak pięknemu charakterowi przystało,—całą słodycz i dobrotliwość jakiemi go natura obdarzyła. Austrya byłaby się już dawno rozpadła gdyby nie miała Habsburgów. Bardzo trafnie powiedziano o Franciszku-Józefie że nie popadł w nieszczęście ale się do niego wzniósł. Rzeczywiście postać tego króla o rozdartym płaszczu dla którego życie było Kalwaryą, jest wielka.

Historya kiedyś odda mu sprawiedliwość.

Pośród trosk i niepokojów o jutro, żyje on jako uczciwy ojciec rodziny i dba o wychowanie swych dzieci. Kocha literaturę, muzykę, sztuki. Jego biblioteka prywatna znamionuje poważne studya. W tym Wiedniu chciwym rozkoszy, żyje on jako sumienny urzędnik. Do teatru chodzi rzadko, jakkolwiek lubi bardzo operę. Wieczorem kiedy Wiedeń zaczyna depiero żyć, on udaje się już na spoczynek; latem i zimą wstaje codziennie o godzinie piątej rano.

Po odbyciu modlitwy, wypija na śniadanie filiżankę kawy ze śmietanką i czytając potem depesze i raporta, wypala jedno cygaro Wirginia. O godzinie jedenastej przynoszą mu talerz rosołu, poczem pracuje dalej aż do obiadu który jada razem z całą rodziną. Gabinet cesarza mieści się pomiędzy jego sypialnią a salą obrad. W sali tej stoją biusta marmurowe ojca, arcyksięcia Franciszka-Karola, i matki, arcyksiężniczki Zofii, oraz arcyksięcia Karola, marszałka Szwarcenberga, i wisi portret księcia Feliksa Szwarcenberga, umarłego, w roku 1852, który przy wstąpieniu młodego cesarza na tron, był pierwszym jego ministram i podporą.

Ministrów mianuje sam cesarz, prezyduje naradom gabinetowym, proponuje i ogłasza ustawy, oraz ma prawo łaski. W nieobecności cesarza, hrabia Andrassy jako minister spraw zagranicznych i domu cesarskiego, może jeden tylko prezydować w gabinecie; jest on odpowiedzialny tak samo jaki minister wojny i minister ogólnych finansów, przed sejmami obu połów monarchii, Cislejtanii i Translejtanii. Gabinet madżiarski rezydujący w Peszcie, przedstawia u dworu jeden z jego członków; dwóch ministrów zajmuje się wyłącznie sprawami Kroacyi i Galicyi.

Franciszek-Józef jest dzielnym jeźdzcem; trzeba go widzieć jak się konno uwija pośród tumanów kurzu i przy dźwiękach orkiestry na czele kolumny wojska. Wówczas chudzają się w nim uśpione in-

stynkta bojowe: zdawałoby się że chce biedz pod mury Raabu, Comorny lub na pola Solferino gdzie się bił jak prosty podoficer. Lubi on obóz i manewra; jest to zarazem najlepszy obywatel Austryi i najlepszy jej żołnierz.

Franciszek-Józef jest zapalonym myśliwym; goni on po skałach i parowach dzikiego kozła z zapamiętałością tyrolskiego górala.

Latem dwór przenosi się do Schönbrun, Laxenburgu, Gödölo pod Pesztem i do Ischl.

W okolicach tych miejscowości widzieć niaraz go można, ubranego w góralską bundę, z kijem w ręku, jak się przechadza po wioskach poblizkich i rozmawia z wieśniakami. W Ischlu, wieczorem cała cesarska rodzina jeździ czółnem po jeziorze; na tych wodnych przechadzkach cesarzowa gra na cytrze, tej alpejskiej gitarze, którą w modę wprowadziła w Wiedniu i Peszcie. Cesarzowa jest skończoną artystką; maluje i gra bardzo dobrze. W pierwszych latach swojego panowania zapełniała całe albumy karykaturami dworaków których nienawidzi. Ztąd też powstało sporo ukrytych lecz zawistnych niechęci. Niemcy jej wyrzucają jej pociąg ku węgrom i koniom. W Wiedniu mają jej za złe np. że często wizytuje wcale niespodzianie zakłady dobroczynne, bez anonsowania się. Zarzucano jej nawet że była złą matką, jej, co by właśnie mogła służyć za wzór matek. Wiadomo przecież jak ona kochała swoje

dzieci i jak dla nich poświęcała dworską etykietę.

Jedna z jej córek arcyksiężniczka Gizella, zaślubiła księcia Leopolda Bawarskiego. Arcyksiężniczka Marya-Walerya, ma obecnie lat dziewięć. Arcyksiąże Rudolf, następca tronu, dopiero co doszedł do pełnoletności. Z tej okazyi, podług zwyczaju, odprawione zostało ceremonyalne nabożeństwo w kaplicy zamkowej, poczem generał Latour, guwerner księcia, złożył swoją dymisyę w ręce cesarza. Młody książe de Bombelles, były kapitan statku, jeden z najlepszych przyjaciół Maksymiljana, został wówczas przydany do boku następcy tronu.

Parę tygodni temu, książe cesarski był w Monachium gdzie król hanowerski który jest najoryginalniejszym z królów i zarazem królem oryginałów, wydał na jego cześć zabawę w swoim ogrodzie zimowym. Olbrzymie klosze szklanne błyszczały jak meteory a ogromnych rozmiarów sztuczna gwiazda rozlewała purpurowe promienie światła dokoła. Ludwik II zaprowadził swojego gościa na wzgórze na którem zastawiony był stół potrawami i owocami Wschodu. Na około ukryci w krzakach muzykanci wykonywali utwory Wagnera: potem roztworzyły swoje kielichy ogromne nenufary z których wyszły bajaderki i zatańczyły „Taniec gwiazd“ kompozycyę samego króla Ludwika.

Książe następca tronu austryjacki jest skończo-

nym sportsmanem i również miłuje myśliwstwo jak i jego ojciec. Dobroć i intelligencya malują się w wielkich jego jasno niebieskich oczach; podobny jest zupełnie do cesarza.

Szkoła w której został wychowany była ciężką; kto wie? może ojciec poświęcił się dla syna!

XIII.

Niedziela w Wiedniu. — Kościoły.—Publiczność. — Wiedeń jako stolica muzyki.—Gluck i Marya-Antonina.—Mozart.—Namiętność muzyczna.—Dynastrya Strausów.

Jeżeli nie ma nic nudniejszego nad niedzielę tak jak ją obchodzą w Londynie, to znów nie ma weselnej niedzieli nad niedzielę wiedeńską: fabryki i magazyny są zamknięte, wszędzie praca jest w zawieszeniu, miasto ma świąteczną minę, spotyka się tylko ludzi po świątecznemu ubranych. Po obiedzie wszyscy mieszkańcy zamykają drzwi na klucz i biegną uczcić ten dzień radosny ku wielkiej uciesze cukierników i restauratorów. Przez cały dzień słyszy się tylko odgłos dzwonów i brzęk szklanek, wspólny koncert organów i szczęku talerzy, psalmy i piosnki. Mimowoli nasuwa się na myśl że to miasto leży u wrót Wschodu i Italii.

Ceremonye religijne są dla Wiednia widowiskiem: idzie się tam do kościoła tak jakby się szło na pora-

nek muzyczny; dzienniki sobotnie zamieszczają zawsze z wielką starannością program śpiewów na niedzielę po wszystkich kościołach.

— W kawiarniach, w sobotę, ileż to razy słyszałem następującą rozmowę:

— Gdzie pan będziesz jutro mszy słuchał?

— Jeszcze nie wiem. Hej! garson! podaj no mi „Pressę“!

Garson przynosił żądaną gazetę; wiedeńczyk po przejrzeniu rubryki teatrów i koncertów, odpowiadał:

„Ah! to baronowa von W... śpiewa u Augustyanów *Sanctus*; pójdę do Augustyanów...

W dworskiej kaplicy, w kościele Augustyanów i u Minoritów, mają miejsce najpiękniejsze spiewy: wykonywają tam wielkie utwory klasycznego repertuaru, arcydzieła mistrzów; to też w Wiedniu każdy mieszkaniec ma *swój* kościół tak jak wybrany przez siebie teatr, a każdy z kościołów posiada swoją specyalną publiczność, właściwą sobie fizyognomię, tradycyę muzykalną. Do Augustyanów schodzą się pobożni w białych rękawiczkach i jedwabnych sukniach; są to zwykli goście z Opery, prawdziwi amatorowie muzyki: idą oni tam aby usłyszeć offertoryum lub też *Glorja* odśpiewane przez baronową Z... lub pannę B... z opery, przy akompaniamencie fleta pana F... Na niektórych uroczystościach, chóry wypełniają najpierwsze damy arystokracyi. Jak tylko się solo zaczyna wszystka publiczność odwraca się od Pana Boga bez

najmniejszego skrupułu i patrzy na "divę," która się zawsze tak umieszcza na chórze aby widziano jej piękne crzy i ramiona. Zdawałoby się że to nie kościół; tu i owdzie dają się słyszyć: „brawo, brawissimo!" niekiedy i „sehr gut." Słuchacze biją takt rękami i nogami są i tacy którzy akompaniują półgłosem. Raz słyszałem nawet jak jedna niemłoda już pani zawołała na cały głos; „Ah! jak to pięknie odśpiewane!" Dla dokończenia obrazu brak tylko ludzi coby cygara palili. Skoro tylko panna ...X wykonała ostatnią swoją ruladę, a pan V... dmuchnął po raz ostatni w swój flet, wszyscy wychodzą z kościoła, a ksiądz pozostaje sam jeden u stopni ołtarza.

Zwiedziłem prawie wszystkie kościoły w Wiedniu, i wszędzie widziałem jedno i to samo. Chciałem w końcu zobaczyć kościół Staro-katolików. Objaśniono mnie że staro-katolicy nie mają kościoła a tylko kaplicę, która się znajduje na dziedzińcu Ratusza. Pobiegłem tam. Ksiądz był na kazalnicy; długa czarna broda spływała mu na piersi, miał minę poważną. Wnętrze tej kaplicy podobne jest do wszystkich kaplic innych kościołów; świece były zapalone, przed ołtarzem a raczej przed stopniami ołtarza wisiała lampa, ołtarz świecił się od złota i kwiatów. Po kazaniu panna Krause odśpiewała hymn do Matki Boskiej, potem pan Grün z panną Wasahlo wykonali duet. Szepty ukon-

tentowania dały się wówczas słyszeć po całej kaplicy; tuż obok mnie usłyszałem następującą rozmowę: „Piękny głos, co?“—Oh! bardzo piękny!“ — Pan Grün ma niezwyczajny bas.“—Pani Wasahlo posiada prześliczny alt.“ Słuchacze zaśpiewali potem chórem i wyszli z kaplicy składając na tacy kwestarza jałmużnę.

Tę kościelną publiczność można widzieć potem, po południu, zebraną w całym komplecie, w Musikvereinie, w Kursalu, w Sali-Kwiatów, w Ogrodzie popularnym; grają tam różne orkiestry cywilne i wojskowe, gra także Edward Strauss.

Niektóre wojskowe orkiestry są znakomite; są pułki na których chorągwiach widać zawieszone medale otrzymane na konkursach orfeonistów.

Wiedeń był zawsze w Niemczech synonimem muzyki; atmosfera która otacza to miasto jest tak melodyjną, ma w sobie tyle wdzięków że Wenera z wysokości sfer w których panuje, z pewnością musi odróżniać, po szczególnych jej wibracyach, punkt gdzie stoi Wiedeń owa stolica muzyki.

Jest to zresztą jedyna narodowa austryaków sztuka. Nie żądaj od Austryi ani wielkich wojowników, ani znakomitych mężów stanu, ani mówców; ale możesz od niej zażądać muzykantów, bo muzykańci najzupełniej temu narodowi wystarczają.

Historya muzyki wiedeńskiej zawiera cztery wielkie epoki: epokę Haydna i Mozarta, Beethovena

i Schuberta, Litza i Thalberga i epokę współczesną (rok 1845—1869) którą nazwano „Renesansem muzycznym“

Jeszcze przed siedmnastem stuleciem, na dworze wiedeńskim odbywały się zbiorowe muzyczne produkcye; muzyka nasamprzód była tam sztuką leżącą w obrębie prorogatyw arystokracyi. Magnackie rodziny Szwarcenbergów, Lichtensztejnów, Thunów, Lobkowitzów, Kińskich, posiadały swoje własne orkiestry które grywały podczas obiadu i wieczorem przy grze w karty. Haydn napisał większą część swoich melodyj instrumentowanych dla orkiestry Esterhazego a najpierwszą swoją symfonię dał orkiestrze hrabiego Morzin.

W roku 1705, kaplica dworu liczyła pięciuset muzykantów, Marya-Taresa lubiła namiętnie muzykę i córkę kazała uczyć na fortepianie samemu Gluckowi.

Uczennica stawszy się później królową Francyi, kazała wystawić w roku 1774, „Iffigenię“ Glucka. Na miesiąc przedtem, stary mistrz, przechadzając się pod cieniem lip Wersalskich, tak się zadumał nad swojem dziełem, że nie spostrzegł jak zamknięto ogród; patrol nocny zaaresztował go i zaprowadził na odwach.

— Cóż pan tam robił?—spytał go sierżant.

— Przechadzałem się.

— O tak późnej godzinie nikt się po Wersalu nie przechadza; brama już jest zamknięta; paneś był w dworskim ogrodzie.

— No tak, ale zaprowadźcie mnie do królowej i wszystko się wyjaśni.

— Do królowej! patrzcie no go! Jak on to sobie mówi!—zawołał sierżant. To waryat!

Gluck wówczas zaczął wołać na pomoc. Marya Antonina która wówczas przypadkiem przechodziła przez jedną aleję ogrodu, usłyszała ten głos który jej się zdawał znajomym.

— Mój biedny Gluck!—zawołała przybiegłszy, poznając artystę i natychmiast rozkazawszy go puścić, poprowadziła do swoich apartamentów.

Kiedy się sami znaleźli, królowa wzięła swojego dawnego nauczyciela za ręce i rzekła: „Mój ty stary przyjacielu, dla czegóż to nie odwiedzasz mnie już wcale?“ Gluck opowiedział jej wówczas walki jakie staczać musiał z niechętnymi nieprzyjaciołmi, swoje cierpienia moralne, upadek sił i energii.

— Drogi mistrzu,—rzekła Marya-Antonina,—jakżem szczęśliwa żeś mi się odnalazł! Wszystkie twoje męki już się skończyły; jutro intendent opery otrzyma rozkaz przyjęcia twojej Iffigenii..

Pierwsze przedstawienie dzieła Glucka miało rzeczywiście miejsce w miesiąc potem, i piękna ta muzyka wywołała powszechny entuzyazm. Marya-Antonina uradowana tryumfem swojego nauczyciela, po-

prosiła go do swojej loży, by mu ofiarować wieniec laurowy, ale Gluck przygnębiony tylu wrażeniami, przybył chwiejąc się, przed królowę i zobaczywszy na jej szyi kolie z rubinów, zaczął wołać jakby nieprzytomny: „Ocalcie królowę! ocalcie królowę! widzę krew, krew!“ poczem upadł na fotel bez zmysłów. Marya-Antonina zerwała z szyi naszyjnik który jej nauczyciel wziął za krew—tak jakby w przyszłości czytał.

Kilku cesarzy austryackich zajmowało się kompozycyami muzycznemi. Ferdynand III napisał *Miserere* które zachowują w wiedeńskiej bibliotece; Leopold I i Karol VI pozostawili także partycye.

Mozart debiutował po raz pierwszy na dworze wiedeńskim. Umarł też tam dnia 5 Grudnia 1791 roku, na posadzie dyrektora kaplicy cesarskiej, w chwili kiedy kończył już właśnie pisać swoją sławną mszę *Requiem*, którą odegrano na jego pogrzebie. Kiedy go ojciec przywiózł z Salzburga do Wiednia, miał on wowczas lat siedm; stanęli w hotelu pod ,,Białym wołem“ a po małego mistrza przybył powóz dworski. Marya-Teresa i cesarz Józef czekali na niego, siedząc obok siebie ne kanapie. Mozart pobiegł wprost do cesarzowej, wdrapał się jej na kolana, a obejmując ją za szyję, pocałował mówiąc: ,,Moja cesarzowo, ty jesteś najpiękniejszą kobietą jaką kiedy widziałem!“

Marya-Teresa popieściła śmiejąc się, dziecko które w swojej naiwności i niewinności, powiedziało jej tak pochlebny komplement.

— No, kochany Wolfgangu, rzekł cesarz,—zagrasz nam coś bardzo ładnego na fortepianie; cesarzowa będzie ci przewracać kartki.

— Bardzo dobrze odpowiedział Mozart,—ale cesarzowa nie będzie tak zręczną: trzeba zawołać Wagenseila który się lepiej zna na rzeczy.

Cesarz posłał po Wagenseila, dyrektora dworskiej kaplicy; Mozart zasiadł do fortepianu i zagrał jedną z mniejszych sztuk, które już wówczas komponował i tak dobrze a przyjemnie dla ucha egzekwował.

Marya-Teresa, arcyksiężniczki które były temu koncertowi obecne, i cesarz, obsypali go pochwałami.

— Walfgangu,—rzekł Franciszek, — aby grać wszystkiemi palcami, potrzeba wielkiej wprawy, ale gdybyś ty zagrał jednym palcem i na zakrytej klawiaturze, to powiedziałbym że jesteś małym czarownikiem.

Mozart zakrył klawiaturę i zagrał jednym palcem, bardzo pięknie i z wielką zręcznością.

— Brawo, brawo! — zawołał cesarz. — Będzie z ciebie kiedyś wielki artysta, ja ci to powiadam.

Gdy się koncert skończył: obie arcyksieżniczki Karolina i Marya, poprosiły matkę aby im pozwoliła oprowadzić małego muzykanta po apartamentach pa-

łacu; wzięły obie, Mozarta za ręce i wydając radosne okrzyki, pociągnęły go z sobą.

— Gdybyśmy zagrali w ciuciubabkę? — rzekła Antonina kiedy się dzieci same w salonie znalazły.

— A dobrze, zagrajmy! — zawołał mały Wolfgang,—zawiążcie mi oczy.

Marya-Antonina wyjęła chustkę z kieszeni i zawiązała mu ją dokoła głowy. Ale Mozart nie był przyzwyczajony do froterowanych posadzek, to też pośliznął się prawie zaraz, upadł na nos i zaczął płakać! Karolina zaczęła się śmiać; Antonina zaś podniosła z ziemi małego muzykanta, otarła mu łzy i pocałowała go; wówczas, chłopak, z oczami pelnemi łez wdzięczności i uwielbienia, rzekł poważnie do małej arcyksiężniczki:

— Antosiu ty jesteś dobra i masz bardzo ładne serce, czy chcesz być moją żoną?

Małą arcyksiężniczkę tak zachwyciła ta propozycya, że pobiegła natychmiast do pokoju swej matki, wołając: „Mamo, mamo! Mozart chce się ze mną ożenić; ah! jak to będzie ładnie!“

— Patrzajcie go!—rzekła śmiejąc się cesarzowa, chłopak ma niezły gust; to by była niezła dla niego partya; przyprowadź że tu twojego narzeczonego.

Za chwilę oba dzieciaki stanęły przed Maryą-Teresą, trzymając się za ręce.

— Dla czego to, mój mały, chcesz się żenić z Antosią? —zapytała cesarzowa;—Karolcia jest przecież także dobrą dziewczyną.

— Ja nie chcę Karolci za żonę! — odparł żywo Mozart,—bo to ona jest powodem że upadłem; i potem śmiała się jeszcze ze mnie; Antosia to ma dobre serce, bo mnie pocieszała.

— Teraz to już wiem dlaczego nie chcesz Karolci, a wolisz Antosię; ale kochany mój chłopcze, aby się ożenić z arcyksiężniczką, trzeba mieć ładne ubranie.

Dzieciak schylił smutno główkę; potem prostując się, rzekł:

— A gdzież ja wezmę tak pięknego ubrania jakie noszą książęta? Ja jestem biedny; Antosia musi mnie wziąść tak jak jestem.

— Ale ja nie wiem czy cię będzie chciała, zapytaj się jej.

Mozart zwrócił się do Antoniny, wziął ją za ręce i rzekł głosem błagalnym: „Nie prawdaż że mnie weźmiesz tak jak jestem?“

— Oh! tak, wezmę, wezmę! ciebie a nikogo innego!—zawołała mała arcyksiężniczka, całując go.

Ta piękna scena wzruszyła cesarzowę aż do łez, ale śmiała się aby ukryć wzruszenie.

Nazajutrz rano, kareta złocona zatrzymała się przed „Białym wołem,“ z karety wysiadł szambelan i wręczył Mozartowi od cesarzowej, przepyszny kostium, tak że za parę godzin, Antosia ujrzała swojego narzeczonego w koronkowych żabotach, jedwab-

bnych pończochach, trzewikach złoconych, kapeluszu pod pachą i szpadą u boku.

W Wiedniu umarł również Beethoven, król symfonii..

Pewnego dnia, Beetoven wszedł do restauracyi, zasiadł za stolikiem i zamyślił się. Trwało to tak godzinę. Nagle zbudzony ze swoich snów zawołał na garsona. Ile jestem winien? zapylał. Ależ pan nic nie jadł, Ah! prawda!" I mistrz zamyślił się na nowo. Scena ta powtórzyła się parę razy. W restauracyi wszyscy byli przekonani że to waryat, Beethoven tymczasem komponował symfonię.

Król pruski, wielki skąpiec, zamówił u niego mszę; intendent króla rzekł do Beetho vena: „Możesz pan za to wybrać albo pięćdziesiąt dukatów, albo krzyż." Biorę pięćdziesiąt dukatów — odpowiedział Beettoven.

W Wiedniu entuzyazm do muzyki dochodzi aż do fanatyzmu; to też w gorącej i namiętnej jego atmosferze żyło i rozwinęło się najwięcej talentów muzycznych. Zapoznane geniusze mają tam zawsze schronienie; biust Wagnera króluje w Nowej Operze, i Wiedeń jest jedynem miastem wraz z Monachium i Bayreuthem, gdzie grano prolog tetralogii Niebelungów, *Walkirię.*

Publiczność wiedeńska nadaje kompozytorom i muzykantom ostateczną konsekracyę tak jak Rzym ją dawał kiedyś malarzom a Paryż daje pisarzom.

Meyerbeer po kilka razy przybywał do Wiednia gdzie był napisał, w czasach swej młodości, pierwszą operę, w guście włoskim. Próbami *Proroka* on sam dyrygował. Berlioz w Wiedniu zrobił furorę; publiczność chciała go ponieść w tryumfie. Raz gdy orkiestra pod jego wodzą, odegrała z ogromnem powodzeniem głośną jego symfonię „Przekleństwo Fausta“ jakiś rozentuzyazmowany amator, wskoczył na estradę i chwycił jego batutę.

Berlioz zobaczywszy to, zatrzymał amatora za połę od surduta.

— Panie, — rzekł do niego, — ja mogę ofiarować komu moją batutę, ale nie pozwolę na to aby mi ją zabierano.

Dyletant-fanatyk, na takie powiedzenie, wydobył z bocznej kieszeni surduta, gdzie był już ją schował, batute i oddał ją Berliozowi z uśmiechem na ustach ale cały zmięszany.

— A teraz, panie — rzekł Berlioz, — podając mu batutę, — zechciej ją przyjąć na pamiątkę odemnie.

Wiedeńczyk chciał go po rękach całować, ale Berlioz wykręcił się na pięcie i odszedł.

Ta melomania posuwa się nawet tak daleko że wielu wiedeńczyków pisuje listy na papierze poliniowanym jak do muzyki.

Litz chciał wiedeńskiej publiczności po raz ostatni się okazać.

„Z pomiędzy wszystkich sztuk pięknych—pisała pani de Stael, wiedeńczycy najwięcej cenią muzykę: rodzi to nadzieję że kiedyś będą poetami; gdyż pomimo gustu nieco prozaicznego, kto kocha muzykę jest entuzyastą sam o tem nie wiedząc, zatem unosić się będzie nad wszystkiem co ją przypomina.“

Melodya Beethovena wzruszy do łez wiedenkę najmniej wykształconą, taką nawet która nigdy o wielkim mistrzu nie słyszała.

Muzyka jest dla wiedeńczyka namiętnością i uciechą; dla włocha stanowi zmysłowość; dla francuza zabawę; dla anglika zaspokojenie próżności. Ktoś powiedział że „na operze, francuzka otwiera oczy; niemka nadstawia ucha; włoszka otwiera serce; angielka usta; bo francuzka idzie słuchać muzyki dla pokazania swoich ramion; niemka dla swojej własnej przyjemności; włoszka dla swego kochanka; angielka za pieniądze.“

Ja dodam do tego, że wiedenka otwiera swoją duszę, oddaje się cała demonowi symfonii.

Obok muzyki poważnej, istnieje w Wiedniu muzyka żywa, lekka, łatwa, elegancka, dowcipna, skacząca i iskrząca się; jest to już miejscowy produkt; uosabia go zaś Strauss.

Straus! To czarodziejskie imię! Przy dźwiękach jegó muzyki tańczą dwór i koszary, wieś i miasto, nóżka obuta w jedwabne pantofelki i noga wieśniaczki, tańczą czarodziejki i niańki. Jest to muzyka przy-

stępna dla wszystkich a oryginalny i popularny charakter nadał jej sławę powszechną. Walce Straussa rozlegają się w najwięcej oddalonych zakątkach świata, w Ameryce, Australii i Chinach gdzie budzą ze snu echa wielkiego muru.

Ale co warto zobaczyć to samego Straussa kiedy dyryguje orkiestrą. Raz słyszałem na koncercie, młodą wiedenkę, szesnastoletnią dziewczynę, jak w patrując się w Straussa zawołała: „Ah! jest on piękny jak Bóg!“

Ci Straussowie stanowią prewdziwą dynastyę królów muzyki. Są oni zdaje mi się pochodzenia hiszpańskiego; w ich fizyognomii nie ma nic niemieckiego: mają oczy czarne, włosy czarne, cerę śniadą, są szczupli i muskularni.

Johann Strauss, — założyciel dynastyi — urodził się w Wiedniu 14 marca 1804 roku, w oberży którą jego rodzice utrzymywali na przedmieściu Leopolda. Kiedy wędrowni muzykanci przychodzili grać do oberży, mały Johann ukrywał się pod stołami aby lepiej słyszeć; a po ich odejściu naśladował skrzypce pociągając kijkiem po szczapie drzewa którą przyciskał pod brodę. W wigilię jego imienin, ojciec się go zapytał co mu kupić. „Ojcze, czy chcesz mi zrobić wielką bardzo przyjemność, tak wielką że cię zawsze będę słuchał?“

— Dobrze rzekł ojciec, czego więc chcesz?

— To mi kup małe skrzypce.

Skrzypce zostały kupione! co za radość! Dzieciak skakał do góry przez cały dzień. Te skrzypki to były dla ptaka skrzydła. Malec po kilku próbach powtórzył wszystkie arye które słyszał; w oberży nazywano go już „małym muzykantem.“

W tym samym czasie, francuzi pojawili się po raz drugi pod Wiedniem: bombardowanie jeszcze się nie rozpoczęło, a już mieszkańców ogarnęła panika; każdy chował co tylko miał kosztowniejszego. Mały Strauss, idąc za przykładem rodziców, zakopał swoje skrzypki w piwnicy, ale malec nie mógł długo wytrzymać bez drogiego sobie towarzysza, i pierwsi żołnierze francuzcy którzy weszli do oberży, zastali siedzącego na stole chłopca, grającego walca. Przyszli oni z zamiarem nie koniecznie poszanowania cudzej własności, ale dzieciak ułagodził ich swoją muzyczką; nie zabrali nic i zapłacili za wódkę. Potem przyszli grenadyerzy o sumiastych wąsach, i każdy z nich pocałował małego muzykusa, a kapitan, klaszcząc w ręce zawołał: „Co za talent w tym małym urwisie! gdyby był w Paryżu wyszedłby na wielkiego artystę!“

Kiedy francuzi opuścili Wiedeń, stary Strauss rzekł pewnego dnia do syna: „Twoja obecność jest już niepotrzebna w oberży; czas już abyś poszedł do rzemiosła. Do czego masz ochotę?“

Dzieciak przestraszony słowami ojca nic nie od-

powiedział; cały drżał. Ach! gdyby miał dosyć odwagi, ale on się tak bał swojego ojca!

— No, rzekł ten ostatni, zrobimy z ciebie introligatora; jużem ułożył wszystkie warunki, w przyszłym tygodniu rozpoczniesz termin.

Introligator do którego oddano małego Johana, był w swojej profesyi fanatykiem: po nad introligatorstwem nic już nie widział: introligatorzy, podług niego, mieli świętą misyę do spełnienia na tym świecie, a w przyszłym czekały ich za to sowite nagrody.

Posadziwszy Johana przed garnkiem z klajstrem majster rzekł: „Słuchaj mały: dla pisarza drukarz co prawda robi wiele, bo jego dzieło drukuje, ale tego co pisarz napisał nikt by nie czytał, gdyby nie było introligatora. Książka pozostałaby nagą; introligator ją ubiera!“

Nowy uczeń nie bardzo słuchał tych pięknych rzeczy; myślał on o swoich skrzypcach. Zabroniono mu się ich dotykać, nawet po skończeniu roboty. Mały Johan wziął na cierpliwość jak to mówią, spodziewając się że odbije to wszystko w niedzielę, ale introligator który nie był kontent z jego roboty, i do niedzieli zastosował swój zakaz.

— Jesteś pan tyranem! — zawołał wowczas Johan oburzony; — ja introligatorem nie będę, żegnam pana!

I nim majster mógł ochłonąć ze zdumienia w ja-

kie tak rewolucyjna mowa była go wtrąciła, dzieciak porwał za skrzypce i uciekł.

Ale gdzie tu się udać? Powrócić do ojca,—niepodobna; odprowadził by go on natychmiast do majstra. Pobiegł więc prosto przed siebie, na chybi trafi, gdzie go Bóg poprowadzi; przebiegł okopy i znalazł się na drodze do Doebling. Poranek był przepyszny, ptaki świergotały radośnie pośród drzew pokrytych kwiatem, słońce jaśniało tysiącem blasków. Mały Johan zasiadł na małem wzgórku, pod cieniem kilku lip kwitnących, i wydobywszy drogie swoje skrzypki z pod surduta, zaczął grać wszystkie arye jakie tylko umiał; gdy się ten jego repertuar wyczerpał, zaimprowizował sam kilka aryjek muzycznych jakie mu się po głowie plątały i spostrzegł wówczas że skrzypki odpowiadały jego myślom jakby głos przyjaciela.

W kieszeni miał kawałek chleba; zjadł go i popił wodą ze strumienia opodal płynącego; tego suchego kawałka chleba i tej wody nie byłby wówczas oddał za królewską ucztę. W końcu słońce znikło, noc zapadła, a on siedział jeszcze na wzgórzu pod lipami i ciągle grał: zasnął w końcu, przyciskając do serca swoje skrzypki; we śnie zdawało mu się że słyszy przecudne melodye muzyki serafinów. Była to muzyka wolności!

Nazajutrz kiedy oczy otworzył, ptaki już śpiewały, jaskółki szybowały w powietrzu, słońce znów jaśniało jak wczoraj; tylko ta była różnica, że przed

nim stał jakiś człowiek nieznajomy i przypatrywał mu się ciekawie.

Mały muzykant zląkł się i chciał uciekać.

— Cóż to, nie poznajesz mnie Janku?—zapytał nieznajomy.

Głos ten niebył dla malca obcym; przypomniał on sobie wówczas że widywał tego pana w oberży u ojca. Opowiedział mu więc swoją historyę.

— Tylko mnie pan nie zdradź! mój drogi panie bo by mnie napowrót do tego paskudnego majstra zaprowadzono.

— Nie lękaj się, nie zdradzę cię. W Doebling, w domku gdzie mieszkam, znajdzie się dla ciebie miejsce,—rzekł na to wszystko pan X.—chodź tylko ze mną chłopcze; nikt cię tam nie znajdzie, a grać sobie będziesz mógł na skrzypcach po całych dniach.

Johan uchwycił podaną mu tak szlachetnie przez tego opatrznościowego protektora rękę i w godzinę potem, był już zainstalowany w małym pokoiku którego okno otwierało się na ogromny i pełen ciszy, ogród. Pan X. pojechał zaraz do Wiednia aby uspokoić ojca Straussa co do losu syna.

Co do introligatora, to miał on za swoje: wszystkie baby i przekupki z sąsiedniego targu zaczęły wołać że tak pobił małego Janka iż ten z desperacyi utopił się w Dunaju!

W końcu były uczeń introligatorski powrócił do rodzicielskiego domu, a pan X. jego protektor, za-

prowadził go do sławnego skrzypka, Polyschańskiego, który wysłuchawszy gry malca, zgodził się mu dawać lekcye. Mały Strauss, znalazł niedługo zajęcie u dyrektora kapeli, Pamera, potem, przyjął go Lanner do swojej orkiestry.

Wówczas nie było jeszcze w zwyczaju aby publiczność płaciła wejście na koncerta: młody Strauss z kapeluszem i tacą w ręku, zbierał groszaki. Lanner spostrzegł niebawem w nowym swoim rekrucie, ogromny talent i gorliwość; podczas karnawału w roku 1825, podzielił swoją orkiestrę na dwa oddziały i oddał dyrekcyę nad jednym z nich, Straussowi.

Jednego wieczoru, gdy Johan grał pod „Zielonym drzewem“ gdzie licznie zebrana publiczność, tańczyła z zapałem, drzwi od sieni nagle się otworzyły, i weszła do sali balowej młoda dziewczyna, tak piękna, że młody dyrektor aż się zaczerwienił i już oka z niej nie spuszczał. Młoda dziewczyna odgadując ten wzrok który ją śledził, również spąsowiała.

W tej samej chwili, pękła struna u skrzypiec Straussa, ale on grał dalej i z coraz to większym zapałem bo grał *dla niej*. Powróciwszy do domu, zamiast się spać położyć, zasiadł do stolika i skomponował pierwszy swój walc. Karyera kompozytorska była już przed nim otwarta.

Strauss i Lanner zaprzyjaźnili się szczerze. Lanner był typem wiedeńczyka, hulaki, zawsze wesołego

i bez troski o jutro; był zawsze goły i bynajmniej się długami nie martwił. Strauss i Lanner, często bardzo, mieli we dwóch jedną tylko czystą koszulę; ciągnęli wówczas na losy, i kto przegrywał, musiał zapinać surdut po same uszy, jakieby nie było gorąco.

Strauss odważył się w końcu na obstalowanie sobie fraka.

Ileż to razy krawiec zabierał mu owe ubranie, nim dostał nareszcie swoją należność!

W takich to warunkach, mniej niż świetnych, Strauss ożenił się. Młodość nigdy o przyszłości nie wątpi; zresztą bohater nasz miał prawo wierzyć w swoją gwiazdę!

Kiedy obaj dyrektorowie mieli się już rozłączyć, Lanner kazał swoim muzykantom głosować i tym co chcieli pójść za Straussem, zostawił zupełną swobodę; tym sposobem znalazł się Strauss na czele orkiestry złożonej z czternastu muzykantów. Powodzenie pierwszych jego koncertów, było ogromne. Wiedeń wówczas podzielił się na dwa obozy: *Lanneristów i Straussistów.*

Strauss przedsięwziął niebawem wielką podróż muzyczną po Europie: udał się do Monachium, Hamburga, Amsterdamu, Hagi i nareszcie zjawił się w Paryżu gdzie zagrał w Tuileryach, wobec królewskiej rodziny. Ludwik-Filip podał mu rękę mówiąc: „Znam już oddawna pańskie kompozycye i bardzo się cieszę że poznaję pana osobiście.“ Na-

zajutaz wręczono Straussowi od króla dwa tysiące franków.

Strauss razem z Musardem dał w Paryżu seryę dwudziestu koncertów, poczem pojechał do Rouen i Hawru z kąd znów powrócił do Paryża gdzie w sali Saint-Honoré, podczas maskarady, prowadził orkiestrą złożoną ze stu czterdziestu muzykantów. Cztery tysiące masek tańczyło zapamiętale pod tym jego czarodziejskim smyczkiem.

Meyerbeer i Cherubini przybiegli do Paryża aby go posłuchać. „To bardzo oryginalna muzyka, — rzekł Meyerber, i równej jeszcze nigdzie nie słyszałem; to prawdziwe echo wiedeńskiego życia, życia tak zabawnego i wesołego, pełnego szału i uciech, ten człowiek jest w swoim rodzaju mistrzem.“

Strauss udał się następnie do Anglii gdzie go przyjęto z prawdziwym entuzyazmem; z Anglii powrócił już wprost do Wiednia, gdzie też niebawem i umarł, jeszcze w całej sile wieku i talentu.

Pozostawił trzech synów: Józefa, Johana i Edwarda. Józef przeziębiwszy się w Rosyi, umarł; Johan stał się kompozytorem oper i dyryguje już tylko balami dworskiemi i balami Wielkiej Opery w Paryżu. Jest to w sposobie życia i manierach zupełny francuz; mieszka w Hitzing, pod Wiedniem, wraz z piękną swoją żoną, która kiedyś była jedną z gwiazd opery wiedeńskiej. Gabinet jego jest ume-

blowany na sposób turecki, i stoi w nim olbrzymi fortepian, dar jakiegoś bogatego amerykanina.

Autor *Karnawału Rzymskiego*, *Kagliostra*, *Królowej Indygo*, *Księcia Mathusalema i Cyganki* posiada zachwycającą córeczkę która dziś już jest prawie skończoną artystką.

Edward pozostał wierny swoim wiernym wiedeńczykom i ojcowskim tradycyom; podczas zimy, panuje jako prawdziwy monarcha w Sali Kwiatów, w Kursaalu, w Musikverejnie; ma on zawsze pięć do sześciu orkiestr pod swemi rozkazami, i biegnie powozem z koncertu na bal i z balu na koncert, aby tu poprowadzić uwerturę, tam walca lub polkę. W lecie znów króluje z całę swą orkiestrą w Ogrodzie popularnym; tam to zbiegają się wszystkie piękne wiedenki i tworzą dokoła tego króla walców, prawdziwy dwór monarszy.

XIV.

Teatr.—Hans Vurst.—Teatr Burgu.—Jego repertuar.—Aktorowie.—Teatr miejski.—Teatr-an-der-Wien.—Possy.—Operetka.

Koncerta kończą się zawsze tak wcześnie w Wiedniu, że każdy dokończyć może swój wieczór w teatrze.

Wiedeń liczy ze dwanaście teatrów, które w niedzielę są wszystkie pełne.

Jezuici pierwsi wprowadzili do Wiednia teatr, w którym wychowańcy ich odgrywali sztuki pisane po łacinie; ale teatr niemiecki, jak zresztą w całych Niemczech, zaczął się od farsy. Na początku b. wieku, uciechą Wiedeńczyków był niejaki Hans Wurst, Antoni Stranisky. Urodził się on na Szlązku w roku 1776, i za młodu chodził do kolegium jezuitów w Wrocławiu. On sam pisał swoje sztuki; dyalogi w nich były tak żywe, zabawne, że niebawem autor ich zyskał ogromną sławę i popularność. Stranisky był zarazem dentystą dworu. Umierając zostawił spory majątek. Po Straniskym zjawił się Feliks Curtz, znany pod nazwą Bernardyna; i jego sztuki cieszyły się nie małem powodzeniem. Biskupi i książęta chodzili na jego przedstawienia i cesarz nawet kazał mu nieraz grywać przed sobą. Programy tych widowisk, są wielce ciekawe; oto jeden z nich który mi zakomunikowano w cesarskiej bibliotece:

MIŁOŚĆ W POGONI,

czyli

Okrutna królowa Atalanta,—razem z Hans Wurstem, i komicznym ambasadorem miłości, ciekawym którego oszukują, naiwnym mordercą, chciwym lokajem; oraz dwoma tragarzami którym źle płacą, oskarżonymi których nniewinniają, i żołnierzami dobrze wymustrowanymi.

Drugi znów program Straniskiego, ma tytuł: *Ścięcie sławnego mówcy Cycerona*, przez Hans Wursta.

W sztuce *Nadzwyczajny myśliwy*, Hans Wurst prowadzi następującą rozmowę z kmotrem który go się o zdrowie pyta:—Oj, jakoś niedomagam od czasu jak cię po raz ostatni widziałem: ożeniłem się.—Bardzoś dobrze zrobił.—Nie tak znów jak ci się zdaje, bo moja żona, to nic warta kobita.—Oh! to szkoda żeś się ożenił!—No nie taka szkoda jak ci się znów wydaje, bo mi żona wniosła w posagu 20,000 guldenów.—Prawda, masz się czem pocieszyć.—Nie tak bardzo, bo za te pieniądze kupiłem owce które mi wyzdychały.—Co za nieszczęście! Nie tak znów wielkie jak ci się zdaje, bo za skóry, i wełnę wziąłem akurat tyle ile za owce sam dałem!—W takim razie niceś nie stracił.—Straciłem więcej niż ci się zdaje bo dom w którym były moje pieniądze, spalił się.—Co za nieszczęście!—Przeciwnie mój drogi, bo razem z domem spaliła się i moja żona!

Kłótnie małżeńskie i mężowie oszukani, służą za treść wszystkim tym farsom i błazeństwom. „Ja tylko jedno widziałem dobrane małżeństwo! — woła Stranisky,—małżeństwo doży weneckiego z morzem!“

Te *Hans-Wurstiady*, musiały naturalnie wywołać zgorszenie u anglików; lady Montague, jest oburzona, zwłaszcza kiedy opowiada jak dwóch „komedyantów“ rozbierało się na scenie, i to przed licznie

zebraną publicznością, pomiędzy którą było sporo dam, najwyższego świata; damy te przecież mocno się bawiły widowiskiem.

W roku 1708, Rada gminna zawotowała pieniądze na wystawienie sali spektaklowej; w sali tej przedstawiano sztuki włoskie i francuzkie.

Za panowania cesarza Karola VII, Wiedeń przejął od hiszpanów gust do walk zwierząt. W roku 1755, pewien francuz, Defresne, wybudował olbrzymi amfiteatr drewniany, mogący pomieścić trzy tysiące widzów. Co niedziela odbywały się tam walki byków, psów, wilków i niedźwiedzi. O widowisku oznajmiał zawsze miastu herold ubrany po myśliwsku.

Jednego dnia, niedźwiedź, zdusiwszy kilkunastu psów, rzucił się na publiczność; ale na szczęście, znajdował się w amfiteatrze pluton żołnierzy który niedźwiedzia zabił. W roku 1776 amfiteatr z całą menażeryą spalił się.

Przy wstąpieniu na tron Józefa II, teatr Burgu, otrzymał nazwę teatru narodowego i przedstawiano już tylko w nim sztuki niemieckie. Lessing stworzył wówczas dramat, Goette i Schiller mieli niebawem dać niemcom swoje arcydzieła; ale gust do błazeństw jeszcze nie był przeminął, i autorowie dramatyczni musieli ciągle wprowadzać do sztuk swoich, pantominy. Dzisiaj, najwięcej uczęszczanemi w stolicy są kawiarnie gdzie śpiewki, tańce, i sztuki czarodziejskie wypełniaią spektakl.

Teatr Burgu jest w Wiedniu tem czem w Paryżu Teatr-Francuzki: zachowują tam wszystkie tradycye klasycyzmu; rolę ostatniego komporsa, gra nawet aktor z talentem. Repertuar teatru Burgu jest wielce urozmaicony; ale niestety! brak w nim sztuk oryginalnych, dzisiaj nawet jest ich z dniem każdym co raz to mniej. Jakaż jest tego przyczyna? Przyczyn jest dwie: najprzód, wiedeńscy dyrektorowie teatrów uważają za rzecz daleko korzystniejszą i pewniejszą sprowadzać z Paryża sztuki które wytrzymały już próbę ognia i których powodzenie nie ulega wątpliwości, a powtóre, niemcy nie posiadają geniuszu dramatycznego. W komedyach jest on ciężki i pospolity; w dramacie zastępują akcyę przez deklamacyę. Od czasu śmierci Goettego i Schillera, teatr narodowy niemiecki upada. Najtrafniej, chociaż to już dawno, określiła teatr niemiecki, pani de Stael: ,,Sztuki niemieckie —mówi ona, podobne są zazwyczaj do obrazów starych malarzy: fizyognomie są piękne, poważne; ale wszystkie figury nagromadzone są na jednym planie, zmięszane, ściśnięte, tak jak na płaskorzeźbach. Francuzi słusznie twierdzą że teatr zarówno jak i malarstwo musi podlegać prawom perspektywy.“

W roku 1854, ,,Gladiatorraweński“ Fryderyka Halma, wywołał w Wiedniu ogromny entuzjazm, ale była to tylko chwila. Zapał wkrótce ostygł. Austrya zresztą dostarcza jeszcze Niemcom najlepszych akto-

rów. Bauernfeld zbliżył się w swoich komedyach do żywych i lekkich manier sceny francuzkiej; Mozenthal stworzył w dramacie prawdziwe typy. Benedix napisał sporo ładnych komedyjek. Jego sztukę: *Chwała Bogu, już waza na stole*, przetłómaczono na język rosyjski a Gozlan wprowadził ją na francuzką scenę. Benedixa porównano ze Scribem: nie ma on przecież tej płodności ani inwencyi co francuzki autor, od którego wiele co prawda zapożyczał do sztuk swoich.

Najcelniejszymi autorami dramatycznymi w Wiedniu są Mozenthal, Benedix, Wichert, Alfred Berger, Paweł Lindau, Moser, Wilbrandt i Doczi węgier- który dzisiaj pisze po niemiecku. Doczi jest sekretarzem hrabiego Andrassego.

Jego sztuka, a raczej poemat liryczny, „Pocałunek“ miał niezłe powodzenie. Ale nie jest to sztuka teatralna.

Jak już wyżej powiedziałem, najwięcej grają w Wiedniu sztuk francuzkich; „Cudzoziemka,“ „Niby małżeństwa, Fromont i Risler, Dora, Przyjaciel Fritz“ i t. d., są tu na porządku dziennym.

Najstarszym teatrem po Burgu, jest „Teatr-an-der-Wien.“

Na początku bieżącego stulecia, grano już tam opery, pantominy, dramaty, komedye, wystawiano balety. Dzisiaj przedstawiają operetki wiedeńskie, paryzkie i „farsy lokalne.“

Possa, czyli farsa, jest to jedyny rodzaj oryginalnej dramaturgii jaki posiadają niemcy. Kilka sztuk granych w „Palais-Royal“ jak „Cagnotte“ i „Słomiany kapelusz“ zbliża się nieco do tych bufoneryj w których tańce i śpiewki stanowią główną treść. Jest *possa* wiedeńska, berlińska, monachijska, z typami i dyalektem właściwym każdemu z tych miast. Panna Galmeyer wyrobiła sobie w tym repertuarze błazeńskim taką samą sławę jaką znów panna Walter zyskała w rzpertuarze klasycznym.

Panna Galmeyer jest *enfant teirrble* wiedeńskich dyrektorów; każdy z nich prawie dostał od niej po buzi. Aktorka ta jest prawdziwie czarująca, z kielichem szampana w ręku, z wysuniętą naprzód nogą do kankana.

Jej mina, oczy, giesta huzarskie, są prawdziwym obrazem życia wiedeńskiego któremu przygrywa muzyka Offenbacha.

Tego samego rodzaju aktorkami są panny Gastinger, Meyerhof, Antonina Link, Finale i Meiersberg.

„Karlteater“ którego dyrektorem jest pan Jauner, ten sam który prowadzi zarazem Wielką Operę, jest siedzibą właśnie wszystkich Offenbachiad.

Dzisiaj wszechwładnie panuje w Wiedniu operetka; operetka wiedeńska, to piękna kobieta wygorsowana do zbytku, z podniesioną z boku spódnicą, bi-

noklach na nosie, wyzwaniu w oczach, i... kankanująca.

Pamiętam, po pierwszem przedstawieniu w Wiedniu „Pięknej Heleny“ któryś z dziennikarzy, nowożytny Juwenal, napisał w swojej gazecie: „Tak, oświadczam wszem wobec że wszystkie panny które wracają z przedstawienia Pięknej Heleny, można śmiało zaczepić na ulicy!..“

I nic mu za to nie było; dzisiaj gdyby który dziennik ośmielił się coś podobnego napisać, dano by mu!

O Pięknej Helenie już dziś nikt nie chce nawet i słyszeć; to jest za *skromne*! Obecnie przygotowują dla sceny, *Faublasa!*

Rozpisawszy się nad miarę nad temi wszystkiemi szczegółami, przepraszam za to czytelników, i poprowadzę ich teraz do Opery.

XV.

Początki opery w Wiedniu.—Nowa Opera.—Sala.—Wentylacya.—Dekoracye.—Orkiestra.—Corps de ballet, —Śpiewak Formes. Kulisy.—Sezon włoski.—Patti i wiedeńska publiczność.—Ogólna próba.—Wagner i cesarz Wilhelm.—Wyjscie z Opery.—Opera komiczna.—Kawiarnie teatralne.

W Wieduiu opera poprzedziła komedyę. Pierwszy gmach opery wybudowano w roku 1659 na tem samem miejscu gdzie dzisiaj stoi Biblioteka; pierwszą

zaś operą którą w nim grano; była „Jabłko Złote,“ do której muzykę skomponował Sesti, a w której było dwadzieścia trzy zmian dekoracyjnych oraz dwadzieścia trzy bitw. W dziewiątej scenie aktu pierwszego, Parys pokazywał Junonie galeryę całą wyłożoną brylantami; po prawej stronie sceny, dwóch geniuszów niosło Momusa, a po lewej Minerwa uzbrojona od stóp do głów, wspierała się na tęczy. Na końcu sztuki przedstawiony był Olymp pośród obłoków, a Jowisz z wysokości swego tronu głosił zebranym dokoła boginiom że „jabłko złote“ należy się narzeczonej cesarza, bo ona posiada godność Junony, rozsądek Minerwy i piękność Wenery.

Karol VI był wielkim miłośnikiem widowisk; za jego panowania angażowano do Wiednia pierwszorzędnych śpiewaków którym sprawiano wspaniałe kostiumy. Operę grano nietylko w samym Wiedniu ale i po ogrodach cesarskich pałaców. Lady Montague opowiada że w roku 1716 była na przedstawieniu wielkiej opery w parku cesarskim; teatr zbudowany był na brzegu kanału; w końcu aktu drugiego, ściany w głębi teatru rozsunąły się i widzowie ujrzeli powierzchnię kanału na którym dwie floty mikroskopijnych okrętów pozłacanych, stoczyły między sobą morską bitwę.

Aby módz być obecnym na tych królewskich „ucztach,“ potrzeba było należyć do dworu. Marya-Te-

resa, która posiadała w sobie właściwe instynkta ekonomiczne, chcąc aby śpiewacy nie tak dużo kosztowali, wpuściła na widowisko i publiczność za płatnemi biletami.

W dniu publicznego otwarcia Opery, grano „Semiramidę“ Glucka; poeta Metastasio, przywołany z Rzymu przez cesarzowę, napisał tekst do dwudziestu trzech oper, do których najsławniejsi kompozytorowie dorobili muzykę.

Wkrótce okazało się, że sala była za małą dla pomieszczenia publiczności; wybudowano nową operę po za cesarskim pałacem, ale z kolei i ten gmach okazał się za szczupłym. Wówczas to zadekretowano w Wiedniu budowę Wielkiej Opery na Ringu.

Otworzono ją w roku 1869; gdy publiczność weszła do sali, rozległ się ogólny okrzyk uwielbienia; nigdy jeszcze nie widziano sali tak obszernej, tak pięknej, tak wygodnie urządzonej zarówno dla widzów jak i aktorów. Wszędzie pełno drzwi i drzwiczek, oświetlenie wspaniałe i nie rażące wzroku, wentylacya prawdziwie cudowna. Jest np. komu za gorąco,—daje o tem znać właściwemu urzędnikowi i natychmiast do loży lub pod fotelem na parterze otwiera się kran przez który ciśnie się świeże i wonne powietrze.

Jaką kto chce mieć temperaturę, będzie ją miał; w suterenach teatru są maszyny które rozprowadzają po całym gmachu ciepłe i zimne powietrze.

W zimie przychodzą do opery aby się rozgrzać, w lecie aby się ochłodzić. Twórcą tego znakomitego systemu wentylacyi, który dzisiaj jest już zastosowany do wszystkich wiedeńskich szpitali, jest pan Böhm.

Światła gazowe w sali zapala wszystkie od razu drut elektryczny. Dekoracya, gdzie kolor biały ze złotem się mięsza, jest gustowna i bez przesady; sufit upiększony jest freskami, a nad lożami pierwszego piętra umieszczone są medaliony sławnych śpiewaków. Każda loża ma jedną ścianę lustrzaną, a poprzedza ją salonik. Loża cesarska mieści się po środku teatru; do dyspozycyi cesarza są cztery salony; foyer opery jest tak bogato urządzone, iż podobne jest do sali tronowej. Arcyksiążęta mają dla siebie lożę trybunową. Za wzór budowniczym wiedeńskim służyły wzory i plany teatrów włoskich.

Orkierstra Wielkiej Opery składa się ze stu pięćdziesięciu artystów, z których każdy mógłby zostać solistą; Tepler gra na flecie jak bożek Pan, a Zamara gra na harfie jak sam Orfeusz. Orkiestrę tę, którą dyryguje pan Hans Richter, usłyszy Paryż podczas wystawy. Pan Richter dyrygował orkiestrą w Beyreuth podczas przedstawień Nibelungów; on to sprowadził do Wiednia ostatnie utwory Wagnera.

Zdaje mi się także, że nigdzie nie ma tak pięknych i potężnych chórów jak w wiedeńskiej operze; prowadzi je pan Lewy. „Corps de ballet,“ któ-

rym dowodzi pan Telle, jest bezwątpienia pierwszym na świecie. Niepodobna gdzieindziej znaleźć tak piękną kollekcyę sylfid o lekkich nóżkach. Lekkie, zgrabne, młode i świeże, te córy powietrza fruwają po scenie bez obawy aby się róż starł z ich buziaków, lub trykoty wydały tajemnicę waty. W Wiedniu balet jest więcej niż baletem, jest sztuką czarodziejską.

Wiedeńczycy są doskonałymi znawcami baletu. Fanny Elssler przez długi czas zachwycała ich swojemi czardaszami i bollero. Stary Metternich nazywał ją „boską Fanny". Pamiętają tu także Mariettę Porti, ciemną neapolitankę, kochankę jakiegoś serbskiego księcia; piękną Gellę, hrabiankę z domu, hrabinę Wesphen, która tańczyła pod pseudonimem panny Friedberg; ale najpiękniejszą z pomiędzy tych wszystkich gwiazd była panna Hittersberg, jasna Wenera o przecudownych kształtach, podobna do bogiń Rubensa.

Tancerzem znów ubóstwianym przez kobiety, był nieporównany Achilles de Bessing, który wzbudzał we wszystkich wiedenkach gwałtowne miłości, z których zresztą wypłacał się im o tyle o ile mógł. Pewna dama arystokratycznego rodu, przebrana za mężczyznę, uciekła raz z nim, ale poznana na granicy, musiała do Wiednia wrócić.

Śpiewak Formes był również znany jako sławny wiedeński Lowelace. Raz gdy grał Falstafa, odźwier-

ny teatru przyszedł go ostrzedz, że przy wyjściu z teatru czatować będą na niego wierzyciele.

Formes zamyślił się i po chwili rzekł coś do ucha dwom posługaczom teatralnym. Po przedstawieniu, kiedy pierwsza primadonna, która miała za kochanka anglika, wyszła ze swojej loży, poszło za nią owych dwóch posługaczy niosąc olbrzymi kosz, którym się Falstaf posługiwał w sztuce. Pomimo protestacyi śpiewaczki, posługacze wstawili kosz do powozu, zamknęli drzwiczki i stangretowi kazali jechać.

Nagle w koszu ktoś kichnął. Przestraszona śpiewaczka poczęła wołać pomocy, gdy nagle z kosza wysunęła się głowa Formesa.—„Na miłość boską!—zawołała primadonna—co pan tu robisz?

— O królowo, przebacz mi!—zawołał śpiewak; tylko mi ten środek zostawał aby uciec przed wierzycielami groźniejszymi od lwów Atlasu, rekinów chińskich, wężów grzechotników.

— Więc pan znów się zadłużył? To bardzo brzydko!

— Ah! moja droga, nie czas teraz na kazanie.

— Ależ wydostań się pan nareszcie z tego kosza.

— Nie mogę; wyjdę dopiero gdy się znajdziemy w twoim pokoju.

— W moim pokoju! nigdy... cóż by na to powiedział mój „wuj“?

— Piękna divo! nie bądź tak okrutną dla kolegi i ratuj go!—zawołał Formes głosem płaczliwym.

— Ah! mój Boże,—rzekła śpiewaczka, otóż i jesteśmy w domu.

— Uspokój się pani; posługacze którzy mnie tu zostawili, przyjechali razem z nami na koźle; wniosą mnie zatem do pani mieszkania i nikt się nawet ani domyśli co w tym koszu jest i było.

I rzeczywiście wniesiono kosz na drugie piętro do salonu diwy, tak że go nikt nie spostrzegł; ale zaledwie Formes wydobył się ze swojej kryjówki, wpadła do pokoju przestraszona pokojówka śpiewaczki z oznajmieniem że „anglik“ przyszedł.

— Niech Plum-Pudding wejdzie!—zawołał śpiewak;—opowiem mu całą historyę i ręczę że się będzie śmiał.

Anglik lepiej jeszcze zrobił, bo poprosił Formesa do siebie nazajutrz rano i napełnił mu kapelusz dukatami, tak że śpiewak miał czem długi zapłacić.

W mieście takiem jak Wiedeń, gdzie obyczaje są luźniejsze niż gdziekolwiek indziej, a moralność stosowaną bywa tylko w teoryi, dziwnem się wyda że Opera nie ma wcale „foyer“ dla baletniczek. Za kulisami, pośród tiulowych spódniczek tancerek i figurantek, nie widać nigdy ani dworskich panów, ani zagranicznych ambasadorów, ani oficerów kawaleryi, tak jak się to dzieje w Operze paryzkiej, a szczególniej działo za pierwszego i drugiego cesarstwa. Scena w Wiedniu

jest utrzymywana w wielkim porządku i cnoty tam strzegą surowo.

W Wiedniu prawie cały personel teatralny dźwiga małżeńskie kajdany.

Sezon opery włoskiej zaczyna się dla Wiednia w marcu i kończy się w kwietniu a czasem i w maju; jest to epoka zjawienia się „gwiazd“ tak nazwanych zapewne dla tego, że zjawiają się i nikną nadzwyczaj szybko. Adelina Patti jest jednem z bóstw publiczności wiedeńskiej. Stary Voltaire gdy powracał do Paryża, rzekł: „zasypują mnie różami!“ Adelina może to samo powiedzieć gdy przyjeżdża do Wiednia; pod jej stopami, scena się zmienia w prawdziwy kwiatowy ogród.

Tego roku zjawiła się tu wśród hałasu jaki około jej imienia wywołało skandaliczne jej zerwanie z mężem; i jeszcze z kimże to wystawiła się na pierwszy ogień lornetek?—z Nicolinim! Otóż pośród wiedeńskiej publiczności, ani jeden głos niechętny się nie odezwał, nie było ani jednego złośliwego uśmiechu, posypał się tylko na divę grad bukietów i ogłuszyły ją oklaski. W oczach widzów kobieta znikła przed artystką; widziano nie margrabinę de Caux ale boską Adelinę, białą i piękną „Lunatyczkę.“

W operze wiedeńskiej nie dają nigdy raz po razu jednej i tej samej sztuki; w zeszłym roku wystawiono trzy oryginalne opery i przerobiono na scenę jedną z symfonij Mendelsohna.

Podczas sezonu grają zawsze około trzydziestu oper, bo Wiedeń nie może tak jak Paryż liczyć na publiczność która się co wieczór zmienia i odnawia: tutaj prawie wszyscy słuchacze mają abonamentowe miejsca; niepodobnaby więc było grać jedno i to samo.

Próby ogólne mają tak samo jak w Paryżu, uprzywilejowaną swoją publiczność; ostatnie powtórzenie Walkyrii Wagnera, — opera ta przeszła sto prób nim się odważono ją zagrać—zebrało w sali teatralnej całą śmietankę wiedeńskiego towarzystwa. Pani Metternich siedziała wraz z mężem i córką w loży obok panny Nilson i więcej nawet była zajęta partycyą niźli sam dyrektor orkiestry. Te publiczne oznaki uwielbienia dla „muzyka przyszłości“ przypominają mi odezwanie się dawniejsze księżnej. Było to po wyjściu z przedstawienia *Aidy*; ktoś zwracał jej uwagę że Verdi zaczyna się przerabiać na „wagnerzystę.“ „Oh!—zawołała księżna—ja zawsze mówiłam, że Verdi domięsza w końcu do swojego makaronu trochę kapusty!“ Dzisiaj piękna księżna pogodziła się już z „kapustą.“

Pan Jauner, dyrektor opery wiedeńskiej, nabył od Ryszarda Wagnera prawo do wystawiania na scenie całego cyklu *Niebelungów*. Po *Walkyrii* przyjdzie kolej na *Złoto Renu*, a po nim na resztę głośnej tetralogii. Zdaje się nawet, że Wagner w Wiedniu wystawiać będzie na przyszłość wszystkie swoje nie-

wydane dotąd opery, bo teatr w Beyreuth był tak nieszczęśliwą innowacyą, że maestro, który ma manię ubierania się raz w jedwab różowy, drugi raz w fioletowy, trzeci raz w żółty, nie był nawet w stanie zapłacenia swojej modystki i do dzisiejszego dnia robią składki w Niemczech dla pokrycia deficytu w bilansie uroczystości bayreuthskich. Muzyka zresztą Wagnera ma więcej zwolenników w Wiedniu niż w Berlinie. Jeżeli cesarz Wilhelm, który jest człowiekiem najmniej muzykalnym z całego niemieckiego cesarstwa, przybył lat temu dwa do Bayreuth aby tam ziewać, to dla tego jedynie że chciał należeć do wielkiej demonstracyi narodowej muzyki.

Wagner zresztą wie dobrze, że Wilhelma I-go do wielbicieli swoich zaliczać nie może. Przy końcu przedstawienia *Zmierzchu bogów*, cesarz kazał jednemu ze swoich adjutantów, generałowi Lehendorf, przyprowadzić sobie maestra. Wagnera nie można było znaleźć. Nareszcie generał odnalazł go w ciemnym jakimś pokoiku, za kulisami. Kompozytor leżał na kanapie, a żona jego, pani Cosima, klęcząc, poruszała ogromnym wachlarzem nad głową „wielkiego" muzyka; w głębi, z założonemi w tył rękoma przechadzał się Liszt, zamyślony nad muzyką przyszłości.

Generał Lehendorf oznajmił mistrzowi, że cesarz pragnie z nim mówić.

Wagner spojrzał na Cosimę i spytał się jej czy ma iść.

— Zdaje mi się, że jeżeli przeprosisz, to wystarczy—rzekła żona.

— Skoro cesarz wyraża jakie życzenie—odparł suchym głosem adjutant—życzenie to staje się rozkazem.

Liszt wmięszał się do dyskusyi i zdołał wytłumaczyć Wagnerowi, że należało iść podziękować cesarzowi.

Sędziowie berlińscy, tak samo jak i cesarz Wilhelm, mało gustują w Wagnerowskiej muzyce; dowiedli tego w ostatnim procesie wytoczonym hrabiemu Arnimowi. Były ambasador niemiecki w Paryżu, wyraził się między innemi o księciu Bismarku w pewnej broszurze jak następuje: „Pan von Bismarck jest po Wagnerze najsławniejszym człowiekiem chwili bieżącej.“ Otóż broszura ta wciągniętą została do dokumentów świadczących przeciwko Arnimowi i areopag berliński postanowił w tym względzie taki wniosek: „Zważywszy że Ryszard Wagner uważany jest ogólnie za ekscentryka dotkniętego manią wielkości, niepodobna zatem bez ubliżenia kanclerzowi porównywać tegoż z tym muzykiem monomanem, więc skazuje się hr. Arnima i t. d.“

Wyjście z opery wiedeńskiej nie przedstawia takiego obrazu a la Veronese, jak wyjście z opery paryzkiej. Schody, porównane z dziełem pana Gar-

nier, są nędzne; nie mają ani tych złoceń, ani ażurowych balkonów, rżniętych marmurów, takich kandelabrów z których światło spływa jak brylantowa rosa na jedwabie i koronki. Nic tu także nie przypomina wspaniałego przedsionka paryzkiej Opery, gdzie w olbrzymich zwierciadłach i sadzawce z wodotryskiem, odbijają się żywe obrazy przechodniów.

Tego wszystkiego w wiedeńskiej Operze brakuje ale za to widok wychodzących gości jest daleko oryginalniejszy niż w Paryżu.

Bo naprawdę, cóż tu za rozmaitość typów, ileż pięknych księżniczek o królewskich ramionach, uroczych hrabianek o niebieskich oczach, jak czarujące są te margrabiny z występującym ponętnie biustem, jakby go niosły w ofierze!...

Wiedeń ma także swoją Operę Komiczną; zdawałoby się że teatr ten powinien robić doskonałe interesa w owym Wiedniu, gdzie każdy śmiać się tylko pragnie, gdzie każdy śmieje się chociażby dla tego jedynie, jak mówi Figaro, aby nie płakać.

Tymczasem dzieje się przeciwnie; są teatra które szczęścia nie mają; do tych właśnie należy Opera Komiczna, która w tej chwili bankrutuje.

Tej zimy grano tam sztukę godną zaiste lepszego losu. Chcę tu mówić o *Duchu Wojewody*, operze polskiego kompozytora, pana Ludwika Grossmana. Scena odbywa się w Karpatach; muzyka jest prze-

śliczna, tańce polskie i węgierskie zachwycają widzów. Szczególnie podobały się mazur i czardasz.

Mazur jest narodowym tańcem polaków, a czardasz węgrów.

Czardasz ma w sobie coś gwałtowniejszego od mazura, ale ostatni ten taniec jest więcej rycerski; znakomicie go tańczą polacy.

Czardasz to taniec cygański, na tle leśnej polanki, przy obozowem ognisku.

Od Opery Komicznej i scen na których grają operetki, przejdziemy bez żadnego wstępu do kawiarni teatralnych, albo jeśli wolicie, do teatrów kawiarnianych, które w Paryżu zowią się „Cafés-chantants·"

W Wiedniu, jak zresztą po wszystkich większych miastach Europy, jest ich pełno. Są to szkodliwe pasożyty, dla których wszędzie gdzie tylko muzyka jest w pełnym rozkwicie, grunt jest dobry.

Ktoś mi może odpowiedzieć że to „Opera ludu." No, to w takim razie i gorzałka jest ludowem winem.

To co śpiewają po tych scenkach, jest zawsze i wszędzie płaskie i głupie;—to muzyka trotoarowa.

W Wiedniu przecież ogłupienie to jest może mniejsze niż gdziekolwiek indziej. Pomiędzy całą zgrają „śpiewaczek" kawiarnianych spotyka się sporo dzielnych tyrolczyków którzy powtarzają wzruszające pieśni wolnych gór swoich.

Często publiczność śpiewa razem z tyrolczykami, wówczas cała sala przybiera inną jakąś postać; zda-

wałoby się że to duch ojczyzny zawisł ponad głowami tłumu.

Najpierwszym wynalazcą śpiewek komicznych w Wiedniu był Fürst; jest to w swoim rodzaju nowy Krzysztof Kolumb.

Jest to doskonały komik; parodyuje wszystko i wszystkich,— strasznego *hausmajstra* (stróża), żyda polskiego, cyrkułowego urzędnika wiecznie w złym humorze, suchego jak szczapa, ze szczękami gotowemi się zawsze poruszać jak u zgłodniałego krokodyla, dorożkarza o czerwonym nosie, wesołego szewczyka; inwalidę szorstkiego i sztywnego jak tyczka. Fürst naśladuje wszystkich tych ludzi mowę, ruchy; zna ich zwyczaje i nałogi. W przeciągu paru miesięcy stał się najpopularniejszym w stolicy i zarazem ustanowił szkołę.

Panna Antonina Mausfeld była zarazem pierwszą w tym rodzaju śpiewaczką; to druga Teresa. Cały Wiedeń bił jej brawo. Jeden z krytyków wiedeńskich powiedział o niej, że patrząc na nią przychodził mu zaraz na myśl kankan.

W Wiedniu nie ma żadnego tunelu ani browaru bez właściwych sobie śpiewaków i muzykantów. Za dnia „artyści" powyżsi obchodzą podwórza domów, wieczorem zaś dopiero idą do sali.

Śpiewka jednego z takich artystów-cyganów, jest po dziś dzień najpopularniejszą w Austryi i całych Niemczech. Historya Augustyna znaną jest wszystkim,

chociaż dawno już bardzo jak umarł, bo jeszcze w połowie siedmnastego stulecia. Biedak ten żył w wielkiej nędzy, jego surdut podziurawiony stał się legendowym; chudy, blady, kościsty, kiedy się śmiał był podobny do trupiej głowy usiłującej być wesołą; jej kuplety noszą na sobie piętno czułości i szyderstwa, głębokiego smutku i sztucznej wesołości, wybuchów śmiechu i płaczu. Ten słowik „kanałowy“ miał przecież poczucie piękna, znać to w jego piosnkach. Od dwóch wieków Wiedeń powtarza jego „balladę desperacką,“ godną naprawdę pióra Murgera lub Villona. Jest nią osławiona piosnka: *O du lieber Augustin*, i t. d.

Co prawda, to każdy wiedeńczyk co poniedziałek jest w tym samym stanie co ten biedny Augustyn: bez pieniędzy i bez humoru.

XVI.

Więzienie przy ulicy Sterngasse.—Dzieci.—Młynarz.—Rodzina nędzarzy.—Miłosierdzie w Wiedniu.—Kobieta w klatce.—Fotograficzne album więzienia. — Dom aresztu gminnego. — Przybycie.— Heimatlos.—Syn gór Karpackich.

Dotąd widzieliśmy tylko Wiedeń pod względem jego życia eleganckiego i widomego dla wszystkich, życia, któremu przyświeca światło dzienne; teraz

obejrzymy odwrotną stronę medalu, obejrzymy stronę tragiczną i ciemną tegoż życia.

Jeżeli przejdziemy Hof i zapuścimy się w ulicę Żydowską, którą już znamy, znajdziemy na lewo wązką i brudną uliczkę, na której stoją wiecznie kałuże, i na której staniemy niezadługo w obec starego, dużego, o złowrogiej postaci budynku, który jest jakby zaczajony na przechodniów w głębi wklęśnięcia.

Wązkie okienka o jednej szybce, zakratowane, spoglądają na dachy sąsiednich domów; olbrzymia i ciężka brama, okuta cała w żelazo, zagłębia się w mur gruby na cztery stopy.

Ponura nagość budynku, mroźne milczenie jakie go otacza, cień klasztorny jaki zeń na ulicę pada, mimowolne uczucie wstrętu jakiego na ten widok doznajesz, wszystko to już z góry ci mówi, że ten budynek, to miejsce schronienia nędzy i zbrodni, to kanał do którego ściekają męty i brudy wielkiego miasta.

Jest to więzienie.

Drzwi okute otwarły się ciężko; znalazłem się w obec kilkunastu strażników więziennych uzbrojonych w pałasze, którzy siedząc na ławce lub stojąc pod murem, palili fajki.

— Do dyrektora więzienia, którędy—zapytałem jednego z nich.

— Na lewo, na pierwszem piętrze; dzwonek wisi u drzwi.

W chwili kiedy mi dawano tę odpowiedź, brama otworzyła się na nowo, i próg przeszła nieśmiało i bojaźliwie kobieta o zwiędłych rysach twarzy, blada i nędzna, o zzieleniałych rękach; pod pachą miała jakieś zawiniątko; ubraną była w płócienną spódnicę i nie miała pończoch na nogach, pomimo że to było w lutym i śnieg pokrywał ziemię.

— Czego chcesz?—zapytał ją starszy strażnik.

— Moje dzieci pomarły z nędzy,—odpowiedziała smutnie, ocierając ręką zaczerwienione oczy; mąż mój opuścił mnie, gospodarz wyrzucił na ulicę, a ja pracy znaleźć nie mogę. Od dwóch dni błąkam się na lewo i prawo. Wczoraj przepędziłam noc na śmietniku. Jeść mi się chce; ja nie chcę kraść; weźcie mnie do więzienia.

— No, wejdź—rzekł sierżant.

Więzienie na Sterngasse jest domem aresztu policyjnego i zarazem coś w rodzaju paryzkiego Dépôt: przyprowadzają tam nietylko włóczęgów znalezionych na ulicy, złodziei, oszustów, morderców w pierwszej chwili zaaresztowania i których we dwadzieścia cztery godzin po ich przybyciu do „Sternhofu“ czyli *hotelu pod gwiazdą*, jak więzienie to popularnie nazywają, odstawiają do więzienia kryminalnego;—ale dają tam schronienie i biedakom znajdującym się chwilowo bez dachu i chleba. Skazani również na

„karę“ od sześciu godzin do dwóch tygodni, odsiadują swoją karę pod Gwiazdą. To też ciągły panuje tam ruch. Dyrektor więzienia, pan Wachler, przyjął mnie jak można najlepiej; gdym mu wyraził moją prośbę że pragnę zwiedzić więzienie, nałożył zaraz na głowę swoją czapkę służbową, wziął pęk kluczy i poprowadził mnie najpierw, na dół, do sekcyi mężczyzn. Długie sklepione kurytarze, pogrążone nawpół w ciemnościach, milczące i wilgotne, gdzie kroki ludzkie dźwięczą jakby się stąpało wewnątrz grobu, przypominają pierwsze przeznaczenie tego smutnego domu: do roku 1783 dom ten był klasztorem; zamieniono go potem na więzienie.

W więzieniu pod Gwiazdą nie trzymają więźniów osobno; nie ma tyle miejsca. Umieszcza się ich po dwóch, trzech i nawet więcej w jednej celi; w salach znajduje się ich aż do czterdziestu razem.

Gdy się drzwi otworzą,—drzwi czarne i opatrzone olbrzymim zamkiem i zasuwą grubą jak drąg, gdy promień światła padnie na tę brudną i cuchnącą masę łachmanów, na tych rozbitków nędzy i zbrodni, spostrzega się jakby mrowisko które się budzi z pierwszym blaskiem dnia; widzi się jakieś oczy zyzowate, czoła nizkie i spłaszczone, usta krzywiące się do dzikiego śmiechu; obok cynizmu widzi się idjotyzm.

Po największej części są to recydywiści, złodzieje, oszuści, włóczęgi wszelakiego rodzaju; pomiędzy wilkami wszelako znajdzie się nieraz i owca zbłąkana.

I tak naprzykład widziałem tam wyrobnika przy fartuchu, którego podjęto z chodnika pod szynkiem; słowaka nieumiejącego ani słowa po niemiecku i którego dopiero tłómacz będzie indagował; dorożkarza który za żywą prowadził dyskusyę z policyantem; jakiegoś kawiarnianego pijaka w koszuli, który się rozebrał na śmietniku biorąc takowy za łóżko i któremu; podczas gdy zasypiał, skradziono ubranie.

Dalej, całe sale są pełne uliczników od dwunastu do siedmnastu lat, w łachmanach, o postawie wyzywającej, minie szubrawców, głosie ochrypłym, twarzą siną i wynędzniałą, na której wyryte są już piętna zepsucia i występku.

To są rekruci wielkiej armii kryminalistów.

Zepsucie jakie gangreną swoją toczy te falangi dzieci, jest przerażające. A zepsucie to zwiększa się z dniem każdym.

W Wiedniu zarówno jak i Paryżu, zbierają z ulicy i zaułków po paręset dziennie tych małoletnich przestępców.

— Czyś pan zauważył,—rzekł do mnie dyrektor gdyśmy wychodzili z trzeciej sali, — tego człowieka tam w kącie, który oparty o mur, zasłania sobie twarz rękoma?

— Widziałem; zapewne śpi.

— Żeby to on spał! Ale gdzie tam; jest on w stanie nadzwyczajnego wzburzenia: tej nocy zamordował swoją żonę. Umieściłem go tu razem z innymi

więźniami dla tego aby ci przeszkodzili mu życie sobie odebrać.

— W jaki sposób zaaresztowano go?

— On sam przyszedł oddać się w nasze ręce: „Zabiłem,—rzekł do dowodzącego odwachem,— żonę moją z rewolweru; moja żona jest łajdaczką, uciekła odemnie już temu trzy miesiące; dzisiaj wieczorem spotkałem się z nią: no! już mnie zdradzać nie będzie...!“

Zwiedziliśmy warsztat stolarski w suterenie; zajętych tam właśnie było kilkunastu wyrobników — włóczęgów; część zysku za dokonaną robotę, po odtrąceniu kosztu ich wyżywienia, ludzie ci dostają do ręki gdy im drzwi więzienia otwierają.

Poszliśmy dalej na drugie piętro.

— Oto—rzekł pan Wachler wprowadzając mnie do małej izby, — cała rodzina nędzarzy którą nieszczęście i bieda doprowadziły do stanu w jakim ją pan widzisz; trzymamy ich tutaj, ot tak, z miłosierdzia, bo inaczej z głodu by to wszystko na ulicy pomarło.

Było ich ośmioro; ojciec i matka, istne żywe szkielety, o oczach głęboko zapadłych i wklęśniętych policzkach, i sześcioro dzieci z których najstarsze miało lat siedm; drobiazg ten nawpół nagi, zbity w jedną kupkę, leżał na słomianym barłogu. Litość brała patrzeć na tę gruppę; toż zwierzęta gdy na świat przyjdą, częstokroć lepsze mają wygody.

— Biedny człowieku—rzekłem do ojca, który patrzał na swe dzieci chmurno i dziko, — jakże to się stało? Nikt wam nie przyszedł z pomocą?

— Cóż pan chce; takich biedaków jak my jest pełno! Pracy nie ma...

„Ha! gdyby mi nie byli otruli psa, — dodał zaciskając pięści—nie bylibyśmy w tym stanie... jak Bóg w niebie!...

— Nie otruli psa...?—zapytałem zdziwiony.

— Tak proszę pana, mojego wiernego Turka; dzielne zwierzę pomagało mi co rano ciągnąć wózek z kartoflami, bo muszę panu powiedzieć że jestem przekupniem. Nie daje to wielkiego zarobku, ale można żyć przynajmniej; a zresztą nam tak mało potrzeba: miska kartofli i szklanka piwa, to dosyć. Ale oni, zbrodniarze, otruli mi psa! To przez zazdrość, przysięgnę; moja żona mówi że nie, ale ja lepiej znam mojego szwagra. Pogniewaliśmy się z sobą jednego dnia, bo ja wjechałem z moim wózkiem na tę ulicę gdzie on swoje warzywa sprzedaje... Turek zdechł i wszystko się skończyło! Moja żona odbywała słabość, na kupno drugiego psa nie miałem pieniędzy, kredytu takim nędzarzom jak my, nie dają, —na to potrzeba być ładnie ubranym! Zaprzągłem się więc sam do wózka, bo miałem przed oczami malców którym się jeść chciało i matkę słabą i bladą, na pościeli. I ciągnąłem mój wózek dzień po dniu i z dniem każdym upadałem co raz bardziej na siłach; we dwóch,

z moim Turkiem, było lżej. Nareszcie, jakem się jednego wieczoru położył, tak nazajutrz już wstać nie mogłem. Wszystkie we mnie sprężyny były jakby połamane. Musiałem uledz...

„Tak to się z nami biedakami dzieje; nigdy jedno nieszczęście nie przychodzi samo. Muszę tu przyznać że sąsiedzi przyszli nam z pomocą: dali nam chleba, mleka... Ale cóż! gospodarzowi należało się za cały kwartał komorne!... Ach! jakeśmy go błagali... dzieci całowały go po nogach; tak proszę pana... Nie chciał, był bez litości: „Ja nie szpital wybudowałem—rzekł, ja mam kamienicę z której muszę mieć dochód; jutro żeby was tu już nie było!"

„Cóż było robić? gospodarz był w prawie... miał racyę!

Nazajutrz wyrzucono nas na ulicę.

Wziąłem dzieci na wózek, i kulejąc przywiozłem je tutaj; potem wzięto matkę na nosze...

Oto nasza historya; skarżyć się nie mamy prawa, bo to może w tej samej chwili ktoś i z głodu umiera a my przecież jeszcze żyjemy.."

Takich biedaków nie słowami się pociesza. Wsunąłem dzieciom parę guldenów w ręce i wyszliśmy z tej smutnej izby.

— Wszystkie te sale których drzwi otwierają się na ten kurytarz mieszczą w sobie kilkadziesiąt rodzin będących w tym samym stanie co tamta,—rzekł mi pan Wachler.

— Ach! drogi panie, już dosyć widziałem!

W Wiedniu nędza jest wielka, a jednak miłosierdzie publiczne jest tam również wielkie; instytucyj dobroczynnych jest prawie tyle co w Paryżu, i są doskonale zorganizowane. Jest n. p. tak samo jak w Berlinie, zakład, gdzie każdy prawdziwy nędzarz otrzymuje jednorazowo, na dwadzieścia cztery godzin, schronienie i pożywienie; w każdym cyrkule jest tania kuchnia w której robotnik dostanie talerz zupy i kawał mięsa po cenie niżej kosztu; są tak zwane „domy biednych;“ są „jasełka“ dla dzieci; jest pełno szpitali. Wszystkie te zakłady są tak wzorowo prowadzone jak nigdzie indziej.

Na przedmieściu Leopolda, braciszkowie Miłosierdzia utrzymują wielki szpital, którego założenie sięga jeszcze czasów wojen krzyżowych.

Braciszkowie ubierają się w długie czarne surduty i są w szpitalu doktorami, chirurgami i aptekarzami. W szpitalu tym, chorzy bez względu na ich narodowość i zkądkolwiek przychodzą, są przyjmowani i leczeni darmo.

Oprócz szpitali rządowych i instytutowych jest jeszcze sporo w Wiedniu szpitali prywatnych dla biednych. Wszystko to świadczy że miłosierdzie nie jest cnotą nieznaną wiedeńczykom. Duchowieństwo które posiada wielkie środki, nie usuwa się również od dobrych uczynków, każda parafia ma swoich biednych których proboszczowie wspomagają. Jest tak-

że kilkanaście w samym Wiedniu zakładów dobroczynnych powstałych kosztem duchowieństwa.

„Schronienie Starców“ które prowadzi kanonik Gugenhof, jest dziełem wielkiego miłosierdzia.

Francuzi zamieszkali w Wiedniu, przyczyniają się wielce, muszę to zaznaczyć, do świadczenia dobrych uczynków.

Ale powróćmy do naszego więzienia i jego lokatorów.

Z sekcyi mężczyzn przeszliśmy do sekcyi kobiet. Zebrane w warsztatach, te które odsiadują kilka dni kary, zajęte są szyciem, te znów które nie były jeszcze sądzone, zamknięte są w izbach o nagich zupełnie ścianach i czekają pierwszej indagacyi.

Gdym przechodził przez ciemny i nizki kurytarz, oczy moje uderzyła jakaś drewniana klatka, wysoka na trzy stopy, z podłogą ułożoną z krzyżujących się drążków; zrazu zdawało mi się że tam leży jakaś kupa szmat, wpatrzywszy się dopiero lepiej, zauważyłem że tą kupą cuchnących gałganów była stara kobieta, siedząca skulona, z głową wsuniętą między ramiona.

— Co to jest?—zapytałem zdziwiony dyrektora.

— To „pokój oczyszczający“: zamykamy tu kobiety niechlujne lub też pokryte robactwem; nie możemy ich przecież trzymać razem z innymi więźniami, a miejsca innego nie mamy.

— Ależ ta klatka jest coś okropnego! To raczej narzędzie tortury aniżeli więzienie.

— Cóż począć? Jak będziemy mieli nowy budynek, będzie lepiej; urządzimy łazienki.

Wyszliśmy na dziedziniec. Jest to małe podwórko, otoczone dokoła wysokim murem. W zimie, obdarte z liści drzewa podobne są zupełnie do szubienic. Po tem podwórku przechadzają się więźniowie. W jednym z rogów tego dziedzińca, wznosi się, jakby namiot, pracownia fotograficzna w której fotografują wszystkich przestępców ważniejszych i tych którzy nie chcą podawać swego nazwiska.

Co za ciekawe album leży tam na stole! Możnaby powiedzieć że to księga sądu ostatecznego,—po stronie przeklętych. Co za typy rozbójników, rzezimieszków i morderców! co za menażerya dzikich ludzi o instynktach tygrysa i hyeny, dla których ludzkość, to ogromny las, w którym panuje prawo siły i zęba! Tu ugrupowani są razem mordercy, tam ojcobójcy, tu znów fałszerze i oszuści, tam młodzi ludzie przebrani za kobiety: jest ich trzech i rzeczywiście możnaby ich wziąść za młode dziewczyny; twarze ich bez żadnego zarostu, policzki wyróżowane, włosy wystrzyżone w grzywkę na czole, ręce białe i przezroczyste. Są to berlińczycy którzy przez całe dwa lata kryjąc się pod kobiecym strojem, dopuszczali się w Wiedniu przestępstw które sądy rozpatrują tylko przy drzwiach zamkniętych.

Na kartkach tego albumu przeciąga cały orszak, którego punktem wyjścia jest areszt prewencyjny a celem, galery lub szafot.

Co to za źródło nauki dla moralisty, filozofa, fizyonomisty! W tej galeryi mieści się ujemna strona życia całego wieku.

Więzienie aresztu gminnego stoi tuż naprzeciwko więzienia któreśmy w tej chwili zwiedzali.

Udałem się tam z rana, w chwili gdy wózki cyrkułowe przywożą swoją każdonocną zdobycz.

Przyaresztowanych prowadzą wszystkich razem do izby wązkiej i brudnej, której okna wychodzą na ulicę, kobiety ustawiają po jednej stronie, mężczyzn po drugiej. Czynność indagacyjna zaczyna się od zapisania ich imion i nazwisk, poczem rewidują ich. W Paryżu, jest osobna przy więzieniu sala do tych operacyj; rozbierają tam aresztowanych do naga. W Wiedniu zadawalniają się przejrzeniem ich kieszeni.

Pieniądze, noże, klejnoty, wszystkie drobiazgi w ogóle jakie rewidujący znajdzie, zawija się w papier na którym pisarz wypisuje numer kolejny, imię i nazwisko posiadacza.

Kiedy mnie wprowadzono do tej sali, było tam ze trzydziestu mężczyzn uszykowanych w półkole, jedni byli w łachmanach, drudzy dość przyzwoicie ubrani. Kilku z nich oparłszy się o ścianę, zasnęło ze zmęczenia i braku sił; inni znów, nachyliwszy na

oczy stary zmiętoszony kapelusz, świecąc dziurami na wszystkie boki, rzucali dokoła izby niespokojnym wzrokiem dzikiego zwierza zamkniętego w klatce. Byli i tacy którym zęby z głodu szczękały. Jeden, nizki, stary jakiś człowiek, o siwej długiej brodzie, odziany w podartą w szmaty kołdrę, coś mruczał pod nosem, niezrozumiałym językiem, a obok niego kilku uliczników o cynicznym wyrazie twarzy i czapce zsuniętej na ucho, śmiało się, pokazująo język, z kobiety w poważnym stanie która stała opodal. W samym znów kącie, przytulona do muru, drżała ze strachu i wstydu młoda jakaś dziewczyna; widać było że tylko przypadek wtrącił ją w to towarzystwo włóczęgów i pijaczek, złodziei i ulicznych kobiet.

Około żelaznego pieca opalanego węglem, grzało się kilku policyantów, a za kratką w rogu izby, siedział przed dużym stołem urzędnik i zapisywał imiona i nazwiska aresztowanych, oraz znalezione przy nich przedmioty; a były tam między innemi: noże, pierścionki, pałki krwią zwalane, srebrne łyżki, portfele, wytrychy i t. d.

Wyszedłem z tej sali i udałem się do samego więzienia. Niepodobna doprawdy opisać brudu i atmosfery jaka tam panuje. Dość będzie powiedzieć że tak w celkach jak i salach ogólnych, aresztanci literalnie leżą jedni na drugich; dzieje się tu coś podobnego co w wagonach kolejowych transportujących bydło.

Wiedeńczycy słusznie nazwali to więzienie „domem nędzy.“

Drugie piętro przeznaczone jest dla skazanych za przestępstwa policyjne; na trzeciem mieszczą się włóczęgi, *heimatlos*, ludzie bez ojczyzny, wiary i sposobu do życia. Ludzi tych rozsyłają codzień partyami po 150 do 200 na prowincyę, lub odstawiają do granicy. W roku 1876 wypędzono w ten sposób z Wiednia 6173 indywiduów.

Co do samych Wiedeńczyków przyprowadzonych do „domu nędzy“ to najczęściej wypuszczają ich zaraz na wolność, dając im jeszcze po guldenie do ręki. Co prawda, to lepiejby było, gdyby im ubranie sprawiano, bo doprawdy widziałem takich, co tylko mieli na sobie zawieszonych kilka łachmanów.

W osobnej znów sali, zamykają cyganów, obok zaś, osobno zupełnie, słowaków.

Gdy klucznik otworzył mi jedną z tych sal w której się mieściło z pięćdziesięciu ludzi, skazanych na odtransportowanie do właściwych gmin, jakiś młody parobczak zbliżył się do mnie i zawołał głosem błagalnym: „Jaśnie panie! błagam cię, nie wysyłaj mnie do wsi przez żandarmów; ja mam starego ojca któryby pewno umarł ze wstydu, starego ojca który wolał nędzę nad niedotrzymanie słowa... ja mam także — dodał wybuchając płaczem — narzeczoną!“

— Zkąd ty jesteś?—zapytał klucznik.

— Z Sambora, jaśnie panie.

— To wieś Karpacka, nieprawdaż? — zapytałem go.

— Tak Jaśnie Panie,—zawołał żywo parobczak, jest to małe miasteczko gdzie mieszkają sami biedni ludzie, ale ludzie uczciwi. O! jakżebym ja chciał tam wrócić!.. ale nie z żandarmami.

A moja narzeczona, jakże ja ją kocham; to dla niej przyszedłem do Wiednia, bo mi powiedziano że tu dosyć schylić się aby garść złota dostać. A ja chciałem jej kupić na wesele podarunki. Ale tu, kamienie twardsze są jeszcze od naszych kamieni, a kiedy się jeść zechce, to nawet nie można tak jak w Karpatach wziąść fuzyi i zasadzić się na dzikiego kozła! Jaśnie panie! niech mnie nie odsyłają przez żandarmów, ja sam do domu powrócę, i już nigdy się ze wsi nie ruszę; to mnie djabeł opętał z tym Wiedniem. A przecież ochoty do pracy mi nie brakło. Poszedłem najprzód do jednej fabryki; zapytano mnie zkąd jestem. „Z Galicyi" odpowiedziałem; to mnie kazali za drzwi wyrzucić, bo tam tylko niemców przyjmują. Chciałem nosić cegłę i wapno przy budowlach; i tam mnie odpędzono mówiąc, że do tego są kobiety, którym się mniej płaci niż mężczyznom. Nareszcie poszedłem nad Dunaj i tam znosiłem ze statków worki ze zbożem, ale ci którzy już oddawna zajmują się tą robotą, pogrozili mi że jeżeli sobie nie pójdę precz, to mnie wrzucą do wody.

I tak przez całe dwa tygodnie szukałem wszędzie roboty i nigdzie jej znaleźć nie mogłem, a przecież Jaśnie Pan widzi sam że mam tęgie ręce! W końcu, musiałem żebrać, i zaaresztowali mnie.

Wszystko to wypowiedział galicyjczyk jednym tchem, a oczy jego ogniste, błagalnie spoglądały na mnie i na dozorcę.

Klucznik obiecał że wstawi się za nim u naczelnika; gdyśmy wyszli, ja znów zobligowałem dozorcę aby mieli wzgląd dla tego biednego syna Karpat, który się zabłąkał pośród naszej cywilizacyi, częstokroć bardziej barbarzyńskiej od dzikiego życia gór i borów.

Wyszedłszy na ulicę, wsiadłem do fiakra który na mnie czekał i kazałem się zawieść do więzienia na przedmieściu Alser.

XVII.

Przedmieście Alser. — Więzienie najwyższego trybunału.— Pieniądze w więzieniach.—Celki.—Telegraf więźniów.—Antykwaryusz Weininger.—Mniemana hrabina Kińska. — Miłość w więzieniach.—Tajna korespondencya.—Kuchnia.—Skazani na śmierć.

Przedmieście Alser (Alservorstadt) rozciąga się na północo-zachód miasta tak zwanego „zewnętrznego" i sięga aż po Hernals.

Wszystkie wiedeńskie przedmieścia, ugrupowane dokoła samego miasta, tworzą pewien rodzaj odrę-

bnych stolic: na Alservorstadt, znajduje się ogólny szpital ufundowany w roku 1783 przez Józefa II.

W całej Europie nie ma zakładu tak obszernego i tak dobrze zorganizowanego. Jest tam kilka dziedzińców i ogrodów, są drzewa owocowe, są kwiaty. W szpitalu tym mieszczą się uniwersyteckie kliniki; obok każdej sekcyi, jest osobny amfiteatr do którego wstawiają chorych na łóżkach, skoro potrzebną jest operacya. Co rok, leczy się tam przecięciowo około dwudziestu pięciu tysięcy chorych.

Przedmieście Alser posiada także wspaniale urządzony zakład dla obłąkanych. Gmach ten zajmuje przestrzeni sto tysięcy metrów kwadratowych a mieści się w nim pięciuset chorych. Jego sale jadalne są przepyszne, w salonach do rozmowy znajdują się fortepiany i bilardy; od czasu do czasu, zarząd szpitala wydaje dla swych pensyonarzy bale. Każdy chory oddaje się zatrudnieniu jakie mu do gustu przypada; widziałem tam malarzy „robiących“ madonny, poetów układających wiersze, królowe zasiadające na fotelach jakby na tronie, i do których każdy się zbliżał z wielkim szacunkiem i wśród pokłonów.

Zakład ten dla obłąkanych, również jak szpital położniczy i zakład „Dzieciątka Jezus“ podchodzą pod zarząd szpitala ogólnego. Kobiety przyjmowane do kliniki położniczej, mają zapewnioną tajemni-

lcę na at dziesięć. Przecięciowo rodzi się tam rocznie ośmset dzieci.

Podług wykazów urzędowej statystyki, liczba nieprawych dzieci w Austryi, wynosi rocznie piętnaście od sta.

Każda matka w owym szpitalu może karmić i zatrzymać przy sobie dziecko, albo też oddaje go do Dzieciątka Jezus, gdzie ono zostaje zapisane do ksiąg. Dziecko takie wolno później odebrać.

Pałac sprawiedliwości i więzienia „trybunału najwyższego“ (Landesgericht) stoją prawie naprzeciwko Szpitala ogólnego.

Więzienie to odpowiada mniej więcej paryzkiemu Mazas i la Roquette, bo trzymają tam zbrodniarzy i odbywają się w obrębie jego murów egzekucye.

U drzwi głównych stoi zawsze oddział piechoty z nabitą bronią i bagnetem na karabinie.

Nim otrzymałem pozwolenie wejścia, upłynęło sporo czasu. Przyniesiono mi ten dokument po półgodzinnem czekaniu;starszy nadzorca ofiarował mi swoje usługi i puściliśmy się zaraz w naszą podróż, która trwała przeszło trzy godziny.

Korytarze są wszystkie jasne i widne, czystość wszędzie panuje wzorowa. Zdawałoby się że to jaki klasztor kartuzów, tak głębokiem jest tam milczenie; od czasu do czasu tylko otwierają się ciężkie drzwi celki i klucznicy wprowadzają lub wyprowadzają więźniów.

Służbę wewnętrzną tego więzienia prowadzi starszy nadzorca, ten sam właśnie który mi towarzyszy; pod jego rozkazami jest cała armia urzędników ubranych w wojskowe mundury. Od szóstej godziny rano do siódmej wieczór, duży dzwon który się rozlega na wszystkie strony, daje hasła do całodziennych zajęć.

Więźniowie ubrani są w kurtki i spodnie sukienne w zimie, a płócienne w lecie.

Biednym dodaje się bieliznę i trzewiki. Kobiety otrzymują również „mundurowe“ ubranie.

Nowy więzień, skoro go tylko ubiorą, otrzymuje wełnianą popielatą kołdrę i bochenek chleba; klucznik właściwy prowadzi go potem do przeznaczonej mu celi.

Jednym z największych zabiegów aresztowanego jest, zatrzymać przysobie pieniądze, bo w więzieniach austryackich za pieniądze wszystkiego można dostać. Ci co jeszcze nie posiedli doświadczenia, chowają pieniądze w skarpetkach, między podeszwami butów lub za podszewką kapelusza. Ale dyrektor który się zna na tych sztukach, od razu kładzie rękę na „corpus delicti.“

Skonfiskowane pieniądze składają się w biurze zarządu; więźniowi wolno tylko wydać czterdzieści krajcarów na tydzień; jest to budżet regulaminowy. Starczy to zaledwie na kupno trochę tytoniu.

— To też—rzekł do mnie nadzorca, — trzeba widzieć na jakie się oni biorą sposoby aby ukryć przy sobie pieniądze. Jeden z nich który regularnie co lat parę a nawet częściej, dostaje się do nas przybywa zawsze z przygotowanym naprzód kapitalikiem. Wie on z góry że go czeka więzienie, robi więc sobie zapasy. Otóż kazał sobie sfabrykować daszek podwójny do czapki, i między jedną skórę a drugą kładł kilkanaście guldenów papierowych. Grube płócienne guziki od koszuli zawierały również, każdy po parę guldenów. W obcasach od butów miał dwie piłki i po dziesięć guldenów. Nawet w mankietach od koszul zaszywał pieniądze, a że mankiety, zaszywszy tam poprzednio pieniądze, miał wykrochmalone, długo mu się ta sztuka udawała. Najczęściej więźniowie chowają pieniądze w usta lub przylepiają je sobie pod piętą, ale jest to sposób nazbyt znany aby się mógł udać.

— A ci co przychodzą więźniów odwiedzać, czy nie udaje się im czasem „przeszwarcować“ pieniędzy?

— A no, udaje się im, bo trudno dopilnować; zwinie n. p. który, papierek w cygaro i rzecz skończona. Przed paru laty siedział u nas więzień który bardzo dowcipnie rzeczy te urządzał: przychodziła go co tydzień odwiedzać żona z dziećmi; żona rzuciła się mężowi na szyję, a on przy każdym całusie wydostawał z jej ust dziesięcioguldenowy bilet, który ona miała zwinięty pod językiem. Klucznicy do tego, unosili się nad tą miłością obojga małżonków!

Celki są tu rozmaitej wielkości; w najmniejszych może się pomieścić po trzech do czterech więźniów. Małe okienko zakratowane przepuszcza trochę światła; żelazny ogromny piec ogrzewa całe więzienie. Każdy więzień ma swoje posłanie, swój dzbanek do wody i drewnianą łyżkę. Stół i krzesełka posiadają tylko celki uprzywilejowane.

Pomimo grubych murów i ciężkich drzwi okutych w żelazo, więźniowie dochodzą do tego że mogą się z sobą komunikować. Mają oni swoje znaki, swój telegraf, swój język. Trzechkrotne uderzenie o ścianę, znaczy: „baczność“! i t. d.

Wypadków ucieczki prawie nigdy nie ma.

Doszliśmy prawie do końca kurytarza; przed nami były celki w których siedzieli ważni przestępcy; systemat tych celek pozwala z zewnątrz spojrzeć w ich wnętrze, tak że więzień nic nie widzi i nie wie że jest obserwowany.

Wszyscy ci przestępcy, nie osądzeni jeszcze, przedstawiają nadzwyczaj zajmujące pole do badań psychologicznych i obserwacyj.

Ubrani są oni jeszcze w swoją własną garderobę, łatwo zatem poznać do jakiej klasy społeczeństwa należą.

W ogóle na ich twarzy maluje się niespokojność, widać że myśl pracuje; widzieliśmy jednak i takich którzy się śmieli lub towarzyszom swoim opowiadali jakieś anegdotki; byli i tacy co najspokojniej w świe-

cie grali sobie w karty! Rozmaitość typów jest tam nader bogatą: jest to prawdziwa panorama fizyczno-społeczna. Obok węgra o śniadej twarzy, bystrych oczach, wąsach sumiastych i kruczych kędziorach, stoi słowak, blady, szczupły, wysoki; jest on smutny i zrezygnowany. W kącie, na łóżku siedzi żyd, i zakrzywionemi palcami targa niespokojnie długą brodę; jest to fałszerz monety.

W jednej celi, w której mieściło się tylko trzech więźniów, panowało niesłychane ożywienie.

— Ten gruby który stoi na środku i rozprawia,— rzekł do mnie nadzorca,—to sławny Weininger.

— Antykwaryusz?

— Tak; będą go sądzić w tych dniach. Oh! to oryginalna historya! Pan wiesz że Weininger sprzedał mnóstwo podrabianych starożytności niemieckim muzeom; oprócz tego napełnił galeryę księcia Modeny zbrojami które miały sięgać aż wojen krzyżowych, a które w Wiedniu zostały zfabrykowane. Sprzedał dwa ołtarze z marką szesnastego wieku jednemu z londyńskich antykwaryuszów, panu Emmanuelowi Marks, za summę trzydziestu tysięcy funtów szterlingów. Anglik uwierzył że ołtarze te zostały kupione w Rzymie, roku 1872, za 200,000 franków. Tymczasem wszystko było fałszem. Weininger prowadził swoje *interesa* z pewnym hrabią węgierskim za którego zapłacił długi! Obowiązkiem hrabiego było dostarczać listów szlacheckich dla owych fałszywych starożytności.

W celi następnej, kilku młodych ludzi grało w kości.

Więźniowie których się poznaje po mundurach, pracują wszyscy w przestronych warsztatach; jedni wyrabiają fajki z pianki morskiej, drudzy dziecinne zabawki, pudełka do kapeluszy, buty, są i stolarze, introligatorzy i t. d. Każdy robi to co może i co potrafi.

W pewnych godzinach warsztaty zamieniają się na szkołę gdzie ci co nie umieją ani czytać ani pisać nabierają ementarnego wykształcenia.

Więźniowie przez czas rekluzyi mogą wydać na siebie połowę tylko tego co zarabiają w warsztatach. Resztę oddaje się im gdy z więzienia wychodzą.

Z kościoła dokąd w niedzielę dozorcy prowadzą więźniów na mszę, przeszliśmy do oddziału kobiet. Zajmują one jedno ze skrzydeł gmachu.

— Ta młoda dziewczyna o przyzwoitej powierzchowności, — rzekł do mnie nadzorca, otwierając ukrytą w drzwiach jednej salki, klapę, — chce koniecznie uchodzić za amerykankę; my wiemy że to wiedenka, ale ona nie chce ani słowa mówić po niemiecku.

W warsztatach pracują i kobiety; szyją ubrania, przędą płótno, robią pończochy, i t. d.

Nadzorca wskazał na jedną z pracownic która robiła przy warsztacie pończoch.

— No i cóż? zapytałem gdyśmy odeszli.

— To jest kobieta która uchodziła za hrabiankę Kińską; jeżeli ją sądy skażą, bo jeszcze nie była sądzoną, to będzie to samo co z Weiningerem; śmiejący się staną po jej stronie.

— Co to za historya tej hrabianki Kińskiej?

— Zawróciła ona w głowie wielu artystom, przemysłowcom, kupcom, którzy jej nigdy nie widzieli i z którymi ona korespondowała jako młoda hrabianka Kińska.

„Im się wszystkim zdawało że poprowadzą ją do ołtarza. Raz dała rendez-vous odrazu wszystkim swoim adoratorom, w Operze—i wszyscy przyszli ustrojeni w czarne fraki i białe krawaty, z kamelią u boku. Prawdziwa hrabianka Kińska była właśnie w loży z rodzicami; ani się domyślała że parter zaludniony był przez jej amantów.

Korespondencja którą prowadziła fałszywa hrabianka Kińska jest nadzwyczaj ciekawą; mogłaby stanowić romans. W końcu, każdy z pretendentów otrzymał list w którym panna donosiła że rodzice jej hołdując starym przesądom rasowym nie zgadzają się na jej małżeństwo i chcą ją wywieźć z Wiednia. Ona znów chciała uciec: na nieszczęście, pieniędzy do przekupienia pokojówek, służących, odźwiernego nie miała. Zakochani pośpieszyli posłać całe pakiety banknotów.

Niestety! tu się kończy romans; policya zwietrzyła całą sprawę i oto trzy dni temu przyprowadziła

nam pannę hrabiankę Kińską pod nazwiskiem wcale niearystokratycznem Maryi Lichtner.

Kiedy pod jednym dachem biją serca mężczyzn i kobiet, do miłości nie jest daleko.

I w więzieniu się kocha.

Zawiązują się tam czułe stosunki; przeszkody zwiększają przywiązanie; są tam i kłótnie, potem następuje przebaczenie; jest i zazdrość, nawet zdrada, zupełnie tak jak na wolności. Nieraz tworzą się w więzieniu fatalne związki, które śmierć dopiero rozcina.

Jeden z więźniów opowiada w swoich pamiętnikach że w więzieniu okręgowem gdzie się znajdował, odsiadywał sześcioletnią rekluzyę rozbójnik i że obok zamknięta była piękna kobieta, pełna odwagi i energii, także skazana na lat sześć. On unosił się nad sławą dziewczyny, ona pałała chęcią zostać żoną„ słynnego rozbójnika“. Korespondowali z sobą w sposób bardzo przyzwoity i grzeczny. Rzezimieszek rozpoczynał zawsze swoje listy od słów: Wielce szanowna panno“ i obsypywał ją epitetami: „drogi gołąbku“—„najdroższa synogarlico“ i t. d. Ona nazywała go w swoich listach, „wysoce szanownym panem“ i podnosiła pod niebiosa jego „szlachetny charakter“ i „wspaniałe serce“.

Kiedy ich wypuszczono z więzienia, pobrali się; z czasem doszli do sporej gromadki dzieci, które wszystkie kradły.

Nadzorca poprosił mnie na dół, gdzie mieszczą się kuchnie.

Byłem pewny że zobaczę jakąś szopę ciemną i brudną, podobną do tej która służy za kuchnię w Mazas, i gdzie w olbrzymim kotle gotuje się coś nieokreślonego, coś zielono-brudnego. To też jakie było moje zdziwienie, kiedym stanął na progu obszernej i pięknej kuchni, jakąby nie jeden hotel mieć zapragnął. Olbrzymie ognisko, świecące czystością otoczone było przez wesołe kuchareczki, które przygotowywały smaczny rosół i pieczeń cielęcą i wołową. Sam kuchmistrz w swoim białym fartuchu i myce, był wspaniały. Przyjął nas z całą godnością właściwą jego funkcyom i kolosalnemu wzrostowi.

— Co dziś jest na obiad?—zapytał nadzorca.

— Oto karta.

Nadzorca podał mi arkusz papieru oprawiony w drewniane ramki; pod rubryką „śniadanie" znalazłem kawę z mlekiem, mleko grzane, zupę z przypiekanego chleba. Obiad składał się z jakich dwudziestu dań! Na podwieczorek zapisaną była znów kawa, mleko, ser, wędliny; kolacya składała się z zupy, mięsa i jarzyny.

— Ależ to nie więźniów tu trzymacie, ale gości, pensyonarzy,—zawołałem spostrzegłszy jeszcze spis win i piwa.

— Karta, którą pan czyta, — rzekł kuchmistrz, nie jest dla wszystkich. Jest to karta oskarżonych

ale jeszcze nie skazanych.

— A jakież jest jedzenie skazanych?

— Dostają co dzień popięćset sześćdziesiąt gramów chleba, pięć i pół decylitrów zupy rano, pięć decylitrów w południe wraz z jarzynami; a wieczorem znów trzy i pół decylitry zupy. Dwa razy na tydzień dostają mięso; w święta podwaja się porcya.

— A ile godzin pracują dziennie?

— Jedenaście godzin. Od dwunastej do pierwszej obiad, a od pierwszej do drugiej spacer na dziedzińcu.

Kuchmistrz nie chciał pozwolić abym odszedł nie skosztowawszy zupy i mięsa; potem pokazał mi regestr w którym minister sprawiedliwości sprawdził za ostatnią swoją wizytą, że jedzenie dla więźniów jest zdrowe i dobrze przysposabiane.

Jesteśmy już jak widać, daleko od owego czasu kiedy samo wspomnienie o „austryackiem więzieniu“ dreszcze wywoływało. Nadmiar złego wywołał nadmiar dobrego.

Wyszedłszy z kuchni znaleźliśmy się, uszedłszy kilkanaście kroków na prawo, w sekcyi skazanych na śmierć.

Ale i tu nie było nic ponurego; kurytarz jest obszerny i na biało pomalowany. Po obu stronach tego kurytarza do którego światło pada z góry, mieszczą się cele.

Te przedsionki do szubienicy są także obszerne i białe.

— Obiecałeś mi pan,—rzekłem do nadzorcy, pokazać Hacklera.

— Oto i on — rzekł nadzorca zatrzymując się przed drzwiami w których otworzył okienko. Spojrzał i cofnął się mówiąc: „Siedzi na łóżku.“

Zobaczyłem człowieka nizkiego wzrostu, barczystego, o twarzy zwierzęcej i idyotycznej, czole nizkiem, na którem się malował upór bierny. Patrzał na swych towarzyszów szklistym wzrokiem; towarzysze jego, leżąc na ziemi, grali w warcaby ziarnkami grochu na szachownicy, zakreślonej na podłodze kredą.

— Kiedy będzie egzekucya? — zapytałem nadzorcy.

— Zdaje mi się że jutro.

— No, do widzenia z panem; ślicznie dziękuję za uprzejmość z jaką mi pan dom cały pokazał.

Odprowadził mnie nadzorca do bramy. Wyszedłem na ulicę szybko i odetchnąłem. Za mną brama zawarła się z trzaskiem, a klucz złowrogo zazgrzytał w zamku.

* * *

Na zakończenie tej mojej wędrówki po austryackiej stolicy zwrócę się jeszcze raz do kobiet.

W Wiedniu, dzisiaj zwłaszcza, cudzoziemcowi może się zdawać że żyje w całej pełni ośmnastego stu-

lecia; w towarzystwie rola kobiety jest dominującą; w arystokracyi ona to jest wyrocznią elegancyi i pięknych obyczajów. Kokietką jest wiedenka z natury; młode dziewczyny nie uczą się tam mądrych ukłonów, ceremonialnych uśmiechów; to też młoda wiedenka nie jest tak sztywna i sztuczna jak paryżanka: jest szczerą i wesołą.

Wiedenka kocha jak kochają róże, to znaczy że kocha dla kochania, podczas gdy paryżanka kocha dla samej siebie.

Miłość u paryżanki, to bransoleta, kaszmir; u wiedenki miłość jest po prostu miłością. Jeżeli francuzka jest błyskawicą namiętności, wiedenka jest promieniem miłości. Pierwsza pali jak ogień, druga grzeje jak światło.

Tak samo jak ptak ma skrzydła zawsze rozpięte do lotu, wiedenka ma zawsze serce na wpół otwarte.

Jest to potrzeba wynurzenia się, wrażeń, słońca; wiedenka uznaje maksymę Roussa: „Kobieta jest specyalnie stworzona na podobanie się mężczyznie.“

Tylko że Rousseau mówił w liczbie pojedynczej, a wiedenka stosuje tu liczbę mnogą.

Wiedenka ma serce bogate na miliony; ale ponieważ miłość jest dla niej raczej ponętną zabawą niż rzeczą poważną, serce jej nigdy nie zbankrutuje.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Z Wenecyi do Wiednia.

CZĘŚĆ DRUGA.

Wiedeń.

Rozdział. Stronica.

Rozdział. Stronica.



